

JUSTIN SOMPER

IMPERIUM NOCY

Przełożyła Edyta Skrobiszewska

Dla Sue, Sherri i Scotta dzięki za przyjęcie mnie do załogi!

Prolog

Trzy dary

Zatoka u zachodnich wybrzeży Australii Rok 2512

Connorze, synu, dziedzicu mojego imperium!

Oto pierwszy z trzech darów dla uczczenia Twojej pierwszej nocy picia krwi. Gdy wskazówki zegara pokażą północ, przyjdź do mojej kajuty. Wówczas wręczę ci pozostałe dary.

Twój ojciec krwi,

Sidorio

Connor stał pod drzwiami kapitańskiej kajuty. Jego dłoń poszukała miecza, bezpiecznie tkwiącego w pochwie. Chłopak zacisnął palce na rękojeści, jak zwykle, gdy był zdenerwowany. Przypominało mu to o chwilach, gdy miał nad sobą pełną kontrolę - kiedy dobywał broni i rzucał się do walki. Gdyby tylko umiał być taki zdecydowany zawsze, nie tylko w ferworze bitwy...

Poczuł gwałtowny przypływ adrenaliny. „Dziwne zjawisko - myślał. - W chwilach stresu adrenalina jest potrzebna, aby człowiek mógł działać, ale zbyt duża jej ilość całkiem go paraliżuje”. Życie chłopca się zmieniło i wiedział, że nie ma już odwrotu. Nie mógł nawet mieć pewności, że nad ranem Grace wciąż będzie wśród żywych. Kiedy widzieli się po raz ostatni, siostra powiedziała mu, że sami kształtują swoje przeznaczenie. Jakże się myliła” - pomyślał Connor z goryczą. Byli niczym muchy złapane w stalową pajęczynę.

Złoty zegarek dołączony do listu Sidorio ciążył mu na ręku. Chłopak spojrzał na wskazówki, ledwo widoczne w słabym świetle lamp. Do północy pozostało zaledwie kilka sekund. Nie mógł dłużej zwlekać. Odetchnął głęboko i zastukał w metalowe drzwi. Przez krótką chwilę nic się nie działo. Potem rozległ się głuchy dźwięk odmykanych zasuw. Ciężkie wrota stanęły otworem i Connor wszedł do środka.

- Witaj. - Sidorio zamknął drzwi. - Witaj! Miło cię znowu zobaczyć. Widzę, że znalazłeś pierwszy z moich darów. Dobrze na tobie wygląda.

- Tak - odparł chłopiec. - Dziękuję, ojczu.

- Podejź bliżej. - Kapitan przywołał go gestem. - Mam tu dla ciebie kolejny prezent. Connor podszedł i ujrzał długą, pomalowaną na niebiesko drewnianą skrzynię ze srebrnym napisem.

- To kufer wojenny Kubilaj-chana. - Wampirat pogładził dłonią wieko. - Trzymał go w swoim namiocie polowym. W ten sposób co dzień mógł wybierać, którą bronią będzie walczył. Otrzymałem tę skrzynię w prezencie ślubnym od żony.

Sidorio z szacunkiem otworzył i wysunął górną szufladę. Wewnątrz, na jedwabnej wyściółce, leżały różne rodzaje mieczy. Wiele z nich Connor widział po raz pierwszy w życiu. Jakością znacznie przewyższały broń wystawioną w Akademii Piractwa, a nawet dzieła mistrza Yina.

- To oręż godny cesarza - powiedział Sidorio. - A co za tym idzie, również cesarskiego syna. - Położył dłoń na ramieniu Connora. - Wybierz sobie jeden miecz, chłopcze. To będzie drugi z moich trzech darów.

Connor z zachwytem spoglądał na wypolerowany metal lśniący na tle granatowego jedwabiu. Każde z tych ostrzy miało niepowtarzalny charakter. Wybór był wręcz niemożliwy.

- Jeśli żaden z nich ci się nie podoba - oświadczył Sidorio - to otwórz drugą szufladę. Albo trzecią. Nie spiesz się. - Cofnął się o kilka kroków, pozwalając chłopcu podejść bliżej do skrzyni.

Connor nie musiał otwierać kolejnych szuflad. W rogu tej wysuniętej dostrzegł miecz, który zdawał się go przyzywać. Broń była skromna, nieefektowna, ale jeden rzut doświadczonego oka pozwolił młodemu piratowi ocenić jej zalety. W głębi serca żywił przekonanie, że tę właśnie klingę wskazałby mu mistrz Yin, wykuwający na Lantao najdoskonalsze miecze.

Connor sięgnął do szuflady i ujął broń. Zacisnąwszy palce na rękojeści, wiedział, że dokonał właściwego wyboru. Miecz pasował doskonale, jakby był przedłużeniem ręki.

Chłopak wiedział, że jeśli kiedykolwiek użyje tego ostrza w walce, ono go nie zawiedzie.

- Czy to ten? - zapytał Sidorio.

Connor przytaknął.

- Dziękuję, ojcie. Jest niesamowity.

- Dobra decyzja. - Wampirat zamknął szufladę. - A teraz usiądźmy.

Te słowa nie zabrzmiały groźnie, jednak Connor czuł, że serce wali mu jak oszalałe. Sidorio wskazał chłopcu krzesło naprzeciwko siebie. Connor położył nowy miecz u swoich stóp, stary nadal miał przypasany do boku.

Stół był przykryty atlasową kapą obszytą brokatem. Wzrok Connora prześlizgnął się po splotach tkaniny i padł na złotą czarę. Uchwyty naczynia wyobrażały wijące się węże.

Sidorio wziął czarę do ręki.

- Niegdyś była własnością Cezara - oznajmił z dumą w głosie. Spojrzał na chłopca. - Teraz Cezar obrócił się w proch, a czara należy do mnie.

Postawił puchar na stole, tuż obok kryształowej karafki napełnionej po brzegi szkarłatnym płynem.

Nie zwlekając, Sidorio odkorkował naczynie, przechylił je nad czarą, a potem znowu starannie zamknął, aby płyn nie zwietrzał. Usiadłszy, kapitan uniósł złoty puchar do ust i opróżnił jednym haustem. Chłopak tymczasem myślał o tym, z jaką łatwością mu to przyszło i że teraz nadeszła jego kolej.

Wampirat odstawił czarę i ponownie ją napełnił, po czym podał synowi. Chłopiec widział w rubinowym płynie odbicie swojej bladej twarzy. Sądził, że kiedy podniesie naczynie, dłoń mu zadrży. Nic takiego się jednak nie stało. Odczuwał dziwny spokój. „To dobry znak” - pomyślał. To oznaczało, że był gotów. Poza tym nie pierwszy raz przecież będzie przyjmował krew - po prostu wcześniej nie pił jej tak bezpośrednio.

- Synu. - Wargi Sidorio były czerwone od napoju. - Krwi z mojej krwi, dziedzicu mojego wiecznego imperium... Pij.

Connor dotknął ustami brzegu czary. Sam nie wiedział, czego się spodziewać, i gdy upił pierwszy łyk, zdziwił się, jakie to było naturalne. Świadom tego, że Sidorio bacznie mu się przygląda, ponownie uniósł naczynie do ust. Wampirat uśmiechnął się, kiedy Connor odstawił wreszcie pustą czarę. „To nie było takie trudne” - myślał chłopiec, zadowolony z siebie. Fala przyjemnego ciepła, promiennej energii wypełniła jego ciało. Czuł się silny, niepokonany.

- Dobre? - zapytał Sidorio.

- Tak.

- Dolać jeszcze? - Dłoń kapitana uniosła już karafkę.

- Poproszę.

- Dobry chłopak! - Wampirat napelnił czarę. - Tym się podzielimy. Połowa dla mnie i połowa dla ciebie. - Uśmiechając się, wypił spory łyk. Potem podał naczynie synowi.

Connor pił i czuł, jak jego siła rośnie; był teraz potężny. Gdyby musiał, mógłby sam pokonać całą plądrującą miasto armię. Nie, nie gdyby musiał - gdyby chciał.

- Jeszcze? - spytał Sidorio.

Chłopiec przytaknął.

Czas płynął i w pewnym momencie Connor zauważył, że kapitan odstawia na stół pustą karafkę.

- Opróżniliśmy całą, ale mogę kazać przynieść więcej. - Sidorio spojrzał na chłopca z powagą. - Następnym razem, synu, zapomnimy o tych formalnościach i razem zapolujemy na świeżą krew. Ramię w ramię.

Connor zastanawiał się przez chwilę nad tymi słowami. Polowanie... Czy zdołałby się posunąć tak daleko? Cóż, po wszystkim, co się wydarzyło w ciągu ostatnich sześciu tygodni, nie mógł tego wykluczyć. Jak zauważył Sidorio - Connor Tempest już nie istniał. Teraz był Connorem Kwintusem Antoniuszem Sidoriem.

Kapitan mówił dalej.

- Nadeszła pora, abyś otrzymał trzeci dar. Zapewne zgodzisz się, że najlepsze zostawiłem na koniec.

- Zegarek jest fajny, a miecz wyjątkowy... To musi być coś naprawdę ekstra - odparł chłopiec.

Sidorio zdjął z szyi jeden z łańcuchów. Connor poczuł się rozczarowany. Bizuteria? Po tym, jak dostał dwa naprawdę wspaniałe prezenty? Zaraz jednak dostrzegł, że na łańcuchu zawieszony jest klucz z wrytym numerem.

Zaintrygowany chłopiec obrócił klucz w dłoni i spojrzał na wampirata.

- Co to? - spytał.

- Klucz do kajuty trzysta dwadzieścia dziewięć - wyjaśnił Sidorio. - Tam czeka na ciebie mój trzeci dar. Musisz tylko otworzyć drzwi.

- Mam iść teraz?

- Jeśli chcesz. Pójdę z tobą.

Connor skinął głową.

- Jasne... ojczec.

Po raz kolejny dźwięk tego słowa wywołał na ustach wampirata uśmiech. Obaj wstali od stołu. Connor podniósł z podłogi swoją nową broń. Nie zamierzał ani na chwilę tracić jej z oczu. Była zbyt piękna.

Sidorio z dumą prowadził syna przez korytarz. Czekali tam na nich członkowie załogi. Nawet nie próbowali ukryć zainteresowania chłopcem. Connorowi to nie przeszkadzało - nie czuł się ani trochę skrępowany. Nic dziwnego, że tak się w niego wpatrywali. W tym krótkim czasie, jaki spędził w kajucie Sidorio, jego przeznaczenie się dokonało. Został ich przyszłym dowódcą. Był synem kapitana, dziedzicem wiecznego imperium nocy.

Sidorio zatrzymał się przed drzwiami na końcu korytarza i wskazał na nie. - Kajuta trzysta dwadzieścia dziewięć - oznajmił. - Twój dar czeka w środku. Connor podszedł do drzwi i umieścił klucz w zamku. - Powinienem cię uprzedzić... - Kapitan przysunął się bliżej. - Jeszcze nie jest całkiem gotowy.

- Co masz na myśli? - Chłopiec przekręcił klucz. Zgrzytnęły zasuwki i metalowe drzwi stanęły otworem. Connor wszedł do środka. Tuż za nim próg przestąpił Sidorio.

- Proszę - powiedział. - Mój trzeci dar. Jak mówiłem, jeszcze nie całkiem gotowy. Chłopiec nie mógł wydobyć z siebie słowa. To, co zobaczył, wprawilo go w osłupienie. Czy to jakaś sztuczka? Halucynacja wywołana pierwszym piciem krwi? Nie. To była prawda. Widział ją i czuł. Trzeci dar Sidorio. I ten... ten koszmar miał być najlepszym z jego prezentów dla syna.

- Coś ty zrobił? - wykrztusił Connor. - D1 a c z e -g o to zrobiłeś? - Pokręcił głową, a potem jeszcze raz otworzył usta i wydał głośny, przesywający krzyk.

Rozdział 1

Nie trać głowy...

Sidorio stał na plaży i tulił w ramionach odciętą głowę swojej małżonki. Lola. Otworzył usta, by wypowiedzieć jej imię, ale teraz, gdy odeszła, było to zbyt bolesne. Wiedział, że ona już nigdy nie spojrzy na niego tymi oczami, które zawsze zdradzały jakieś nieczne zamiary. Nigdy się nie uśmiechnie i nie weźmie go za rękę. Nie uniesie jednego ze swych antycznych kielichów wypełnionych najlepszym rocznikiem. Nie napije się z gracją dowodzącą arystokratycznego pochodzenia...

Sidorio spojrział na głowę ukochanej i zdumiał się. Mimo skóry bladej niczym odbicie księżycy na spokojnym morzu jej twarz porażała urodą. Lady Lola Elizabeth Mizerykordia Lockwood Sidorio... Nie minęła nawet godzina, odkąd zostali mężem i żoną, a już została mu odebrana. Okrutnie zabita u stóp ołtarza przez jego własnego syna. W oczach kapitana wezbrały łzy. Było to dla niego nowe odczucie. Słona kropla opadła na policzek Loli. Sidorio pomyślał i nagle, że być może woda ją ożywi, że jego ukochana nie jest tak naprawdę martwa, tylko śpi. Jednak gdzieś w środku wiedział, że odeszła na zawsze. Znowu został sam. Podniósł wzrok i dostrzegł niewielką łódkę sunącą po wodzie. Oddział piratów powracał na statek po wypełnieniu straszliwej misji. Byli już zbyt daleko, by Sidorio mógł rozróżnić sylwetkę kapitan Cheng Li i młodego zabójcy Loli. Ale dobrze zapamiętał twarz tego chłopca. Należała bowiem do jego potomka - krwi z jego krwi... Do jego syna, Connora.

- Mój syn... - jęknął z bólem.

Skądś dobiegł go dźwięk przypominający westchnienie. Natychmiast spojrział na głowę żony z nadzieją. Ale był to tylko odgłos fali uderzającej o brzeg. Twarz Loli pozostawała nieruchoma. Sidorio pogłaskał jej blade policzek. Poczuł pod palcami odmienną fakturę skóry - nie był to już ten sam gładki alabaster, do którego przywykł.

Popatrzył na tatuaż w kształcie serca wokół lewego oka Loli. To czarne serce, te zamknięte powieki skrywały najcenniejsze z klejnotów. Gorąco pragnął, by żona otworzyła oczy,

bodaj na chwilę. Gdyby tylko mógł je znowu ujrzeć, jeden, jedyny raz... Chociaż nie. To byłoby dla niego za mało. Zawsze pragnąłby więcej. Nawet gdyby mógł cofnąć zegar o godzinę, nawet gdyby nadal mieli przed sobą całą wieczność, jemu by to nie wystarczyło.

Z każdą sekundą skóra Loli stawała się coraz bardziej pomarszczona. Teraz, gdy złamano pieczęć jej nieśmiertelności, oszukane lata dopadły ją nareszcie. Widok był okropny.

Sidorio przypomniał sobie ich pierwsze spotkanie. Byli na plaży, podobnej do tej, na której teraz stał... Lola i dziewczęta z jej załogi drażniły się z nim, ale potem mu wyznała, że był to jedynie sposób na przyciągnięcie jego uwagi. Jak ona to ujęła? Tak wspaniale się wysławiała...

- Nielatwo płotce wysłać sygnał do wieloryba.

Właśnie tak! Niemal usłyszał jej głos i mimo woli się uśmiechnął. Zastanawiał się, ile czasu minie, nim wszystko zapomni. Kiedy zatrze mu się w pamięci także i tamta chwila?

Myślni powrócił do tego wieczoru, gdy wtargnął niezapowiedziany na jej statek, Wagabundę - jednostkę mniejszą od jego potężnego Krwawego Kapitana. Lola szykowała sobie właśnie kąpiel we krwi. Był to element jej sekretnych zabiegów kosmetycznych, dzięki którym pozostawała piękna. Tamtej nocy zaniechała ich jednak - dla Sidorio. Zamiast tego razem pili krew z jej ulubionych antycznych kielichów. Poczęstowała go galaretką...

Ten obraz wywołał następny - ich pierwsze wspólne polowanie. Lola zawsze wolała saczyć krew z weneckich pucharów, ale poszła z nim, bo chciała poznać jego zwyczaje. Pragnęła ich doświadczyć. Sidorio starał się jej odwdzińczyć tym samym, chociaż nigdy nie pojął, w czym kielich miałby być lepszy od naczynia, którym jest ludzkie ciało. Noce, kiedy polowali razem niczym dwa wilki, stanowiły jego najradośniejsze wspomnienie. Przywoływanie wspólnych chwil przejmowało go jednak chłodem, powodowało tępy ból głowy. Twarz Loli z każdą minutą stawała się coraz bardziej pomarszczona; jej skóra była tak sucha, że zaczęła się łuszczyć. Rozpadała się na jego oczach. Sidorio poczuł lęk, że głowa jego pięknej żony obróci się w proch, przesypane mu się przez palce i uleci z wiatrem.

Zamknął oczy, pragnąc, by okryła go ciemność. Teraz myśli o Loli powodowały ból. Ale nie potrafił ich odepchnąć: to, jak wybierała mu nowe ubrania, na przykład strój ślubny, który miał nadal na sobie, chociaż nie przepadał za wytwornym stylem; wieczór, kiedy pokazała mu, jak trzeba zakręcić kieliszkiem, by uwolnić aromat krwi; ta chwila, ten magiczny moment, kiedy zgodziła się go poślubić...

Została jego żoną, tak. Ale co ważniejsze - stała się całym jego światem. A teraz odeszła. Sidorio był samotny, zanim ją poznał, jednak nie aż tak... Ciszę rozdarł jego przejmujący krzyk.

Wiatr szeptał mu coś do ucha, jakby dzielił z nim żalobę. Odgłos się powtórzył i Sidorio zaczął się zastanawiać. Nie, to nie wiatr. Aura była bezwietrzna.

Usłyszał kolejny dźwięk, już nie tyle szept, ile ciche chrząknięcie. Kusilo go, by uwierzyć, że w Loli nadal tli się iskierka życia. Lękając się zawodu, spojrzał na twarz żony.

Nie miał wyboru. Musiał jeszcze raz ją zobaczyć. Jej piękne oblicze i tatuaż czarnego serca.

Spojrzał na jej rubinowe usta. Czy to wyobraźnia płatała mu figle, czy naprawdę lekko się rozchyliły? Skóra nie była gładka, ale nie pojawiały się już kolejne zmarszczki. Sidorio pokręcił głową. Takie myśli mogą doprowadzić do obłędu.

Nie był pewien, czy już nie oszalał, bo pośród czerni tatuażu nagle błysnęło piękne brązowe oko.

Sidorio poczuł, że traci grunt pod nogami.

- Nie! - jęknął. - Żadnych sztuczek! Pozwólcie mi ją oplakiwać.

Po tych słowach usta Loli rozchyliły się w delikatnym uśmiechu. A potem Sidorio usłyszał jej głos:

- Odrobinę się pospieszyłeś z tą żalobą, mój drogi mężu.

Wampirat zamarł.

- Żadnych sztuczek! - krzyknął. - Kimkolwiek jesteś, ktokolwiek to robi, ma przestać! Muszę pozwolić jej odejść!

W oczach Loli zapłonął ogień.

- Drogi Sidzie. Na razie donikąd się nie wybieram. Ale jeśli będziesz tak miły i połączysz mnie z moim ciałem, chętnie wrócę z tobą na któryś z naszych statków.

To nie był sen ani szaleństwo. To był prawdziwy, szczerzłoty cud!

Sidorio nie umiał opanować radości, która go ogarnęła.

- Wróciłaś! - wołał. Po policzkach ciekły mu łzy.

- Ale jak? Jak to możliwe?!

Lola spojrzała na męża. Choć jej twarz była pokryta siateczką zmarszczek, nadal odznaczała się niespotykaną urodą.

- Mój najdroższy, naprawdę sądziłeś, że zostawię cię w naszą noc poślubną? Nic z tego! Nielatwo znaleźć takiego mężczyznę jak ty.

Sidorio z niedowierzaniem pokręcił głową. Teraz wiedział, że nie uległ złudzeniu. Tylko Lola mogła powiedzieć coś podobnego.

- Wróciłaś - powtarzał. - Naprawdę wróciłaś!

- Tak - odparła lady Lola Elizabeth Mizerykordia Lockwood Sidorio. - Wróciłam, drogi mężu. Nie traćmy więcej czasu. Zabierz mnie do mojego ciała. Potem będę potrzebowała czegoś bardzo mocnego do picia.

- Rozumiem, o co ci chodzi. Sidorio ruszył przez plażę z głową ukochanej małżonki w objęciach. Czując przepełniającą go radość, zaczął biec, aż znalazł się na szczycie klifu, gdzie czekało smukłe, bezwładne ciało Loli.

Sidorio przyłożył głowę do rozciętych żył i tętnic, kości i mięśni szyi. Lola ponownie zamknęła oczy. Zmarszczyła brwi, jak gdyby doświadczała przeszywającego bólu. Jej mąż bał się, że to nie zadziała, ale już wkrótce rozcięte tkanki zaczęły się zespalać.

Patrzył zafascynowany, jak zakrwawione i posiniaczone ciało wampiratki samoistnie się regeneruje. Złuszczona skóra odpadła z jej twarzy, a zmarszczki się wygładziły. Cera szybko odzyskiwała swój dawny blask i gładkość. Teraz Lola wyglądała nawet młodziej niż przed tym nieszczęsnym zdarzeniem. Przez cały czas jej oczy pozostawały zamknięte. Była spokojna, jakby zażywała relaksującej drzemki.

Sidorio ujął twarz żony w obie dłonie. Kruczoczarne włosy Loli wiły się między jego palcami. Ledwie mógł uwierzyć, że ona naprawdę tu jest, że nie uroił sobie jej powrotu. Czuł pod skórą małżonki nowy rodzaj energii. Niewiele wiedział o biologii wampirów, ale wyobrażał sobie ciemne komórki mnożące się w żyłach ukochanej.

Kobieta otworzyła oczy. Płonęło w nich niezwykle światło, które dla Sidorio było nie tylko oznaką jej odrodzonego życia, lecz także zapowiedzią wspaniałej przyszłości. Lola wróciła, stanie u jego boku. Nareszcie mogą rozpocząć wspólną podróż. Kto wie, dokąd razem dotrą?

Sidorio poczuł się tak, jakby i w niego wstąpiło nowe życie. Ponownie pomyślał o Connorze. Skoro odzyskał Lolę, czemu nie miałby odzyskać syna? No i oczywiście córki, Grace. Nadeszła pora, by stali się rodziną.

Zauważył, że żona mu się przygląda. Nadal spoczywała na miękkiej trawie. Wampirat nachylił się i odgarnął jej z oczu pukiel włosów. Tatuż był znów wyraźnie widoczny.

- Co nas teraz czeka, moje Czarne Serce?

Rzęsy Loli zatrzepotały niczym aksamitne skrzydła ćmy..

- Jest chyba taki zwyczaj, że po ślubie małżonek zabiera oblubienicę na miesiąc miodowy...

- Miesiąc miodowy? - Sidorio wysilił pamięć. - A tak, rzeczywiście. Dokąd chcesz popłynąć?

- Tam, gdzie jest zimno - odparła Lola. - Mam dość tych nieustających upałów. Zabierz mnie w jakieś naprawdę lodowate miejsce.

Sidorio uśmiechnął się szeroko. Jego złote kły błysnęły w świetle księżyca.

- Czegokolwiek zapragnie twoje czarne serce, moja słodka. Wiesz, że zrobię dla ciebie wszystko.

Lola z wdziękiem podała mężowi dłoń.

- A ja dla ciebie - oznajmiła. - Teraz i przez całą wieczność.

Rozdział 2

Plażowi piraci

Connor Tempest stał spokojnie na pokładzie statku i czekał na znak od Cate „Kord” Morgan. Zerknął w prawo, na Barta Pearce’a, który w odpowiedzi mrugnął do niego porozumiewawczo. Jak zwykle, Connor czerpał siłę z obecności przyjaciela. W ogniu walki - i nie tylko - nie było nikogo, na kim mógłby polegać bardziej niż na Barcie.

Po lewej, nieco z przodu, stała nowa kapitan Federacji Pirackiej - Cheng Li. Jej skośne oczy ze skupieniem wpatrywały się w Cate. Pod wieloma względami sytuacja przypominała tę sprzed kilku miesięcy, kiedy to wszyscy czworo służyli na pirackim okręcie Molucca Wrathe’a, noszącym nazwę Diabło.

Ale teraz nie znajdowali się już na Diabłu i nie byli podkomendnymi kapitana Wrathe’a. Cała czwórka młodych ludzi w krótkim czasie przebyła długą drogę, która w przypadku Connora okazała się najtrudniejsza i najbardziej pokrętna. Chłopak miał wrażenie, jakby ostatnich kilka miesięcy spędził na jeździe jakąś szaloną kolejką górską. Ale teraz nie chciał myśleć o sobie. Nie było na to czasu. Należało przygotować się do działania. Sprężył ciało niczym jastrząb czyhający na ofiarę i starał się skoncentrować na czekającej ich walce. W pobliżu znajdowali się również jego nowi towarzysze. Connor omiół spojrzeniem twarze Jacoby’ego Blunta i Jasmine Peacock. Idealna para. Tym właśnie się wydawali, gdy po raz pierwszy spotkał ich w Akademii Piractwa. Byli jednymi z najbardziej utalentowanych i najpopularniejszych studentów ostatniego roku. Przepelniała ich wówczas taka beztraska! Teraz pełnili służbę na Tygrysie pod komendą kapitan Cheng Li. Elitarne szkolenie doskonale przygotowało tych dwoje do pełnienia zawodu pirata, lecz nie do zawirowań, które pojawiły się w ich życiu prywatnym. „Tak - myślał Connor, wodząc wzrokiem po pięknym profilu Jasmine. - Takiego zwrotu akcji nikt z nas nie przewidział”.

Cate dała sygnał. Bez cienia wahania Connor, Bart i Jacoby ramię w ramię przeskoczyli burtę. Nim wylądowali na pokładzie drugiej jednostki, walka rozgorzała na dobre.

Szczęk krzyżującej się stali bywał niekiedy tak głośny, że niemal nie do zniesienia. Ale teraz ten okropny hałas wydawał się błogosławieństwem, bo zagłuszał zamęt panujący w umyśle chłopca. Tu, w bitewnym ferworze, nie słyszał już bezlitosnych głosów rozlegających się w jego głowie. Tutaj wszystko było proste. On i jego towarzysze mieli zadanie - walczyć i wygrać. A Connor Tempest właśnie je wypełniał.

- Tempest, za mną! - krzyknął Jacoby.

Connor posłusznie podążył za nim. Jacoby Blunt pełnił funkcję zastępcy kapitana na Tygrysie, uważano go za prawą rękę Cheng Li. Niezależnie od tego, jak pokręcone wydawały się ich stosunki, hierarchia była jasna i Connor musiał jej przestrzegać.

Młodzi piraci biegli przez pokład, deptając po piętach uciekającemu kapitanowi zaatakowanej jednostki oraz pierwszemu oficerowi. Jeśli - a raczej kiedy - ci dwaj się poddadzą, bitwa będzie skończona. Ten statek był mniejszy od Tygrysa czy Diabła, więc Jacoby i Connor musieli poruszać się gęsiego. Nieznajomość terenu ich spowalniała, a przeciwnicy byli młodzi i szybcy. Cate i Cheng powiedziały, że będzie to łatwa misja, ale Connor miał już dosyć doświadczenia, by wiedzieć, że coś takiego po prostu nie istnieje. Sprawy zawsze mogą potoczyć się niepomysłnie. Kiedyś on i reszta załogi kapitana Wrathe'a wpadli w zasadzkę na pokładzie Albatrosa - statku, na który napadli. W rezultacie stracił życie bliski przyjaciel Connora i Barta, Jez. Krew połała się ponownie podczas akcji w Forcie Zachodzącego Słońca, tym razem z winy jak zawsze samolubnego Promyka Wrathe'a, bratanka Molucca. By ocalić życie chłopca, Connor musiał zabić strażnika. Potem został okrzyknięty bohaterem, ale to doświadczenie sprawiło, że zaczął wątpić w swoje pirackie powołanie.

Teraz biegł za Jacobym po krętych schodach prowadzących pod pokład. Widzieli i słyszeli uciekających przeciwników, którzy wykrzykiwali przekleństwa i wyzwiska pod adresem atakujących ich piratów. Connora uderzyło nie tyle słownictwo – choć było doprawdy bogate - ile barwa głosów. Wiedział, że tamci są młodzi, ale jak bardzo?

Postanowił na razie o tym nie myśleć. Miał inne sprawy do rozważenia. Najważniejszą z nich było pytanie: dokąd zmierzają uciekający? Działania tamtych dwóch przeczyły logice. Uczniowie Akademii Piractwa doskonale wiedzieli, że nie należy uciekać pod pokład. Ale przeciwnicy Connora nie studiowali w Akademii. Byli „plażowymi piratami” - leniwymi dzieciakami, które liczyły na szybkie zdobycie sławy i fortuny. Kilka lat temu mogli wyrosnąć na kapitanów słynnych jak sam Molucco Wrathe. Ale teraz już nie. Sytuacja zmieniła się

diametralnie. Federacja tępiła bez litości nieautoryzowane jednostki i samozwańcych kapitanów. Zagrożenie na oceanach było coraz większe i dowództwo nie mogło dłużej patrzeć przez palce na wybryki „plażowych piratów”. Cheng Li i Cate wyraziły się jasno, kiedy przedstawiały towarzyszom cel misji: należy błyskawicznie przejąć statek i aresztować załogę.

Jacoby rzucił się w dół po schodach. Connor nadal był pod wrażeniem tego, jak wysportowany jest ten chłopak. Ze swoim giętym, umięśnionym ciałem Jacoby przypominał bardziej panterę niż człowieka. Connor biegł za nim i nawet do głowy mu nie przyszło, że jest równie zwinny i szybki.

- Tędy! - krzyknął Jacoby, gdy towarzysz znalazł się obok niego. Pędzili kolejnym korytarzem w stronę znajdujących się na końcu drzwi. Wrogowie musieli ukryć się w tej kajucie. Nie było stąd innej drogi ucieczki. Connor gestem zatrzymał Jacoby’ego, obawiając się, że mogą wpaść w pułapkę. Młody porucznik zrozumiał go bez słów. Connor pamiętał, że Jasmine nazwała to „synchronizacją”. Wspomniała, że mówił o tym na jednym z wykładów niedawno zamordowany dyrektor Akademii Piractwa, komandor John Kuo.

Kuo odszedł, ale jego nauki przetrwały. A to najcenniejsze dziedzictwo, jakie można po sobie pozostawić.

Dwaj młodzi piraci rozejrzeli się dokoła, oceniając możliwości. Upewniwszy się, że jest tylko jedna, Jacoby odwrócił się do Connora. Ten skinął głową i obaj znów ruszyli korytarzem. Już po chwili szturmowali drzwi kajuty.

Przeciwnicy zabarykadowali wejście, ale na nic się to zdało. Connor i Jacoby wpadli do ciemnego, przestronnego pomieszczenia. Jego środek zajmował długi, ciężki stół otoczony wysokimi krzesłami. Na pierwszy rzut oka ta kajuta nie różniła się od innych, które widywali, lecz wtem dostrzegli setki mieczy różnych rozmiarów i kształtów. Obwieszona bronią ściany sprawiały wrażenie wykonanych z metalu. To była istna zbrojownia. Przeciwnikom na pewno nie zabraknie oręża. Ale gdzie oni się ukryli?

Connor spojrzał w górę i na wiszącym tuż nad stołem żelaznym żyrandolu zobaczył niewielką, skuloną postać. Zorientowawszy się, że został zauważony, przeciwnik rozbijał ciężką lampę, by nabrać impetu, a potem skoczył na Connora. W tym samym momencie spod blatu dobiegł ich okrzyk wojenny i drugi pirat zaatakował z siłą pędzącej kuli armatniej.

Nie wahając się ani sekundy, Connor wskoczył na stół i spotkał się z przeciwnikiem w pół drogi. Po raz pierwszy zobaczył jego twarz - chłopiec nie mógł mieć więcej niż dziewięć lub

dziesięć lat. W innych okolicznościach pogratulowałyby małemu ambicji, ale teraz nie było na to czasu. Mały pirat uśmiechnął się złośliwie i dobył miecza. Connor prędko odparował jego cios swoim rapierem.

Słyszał, że Jacoby zawarł się z kapitanem wrogiego statku. Chciał sprawdzić, jak radzi sobie towarzysz, ale nie mógł ryzykować spuszczenia choć na moment z oczu swojego przeciwnika. Chłopiec był pełen wigoru i Connor nie wątpił, że gdyby zdobył przewagę, nie miałby dla niego litości. Skupił się na obronie, pozwalając tamtemu atakować. Był pewien, że prędzej czy później przyłapie smarkacza na jakimś błędzie i go pokona.

Chłopiec był wątpliwy i nie mógł mierzyć się z nim pod względem siły, ale bez wątpienia wykazywał się też niezwykłą zwinnością. Zdziwił tym Connora, który mimo swoich czternastu lat, czuł się przy swoim przeciwniku stary i ociężały.

Imponowały mu tupet dzieciaka i jego talent. Z łatwością mógł sobie wyobrazić, że ten mały zdobywa w Akademii liczne pochwały, a Cheng Li bierze go pod swoje skrzydła, jak to niedawno uczyniła z Bo Yin. Ale chłopiec nie miał doświadczenia i Connorowi łatwo udało się zagnać go do kąta. Walka była skończona. Profesjonalista z łatwością pokonał plażowego pirata. Podczas pojedynku, mimo różnicy wieku, wydawali się sobie równi. Teraz jednak Connor miał przed sobą tylko wystraszone dziecko. Dziecko, które pluło i obrzucało go wyzwiskami. Uznał, że pora dać małoladowi nauczkę. Wysunął ostrze i dotknął nim twarzy przeciwnika. Ostrożnie przeciągnął czubkiem rapiera po policzku chłopca, obserwując, jak cienka strużka krwi zabarwia bladą skórę. Widział przerażenie w oczach małego i wiedział, że tamten zrozumiał, iż przegrał. Do kogo należy decyzja, czy pokonany zginie, czy będzie żył? I dopiero wtedy Connor pojął, jak bardzo jest wściekły. Wściekły na tych plażowych piratów, włóczących się po morzach i psujących szyki zawodowcom. Wściekły, bo odmówiono mu prawdziwej walki, która czekałaby go w starciu z doświadczonym piratem - walki, której domagały się jego ciało i umysł. Przede wszystkim jednak był wściekły na siebie. Za to, że są rzeczy, nad którymi nie ma kontroli.

- To koniec. - Usłyszał słowa Jacoby'ego skierowane do młodego kapitana. On również pokonał swego przeciwnika. Teraz zwrócił się do towarzysza: - Connor, to koniec. Opuść miecz!

Głos Jacoby'ego był wyraźny i dźwięczała w nim pewność siebie. Dla niego zadanie zostało wypełnione. Tak postrzegał każdą bitwę, każdą misję, każdy mijający dzień. Rzeczy były czarne lub białe; żadnych szarości. „Dla mnie nic już nigdy nie będzie takie proste” - pomyślał

Connor z goryczą. Nie po tym, czego się o sobie dowiedział. Był, kim był, i nic nie mógł na to poradzić. Już na zawsze, na całą wieczność pozostanie Connorem Tempestem, synem wampira.

Rozdział 3

Nowożeńcy

Morze Czarne, Odessa, Ukraina - Bardzo mi się tu podoba - oświadczyła Lola, odwracając wzrok od Sidorio i patrząc na zamrożone morze. - Wiedziałam, że wybierzesz idealne miejsce na nasz miesiąc miodowy.

Przeróżliwe zimno sprawiało, że uderzające o brzeg fale zamrażały. Magiczna sceneria, można by rzec, spoglądając na delikatną fioletową poświatę księżyca i słuchając odległych odgłosów morza zmieniającego się w lód.

Prószący śnieg zaczął przykrywać stół, przy którym siedzieli. Lola spojrzała na męża i chwyciła go za rękę.

- Jaki ty jesteś mądry! - powiedziała.

Sidorio się uśmiechnął. Na palcach jednej ręki mógł policzyć, ile razy w ciągu jego boleśnie długiej egzystencji nazwano go mądrym. Odwrócił głowę, aby spojrzeć na hotel, z którego okien sączyło się przytłumione światło. W przeszłości ta rokokowa budowla była carskim pałacem i nadal miała w sobie coś królewskiego. Państwo Lockwood-Sidorio stanowili obecnie jego jedynych gości. Wybrali apartament zajmowany niegdyś przez Piotra Wielkiego i jego żonę, carycę Katarzynę.

- Co za uroczy zbieg okoliczności - skomentowała Lola, wrywając klucz recepcjonście, który pod nieobecność połowy obsługi pełnił również funkcje kierownika restauracji i głównego kelnera.

Ze względu na brak gości podczas długich surowych zim w hotelu pozostawał tylko niezbędny personel. Nowożeńcom to nie przeszkadzało. Nie mieli wygórowanych wymagań. Niemłody kelner zmierzający w kierunku niekonwencjonalnej, ale nad wyraz hojnej pary zajmującej stolik na przysypanej śniegiem plaży przyglądał się obojgu. Ubrana w długie futro z soboli kobieta miała na twarzy intrygujący tatuaż, a mężczyzna w wojskowym płaszczu rozciągał aurę osoby, której nieobca jest walka.

- Sir. - Kelner odchrząknął. - Muzycy przyjechali. Tak jak pan sobie życzył. - Potem powlókł się przez śnieg w kierunku hotelu.

Lola klasnęła z radości. Patrząc z miłością na męża, zawołała: - Muzycy! Brawo! - Wspominałaś, że masz ochotę na koncert. - Sidorio spojrzał jej w oczy. - Czegokolwiek zapragnie moja żona, będzie jej to dane.

Lola się uśmiechnęła.

- Czegokolwiek zapragnę?

Wampirat puścił do niej oko.

- Przekonaj się.

- Nowy statek - oznajmiła bez namysłu. - Taki jak Tyfon Trofie Wrathe. - Na chwilę umilkła i uśmiechnęła się złowieszczo. - Nie, nie taki jak Tyfon. Chcę Tyfona!

Sidorio wyglądał na rozbawionego.

- Jej złota dłoń ci nie wystarczy?

Lola zrobiła urażoną minę.

- Jej odrażający synalek mi ją ukradł. Nieistotne. Spełniła swoje zadanie. - Uśmiechnęła się na wspomnienie tego, jak złota dłoń ozdobiła jej nietypowy bukiet ślubny.

- Dobrze - odparł Sidorio. - Zdobędę dla ciebie jej statek. Coś jeszcze? Co mogę zrobić dla ciebie tej nocy?

- Cóż... - zaczęła. - Jestem spragniona. A ty?

Sidorio przytaknął z uśmiechem. Potem zagwizdał, wzywając kelnera, który nadal brnął przez śnieg. Słyszając ostry niczym świst bata gwizd klienta, starszy człowiek zatrzymał się i zawrócił. Poruszał się nieznośnie powoli.

- Przynieś nam półtoralitrową butelkę waszego najlepszego rocznika - burknął Sidorio.

Kelner uniósł pokrytą szronem brew.

- Najlepszy rocznik jest bardzo drogi, sir. Szczególnie w półtoralitrowej butelce.

Wampirat wzruszył ramionami i wyjął z kieszeni kilka złotych monet.

- Nie drażnij mnie rozmową o pieniądzach. Dobrze wiesz, że mam ich wystarczająco dużo, aby kupić cały ten wasz zapuszczony hotelik. Przynieś nam wino. - Zauważył, że Lola przypatruje mu się z podziwem. - Moja żona jest koneserką. Ma bardzo wyrafinowane podniebienie.

- Jak pan sobie życzy, sir! - Kelner skinął głową i rozpoczął kolejną mozolną wędrówkę przez zaspy.

Lola zsunęła buty i postawiła nagie stopy na zamrożonej ziemi. To było cudowne uczucie. Po raz kolejny zadrżała z rozkoszy.

Pojawili się muzycy, młodzi ludzie opatuleni w płaszcze i szaliki. Na dłoniach mieli rękawiczki bez palców. Powoli wdrapali się na stare metalowe podium dla orkiestry. Bez zbędnych wstępów sięgnęli po instrumenty i zaczęli grać. Melodia była czarująca. Łączyła w sobie niewinność folkowych brzmień z namiętnością tanga.

Lola wstała, pozwalając, by jej sobolowe futro zsunęło się na oparcie krzesła. Wyciągnęła rękę.

- Zatańcz ze mną, mężu!

Sidorio swymi mocnymi palcami ujął jej drobną dłoń. Ruszyli zaśnieżoną plażą w stronę zespołu. Wokalistka - dziewczyna o ciemnych oczach i rzęsach przypominających odnóża pająka - uśmiechnęła się, gdy dziwna para zaczęła tańczyć. Ich styl był niezwykle, ale zdradzał talent.

Lola pisnęła z zachwytu, kiedy Sidorio przegiął ją w tył. Odchyliła głowę, ukazując świeże blizny na szyi. Jej czarne włosy dotknęły lodu. Z lubością wpatrywała się w srebrną tarczę księżyca.

Po skończonym tańcu Sidorio odprowadził żonę do stolika. Pod ich nieobecność kelner przyniósł butelkę wina i kieliszki. Wszystko pokryła już cienka warstwa szronu.

- Ja naleję - rzekła Lola, strącając śnieg z butelki. Unosząc ją do światła, zerknęła na pozólkłą etykietę. Potem obróciła butelkę do góry dnem i wylała jej ciemną, lepłą zawartość wprost na biały puch.

Sidorio uśmiechnął się szeroko.

Muzycy zaczęli nową piosenkę - skrzypce i akordeon akompaniowały wokalistce, która uderzała w tamburyn i przytupywaniem podkreślała coraz żywszy rytm. Po chwili całkowicie poddała się pulsującej melodii.

Lady Lockwood Sidorio oddała mężowi pustą butelkę, kołysząc nią lekko.

- Lola chce pić - oznajmiła głosem małej dziewczynki. Uśmiechnęła się wesoło i dodała: - Najdroższy, może przyniesiesz mi coś naprawdę gaszącego pragnienie?

Skinąwszy głową, wampirat wziął od niej butelkę i ruszył przez zaspy. Lola dostrzegła płonący w jego oczach ogień - znak, że jego również dręczył głód.

W ciepłej restauracyjnej sali kelner zorientował się, że muzyka ucichła. Wyrzwał przez okno, ale cienka warstwa pary na szybach uniemożliwiła mu dostrzeżenie czegokolwiek. Uniósł dłoń i zadrżał, kiedy dotknął zimnej tafli. Potem przetarł szybę, aby mieć lepszą widoczność.

Podest dla orkiestry był pusty... Starszy człowiek wytrzymał wzrok. Nie, nie pusty. Leżały tam ciała, ciała martwych muzyków. Połyskująca w świetle księżycy krew spływała powoli po schodkach, barwiąc śnieg szkarłatem.

Tamten dziwny mężczyzna - niezwykle wysoki nieznajomy z kieszeniami wypchanymi złotem - szedł w kierunku stolika. W lewej dłoni niósł butelkę po winie, lekko nią potrząsając. Kilka kropeł spadło na ziemię.

Czując mdłości, kelner odwrócił się od okna i poszukał ukojenia w widoku okazałej sterty złotych monet. W blasku świec błyszcząły jak nowe. Chwycił je w obie garście i przytulił do siebie. Było tu więcej pieniędzy, niż widział w ciągu swego długiego życia. Na pewno więcej, niż ujrzy kiedykolwiek.

Sidorio zbliżył się do żony, wyciągając w jej stronę butelkę. Lola podstawiała kieliszek. Mążzonek nalał jej odrobinę, by mogła delektować się bukietem. Dobrze go wyszkoliła. Podziękowawszy skinieniem głowy, zakręciła kieliszkiem i zbliżyła szkło do nosa. Chciała lepiej poczuć niepowtarzalny aromat.

Spojrzała na męża. Ignorując stojący na stole drugi kieliszek, uniósł butelkę i pił łączywie. Obserwowała go, po części oburzona, po części zafascynowana.

Sidorio poczuł na sobie wzrok Loli. Oderwał butelkę od ust i uśmiechnął się do niej jak mały chłopiec przyłapany na wyjadaniu czekoladek. Oblizwał umazane krwią wargi.

Lola parsknęła śmiechem.

- Mój drogi, ależ z ciebie bestia! - rzekła z miłością. Jeszcze raz wyciągnęła ku niemu swój kieliszek.

- Poproszę o jeszcze, o ile w butelce coś zostało. To mieszanka, ale całkiem interesująca.

- Zostało wiele dla nas obojga - odparł. - I może być więcej.

Lola w zamyśleniu sączyła swój napój.

- Wiesz, Sid... Jesteś nieoszlifowanym diamentem, ale gdy już z tobą skończę, będziesz lśnił jak sam Lucyfer.

Sidorio uniósł kieliszek.

- Toast - powiedział. - Za ciebie i za mnie. Na zawsze razem. Mąż i żona.

Lola powtórzyła jego gest.

- Za nas, mój najmilszy dzikusie. Razem przez wieczność. - Napila się, a potem spojrzała na męża z ogniem w oczach. - Wcześniej pytałeś, czego chcę. Jest jeszcze jedna rzecz...

Sidorio skinął głową.

- Mów.

- Pragnę stworzyć z tobą imperium. Ramię w ramię.

- Ja też tego pragnę - odparł. Umilkł na moment i dodał: - Ale chcę, żeby moje dzieci były jego częścią.

Lola się zawahała. - Grace i Connor? Sidorio przytaknął. - Nie mogę udawać, że nie istnieją. Nawet jeśli Connor próbował cię zgładzić. Kobieta zastanawiała się przez chwilę. - Faktycznie rzucił cień na nasz ślub, przebijając mnie kołkiem, a potem odcinając mi głowę. Ale... - Wzruszyła ramionami. - Jestem pewna, że możemy wybaczyć mu błędy młodości. Connor i Grace to krew z twojej krwi, moi pasierbowie. Oczywiście, że powinni stać się częścią naszego imperium. - Uśmiechnęła się do męża. - Powinieneś ich do nas zaprosić, kiedy już wrócimy z podróży poślubnej. Bardzo chciałabym ich poznać.

- Naprawdę?

Gdy skinęła głową w odpowiedzi, Sidorio przestraszył się, że jego serce pęknie z nadmiaru szczęścia. W krótkim czasie poczucie, że utracił wszystko, zastąpione zostało wrażeniem, że otrzymał naraz zbyt wiele prezentów od losu. Koło fortuny doprawdy kręciło się jak szalone.

- Nic nie uszczęśliwiłoby mnie bardziej - oznajmił - niż tworzenie naszego imperium wraz z Connorem i Grace.

- Nie traćmy więc ani chwili - odparła, napełniając kieliszek. - Skróćmy nasz miodowy miesiąc i jeszcze dzisiaj wrócmy na statki!

Sidorio się rozpromienił.

- Czasami mam wrażenie, że czytasz w moich myślach.

Lola zachichotała.

- Gdy planuje się przejęcie władzy nad światem, nie można marnować ani sekundy... - Trącili się kieliszkami. - Chociaż w hotelu zostało jeszcze co nieco starego rocznika... Może najpierw powinniśmy tym się zająć?

- W rzeczy samej. Trzeba wznieść toast za naszą rodzinę!

Trzymając się pod rękę, powoli ruszyli w stronę hotelu. Śnieg tłumił ich kroki.

Drzwi wejściowe zatrzasnęły się za nimi głucho. A potem jedynym dźwiękiem, jaki dało się słyszeć, było brzęczenie spadających na podłogę złotych monet.

Rozdział 4

Podróżnicy nocy

Grace Tempest i Darcy Flotsam dołączyły do innych. Ubrane w wytworne suknie, przyjaciółki szły do znajdującej się na dolnym pokładzie, przypominającej salę bankietową mesy, gdzie miała się odbyć cotygodniowa Uczta.

Obserwując twarze wampiratów, Grace zauważyła głód - na tle szarawej bladości skóry wyraźnie odznaczały się oczy, w których widziała zagubienie i słabość. Te oznaki stawały się zawsze najwyraźniejsze tuż przed Ucztą, kiedy wampiraci byli w najgorszej kondycji fizycznej i najmocniej łaknęli krwi. Pomimo osłabienia tłum zachowywał się jednak w sposób nad wyraz zdyscyplinowany podczas wędrówki przez korytarze statku. Odgłosy kroków zlewały się w jedno z rytmem muzyki dochodzącej z sali bankietowej.

Po zniknięciu kapitana komendę na Nokturnie przejął Mosh Zu. Cieszył się tak wielkim autorytetem, że na statku nie doszło do kolejnych buntów ani do samowolnego picia krwi.

Mosh Zu już na wstępie dał jasno do zrozumienia, że oczekuje od członków załogi podporządkowania się zasadzie zaspokajania głodu wyłącznie w dni Uczty. Dał im prosty wybór: albo zaakceptują ten modus vivendi, albo opuszczą statek i podejmą ryzyko samodzielnego przetrwania w wielkim świecie. Kilku wampiratów postanowiło odszukać Sidorio i jego renegatów. To zdarzyło się jednak podczas pierwszych dni od zmiany dowództwa. Potem przywrócone zostały ład i spokój.

„Gdy kapitan powróci - rozmyślała Grace - zostanie statek wampiratów w jak najlepszym porządku”.

Panna Flotsam lekko szturchnęła przyjaciółkę.

- Wydajesz się nieobecna - rzekła. - Coś cię trapi?

- Myślałam o kapitanie. Trudno o nim nie myśleć w taką noc jak dziś...

Darcy skinęła głową.

- Masz rację. Nie był już na tylu Ucztach... - Zawahała się, nim ponownie przemówiła.

- Wiem, że strasznie to zabrzmiało, Grace, ale zaczynam wątpić, czy on kiedykolwiek wróci.

- Darcy! - Grace była zszokowana. Jej podniesiony głos przyciągnął uwagę idących z przodu. Wampiraci obejrżeli się, by sprawdzić, co to za zamieszanie. Dziewczyna ściszyła głos. - Oczywiście, że wróci! Ja to wiem. Przecież nie zostawiłby nas tak po prostu. Sama widziałaś, jaki był słaby. Na szczęście Mosh Zu mówi, że kapitan powoli wraca do siebie. Wkrótce znów z nami będzie, jestem tego pewna.

- Chciałabym w to wierzyć - westchnęła panna Flotsam. - Naprawdę. Okropnie było patrzeć, jak ktoś tak potężny leży zupełnie bez sił.

Grace przytaknęła. Czuła dokładnie to samo, stojąc nad kapitanem podczas ceremonii. Jednak nie mogła tracić nadziei.

- Wróci - powtórzyła stanowczo, jakby chciała zapewnić o tym nie tylko przyjaciółkę, lecz także siebie.

Dotarli już do sali bankietowej. Darcy ujęła Grace pod ramię i razem przestąpiły próg. Wewnątrz przestronnego pomieszczenia rozbrzmiewały muzyka oraz gwar rozmów prowadzonych przez elegancko ubrane osoby. Jak zwykle, na środku kajuty stał długi, przykryty adamaszkowym obrusem stół, zastawiony porcelaną, błyszczącymi kieliszkami i lśniącymi srebrnymi sztucami. Jednak nakrycia znajdowały się tylko po jednej stronie stołu. Obok, czekając na podanie pełnowartościowego posiłku, stali donorzy.

Każdy wampirat pływający na Nokturnie - z wyjątkiem dowódcy - miał przypisanego donora. Byli to ludzie w różnym wieku pochodzący z różnych warstw społecznych. Zawierali z wampiratami szczególny pakt. Raz w tygodniu oddawali trochę swojej krwi w zamian za wikt i dach nad głową. I jeszcze najważniejszy dar: nieśmiertelność. Donorzy, tak jak wampiry, w ogóle się nie starzeli.

Patrząc na twarze zebranych, Grace przypomniała sobie swoją pierwszą Ucztę. Wówczas była przekonana, że ona również ma zostać donorem. Zajęła nawet miejsce po ich stronie stołu. Z początku wyglądało na to, że zostanie przypisana Sidoriowi lub kapitanowi. Jednak chociaż dowódca Nokturnu wyprowadził ją tamtej nocy z sali bankietowej, nie miał zamiaru pić jej krwi. Podobnie jak Mosh Zu, kapitan przeszedł przemianę i był wampirem pranicznym - nie musiał żywić się krwią. Tamtej nocy Grace uniknęła wielkiego niebezpieczeństwa i chociaż podczas każdej Uczty zasiadała po stronie donorów, bywała tam jedynie jako gość.

Przybyli wampiraci odszukali swoich donorów. Partnerzy skłonili się sobie nawzajem, a potem wszyscy usiedli.

- Zobaczymy się później - rzuciła Darcy, lekko ściskając przyjaciółkę za ramię. - Smacznego!

Ruszyła w stronę donora Jamesa, którego zwykła nazywać „swoim Jimem”. Grace spoglądała za nią, myśląc o związku, jaki łączył tych dwoje. Relację między wampirem a jego donorem łatwo uznać za coś głębszego, ale na ogół to pochopna ocena. Każda ze stron zdawała sobie sprawę ze wspaniałości daru, jaki otrzymywała podczas dzielenia się krwią, jednak między wdzięcznością a miłością jest ogromna różnica. Nieliczne przypadki romansów wampirów z donorami, o jakich słyszała Grace, zakończyły się tragicznie.

Dziewczyna pomyślała o Sidoriu i jego pierwszej donorce, Sally - swojej matce - a potem o Stukeleyu i Shanti. Obie już nie żyły, a ich partnerzy stworzyli własną mroczną załogę. Kapitana również już nie było na Nokturnie. Zaszło tak wiele zmian, jednak ta piątka nigdy nie opuszczała myśli Grace. Oni byli niczym duchy tego statku.

- Grace! Najwyższa pora! - Dziewczyna obróciła się i zobaczyła Oskara, przystojnego donora Lorcana. Chłopak uśmiechnął się i wskazał jej miejsce obok siebie. Skinąwszy głową, Grace usiadła.

Oskar obrzucił ją pełnym podziwu spojrzeniem.

- Wyglądasz niesamowicie! - zawołał. - Jaka piękna suknia! Podkreśla kolor twoich oczu.

- Dziękuję - odparła. Od razu poprawił jej się humor, jak zresztą zawsze w towarzystwie Oskara.

Chłopak był gotów kontynuować rozmowę, ale gwar zaczął cichnąć. Pojawił się Mosh Zu i zmierzał teraz na swoje miejsce. U jego boku kroczył zaufany człowiek dowódcy, porucznik Lorcan Furey.

Lorcan pierwszy dotarł do stołu. Ukłonił się Oskarowi, a potem ujął dłoń Grace i ucałował jej palce. Jego usta były chłodne niczym górski strumień.

- Cześć - powiedziała, zdenerwowana, jakby to było ich pierwsze spotkanie.

- Witaj - odparł z irlandzkim akcentem. - Słowo daję, Grace, za każdym razem, gdy cię widzę, jesteś coraz piękniejsza.

Grace uśmiechnęła się szeroko. Lorcan miał na sobie smoking, śnieżnobiałą koszulę z perłowymi guzikami i błękitny jedwabny fular, idealnie dopasowany do koloru jego oczu.

- Ty również wyglądasz wspaniale - odparła.

- Bla, bla, bla - wtrącił Oskar z uśmiechem. - Jakaś ty piękna, Grace! Nie, to ty jesteś przystojny, Lorcanie! A ja to niby co? Siekana wątróbka?

Lorcan spojrział na niego z udawaną skruchą.

- No, no, Oskarze. Wyglądasz dziś doprawdy wybornie.

- Dziękuję! - odparł donor takim tonem, jakby całe wieki czekał na ten komplement.

Wampir pokręcił głową.

- Tyłu donorów na statku, a mnie trafił się ten najbardziej kapryśny! - Szczęściarz z ciebie - odparł Oskar, który zawsze musiał mieć ostatnie słowo. Wszyscy troje parsknęli śmiechem, ale gdy Mosh Zu zajął miejsce naprzeciwko Grace, natychmiast spowaźnieli. Chociaż dziewczyny nie łączył z mistrzem typowy związek wampir - donor, oboje ukłonili się sobie na znak szacunku. Mosh Zu poprosił gestem Grace, by usiadła. Sam, stojąc, czekał, aż zapadnie cisza.

Drzwi do sali bankietowej zostały zamknięte. Muzycy siedzący w rogu pomieszczenia przestali grać. Zebrani wokół stołu uczestnicy Uczty zamilkli. Ich twarze oświetlały płomienie stojących na blacie świec. Mosh Zu zaczął deklamację. Pozostali wampiraci przyłączyli się i po chwili mówili wszyscy razem:

Jestem dumnym podróżnikiem nocy.

Ale zarazem dzieckiem światła.

W cieniach kryć się nie będę.

Czyż mam ku temu powód?

*Nie odnajdziecie mnie w mrocznych obszarach
napelniającego lękiem serca przechodzących ludzi.*

Zachowam umiar w krwi przyjmowaniu,

bo krew jest największym z darów.

Dzięki wam dziś składam za niego.

Z radością przyjmuję swoją nieśmiertelność.

Podróż ma trwać będzie aż po kres czasu.

A jednak jestem dzieckiem światła,

pełnym godności podróżnikiem nocy.

Skończywszy mówić, Mosh Zu spojrział na załogę. Potem usiadł. Muzycy ponownie zaczęli grać, a drzwi do sali bankietowej zostały otwarte. Służący wniesli tace pełne jedzenia.

Rozpoczęła się Uczta.

- No, jak tak można! Nie zjadłaś ani kęsa! - strofował Grace jej sąsiad, kiedy służba wynosiła talerze po głównym daniu.

Dziewczyna ze skrucłą opuszczyła wzrok. Oskar miał rację. Rozpaćkała rybę po całym talerzu, ale tylko niewielka ilość tej potrawy trafiła do jej ust.

- Nie jestem dziś bardzo głodna - odparła. - A jedzenia jest tak wiele!

- Dlatego nazywa się to Ucztą. - Oskar odgrywał rolę cierpliwego nauczyciela.

Lorcan i Mosh Zu pogrążeni byli w rozmowie. Grace nachyliła się do Oskara i wyszeptała poufny tonem:

- To chyba przez te przemiany, które we mnie zachodzą. Z moim głodem bywa różnie. Czasem zjadłabym konia z kopytami, a innym razem, tak jak teraz, nie jestem w stanie nic przełknąć. - Na chwilę przerwała i spojrzała chłopakowi w oczy. - Ale inny głód narasta.

Oskar skinął głową. Zdawało się, że to wyznanie nie zrobiło na nim wrażenia.

- Myślałaś już o znalezieniu własnego donora? A może chciałabyś dzielić krew ze mną? - Uśmiechnął się zachęcająco. - Nie wiem, czemu wcześniej na to nie wpadłem. Oczywiście, że powinniśmy tak zrobić!

Grace przez chwilę obserwowała jego ładną, pogodną twarz. Potem potrząsnęła głową.

- To naprawdę miłe z twojej strony, ale nie jestem na to gotowa. Poza tym Mosh Zu powiedział, że tak jak on i kapitan, nie muszę przyjmować krwi. Jako dampir powinienam umieć kontrolować swój głód.

Na twarzy donora malowała się troska.

- Grace, jesteś pewna, że nie wymagasz od siebie zbyt wiele? Chyba przeceniasz swoje możliwości...

Dziewczyna wzruszyła ramionami.

- Nie wiem - odpowiedziała szczerze. - Czasami nie mam pojęcia, kim lub czym jestem.

- No już! Nie smuć się. Wyglądasz zbyt pięknie, żeby robić taką posępną minę. - Obejrzał się na służących, którzy wnosili tace z deserami. - Och, cudownie! Mój ulubiony mus czekoladowy.

Myśl o jedzeniu sprawiła, że Grace poczuła mdłości.

- Chyba wrócę do swojej kajuty.

Gdy wstawała, Mosh Zu i jego porucznik przerwali rozmowę.

- Wszystko w porządku? - Lorcan wyglądał na zaniepokojonego.

- Tak, jak najbardziej. Po prostu jestem zmęczona. Położę się.

Mosz Zu skinął głową, jednak Lorcan wstał.

- Odprowadzę cię.

- Nie trzeba - odparła Grace. - Poradzę sobie. Zostań. Zobaczymy się później. - Potem zwróciła się do mistrza: - Przepraszam za moje złe maniery.

Mosh Zu pokręcił głową.

- Idź, Grace. Musisz odpocząć.

Dziewczyna ukloniła się i przysunęła krzesło z powrotem do stołu. Starła się opuścić salę niepostrzeżenie, ale nie było ucieczki przed bystrym wzrokiem Darcy Flotsam.

Przyjaciółka spojrzała na Grace pytająco. - Wszystko w porządku - powiedziała dziewczyna bezgłośnie, po czym opuściła pomieszczenie.

Idąc po schodach na najwyższy pokład, Grace poczuła się lepiej. Rozważała wyjście na zewnątrz, by zaczerpnąć świeżego powietrza, ale uznała, że najlepiej będzie, jeśli się położy. Statek był opustoszały - wszyscy ucztowali - więc prędko mijała kolejne korytarze. Z radością otworzyła drzwi swojej kajuty.

Pierwszą rzeczą, jaką ujrzała po wejściu do środka, był wiszący nad łóżkiem obraz, prezent od Lorcan. Malowidło przedstawiało mężczyznę i kobietę leżących na pokładzie statku. Tego statku. Młodzi ludzie patrzyli sobie w oczy, pławiąc się w ciepłych promieniach słońca i miłości. Z ich postaci emanowały radość i optymizm, ale Grace zdawała sobie sprawę, że to tylko ułuda. Obraz ukazywał jej matkę, Sally, oraz mężczyznę, którego dziewczyna do niedawna uważała za swojego ojca. Wydawali się tacy szczęśliwi. Lecz wkrótce życie zawiodło tych dwoje na ciemne, niespokojne wody.

Grace utkwiała wzrok w postaci Dextera Tempesta. Może nie był biologicznym ojcem bliźniąt, ale na zawsze pozostanie jej tatą.

Odwróciła się i podeszła do toaletki. Spojrzała w lustro. Pomimo przemian, które przechodziła, nie sprawiała wrażenia zestresowanej czy zmęczonej. Wręcz przeciwnie. Dziś wyglądała bardzo dobrze.

Jak zauważył Oskar, sukienka pożyczona od Darcy doskonale podkreślała kolor jej oczu.

Oczy... Grace wpatrywała się w ich odbicie w lustrze. Zieleń jej tęczy zmieniła się w morski błękit. Potem pojawiło się znajome uczucie. Zaczynało się od niewielkiego ssania w żołądku i stopniowo przemieniało w niepohamowany głód. Głód krwi.

Gdy żar rozchodził się po jej ciele, Grace nie odwracała spojrzenia od zwierciadła. Zafascynowana obserwowała, jak błękit tęczy zanika, zastępowany przez pomarańczowe płomienie.

Rozdział 5

Powrót do domu

- Wróciłem! - Drzwi się otworzyły i znajomy głos wypełnił sterówkę Krwawego Kapitana.

Jez Stukeley i Johnny Desperado, dwaj ambitni porucznicy Sidorio, natychmiast powstali, by zaszalutować dowódcy. Osłupieli, widząc go odzianego w futro ze srebrnych lisów i taką samą czapkę. Od czasu gdy kapitan związał się z lady Lolą, zaczął dziwnie się ubierać.

- Wszędzie dobrze, ale w domu najlepiej! - oświadczył Sidorio, stawiając na podłodze dwie okazałe walizki i biorąc się pod boki.

- Fajna czapka, kapitanie! - rzucił Stukeley. - Rozumiem, że nie byliście w tropikach?

- Nie. Wybraliśmy się na Ukrainę - odparł tamten, rozpinając futro. - Lola zażyczyła sobie wakacji pośród śniegu i lodu.

- Jak... oryginalnie - mruknął Jez.

Sidorio zdjął okrycie i odrzucił czapkę. Wylądowała na jednej z rączek koła sterowego.

- Co nowego? - zapytał, rozcierając dłonie. - Czy zdarzyło się podczas mojej nieobecności coś, o czym powinienem wiedzieć? Ktoś się źle zachowywał? Mówcie!

Johnny zaprzeczył ruchem głowy i spojrzał na towarzysza.

- Wszystko szło gładko jak po maśle, co nie, Stuke?

Stukeley przytaknął. Jego dłoń zaborczym gestem zacisnęła się na kole sterowym.

- Mieliśmy wszystko pod kontrolą, kapitanie.

- Doskonała robota, chłopcy - pochwalił ich Sidorio, podchodząc do koła i przejmując je jednym zdecydowanym ruchem. - Wiedziałem, że mogę na was polegać. - Uśmiechnął się, omiatając wzrokiem statek i załogę. Potem zakręcił kołem, nie pozostawiając Stukeleyowi innego wyboru, jak tylko odsunąć się i cofnąć rękę. - Wróciłem do domu - powtórzył cicho, ale stanowczo. - Wszystko wróci do normy.

Za jego plecami Stukeley spojrzał na kolegę i wykrzywił usta.

Johnny dobrze wiedział, jak bardzo jego towarzyszywi spodobalo się dowodzenie statkiem pod nieobecność kapitana. On sam też świetnie się z tym czuł. Załoga była lepiej zorganizowana i bardziej zdyscyplinowana niż pod komendą Sidorio. Pytanie brzmiało: czy po powrocie kapitana zachowana zostanie na statku hierarchia, czy ponownie zapanuje chaos? Obie możliwości wchodziły w rachubę. Johnny'emu było w zasadzie wszystko jedno - szybko się dostosowywał. Ale ostatnio zauważył nowe ambicje Stukeleya. Wiedział, że powrót kapitana wywoła pewne napięcia, jednak nie sądził, że dojdzie do nich tak prędko.

Johnny zastanawiał się, jak rozładować atmosferę na mostku. Nagle go olśniło i zwrócił się do Sidorio:

- A gdzie jest pańska urocza małżonka, kapitanie?

- Na swoim statku - odpowiedział tamten. Zauważywszy zdziwienie na twarzy porucznika, dodał: - Ona ma swój statek, a ja swój. Tak jak przed ślubem.

Teraz także ciekawość Stukeleya została pobudzona.

- Więc lady Lola nie zamieszka z nami na Krwawym Kapitanie?

- Na razie nie. - Sidorio pokręcił głową, a potem machnął ręką, jakby odpędzał natrętą muchę. - Nie marnujemy czasu na omawianie mojej sytuacji rodzinnej! Jestem pewien, że znajdziemy ciekawsze tematy.

- Z pewnością - odparł Stukeley, rzucając Johnny'emu ukradkowe spojrzenie. - Jeśli lady Lola czuje się dobrze i już wyzdrowiała po tym okropnym ataku, do którego doszło na waszym ślubie.

Obaj uważnie obserwowali reakcję kapitana. Bądź co bądź, to oni stali za owym „okropnym atakiem”, choć przeprowadzili go piraci. Czy Sidorio znał prawdę? Czy podejrzewał swoich poruczników?

Jeśli tak, nic nie dał po sobie poznać - a przecież subtelność nigdy nie była jego mocną stroną. Skinął tylko lekko na Jeza.

- Lola czuje się lepiej niż kiedykolwiek. Sami się wkrótce przekonacie. Zaprosiła was dwóch dziś wieczorem na Wagabundę. Na mały tiffin.

- Tiffin? - Stukeley nie okazywał żadnych emocji.

- A co to, u licha, jest?!

Sidorio wzruszył ramionami.

- Skąd mam wiedzieć? Nie spodziewajcie się, że zawsze będę na bieżąco z tym, co wymyśli ta zdumiewająca kobieta. Wiem tylko, że macie tam być... - Tu przerwał i zerknął na zegar. - Jakieś dziesięć minut temu.

Stukeley nawet nie drgnął. Udając spokój, zapytał:

- Czy wie pan, kapitanie, dlaczego pańska żona chce nas widzieć?

Sidorio pokręcił głową. - Pewnie chce was lepiej poznać. Ostatecznie pracujecie teraz również i dla niej. - Pracujemy dla niej? - Tym razem Jezowi nie udało się ukryć poirytowania. - Jest moją żoną! - warknął kapitan, odwracając się do swoich zastępców. - Razem będziemy rządzić tym imperium. Odpowiadacie przed nią tak samo jak przede mną!

Stukeley ze wszystkich sił starał się opanować wściekłość. Sidorio i Johnny obserwowali, jak jego twarz krzywi się pod wpływem emocji.

Kapitan łypnął na Jeza złośliwie, a potem wybuchnął donośnym śmiechem.

- Nabrałem was, nie? Nic się nie zmieniło, matyły! Nadal ja tu dowodzę. Ale teraz mam żonę, która musi myśleć, że wszystko się zmieniło. To sekret udanego małżeństwa.

Wyrazu ulgi na twarzy Stukeleya nie dało się z niczym pomylić.

Sidorio pokręcił głową, uniósł lewe ramię i uściskał zastępcę.

- Naprawdę sądziłeś, że cię zdegraduję, compadre? Po tym wszystkim, przez co razem przeszliśmy? Ciebie, moje pierwsze „dziecko”? Zawsze będziesz miał swoje miejsce w sercu mego imperium.

Trzymał Jeza w niedźwiedzim uścisku, który bardziej przypominał próbę uduszenia podwładnego. Potem wyciągnął drugie ramię i w ten sam sposób chwycił Johnny'ego.

- Ty też, Stetson! Dołączyłeś do nas później, ale od samego początku widziałem w tobie materiał na dowódcę. Jakbyś to miał wypisane na twarzy. - Zarechotał.— Nie, nic się nie zmieniło. Jesteście moimi compadres oraz moimi porucznikami i tak już pozostanie. Nie martwcie się! Nawet kiedy mój syn i moja córka dołączą do nas, będzie tu dla was miejsce.

Stukeley znów znieruchomiał.

- Syn i córka? - wyjąkał.

Johnny wyglądał na równie zaskoczonego.

Sidorio wypuścił kompanów z uścisku. Obaj stracili równowagę i niemal upadli na deski. Gdy już stanęli twarzą w twarz z kapitanem, ten kontynuował:

- Mój syn Connor i moja córka Grace. Connor zamieszka z nami na Krwawym Kapitanie, a Grace zatrzyma się u Loli na Wagabundzie. Uznaliśmy, że tak będzie najlepiej...

- Chwila - przerwał mu Stukeley z taką miną, jakby go coś bardzo bolało. - Twierdzisz, że Connor jest twoim synem?

Johnny przechylił głowę.

- A Grace córką?

Stukeley mówił dalej:

- Connor Tempest? Mój stary druh Connor Tempest?

- Właśnie on - odparł kapitan. - Z tym że naprawdę nazywa się Connor Sidorio. - I Grace? Ale jakim cudem? - To długa historia - odparł wampirat, przymykając oczy. - Matka bliźniąt była donorem na Nokturnie. Moim donorem.

- Nigdy o tym nie wspominałeś - powiedział Stukeley. W jego umyśle panował chaos. - Poza tym nieraz się z Connorem starliście. Zresztą „starcie” to za słabe słowo. On próbował cię zabić! Mnie również!

Sidorio skinął głową.

- Owszem.

- A Grace... - Johnny przejął pałeczkę. - Cóż, ona też nie jest twoją wielbicieleką. Podczas pobytu w Sanktuarium bardzo się do siebie zbliżyliśmy. Zwierzała mi się.

Sidorio przyjął to spokojnie. Jego głos nie zdradzał poruszenia.

- Nie przeczę, że w przeszłości dochodziło między nami do drobnych zatargów. Ale to było, zanim dowiedzieliśmy się, na czym stoimy i kim dla siebie jesteśmy.

- Connor próbował nas podpalić! - zaprotestował Stukeley. - Unicestwił czterech z naszych towarzyszy! To on ugodził lady Lolę... dwukrotnie, i to podczas ślubu! Kapitanie, on odciął pańskiej żonie głowę!

Johnny bał się spojrzeć na Jeza, ale podziwiał jego tupet. Owszem, Connor zaatakował Lolę, ale oni byli w to zamieszani. We dwóch zawarli układ z przelożoną chłopca, Cheng Li - młodą panią kapitan dowodzącą oddziałem, którego celem było wyeliminowanie wampiratów.

Sidorio wzruszył ramionami.

- Każda rodzina przechodzi kryzys. Wtedy Connor nie wiedział, kim i czym jest. Teraz już wie. Jest moim synem i dziedzicem. A Grace jest córką i równoprawną dziedziczką. Dlatego zaprosimy oboje do nas, żebyśmy wszyscy mogli się lepiej poznać. To był pomysł Loli.

- Nie wątpię - mruknął Stukeley pod nosem.

- Zjazd rodzinny... - Na twarzy Johnny'ego pojawił się szczery uśmiech. Nagle przyszło mu coś do głowy. - Czy Grace i Connor, jako twoje dzieci, są tacy jak my? Są wampirami?

- Nie. - Stukeley wyręczył dowódcę w odpowiedzi. - Oni są dampirami: pół śmiertelnikami, pół wampirami. To niezwykle potężne istoty.

- A czego innego się spodziewaliście? - spytał Sidorio z dumą. - W końcu to moje dzieci. Krew z mojej krwi! Nie ma lepszych genów. A Lola będzie ich macochą. - Twarz kapitana się rozpromieniła.

- Wiecie co? Podejrzewam, że właśnie o tym chce z wami porozmawiać. O tym, jak powitać bliźnięta i tak dalej.

- Miło będzie ponownie ujrzeć Grace - rzekł Johnny z uśmiechem. - Zawsze czułem, że między nami są niedokończone sprawy.

- Nie tak szybko, Stetson! - Sidorio trzepnął porucznika w ucho. - Mówisz o mojej córce!

- Chodźmy już - przerwał Stukeley, popychając kumpla w stronę drzwi. - Nie możemy kazać czekać damie.

- Racja - odparł Sidorio. - Udanego tiffinu, chłopcy!

Gdy zastępcy odeszli, dowódca Krwawego Kapitana ponownie spojrzał na swój statek - kolebkę rozrastającego się imperium. Poczul niezwykle podniecenie. Wszystko się zmieniało. Miał u swego boku Lolę i zaufanych poruczników. Wkrótce dołączą do nich Connor i Grace. Niech no tylko zdradzi Johnny'emu i Stukeleyowi wielki plan, który obmyślił razem z Lolą! Chłopakom zakręci się w głowach.

Rozdział 6

Tiffin

Porucznicy Sidoria zostali powitani na pokładzie Wagabundy przez jedną z dziewcząt-oficerów. Zofia była atrakcyjną kobietą. Stukeley widział ją już wcześniej, na ślubie, ale nigdy z nią nie rozmawiał. Postanowił skorzystać z okazji i nawiązać przyjacielską rozmowę, lecz ona go zignorowała. Może była nieśmiała? Zaprowadziła poruczników głównym korytarzem aż do kajuty.

- Pani kapitan czeka tu na was - oświadczyła i dwukrotnie zastukała w drzwi.

Po krótkiej chwili w progu stanęła lady Lola we własnej osobie. Na jej twarzy malował się promienny uśmiech.

- Stukeley! Johnny! Jak miło was widzieć. - Ucałowała powietrze po obu stronach ich policzków i zaprosiła mężczyzn do środka.

- To wszystko, pani kapitan? - zapytała jej podwładna.

- Tak, Zofio. Dziękuję. Ja i chłopcy utniemy sobie pogawędkę. Nie chcę, by nam przeszkadzano. Wiesz, jak bardzo nie lubię, gdy psuje mi się tiffin.

- Tak jest, pani kapitan. - Zofia skinęła głową i odwróciła się, żeby odejść.

Nagle lady Lockwood przyszedł do głowy pewien pomysł.

- Zofio, czy możesz przekazać Mimmie, żeby przyszła do mnie później, zanim skończy służbę?

- Wedle rozkazu, pani kapitan. - Zofia zaszutowała i wyszła z kajuty, zamykając za sobą drzwi.

- Nie stójcie tak, chłopcy - powiedziała Lola z uśmiechem. - Usiądźcie. Rozgośćcie się. Przygotowałam dla nas tiffin.

- A co to dokładnie jest ten tiffin? - spytał Johnny, siadając na starej, obitej srebrnym aksamitem kanapie.

- To termin oznaczający lekką przekąskę - wyjaśniła wampirzyca. - Zwyczaj jej spożywania narodził się w Indiach, gdy panowali tam Brytyjczycy. - Wysunęła ku gościom niewielką tacę. - Może galaretkę, Johnny? Jestem pewna, że będzie ci smakować. Mój własny przepis.

Zaintrygowany porucznik sięgnął po galaretkę i włożył ją sobie do ust. Lola patrzyła, jak na jego twarzy pojawia się wyraz zachwyty. - Smaczne, prawda? Stukeley, zechcesz skosztować? - Nie, dzięki. - Jez wykrzywił wargi. Gospodyni, niezrażona, postawiła tacę przed Johnnym. - Częstuj się - zachęciła. - Są do jedzenia, nie do oglądania. Lola usiadła na eleganckim krześle i zerknąwszy na karafkę oraz kieliszki ustawione na stoliku obok, ciągnęła przyjaznym tonem:

- Ponoć słowo „tiffing” oznaczało kiedyś mały łyk lub kęs. - Uśmiechnęła się i zdjęła z karafki korek z rżniętego szkła. Potem nalała ciemny płyn do trzech kieliszków. - Z pewnością zgodzicie się, że wszystkim nam przyda się coś na orzeźwienie.

Podala jeden kieliszek Johnny’emu, drugi Stukeleyowi. Przyjął go po chwili wahania. Lola ujęła w dłoń trzeci.

- Jedną z tradycji, które podtrzymuję na Wagabundzie, jest conocny tiffin z różnymi członkami załogi. To dla nas szansa, żeby lepiej się poznać. - Uniosła kieliszek, jakby wygłaszała toast.

- Nie jesteśmy członkami twojej załogi - odparł zuchwale Stukeley.

Johnny rzucił okiem na kumpla, potem spojrzał przeproszająco na Lolę i poczęstował się następną galaretką.

Wampiratka powoli sączyła napój, najwyraźniej rozbawiona.

- Może ci się to nie spodobać, Jez...

- Proszę mnie tak nie nazywać - przerwał jej. - To moje śmiertelne imię. Teraz jestem Stukeley.

- Najmocniej przepraszam. - Skłoniła głowę. - Jak już mówiłam, Stukeley, może ci się to nie podobać, ale po moim ślubie z Sidoriem niezaprzeczalnie należymy do jednej załogi.

- Może. - Porucznik wzruszył ramionami. - Ale z tego, co nam mówił dowódca, pani pozostanie na Wagabundzie, a on na Krwawym Kapitanie.

- Na razie owszem. - Lola nie traciła opanowania.

- Nadal będziemy dowodzić na własnych statkach, dopóki nie rozbudujemy floty i nie zintegrujemy naszych struktur. Ale nie łudź się, Je... Przepraszam: Stukeley. Muszę to zapamiętać... Nie łudź się, mój drogi. Dzień, w którym to uczynimy, nadejdzie wkrótce.

- Przekonamy się - rzucił Stukeley i jednym haustem opróżnił kieliszek.

- Nie podoba mi się twój ton. - Lola z głośnym stukiem odstawiła własny.

Johnny patrzył zdenerwowany to na nią, to na kompana. Ta konfrontacja nie prowadziła do niczego dobrego.

- Chodź, stary - powiedział Stukeley. - Wiedziałem, że ten cały tiffin będzie stratą czasu. Wracajmy na nasz statek. Mamy do podjęcia kilka decyzji.

Wstał i był już w połowie drogi do drzwi, gdy Lola ponownie przemówiła.

- Nie tak prędko. - Coś w tonie jej głosu sprawiło, że Stukeley się zatrzymał. Zupełnie jakby złapała go na łąso. - Nasza trójka ma do załatwienia pewną sprawę.

- Nasza trójka? - powtórzył Johnny. Był coraz bardziej zdenerwowany.

- Owszem - przytaknęła. - Jak już mówiłam, tiffin daje nam okazję, by lepiej się poznać. Podzielić sekretami. Nasza trójka ma przecież wspólny sekret, prawda? Jest wielki jak słoń pośrodku kajuty. Słoń, którego wszyscy widzą, ale o którym nie chcą mówić.

- Jaki sekret? - burknął Stukeley, odzyskując tupet. Nadal jednak stał w tym samym miejscu.

- Pomyśl - odparła, podnosząc się z krzesła i idąc ku niemu po wypolerowanej podłodze. Stała tuż przed poręcznikiem i palcem wskazującym popukała go w czoło. - Dobrze się nad tym zastanów, Jez!

- Auć! - Stukeley miał chęć ją odepchnąć.

Lola się zaśmiała.

- „Auć!” I to mówi mężczyzna, który uknuł spisek, żeby zgładzić mnie w noc mego ślubu!

Johnny aż się zakrztusił.

Stukeley ze zdumienia otworzył usta.

- Cóż - mówiła dalej kobieta. - Przynajmniej nie obrażacie mojej inteligencji, twierdząc, że to nieprawda. - Wydawała się teraz znacznie spokojniejsza. Wróciła na środek pokoju i ponownie uniosła kieliszek. - Może więc usiądziemy?

Stukeley wrócił na dawne miejsce i ostrożnie osunął się na kanapę, jakby się obawiał, że antyczny mebel wybuchnie mu pod siedzeniem.

- Powiedziałaś, że to sekret naszej trójki... - Umilkł na chwilę. - Czy to znaczy, że nie podzieliłaś się z mężem swoimi podejrzeniami?

Lola uśmiechnęła się kpiąco. Jej wzrok skupił się wpierw na Stukeleyu, a potem na Johnnym.

- Mój mąż nie wie o waszym haniebnym planie. A ja nie mam zamiaru go denerwować ani zasmuć.

- Upiła kolejny łyk. - Jestem przekonana, że nikt z nas tego nie pragnie.

- Ale coś za coś, prawda? - odgwał Stukeley. - Twoje milczenie ma swoją cenę.

Wampiratka zaśmiała się zimno, z drwiną. - Tak, Stukeley. Cena. Zawsze trzeba zapłacić za swoje postęпки. Szczególnie jeśli ma się na sumieniu próbę morderstwa.

- Nie owijajmy w bawełnę. Jaka jest twoja cena?

Lola powoli napełniała swój kieliszek. Z lubością przeciągała tę chwilę.

- To proste - rzekła wreszcie. - Jak już mówiłam, mój mąż nie wie o waszym małym przedsięwzięciu, a ja nie mam zamiaru dzielić się z nim swoją wiedzą. Oczywiście tak długo, jak długo będziecie robić dokładnie to, co wam każę.

Johnny zebrał się wreszcie na odwagę i przemówił:

- Dokładnie to, co nam każesz?

- Tak, mój drogi Johnny - potwierdziła. - Och, nie rób takiej zatroskanej miny! Nie rozkażę wam się przecież podpalić ani nic w równie złym guście. - Pokręciła głową. - Ale jest nieco drobnych spraw... tutaj, na statku... w których bardzo przydałaby mi się pomoc dwóch młodych, utalentowanych wampiratów.

- Masz liczną załogę - zauważył Stukeley. - Niby do czego jesteśmy ci potrzebni? Poproś tę, no... Jak jej na imię? Zofię.

- Potrzebuję was dwóch do wypełnienia specjalnej misji - odparła. Świadoma, że nie odrywając od niej wzroku, wstała i podeszła do niewielkiego sekretarzyka ustawionego w kącie kajuty. Leżała tam niewielka srebrna taca, a na niej - dwie koperty. Podniosła je i wręczyła jedną Johnny'emu, a drugą Stukeleyowi.

Porucznicy spojrzeli na wypisane ręką Sidorii imiona.

- Grace - przeczytał Johnny.

- Connor - zawtórował mu Stukeley.

- Zaproszenia - wyjaśniła lady Lockwood. - Wasze pierwsze zadanie polega na ich dostarczeniu. A waszym drugim zadaniem będzie upewnienie się, że zostały przyjęte.

- Nie możemy zmusić tych dzieciaków, żeby poszły z nami - zauważył Johnny.

- Ależ Johnny... - Lola uśmiechnęła się promiennie. - Słyszałam, że potrafisz być bardzo przekonujący. Ty również, Stukeley.

- Zatem mamy dostać się na ich statki, dać im zaproszenia i przyprowadzić? - Stukeley chciał wiedzieć, czy dobrze zrozumiał.

- Trafieś w dziesiątkę - odpowiedziała Lola, udając, że strzela do celu.

- No nie wiem... - Johnny się wahał.

- Nie dotarło do ciebie jeszcze? - burknął Stukeley, obracając w dłoniach kopertę. - Nie mamy wyboru! Przechytrzyła nas.

Lola położyła dłoń na jego ramieniu. - Ależ nie - oznajmiła. - Macie wybór, jaką cenę wolicie zapłacić. Musicie rozważyć swoje szanse.

- Czyli wyobrazić sobie, co się stanie, jeśli Sidorio odkryje, że próbowaliśmy cię zgładzić?

- Jeśli dowie się, że spiskowaliście, by zniweczyć najszcześniejszą noc jego życia i odebrać mu to, co dla niego najdroższe. - W jej oczach zatańczyły iskry.

- Mnie! - Śmiejąc się, zabrała im kieliszki. - Wystarczy przekąsek na jedną noc, chłopcy. - Postawiła naczynia na tacy i wskazała ręką drzwi. - Co mówi to stare przysłowie? Ryby i goście zaczynają cuchnąć po trzech dniach. Obawiam się, że w waszym przypadku niefortunny zapach pojawił się nieco wcześniej. Dobrej nocy. - Z tymi słowami wypchnęła obu poruczników na korytarz i zatrzasnęła drzwi.

Słyszając oddalające się kroki mężczyzn, wróciła do stolika i ponownie napełniła kieliszek. Zasłużyła na małą nagrodę, a nic nie koło jej nerwów równie skutecznie jak lampka krwi komandora Kuo. Jaka szkoda, że kończyła już ostatnią butelkę, bo doprawdy był to wyśmienity rocznik.

Najwyższa pora ponownie zaopatrzyć spiżarnię.

Rozdział 7

Gorzej niż martwy

- Zebraliśmy się dzisiejszej nocy, by pożegnać dwóch członków naszej załogi. - Oczy Cheng Li lśniły w świetle świec, gdy błędziła wzrokiem po twarzach podwładnych. Znajdowali się w tawernie i stali ramię przy ramieniu obok baru. Tworzyli już bardzo zgraną grupę. - Cate, Bart... Jesteśmy wam niezmiernie wdzięczni za wasz wkład w operację Czarne Serce. Misja zakończyła się sukcesem, a nasze działania zostały docenione przez Federację i uznane za jedne z najważniejszych w jej historii.

Po tych słowach nastąpił pełen entuzjazmu aplauz. Wszyscy piraci bili brawo.

Cheng Li skinęła głową. Czekwała, aż hałas ustanie, nim zaczęła mówić dalej.

- A tak prywatnie: wspaniale było móc znowu z wami współpracować. Chciałabym, żebyście pozostali na pokładzie Tygrysa znacznie dłużej. - Na ustach pani kapitan pojawił się nieco krzywy uśmiech. - Na pewno nie chcecie tego rozważyć? Nawet jeśli postawię następną kolejkę?

Rudowłosa Cate odparła, przekrzykując zbiorowy wybuch śmiechu:

- Piwo jest tu świetne, ale jeśli chcesz przedłużyć nasz kontrakt, musisz porozmawiać z Molukkiem!

Cheng Li zmarszczyła nos, jakby samo brzmienie tego imienia skojarzyło jej się z czymś cuchnącym.

- Tak, cóż... - dokończyła, choć już mniej radosnym tonem. - To właściwie wszystko, co chciałam powiedzieć. No i życzyć wam obojgu wszystkiego najlepszego. Aha! I jeszcze... - przerwała, by zebrać myśli. - Pragnę wznieść toast za wszystkich tutaj zebranych.

- Uniosła kufel. - Za załogę Tygrysa! Najbardziej odjechanych piratów na wszystkich oceanach!

Podczas gdy pozostali tupali i wrzeszczeli, Bart nachylił się do Cate:

- Czy ona naprawdę powiedziała „odjechani”?

Dziewczyna przytaknęła z uśmiechem.

- Obawiam się, że przejęła od Jacoby'ego parę jego powiedzonek.

Cheng Li pomachała do nich i zaczęła przeciskać się przez tłum.

- Dziękuję za wszystko - rzekła, gdy już przed nimi stanęła. - Naprawdę chciałabym was przekonać, żebyście zostali z nami na stałe. Może i wyeliminowaliśmy lady Lockwood, ale nasza misja przeciw wampiratom dopiero się rozpoczyna.

Bart pokiwał głową.

- Myślę, że mogę powiedzieć w imieniu nas obojga, że doskonale się z tobą współpracowało. Jesteś urodzonym kapitanem, Cheng Li. Ale, jak już powiedziała Cate, „wypożyczenie” naszych usług dotyczyło jedynie operacji Czarne Serce. Jeśli chcesz omówić przedłużenie kontraktu, będziesz musiała zwrócić się do...

- Molucca! - ucięła Cheng Li ostro, jakby chciała jak najszybciej mieć z głowy rozmowę o osobie noszącej to imię. - Cóż, może powinnam tak uczynić.

Cate uśmiechnęła się przyjaźnie do najmłodszej i najambitniejszej z kapitanów Federacji, kładąc dłoń na jej ramieniu.

- Dzięki, że zabrałaś nas na tę misję. Muszę przyznać, że opracowanie strategii walki z nowym, nieznanym przeciwnikiem było bardzo interesującym wyzwaniem. - Jej oczy zalśniły. - Z chęcią kontynuowałabym tę przygodę, gdyby istniała taka możliwość.

Cheng Li skinęła głową.

- Cieszę się, że tak mówisz. - Jej wzrok powędrował na drugi koniec tawerny. - Patrz. Tam są Jasmine i Bo Yin. Chciały z tobą porozmawiać. Chodźmy do nich. O ile jesteś w stanie zostawić na pięć minut swojego chłopaka.

Cate i Bart wymienili spojrzenia. Mężczyzna cofnął rękę, którą obejmował dziewczynę.

Cheng Li ujęła koleżankę pod ramię.

- Jesteś wzorem do naśladowania dla pokolenia kobiet piratów. Obie jesteście!

Nim dwie wzorowe piratki zdołały się oddalić, pojawili się Connor i Jacoby. Każdy niósł kilka pełnych kufli. Rozdając piwo towarzyszom, Jacoby zwrócił się do Cheng Li:

- A niech mnie, pani kapitan! Co to za miejsce? Bar Pod Pełnią Księżyca?? To chyba ironiczna nazwa, biorąc pod uwagę, jak to miejsce jest oświetlone. Kiedy mówiła pani, że musimy uczcić sukces misji, byłem pewien, że popłyniemy do Mamy Kettle.

Cheng Li spojrzała na chłopaka z irytacją.

- Czemu wszyscy zachowują się tak, jakby lokal Mamy Kettle był jedyną tawerną w okolicy? Nie możemy poszerzyć naszych horyzontów i dla odmiany spróbować czegoś nowego?

Jacoby nie był przekonany.

- Ależ pani kapitan, Mama Kettle jest częścią pirackiej historii!

- Właśnie! - odparła Cheng Li. - Obecnie to już raczej muzeum, a nie tawerna. Zjeżdżają się tam wapniaki. Nie można spokojnie pogadać, bo zaraz któryś z braci Wrathe'ów zaczyna wtykać nos w twoje sprawy. - Zwróciła się do Cate: - Bez urazy.

- Żaden problem. - Rudowłosa starała się powstrzymać śmiech.

Cheng Li postanowiła podzielić się ze swoim zastępcą jeszcze jedną perłą mądrości.

- Jesteśmy nową falą piractwa, Jacoby. Nie przestrzegamy tradycji. Wyznaczamy własne szlaki!

Z tymi słowami lekko pchnęła Cate w stronę Jasmine i Bo Yin.

Gdy dziewczęta odeszły, Bart z łobuzerską miną zwrócił się do Jacoby'ego:

- Stary, nie ściemniaj! Jedynym powodem, dla którego chcesz zahaczyć o tawernę Mamy Kettle, jest Ciasteczko.

Connor uśmiechnął się na wspomnienie zaufanej pracownicy Mamy Kettle. Uroda Ciasteczka sprawiała, że zarówno pod kotami, jak i wilkami morskimi uginały się kolana. Najważniejsze jednak było to, że dziewczyna została bliską przyjaciółką oraz powiernicą jego i Grace.

Słowa Barta obruszyły Jacoby'ego.

- To oskarżenie jest całkiem bezpodstawne. Jedyna, na którą chcę patrzeć, to Jasmine. Connorowi zrobiło się nieprzyjemnie. Jacoby nadal żył w błogiej nieświadomości co do związku, jaki łączył jego dziewczynę i najlepszego przyjaciela. Całowali się. Dwa razy. I to wszystko zmieniło. Connor o tym wiedział i Jasmine o tym wiedziała. Ale Jacoby, jak na razie, niczego się nie domyślał.

Bart posłał zastępcy Cheng Li kolejny zawadiacki uśmiech.

- Jasmine to wspinała młoda kobieta, ale niewielu potrafi się oprzeć wdziękowi Ciasteczka. - W tym miejscu poklepał się dłonią po piersi. - Wiem, co mówię. - Pokręcił głową i obejrzał się tęsknie na Cate.

- Oczywiście tak było kiedyś, kiedy byłem szalony, młody i beztroski. Teraz to już przeszłość.

- Tak, jasne - wtrącił Connor. - Dożyłeś sędziwego wieku dwudziestu trzech lat!

- Właśnie! - odparł Bart. Pociągnął solidnie z kufła i kontynuował: - Tempest, cofnij się pamięcią do tego wieczoru, kiedy się poznaliśmy. Co ci wtedy powiedziałem?

Connor dobrze wiedział, o czym mówi jego kompan.

- Że życie pirata jest krótkie, ale wesołe.

Bart przytaknął i otarł piwną pianę z ust.

- Bingo! Przez te wszystkie lata szwendania się po oceanach miałem więcej szczęścia do oszukiwania śmierci, niż mogłem sobie wymarzyć. Ale kto wie, jak długo to jeszcze potrwa? - Jego twarz sposepniała. - Bądź co bądź... Pomyśl o Jezie.

- Kim jest Jez? - spytał Jacoby, nie zdając sobie sprawy z drugiego dna tego pytania. Connor i Bart wymienili spojrzenia. Po chwili krępującej ciszy odezwał się młodszy z piratów:

- Jez Stukeley był naszym przyjacielem na pokładzie Diabła. I najbardziej utalentowanym szermierzem wśród załogi. Zginął w pojedynku na pokładzie Albatrosa pod dowództwem Narcisosa Drakoulisa.

Jacoby był zdezorientowany.

- Skoro był tak dobry, to czemu przegrał?

- Powinieneś zobaczyć, z kim walczył! - prychnął Bart. - Drakoulis wystawił przeciwko niemu swojego najlepszego człowieka, Gidakiego Sarakakina. Facet wyglądał jak gladiator. Był dwa razy większy ode mnie, ale przy tym przerażająco zwinny.

Connor kontynuował opowieść z ponurą miną:

- Nie powinniśmy byli się znaleźć na tym statku. Okazało się, że to podstęp. Zemsta na kapitanie Moluccu. Jez poniósł śmierć w wyniku błędów Molucca, nie swoich. - Marszcząc brwi, upił spory łyk z kufła.

- To musiał być fajny facet - stwierdził Jacoby. - Widać, że obaj za nim tęsknicie.

Oczy Barta rozbłyły nagle wesoło.

- Nazywali nas Trzema Bukanierami. Cate to wymyśliła.

- Trzej Bukanierzy... - powtórzył Jacoby. - Podoba mi się. - Uniósł swój kufel. - Toast, przyjaciele! Za Jeza i Trzech Bukanierów!

Bart i Connor powtórzyli jego gest bez chwili wahania.

- Za Trzech Bukanierów! - krzyknęli, a piwo chlapnęło na podłogę. Potem się napili.

- Od dawna nie słyszałam tego określenia - oznajmiła Cheng Li, podchodząc do nich w towarzystwie Cate, Jasmine i Bo Yin.

- Opowiadali mi o Jezie - wyjaśnił Jacoby.

- Biedaczysko! - westchnęła Jasmine.

Cate położyła dłoń na ramieniu Barta.

- Widzieliście go na ślubie?

Młody pirat przytaknął ponuro.

- Nie rozumiem - wtrącił Jacoby. - Jak mogliście go widzieć na ślubie czy gdziekolwiek indziej, skoro nie żyje?

- Pomyśl! - parsknęła Cheng Li. - Na czym to ślubie ostatnio wszyscy byliśmy?

Jacoby zastanawiał się przez chwilę. - Sidorio i lady Loli? Pani kapitan skinęła głową. - Wciąż nie rozumiem. Skoro Jez zginął, to jak mógł być na ślubie... Och! Och! Chyba rozumiem.

- Zamilkł, czując, jak przechodzą go ciarki.

- Został zabity - potwierdził Bart. - Pochowaliśmy go na morzu. Ale Sidorio znalazł jego ciało, przemienił Jeza w wampira i uczynił swoim porucznikiem. Teraz znany jest jako Stukeley, jeden z zastępców Sidorio.

Za każdym razem, gdy Connor słyszał imię dowódcy Krwawego Kapitana, miał wrażenie, jakby wbijano mu nóż w serce. Czy inni również czuli się nieswojo? Wyglądało na to, że nie.

Spojrzenie Barta wyrażało zamiast tego bezgraniczny smutek, oczy Jacoby'ego - otwarte szeroko jak nigdy wcześniej - zdumienie.

- Wasz kumpel jest przybocznym Sidorio, króla wampiratów?!

Connor ponownie poczuł ukłucie w sercu. „Tak - myślał. - Króla wampiratów, a tak na marginesie również mojego ojca”.

- Cóż. - Jacoby'emu nie zamykały się usta. - To ma swoją dobrą stronę... Przynajmniej nie jest martwy - Jego próba poprawienia towarzyszom nastroju zakończyła się fiaskiem.

Bart pokręcił głową.

- Stary, to nie ma dobrej strony. Jez jest teraz... Jest gorzej niż martwy.

Connor spojrział na przyjaciela. Serce waliło mu jak szalone. Nie zastanawiając się, zadał Bartowi pytanie, które musiał mu zadać, chociaż nie był pewien, czy jest gotów usłyszeć odpowiedź:

- Naprawdę tak sądzisz? Że gorzej jest być wampirem niż martwym?

- Widziałeś, co się z nim działo, kiedy przyszedł prosić nas o pomoc. Był załamany. Każdy dzień... a właściwie noc jest dla niego torturą. Gdyby stał się martwy, spoczywałby w pokoju. Był dobrym, honorowym człowiekiem. Zasłużył na godną śmierć. Ten... potwór, Sidorio, mu ją odebrał.

Connor zadrżał na dźwięk słowa „potwór”. Skoro odnosiło się do Sidorio, to zapewne i do niego samego. Bart nie miał pojęcia, że przyjaciel jestampirem - półwampirem. Złość w jego głosie nie pozostawiała Connorowi złudzeń. Gdyby Bart znał prawdę, współczułby mu losu gorszego niż śmierć. Na samą myśl o tym Connor poczuł mdłości. Jednak jeszcze okropniejsza była świadomość, że utrzymuje prawdę w tajemnicy przed najlepszym przyjacielem.

Nie dostrzegłszy, co się z nim dzieje, jego towarzysze kontynuowali temat. Jacoby zapytał:

- Bart, a gdybyś to był ty? Gdybyś zamiast Jeza zginął w pojedynku? Naprawdę wolałbyś śmierć i pochówek niż powrót? Możliwość spacerowania, rozmawiania, żeglowania po oceanach?

- Jasne! - oświadczył Bart, uderzając pięścią o otwartą dłoń. - Już ci mówiłem. Krótkie życie, ale wesołe. Na to się pisałem. - Spojrzał na kompanów rozognionym wzrokiem. - Kiedy umrę, wrzucicie mnie w największą głębię, tak żeby wampiry nie mogły mnie wyłowić i dołączyć do swojej załogi. Umowa stoi?

Nikt nie odpowiedział.

Bart zmierzył ich groźnym spojrzeniem.

- Pytałem, czy umowa stoi.

- Tak. - Głos Connora zlał się w jedno z głosami jego towarzyszy.

Chłopak czuł narastające nudności. Miał wrażenie, że ściany zamykają się wokół niego. Musiał wyjść z tawerny, żeby nie słyszeć tych rozmów. Kiedy Cate uspokajała Barta, postanowił skorzystać z okazji.

- Nie czuję się najlepiej - mruknął do Bo Yin. - Idę się przewietrzyć.

- Pójdę z tobą, Connorze Tempeście - zaproponowała. Jej twarz wyrażała troskę.

Chłopak pokręcił jednak głową i powstrzymał Bo Yin ruchem dłoni.

Oddalił się od reszty załogi i ruszył w poszukiwaniu wyjścia. Tylne drzwi były uchylone, więc wymknął się nimi na zewnątrz.

Znalazł się na niewielkiej plaży zarzuconej śmieciami z tawerny. Szmer fal omywających piasek brzmiał niczym odległy szept.

Connor odetchnął świeżym nocnym powietrzem. Zrzucił buty, zdjął skarpetki i podwinął nogawki spodni. Przedzierając się przez sterty odpadków, wszedł do wody. Ruch fal wokół stóp przynosił ukojenie. Chłopak zacisnął powieki i wyobraził sobie, że wszystkie zatruwające umysł myśli porywa wzburzone morze.

Gdy otworzył oczy, zakręciło mu się w głowie. Ocean i rozgwieżdżone niebo zlały się w jedno. Stracił równowagę i omal nie wpadł do zimnej, oleistej wody. Chwilę trwało, nim ochłonął. Spojrzawszy w dół, zauważył parę bladych dłoni, które go przytrzymały.

- Już w porządku? - Connor usłyszał znajomy głos.

Kiwnął głową.

- Tak, dziękuję. - Odwrócił się, by spojrzeć w twarz rozmówcy.

Gdy to uczynił, serce podeszło mu do gardła. Chociaż podejrzewał, kogo zobaczy, i tak był wstrząśnięty.

Przed Connorem, w chłodnych wodach oceanu, stał jego stary druh i były towarzysz, Jez Stukeley.

Rozdział 8

Dzielenie się

Grace czekała, aż służący zabiorą miseczkę z wiśniami. Znów prawie nie tknęła jedzenia podczas Uczty. Wszystkie potrawy wyglądały i pachniały zachęcająco jak zwykle, ale wmusiła w siebie tylko kęs przegrzebków, odrobinę jagnięciny i może z pół łyżeczki deseru. Całą resztę zostawiła. Nie uszło to oczywiście uwagi spostrzegawczego Oskara.

- Widzę, że apetyt nadal nie dopisuje. - Uniósł jedną brew, robiąc minę rasowego detektywa.

Grace pokręciła głową.

- Nie ten na zwykle jedzenie.

Oskar spojrzął jej w oczy. Zrozumiał. Nachylił się do ucha dziewczyny i wyszeptał:

- Pamiętasz naszą wcześniejszą rozmowę? Powinnaś do nas dołączyć. Do Lorcana i do mnie. Dzisiaj w nocy. - Poczula na sobie jego świdrujące spojrzenie. - Chcę się z tobą podzielić.

Od chwili gdy zaproponował to po raz pierwszy podczas poprzedniej Uczty, Grace stale rozmyślała o jego słowach. Pić czyjaś krew... Przecież ona nie mogłaby się na to zdobyć. Jeśli to zrobi, nie będzie już odwrotu. Zaakceptuje fakt, że jest dampirem - pół wampirem, pół śmiertelniczką - i że odtąd będzie żyć w taki właśnie sposób.

Pod wieloma względami już się z tym pogodziła. Jaki sens miało zaprzeczanie faktom? Nie była córką latarnika z portowego miasteczka. To, w co wierzyła przez czternaście lat życia, okazało się nieprawdą. Ona i jej brat byli potomkami wampirata Sidorina, który rzucił czar na ich nieszczęsną matkę, Sally.

Grace spojrzała na bok i zorientowała się, że stół został uprzątnięty. Służący zniknęli w kuchni. Była tak pogrążona w myślach, że niczego nie zauważyła. Muzycy ponownie ujęli instrumenty i zaczęli grać, z każdą minutą głośniejszej. Spoglądając na oświetlone blaskiem świec twarze siedzących po obu stronach stołu biesiadników, dziewczyna dostrzegła powagę i

skupienie. Wszyscy czekali w milczeniu, aż Uczta - a przynajmniej ta jej część - dobiegnie końca.

Zasiadający na odległym końcu stołu Darcy i jej donor James wstali równocześnie i wyszli. Echo ich kroków stopiło się w jedno z muzyką. A potem kolejne pary zaczęły podnosić się z miejsc i opuszczać salę bankietową. Nikt się nie wahał, nikt nie zgubił rytmu. Chociaż Grace wielokrotnie już oglądała ten przedziwny taniec, nadal ją fascynował - teraz nawet bardziej.

Wreszcie nadeszła kolej Lorcana i Oskara, którzy ruszyli wzdłuż stołu w stronę wyjścia. Jako ostatni wstali Mosh Zu i Grace. Nie byli parą wampir-donor, ale wychodzili razem dla zachowania symetrii.

Idąc za Oskarem, Grace uśmiechnęła się na myśl o tym, że nadal zasiada po stronie donorów. Nie zauważyła nawet, kiedy przestąpiła próg sali bankietowej. Czy tak samo odczuwali to wampiry? Widziała, jak pusty, pozbawiony wyrazu staje się wzrok Lorcana podczas najsilniejszego głodu. Spoglądając na niego, dostrzegła, że niebywały błękit jego oczu zmienił się w morze ognia. Nie bała się tego. Widziała już Lorcana w takim stanie. Potrzebował jedynie daru krwi Oskara, by zaspokoić pragnienie. Dziewczyna zerknęła na opaloną szyję donora. Odniosła wrażenie, że jego skóra jest przezroczysta. Widziała krew płynącą w jego żyłach. Widziała ją. Czowała jej zapach. Czowała jej smak...

Weszli po schodach na pokład donorów. Drzwi po obu stronach korytarza otwierały się i zamykały, prędko, niczym skrzydła ćmy. Kolejne pary znikwały w kajutach. Grace czuła, że serce wali jej jak młotem. Do uszu dziewczyny nadal docierała muzyka z sali bankietowej. W tle słyszała słowa Oskara: „Powinnaś do nas dołączyć... Chcę się z tobą podzielić... Chcę się z tobą podzielić... Chcę się z tobą podzielić... Chcę się z tobą podzielić”.

Oskar sięgnął do klamki. Lorcan szybko wszedł do środka, donor podążył za nim. Grace się zawahała. Co miała zrobić? Powinna porozmawiać o tym z mistrzem... Lecz gdy się odwróciła, spostrzegła, że Mosh Zu poszedł dalej. Teraz oddzielały ją od niego inne pary zmierzające do swoich kajut.

Drzwi Oskara pozostawały niezamknięte. Grace poczuła przepływającą przez jej ciało falę gorąca, a potem chłodne mrowienie wzdłuż kręgosłupa.

„Chcę się z tobą podzielić”. Głos Oskara był coraz wyraźniejszy. Gdyby muzyka nagle nie ucichła, gdyby to wrażenie nie ustąpiło, z pewnością rozsądziłoby jej głowę. Wrażenie to, jak

już wiedziała, oznaczało głód. Istniał tylko jeden sposób, by go zaspokoić. Popatrzyła na smugę światła sączącego się spoza uchylonych drzwi. Odetchnęła głęboko i weszła do kajuty Oskara.

Pomieszczenie wypełniała czerwona poświata. Grace nie potrafiła określić, czy to kwestia oświetlenia, czy kolejny z objawów głodu. Jej zmysły były wyostrzone. Czas zdawał się płynąć szybciej, by zaraz potem wlec się niemiłosiernie. Nadal czuła naprzemienne fale gorąca i zimna oraz dudnienie w głowie. „Chcę się z tobą podzielić”.

Wymagało to od niej całej siły woli, ale dziewczyna w końcu zdołała się skupić. Wreszcie zaczęła dostrzegać sens w otaczającej ją rzeczywistości. Oskar opierał się o ścianę, Lorcan stał tuż obok. Tak to się odbywało. W ten sposób się dzielili. Grace widziała już kiedyś Lorcanę w podobnej sytuacji z Shanti. Stała wówczas na korytarzu i prędko odwróciła wzrok. Teraz, zafascynowana, obserwowała rozgrywającą się przed nią scenę szeroko otwartymi oczami. Skóra Oskara stała się całkiem przezroczysta. Widziała krew, płynącą żyłami z jego serca ku niewielkim rankom na klatce piersiowej. Przeniosła wzrok na twarz donora i z zaskoczeniem dostrzegła na niej uśmiech. Chłopak przyzywał ją gestem. „Chodź” - mówił.

Grace podeszła bliżej. Zatrzymała się dopiero kilka centymetrów od Oskara. Kiedy spojrzała na niego, ponownie się uśmiechnął. W jego oczach był ogień, tak samo jak w oczach Lorcany, ale inny. Zdumiona przyjrzała się uważniej. Dopiero wówczas zrozumiała. W oczach donora nie płonął wampirzy ogień - zobaczyła w nich po prostu odbicie własnego głodu.

Uświadomiwszy sobie prawdę, Grace się cofnęła. Niepewnym krokiem podeszła do drzwi. Miała wrażenie, że w kajucie zabrakło powietrza.

- Przepraszam - powiedziała, niepewna, czy tamci dwaj ją usłyszeli. Oskar odwrócił się już do Lorcany, gotowego do przyjęcia krwi.

Musiała się stąd wydostać. Natychmiast. Nie była gotowa. Jeszcze nie.

Grace nie miała pewności, co się z nią działo po wyjściu z kajuty Oskara. Jakimś cudem zdołała znaleźć klamkę i otworzyć drzwi. Potem ruszyła korytarzem i natrafiła na kolejne - chociaż nie pamiętała schodów. Wyszła na pokład. Tutaj była już w stanie oddychać. Potrafiła zebrać myśli.

Wiedziała, że opuszczając kajutę Oskara, postąpiła właściwie. Jej głód minął równie szybko jak apetyt podczas Uczty. Kładąc dłonie na krawędzi nadburcia, Grace pomyślała o tym, czego niemal się dopuściła. Przepęlniła ją groza. Odetchnęła głęboko, fale gorąca i zimna ustały. Znowu czuła się normalnie, chociaż biorąc pod uwagę sytuację panującą na Nokturnie, stan ten

mógł okazać się przejściowy... Delikatne podmuchy morskiej bryzy rozwiewającej jej włosy sprawiały, że dziewczyna stopniowo się uspokajała.

Nagle usłyszała kroki i uświadomiła sobie, że ktoś oparł się obok niej o nadburcie. Uśmiechnęła się, pewna, że ujrzy Lorcana. Jej przyjaciel przerwał rytuał, by przyjść tutaj za nią. Nawet w chwili największego głodu nie zapomniał o niej...

Jednak gdy się obróciła, nie zobaczyła Lorcana. Stał przy niej inny mężczyzna, również znajomy i również przystojny. Nie spodziewała się, że jeszcze kiedykolwiek go ujrzy, a już z pewnością nie na Nokturnie.

Johnny uniósł rękę do runda kapelusza i uśmiechnął się do dziewczyny z aprobatą.

- Spójrz na siebie, młoda damo! W niebie pewnie szukają zaginionego anioła!

Rozdział 9

Zaproszenie

Connor stał w lodowatej wodzie przed Barem Pod Pełnią Księżyca i patrzył na Jeza - a właściwie na Stukeleya. Jego dawny kompan miał na sobie czerwoną koszulę z podwiniętymi do łokci rękawami i znoszone skórzane bryczesy. W lewym uchu błyszczał kolczyk w kształcie czaszki. Od ich ostatniego spotkania na ślubie Sidoria wygląd Stukeleya nieco się zmienił. Teraz jego włosy były obcięte na krótko, a na karku pojawił się nowy tatuaż: fala w stylu japońskiego drzeworytu. Niżej, po wewnętrznej stronie przedramienia, widniał wizerunek trzech kordów. On, Connor i Bart obudzili się z takimi tatuażami któregoś poranka po swoim „utraconym weekendzie” na Calle del Marinero. Wciąż pozostawało dla nich zagadką, skąd się wzięły.

- Siemka. - Stukeley skinął głową.

- Właśnie o tobie rozmawialiśmy - odparł Connor.

- Wiesz, jak to powiadają. - Wampirat się uśmiechnął. - O wilku mowa, a wilk tu.

Connor pokręcił głową.

- Nie jesteś wilkiem. Nie jesteś zwierzęciem. Nabrałeś dziwnych zwyczajów i zadajesz się z nieodpowiednimi osobami, ale nie jesteś zwierzęciem.

Stukeley wzruszył ramionami.

- Cóż... Wielkie dzięki. Wyjdziemy na brzeg? - Objął Connora ramieniem.

Pośród licznych śmieci na plaży stały dwie stare, rdzewiejące beczki po oleju. Stukeley oparł się o jedną, a Connor usiadł na drugiej.

- Co tu robisz? - spytał.

- Szukałem cię - odparł wampirat. - Mam ci to przekazać. - Sięgnął do kieszeni i wyjął kopertę. W blasku księżyca papier lśnił niczym białe złoto.

Connor sięgnął po kopertę. Spojrzał na wypisane ozdobnymi literami własne imię. W głębi ducha wiedział, co znajduje się w środku. Przez chwilę ważył list w dłoni.

- Otwórz - ponaglił go Stukeley.

Z bijącym sercem chłopiec wyjął z koperty złożoną kartkę. Rozpostarł ją i zaczął czytać:

Drogi Connorze! Ufam, że miewasz się dobrze. Synu, ostatnio często gościłeś w moich myślach. Nasze spotkanie zostało brutalnie przerwane. Powinniśmy bliżej się poznać. Moja żona i ja bardzo byśmy chcieli, abyś zamieszkał z nami na naszych statkach. Przybądź niezwłocznie i zostań tak długo, jak zechcesz. Twój ojciec krwi Sidorio

Connor ponownie złożył kartkę i wsunął ją do koperty. Potem wstał i ruszył przed siebie.

- Nie możesz tego zignorować. - Stukeley szedł za nim.

- A jednak spróbuję. - Wzrok chłopca utkwiony był w odległym punkcie na horyzoncie.

- To niczego nie zmieni. Sidorio jest twoim ojcem. Teraz jesteś jednym z nas.

Connor nie odpowiedział. Dotarł już prawie do końca plaży.

- Czekaj! - Stukeley zagroził mu drogę. - Connor, popatrz na mnie!

Chłopak niechętnie przeniósł wzrok na wampira.

- Kiedyś byliśmy przyjaciółmi - zaczął tamten.

- Mówiliśmy, że nasza przyjaźń jest silniejsza niż śmierć. Pamiętasz? Kiedy wróciłem, żeby was odnaleźć, pomogłeś mi. Zabrałeś mnie do Tawerny Krwi, a potem na Nokturn, żeby kapitan mógł mi pomóc.

Connor przytaknął.

- Pamiętam. - Zadrżał na samo wspomnienie tamtej tawerny.

- Pomogłeś mi - mówił dalej Stukeley. - Nadeszła pora, żebym ci się zrewanżował. Pozwól, że teraz ja pomogę tobie. - Położył dłoń na ramieniu dawnego kompana. - Wiem, że starasz się od tego uciec - od wiedzy, że Sidorio jest twoim ojcem, że ty sam jesteś dampirem. To wszystko zmieni.

- Nie, jeśli do tego nie dopuszczę - oświadczył chłopak z przekonaniem.

Stukeley pokręcił głową.

- Mylisz się, Connor. Nie będziesz w stanie tego kontrolować. To silniejsze, niż ci się wydaje. Wierz mi. Wiem, o czym mówię.

Connor zastanowił się nad słowami byłego kolegi. Myślał o tym, jak Jez umierał. O pogrzebie, który zorganizowano na pokładzie Diabła. Z chwilą wrzucenia trumny do morza historia Jeza dobiegła końca, a rozpoczęła się podróż Stukeleya. Wszystko dlatego, że fala pchnęła go wprost w ramiona Sidorio.

- Ja też się o to nie prosiłem - oznajmił Stukeley, jakby czytał Connorowi w myślach. - Ale nauczyłem się, że jeśli chcę przetrwać, muszę dojść do ładu z samym sobą.

Connor przymknął powieki. Po chwili jednak otworzył oczy i zmarszczył brwi. - O co chodzi? - spytał wampir. - Nie rozumiem. Myślałem, że unicestwiłem Lolę Lockwood, ale w tym liście Sidorio napisał: „Moja żona i ja”. Jakby ona wciąż żyła.

Grymas Stukeleya potwierdził obawy chłopaka.

- Lady Lola ma się świetnie - mruknął zastępca Sidorio. - Pomimo twoich usilnych starań.

Connor nie mógł w to uwierzyć. Stukeley przysunął się bliżej.

- Widziałeś, co zrobiła po pierwszym ataku, prawda? Wbiłaś jej miecz w serce, a ona, jak gdyby nigdy nic, próbowała go wyszarpnąć.

- Tak. - Chłopak sięgnął pamięcią do wydarzeń tamtej nocy. - Ale potem odciąłem jej głowę. To powinno było ją zniszczyć.

Wampir wzruszył ramionami. W jego spojrzeniu Connor dostrzegł coś, czego nie potrafił rozszyfrować.

- Owszem, ale Sidorio połączył jej głowę z ciałem i nim zdołaliśmy powiedzieć Mazełtow, już byli w podróży poślubnej.

- To kompletnie przeczy wynikom wszystkich naszych badań. - zaproponował Connor ponownie z niedowierzaniem.

- Nie ufaj wszystkiemu, co przeczytasz. Sidorio i Lola to wyjątek potwierdzający regułę. Im bliżsi są unicestwienia, tym potężniejsi się odradzają.

To poruszyło w Connorze czułą strunę. Przypomniawszy sobie, jak kapitan Nokturnu doradzał zaatakowanie zbuntowanych wampirów ogniem. Zapewniał, że płomienie zniszczą Sidorio, jednak choć część załogi faktycznie spłonęła, sam przywódca buntowników - oraz Stukeley - stali się silniejsi. Niczym metal hartowany w ogniu. Connor bez problemu mógł wyobrazić sobie ten ogień. Widział go w oczach Sidorio, Stukeleya i Loli.

- Nie mogę z tobą iść - oznajmił.

- Nie przyjmuję takiej odpowiedzi.

- Pomyśl chwilę - tłumaczył Connor. - To ja zaatakowałem Lolę. Starłem się ją unicestwić. Ona z pewnością nie chce mnie widzieć. - Nagle coś sobie uprzytomnił. - No, chyba że chce się zemścić.

Stukeley pokręcił głową.

- Nawet by jej to przez myśl nie przeszło. Jesteś zbyt ważny dla Sidorii. A zemsta to ostatnia rzecz, na jakiej zależy kapitanowi. On naprawdę chce cię lepiej poznać i spędzić z tobą trochę czasu. Jak ojciec z synem.

Choć brzmiało to nieprawdopodobnie, Stukeley wydawał się mówić szczerze. Connor przypomniał sobie ostatnie spotkanie z Sidoriem podczas ślubu. Król wampirów już miał mu wbić kły w klatkę piersiową, gdy odezwała się Cheng Li. W jednej chwili wszystko uległo zmianie, nie tylko dla Connora, lecz także dla Sidorii. Chłopak pamiętał wyraz oczu wampira, kiedy ten, przyglądając mu się uważnie, powiedział: „Jest moim synem”.

- Uwierz mi - ciągnął Stukeley. - Sidorio po prostu chce jak najlepiej dla ciebie i dla Grace. Już ogłosił was dziedzicami swojego imperium.

- Grace? - Connor poczuł lęk o siostrę. - Dla niej też masz zaproszenie?

- Dopiero co zostało wysłane. - Dawny kompan puścił do niego oko. - Takie samo zaproszenie, inny doręczyciel.

Chłopak skarcił się w duchu za niemądre obawy. Grace czuła się wśród wampirów dużo swobodniej niż on. Potem uświadomił sobie coś jeszcze.

- Grace nie wie - wyznał. - Nie wie, że Sidorio jest naszym ojcem. Muszę jej powiedzieć. To ja powinienem...

Stukeley mu przerwał.

- Grace wie - rzekł. - Poznała prawdę wcześniej niż ty. - Spojrzał Connorowi w oczy. - To w sumie nie powinno cię dziwić. We wszystkim, co dotyczy wampirów, zawsze wyprzedzała cię o krok lub dwa.

Odwrócił się, schylił i podniósł kamień, a potem cisnął do wody. Connor uśmiechnął się na ten widok. Wiele razy widział już, jak Jez puszcza kaczki.

Sięgając po kolejny kamień, wampirat spostrzegł, że chłopiec go obserwuje.

- Co? - spytał, unosząc brew.

- Nic.

- Przecież widzę, że coś ci leży na sercu. Wygadaj się, to pomaga.

- Czuję się otępiąły - stwierdził Connor. Mówienie rzeczywiście przynosiło mu ulgę. - Nie wiem już, kim jestem. Był kiedyś Connor Tempest, ale wciąż mam wrażenie, że zostałem w latarni w Zatoce Księżycowej. Wtedy, gdy razem z Grace wyruszyliśmy na otwarte morze i złapał nas sztorm. - Westchnął. - Odkąd trafiłem na Diabła, dorastam w ekspresowym tempie. I

dobrze. Zaczęłam dowiadywać się, kim jestem i kim mam szansę się stać. Connorem Tempestem - piratem. - Czułam, że wampir bacznie mu się przygląda. - Było po drodze kilka błędów. Zabiłam człowieka... - Stukeley ani drgnął, chociaż nic o tym nie wiedział.

- Ale potrzebowałam takiego wstrząsu, żeby zrozumieć, na czym polega życie pirata. I musiałem wstąpić na służbę do właściwego kapitana. - Chłopak umilkł i przeniósł pojrzenie z twarzy dawnego kompana na spokojne morskie fale.

- A teraz? - Teraz znów znalazłem się w punkcie wyjścia - odparł Connor. - Okazuje się, że wcale nie jestem Connorem Tempestem - piratem, lecz Connorem Tempestem - wampirem. Mój świat stanął na głowie. Moim prawdziwym ojcem jest wampir, którego próbowałam zabić. A macocha... Podczas naszego jedyne go spotkania wbiłam jej miecz w serce i odciąłem głowę.

- Chłopak spojrzał ponownie w kierunku drzwi do tawerny. - Ludzie, których uważałam za przyjaciół, są tam w środku, ale nie mają bladego pojęcia, kim ani czym jestem... - Nagle zdał sobie sprawę, że to nie do końca prawda. Nie uznał jednak za konieczne informować Stukeleya o wtajemniczeniu Cheng Li.

- Connor... - zaczął cicho wampir. - Wiem dokładnie, co czujesz, przyjacielu. Sam przeżyłem to samo. Pozwól sobie pomóc. - Ponownie objął chłopca ramieniem. - Przejdziemy przez to razem, stary! Masz moje słowo.

Connor nie był pewien, jak długo tak stali. W pewnej chwili usłyszeli skrzypienie drzwi. Gdy chłopiec się odwrócił, Stukeley zniknął w ciemnościach. Na plażę wyszły dwie osoby: Jasmine Peacock i Bo Yin.

- Tu jest! - zawołała dziewczynka.

- Tak - odparła Jasmine. - Leć do środka i powiedz pozostałym, że niedługo przyjdziemy.

Bo Yin skinęła głową. Ociągając się, wróciła do tawerny. Jasmine natomiast ruszyła w stronę Connora.

- Cześć, nieznajomy! - zagadnęła. - Zastanawialiśmy się, dokąd cię wywiało.

Serce Connora waliło jak oszalałe.

- Musiałem się przewietrzyć i przemyśleć kilka spraw. Atmosfera w środku jest raczej ciężka.

Dziewczyna wyszczerzyła zęby w uśmiechu.

- Nieważne, co mówi pani kapitan, ta knajpa nie może się równać z tawerną Mamy Kettle.

Connor odwzajemnił jej uśmiech.

- No i proszę! - Jasmine otoczyła go ramionami. - Wiedziałam, że gdzieś tu się ukrywa poczucie humoru.

Nagle chłopak zauważył Stukeleya, ukrytego w cieniu drzwi i obserwującego ich dwoje. Natychmiast spoważniał.

- Powinniśmy już iść. - Wszystko w porządku? - zapytała Jasmine. - Wyglądasz na zmęczonego. - Bo tak jest. Padam na twarz - odparł, siląc się na wesoły ton. Dziewczyna spojrzała mu w oczy, jakby starała się coś z nich wyczytać. - Jesteś jakiś dziwny - powiedziała wreszcie. - Podczas ataku byłeś niczym wulkan. Dziś wygląda to tak, jakby opuściła cię cała energia, ale nie jesteś odprężony. Jesteś jakiś taki... bez wyrazu.

Connor przytaknął.

- To by się zgadzało.

Głos Jasmine brzmiał niezwykle cieniutko, gdy zadawała kolejne pytanie:

- Między nami wszystko w porządku?

- Jasne - odparł mechanicznie, kładąc dłonie na jej ramionach. - Wszystko gra. Jest dobrze.

Jasmine nie wyglądała na przekonaną.

- Nie zamierzam cię naciskać - powiedziała. - Wiem, że masz teraz wiele na głowie. A ja jestem dość cierpliwa, aby wiedzieć, że warto poczekać, aż to wszystko rozgryziesz i przemyślisz. - Westchnęła. - Ale pamiętaj, że jestem przy tobie. Wszyscy jesteśmy. Musisz nauczyć się polegać na przyjaciółach.

Connor przytaknął i objął dziewczynę. Kiedy tuliła się do jego piersi, wzrok chłopaka powędrował w stronę Stukeleya. Dawny przyjaciel ruszył w ich kierunku. Ostrzeżenie w oczach Connora musiało być wyraźne, bo wampirat pokręcił głową, uśmiechnął się, a następnie przemknął obok i zniknął bezszelestnie w mroku nocy.

Rozdział 10

Perswazja

- Johnny, co ty tutaj robisz? - zdumiała się Grace. - Chociaż nie. Zacznijmy od tego, jak się tu dostałeś. Wampir się uśmiechnął, ale nie odpowiedział na żadne z jej pytań. Zamiast tego sięgnął do tylnej kieszeni dżinsów.

- Mam tu dla ciebie pewien drobiazg - oznajmił, wręczając dziewczynie kopertę.

- Co to? - Grace wzięła ją do ręki. Spojrzała na swoje imię, wykaligrafowane atramentem, ale nie poznała charakteru pisma.

- Zaproszenie - odpowiedział Johnny. - Otwórz i sama zobacz.

Wzruszywszy ramionami, dziewczyna obróciła kopertę. Zobaczyła woskową pieczęć z odcisniętym herbem. Na herbie znajdował się jakiś napis - chyba po łacinie. Grace nie знаła tego języka. Złamała pieczęć i wyjęła list.

Kiedy pogрузyła się w lekturze, Johnny podszedł do barierki i zapalił cygaretkę. Skupił się na wydmuchiwaniu idealnych kółek. Potem spojrzał na dziewczynę wyczekującą.

- Sidorio... - wyjąkała, ogromnie zdziwiona. - Sidorio chce, żebym z nim zamieszkała. Chce mnie lepiej poznać.

Johnny przytaknął.

- Jest twoim ojcem.

- Tylko z nazwy! - rzuciła ostro. Dla niej prawdziwym tatą był nadal Dexter Tempest.

- Czy ci się to podoba, czy nie - ciągnął wampir - Sidorio to twoja krew. Zawsze wiedziałaś, że jesteś inna. Wyjątkowa. Wszyscy to wiedzieliśmy. Po prostu nie zdawaliśmy sobie sprawy, jak bardzo.

Grace zmarszczyła brwi i zerknęła na list.

- Sidorio ma żonę? Ożenił się?

Johnny znów przytaknął i zaciągnął się cygaretką.

- Z lady Lolą Lockwood. - Wypuścił z płuc obłok szarego dymu. - Co za kobieta! Zaproszenie jest od nich obojga. - Uśmiechnął się. - W bajce Lola byłaby twoją niegodziwą macochą.

- To nie bajka - odparła Grace oschle. - To moje życie. - Właśnie. Powinnaś przyjąć zaproszenie. Jesteś to sobie winna. Po bliższym poznaniu Sidorio okazuje się całkiem fajnym facetem.

- Poznałam go. - Grace ponownie wzruszyła ramionami. - Kiedy pojawiłam się na Nokturnie, wbił sobie do głowy, że będę jego donorem. - Umilkła, a po chwili dodała z goryczą: - Tak jak moja mama.

- Tak jak Sally - podchwycił Johnny.

Grace nachyliła się ku niemu.

- Wiesz o mojej mamie?

- Jasne. Kapitan wyjawiał wszystko mnie i Stuke'owi... znaczy Stukeleyowi. Obaj jesteśmy zastępcami Sidorio... Opowiedział nam o twojej matce. O tym, jak ją kochał i jak mu została odebrana. Tak samo jak ty i Connor.

Jego słowa wstrząsnęły dziewczyną.

- Sidorio ci o nas powiedział? Powiedział, że był zakochany?

Johnny się uśmiechnął.

- Grace, dobrze cię znam. Wiem, że w twojej głowie kłębią się teraz setki pytań o Sidorio i Sally, o ciebie samą i Connora. Najlepiej zrobisz, przyjmując to zaproszenie. Naprawdę powinnaś spędzić z nami trochę czasu. Dodam, że sam z niecierpliwością czekam na możliwość odświeżenia naszej znajomości.

Grace ponownie spojrzała na list. Johnny faktycznie dobrze ją znał. W głowie miała taki zamęt, że nie potrafiła się skupić na czytaniu. Kusilo ją, żeby przyjąć to zaproszenie. Faktycznie Sidorio był częścią jej życia - ważną częścią - i powinna uzyskać od niego kilka odpowiedzi. Może dzięki temu lepiej zrozumiałaby siebie samą? Ale wyprawa do serca imperium buntowników byłaby szaleństwem, czyż nie? Rzuceniem się w paszczę lwa. Zresztą nawet gdyby ona, Grace, była na tyle nierozważna, żeby zaryzykować, to ani Mosh Zu, ani Lorcan nigdy się na to nie zgodzą.

Pokręciła głową.

- Powiedz Sidoriovi, że dziękuję za zaproszenie, ale z niego nie skorzystam.

- Grace. - Johnny rozłożył ręce. - Nie rób mi tego! Jeżeli wrócę bez ciebie, będzie na mnie naprawdę wściekły.

- Przykro mi, ale to nie mój problem. - Dziewczyna złożyła kartkę, wsunęła ją z powrotem do koperty i ścisnęła woskową pieczęć. List wyglądał na nieotwierany. Podała go Johnny'emu. - Miło było, ale nie chcę cię dłużej zatrzymywać.

- Mnie tam się nie spieszy. - Wampir nie wziął koperty. Nawet nie wyciągnął po nią dłoni. Zamiast tego ponownie zaciągnął się głęboko.

Jego zachowanie zaczęło irytować Grace. - Muszę wracać do środka - oznajmiła. - Mój chłopak na mnie czeka. - Miała nadzieję, że trafiła w czułe miejsce.

Niestety, Johnny pozostał niewzruszony jak morze w bezwietrzny dzień.

- Chłopak, co? Zgaduję, że mówisz o naszym starym, poczciwym Lorcanie. Cieszę się twoim szczęściem. Wiem, że zawsze miałaś do niego słabość. Ostatecznie dlatego między nami nigdy do niczego nie doszło.

Grace nie mogła uwierzyć w jego arogancję.

- Johnny, między nami nigdy by się nic nie wydarzyło! Niezależnie od Lorcana.

Wampirat wzruszył ramionami.

- Jak sobie chcesz. Ja tam lubiłem nasze pogawędki i bez zbytniego sentymentalizmu mogę przyznać, że za tobą tęskniłem. - Spojrzał dziewczynie w oczy.

- Poza tym od naszego ostatniego spotkania bardzo wydorosłaś.

- Grace. - Johnny rozłożył ręce. - Nie rób mi tego! Jeżeli wrócę bez ciebie, będzie na mnie naprawdę wściekły.

- Przykro mi, ale to nie mój problem. - Dziewczyna złożyła kartkę, wsunęła ją z powrotem do koperty i ścisnęła woskową pieczęć. List wyglądał na nieotwierany. Podała go Johnny'emu. - Miło było, ale nie chcę cię dłużej zatrzymywać.

- Mnie tam się nie spieszy. - Wampir nie wziął koperty. Nawet nie wyciągnął po nią dłoni. Zamiast tego ponownie zaciągnął się głęboko.

Jego zachowanie zaczęło irytować Grace.

- Muszę wracać do środka - oznajmiła. - Mój chłopak na mnie czeka. - Miała nadzieję, że trafiła w czułe miejsce.

Niestety, Johnny pozostał niewzruszony jak morze w bezwietrzny dzień.

- Chłopak, co? Zgaduję, że mówisz o naszym starym, pocziwym Lorcanie. Cieszę się twoim szczęściem. Wiem, że zawsze miałaś do niego słabość. Ostatecznie dlatego między nami nigdy do niczego nie doszło.

Grace nie mogła uwierzyć w jego arogancję.

- Johnny, między nami nigdy by się nic nie wydarzyło! Niezależnie od Lorcana.

Wampirat wzruszył ramionami.

- Jak sobie chcesz. Ja tam lubiłem nasze pogawędki i bez zbytniego sentymentalizmu mogę przyznać, że za tobą tęskniłem. - Spojrzał dziewczynie w oczy.

- Poza tym od naszego ostatniego spotkania bardzo wydorowałaś.

Wbrew sobie samej, Grace się uśmiechnęła. Bawił ją jego tupet. Ten chłopak nie poddawał się bez walki.

- Johnny, naprawdę miło się z tobą gawędzi, ale muszę wracać. Żyjemy w różnych światach. Dokonałeś wyboru, kiedy pobiegłeś za Sidoriem. Na Nokturnie nie ma dla ciebie miejsca.

Wampir rzucił niedopałek na pokład i przydeptał.

- Nigdy nie pchałem się tam, gdzie mnie nie chciano. Spadam. Przekażę Sidoriowi przykrą wiadomość.

- Opuścił głowę i lekko unióś rondo stetsona. Jednak nim poprawił kapelusz, przyszła mu do głowy pewna myśl. - Przekażę Connorowi twoje pozdrowienia.

- A kiedy się z nim zobaczysz? - spytała zaintrygowana dziewczyna.

- Pewnie jeszcze dzisiaj - odparł z uśmiechem. - Ja dostarczyłem zaproszenie tobie, a do twojego brata udał się jego dawny kompan, Stukeley. Tylko że, w przeciwieństwie do ciebie, Connor nie odmówi.

- Naprawdę sądzisz, że Connor przyjmie zaproszenie Sidoria? Że zamieszka na jego statku? - Grace pokręciła głową. - Niemożliwe! On nie znosi towarzystwa wampiratów, o Sidoriu już nie wspominając...

- Tak było kiedyś. Teraz wszystko się zmieniło. Connor gra w naszej drużynie. - Johnny zerknął na zegarek. - W tym momencie twój brat i Stukeley, którego pewnie pamiętasz jako Jeza, serdecznie się witają. A jako że Stukeley sam niedawno odbył podróż od życia do nieśmiertelności, będzie dla Connora idealnym przewodnikiem. - Uśmiechnął się ponownie. - Wiesz, co sobie myślę? Pewnie nie sądziłaś, że Connor wie o swoim pochodzeniu. Ale widzisz,

twój brat i Sidorio ponownie się starli. Podczas ślubu kapitana i lady Loli. Wtedy wyszło na jaw, że Connor jest synem Sidorio... i dziedzicem jego imperium. Przynajmniej tak przedstawił nam to kapitan.

- Sidorio uważa Connora za swojego dziedzica? - Grace nie mogła w to uwierzyć.

- Jednego z dziedziców - poprawił ją wampirat. - Chociaż podejrzewam, że skoro nie jesteś zainteresowana zacieśnianiem więzi, będzie musiał wystarczyć mu jeden.

- Nie jestem zainteresowana ani zacieśnianiem więzi, ani dogłębnym poznawaniem Sidorio - oznajmiła Grace stanowczo. - A już z pewnością nie chcę mieć nic wspólnego z żadnym imperium. Poza tym rusz trochę głową! Sidorio i lady Lola są nieśmiertelni, nigdy nie umrą, więc ta gadka o dziedzicach nie ma sensu, prawda?

- Grace, jesteś nowa w tym świecie. To prawda, że wampiry nie umierają, ale mogą zostać unicestwione. Przykład z własnego podwórka: lady Lockwood niemal obróciła się w nicłość na własnym ślubie. Wyobrażasz to sobie? Zresztą może Sid i Lola zechcą kiedyś przejść na emeryturę. Znaleźć sobie jakiś zaciszny kącik i poleniuchować przez kilka stuleci. Wtedy ty, Connor, no i ja ze Stukeleyem przejęlibyśmy władzę. Założę się, że świetnie byśmy się bawili.

- Nie! - Grace straciła cierpliwość. - Ile razy mam ci powtarzać: Sidorio nic dla mnie nie znaczy! Nie mam nic przeciwko wampiratom i jestem dumna z bycia dampirem. To dla mnie nowość, ale szybko się przystosowuję. Zawsze tak ze mną było. Ale jedno ci powiem z absolutnym przekonaniem: gardzę wszystkim, co ma jakikolwiek związek z Sidorio, gardzę jego sposobem życia i nie jestem zainteresowana dziedziczeniem jego imperium ani teraz, ani... nigdy.

- Brawo! - Johnny zaczął klaskać i wiwatować, jakby był na rodeo. - No dobra, Grace. Zrozumiałem. To ja się zwijam. - Wcisnął stetsona na czoło i wspiął się na nadburcie. Wyprostował się i widać było, że czuje się królem oceanów. Najwyraźniej przestawanie z Sidorio zaczęło mieć na niego wpływ. Skinął dziewczynie głową, a potem wykonał podwójne salto i zniknął pod wodą.

- Czekaj! - krzyknęła Grace. - Zapomniałeś o czymś! - Pomachała kopertą z zaproszeniem od Sidorio i Loli. Za późno. Johnny odpłynął. Przedarła więc list na pół i wrzuciła do wody.

- Grace!

Odwróciwszy się, zobaczyła idącego w jej kierunku Lorcana. Serce nadal waliło jej po spotkaniu z Johnnym, po tym wszystkim, co od niego usłyszała.

Lorcan zatrzymał się obok dziewczyny. Miał rozwiązany fular, który nosił na szyi, ale poza tym wyglądał równie elegancko jak kilka godzin wcześniej, kiedy przybył na Ucztę. Zawsze po dzieleniu się bardzo skrupulatnie usuwał z ubrania najdrobniejsze nawet ślady krwi. Tym razem jednak Grace dostrzegła maleńką czerwoną kropkę na jego koszuli. Ten widok natychmiast przywołał wspomnienia z ciemnej, ciasnej kajuty.

Lorcan wyciągnął do niej dłoń.

- Grace, co się stało? Dobrze się czujesz?

- Jestem trochę roztrzęsiona - przyznała.

- Tym, co wcześniej zobaczyłaś? - dopytywał. - Wiedziałem, że to za wcześnie. Oskar chciał ci pomóc, ale czasami miewa szalone pomysły. - Lorcan przytulił dziewczynę i ucałował ją w czubek głowy. - Twoje życie tak prędko się zmieniło... Moje zresztą też. Minie trochę czasu, nim to wszystko ogarniemy.

Grace przytaknęła.

- Ale damy sobie radę - dodał z przekonaniem. - I pamiętaj, jakkolwiek dziwne wszystko ci się teraz wydaje, jakkolwiek przerażające i niemożliwe, jestem przy tobie. Będę u twojego boku na każdym etapie tej podróży.

Ponownie skinęła głową. Czowała się bezpieczna. Spojrzała Lorcanowi w oczy. Wszystkie ślady nieokielznanego głodu zniknęły. Jego tęczyówki były teraz równie błękitne jak ocean. Tak jak za pierwszym razem, kiedy go ujrzała. Tak jak tej nocy, gdy pocałował ją po raz pierwszy.

- Chodź - rzekł po chwili, podając jej ramię. - Odprowadzę cię do środka. To mało rycerskie, co powiem, ale wyglądasz na wykończoną.

Lorcan zaprowadził Grace do jej kajuty i jeszcze przez chwilę rozmawiali. Potem wyznała, że faktycznie jest zmęczona, a jako że powoli zaczynało się rozjaśniać, była gotowa na długi, odprężający sen. Lorcan pocałował ją ponownie i poszedł do siebie.

Po jego wyjściu dziewczyna nawet nie przebrała się w piżamę. Naciągnęła na siebie kołdrę i zamknąwszy oczy, wtuliła się w miękką pościel. Zasnęła niemal natychmiast, ale sen nie przyniósł jej odprężenia. Był to gorączkowy majak w odcieniach czerni i czerwieni. Widziała Oskara - stał w swojej kajucie w rozpiętej koszuli. Uniósł rękę. Na jego opalonym przedramieniu zobaczyła wypisane krwią: **CHCĘ SIĘ Z TOBĄ PODZIELIĆ!**

Spojrzała na Lorcana, który ocierał usta z resztek czerwonej cieczy.

- Grace! - powiedział, przerzucając fular przez ramię, i ruszył w jej kierunku. - Grace, jestem przy tobie.

Otworzył ramiona, a ona podbiegła do niego, spragniona poczucia bezpieczeństwa. Uściskał ją i ucałował w czubek głowy.

Popatrzyła w górę, pragnąc ujrzeć jego błękitne oczy, ale zamiast nich zobaczyła twarz Sidorii. Ścisnął ją coraz mocniej, niemal dusząc, i z uśmiechem powtarzał:

- Jestem przy tobie. Będę u twojego boku na każdym etapie tej podróży.

Grace obudziła się zrana potem. Dłuższa chwila minęła, nim jej oddech wreszcie się wyrównał. To był tylko sen. Okropny koszmar. Czego innego mogła się spodziewać po tym wszystkim, przez co przeszła? Powoli się uspokajała. To był zły sen, nic więcej. Na stoliku przy łóżku stała szklanka z wodą. Sięgnęła po nią, pragnąc orzeźwić się łykiem chłodnego płynu, i znieruchomiała. Obok szklanki leżało zaproszenie. To samo, które przedarła i rzuciła do wody w ślad za Johnnym. Dziewczyna zmarszczyła brwi i dotknęła listu. Był w jednym kawałku, a w dodatku całkiem suchy. Czy to jakaś magia?

Nagle poczuła, że nie jest w kajucie sama. Ktoś siedział na krześle nieopodal łóżka. Drżącymi rękami Grace sięgnęła po zapalniczkę i zapaliła lampę olejną stojącą na stoliku. Mrok rozproszyła złota poświata. Była słaba, ale wystarczająca, by ukazać twarz osoby siedzącej naprzeciwko ze skrzyżowanymi ramionami. Kobieta pochyliła się i odezwała:

- Grace, cóż to za fanaberia z odrzuceniem naszego zaproszenia? To niewybaczalne zachowanie! Jesteś moją pasierbicą. Czy nie zasługujemy chociażby na szansę, żeby się lepiej poznać?

- Lady Lola? - Dziewczyna na moment wstrzymała oddech.

Wampirzyca z uśmiechem wyciągnęła do niej ramiona.

- Miałam nadzieję, że zechcesz nazywać mnie mamusią.

Rozdział 11

Niegodziwa macocha

Lola potrząsnęła głową. - Och, sama nie wiem, czemu to powiedziałam! Wcale nie oczekuję, że będziesz tak się do mnie zwracać, ani tego nie chcę.

- A czego chcesz? - spytała Grace, siadając na łóżku. Była niezadowolona, że dała się zaskoczyć lady Lockwood podczas snu. - Co ty tu w ogóle robisz?

Wampiratka posłała jej uśmiech.

- Nie powinnam była powierzać tak ważnego zadania kowbojowi. Tak, wiem, jest ładniutki i całkiem miły, no i domyślałam się, że coś was łączyło. Ale już dawno doświadczyłam na własnej skórze - a ty zapewne też się tego nauczysz - że jeśli ma być coś zrobione dobrze, musisz zrobić to sama.

Grace patrzyła na swoją „niegodziwą macochę”. Lola była olśniewająco piękna. W momencie przejścia ze świata śmiertelników do królestwa wampirów musiała mieć około czterdziestu lat. Jej skóra była biała jak alabaster, a włosy czarne niczym skrzydła kruka. Oczy miały głęboki odcień brązu. Lady Lockwood przypominała gwiazdę filmową lub królową z baśni. Każdy szczegół jej twarzy był idealny - od pełnych ust aż po pieprzyk zdobiący gładki policzek.

Jedynym niepasującym do całości elementem wydawało się czarne serce wytatuowane wokół lewego oka Loli. Owszem, było doskonale wykonane i robiło wrażenie. Ale coś w nim drażniło Grace. Nie potrafiła oderwać od niego wzroku. Po chwili kształt serca zaczął się rozmywać i dziewczyna zobaczyła zupełnie inny obrazek: lekko rozmyty sierp księżyca, czarny w środku, seledynowy po bokach i purpurowy przy krawędziach. Grace zrozumiała, że patrzy na bardzo brzydki siniak.

- Nie nauczono cię, że niegrzecznie jest się gapić?

- Ostry ton Loli przywołał dziewczynę do rzeczywistości. Wampiratka podniosła się z krzesła i Grace poczuła uderzający do głowy, niemal hipnotyzujący zapach róż.

Lola podeszła bliżej i położyła dłoń na jej ramieniu.

- Wydajesz się rozkojarzona. Może powinnaś napić się wody?

Grace zerknęła na szklankę, ale po nią nie sięgnęła. - O co chodzi? - indagowała Lola, siadając na łóżku i wygładzając fałdy spódnicy. - Co cię tak poruszyło?

Grace się zawahała. Nie była pewna, jak wiele chce wyjawzić. Postanowiła zaryzykować.

- Widzę różne rzeczy - powiedziała. - Mam dar.

Lola skłoniła głowę.

- Ponoć masz ich wiele, moja droga. Twój ojciec wyraża się o tobie z najwyższym uznaniem.

Na dźwięk słowa „ojciec” Grace poczuła się nieswojo.

- Mówisz o Sidorii?

Lola przytaknęła.

- Owszem, mówię o Sidorii. O moim mężu, a twoim ojcu. Zaraz o nim porozmawiamy. Ale najpierw wyjaśnij mi, co widziałaś.

Grace ponownie się zawahała, ale uznała, że powinna podjąć wyzwanie.

- Dostrzegam ukryte rzeczy - oznajmiła. - Zajrzałam pod twój tatuaż. - Twarz lady Loli zastygła jak maska. - Zobaczyłam twoją ranę.

- Fascynujące - odparła wampiratka, choć widać było, że nie jest zachwycona. - Co dokładnie zobaczyłaś?

- Siniak - odpowiedziała Grace. - W kształcie półksiężyca. - Nachyliła się ku Loli. - Zastanawiam się... czy ma on związek z twoją śmiercią i przejściem.

Lady Lockwood skrzyżowała ramiona.

- Teraz pamiętam. Sid wspominał, że interesują cię historie przejścia. Podobno zaczęłaś pisać książkę czy coś takiego.

Grace była zaskoczona, ale schlebiało jej, że Lola o tym wie. Skinęła głową.

- Rozmawiam ze wszystkimi wampiratami, których spotykam, i pytam ich, jak przeszli. Sidorio był jednym z pierwszych, którzy opowiedzieli mi swoją historię. Został zabity przez Juliusza Cezara.

Mówiąc to, sięgnęła do stolika i otworzyła szufladę. Wyjęła z niej notes i podała go Loli.

Wampiratka z zainteresowaniem zaczęła przebiegać wzrokiem zapisane stronicę. Gdy to robiła, Grace przyglądała się jej z zachwytem. W świetle lampy oliwnej rzęsy Loli rzucały cień

na policzki, przez co wydawały się jeszcze dłuższe. Dziewczyna ponownie spojrzała na tatuaż w kształcie serca. Lola natychmiast podniosła wzrok.

- Masz bardzo ładny charakter pisma - oznajmiła z uśmiechem. Zamknęła notatnik i położyła go na łóżku.

Grace ze zdumieniem stwierdziła, że ten komentarz ją zdenerwował. Liczyła na coś innego. Była dumna ze swojej pracy. Zebrała już wiele historii przejścia. Co więcej, z powodów, których nie rozumiała, chciała zaimponować lady Loli. Ponownie więc zaczęła wpatrywać się w jej tatuaż.

- Co robisz? - Głos Loli był stłumiony, jakby dochodził z oddali.

Zagłuszał go inny dźwięk, który narastał w głowie Grace. Dudnienie końskich kopyt. I jeszcze jeden odgłos, cichszy i delikatniejszy. Deszcz. Właściwie mżawka. Przez szum kropel przedarł się nagle jakiś hałas. Może to wrzaski ptaków? Zaintrygowana Grace skupiła się bardziej. Wtedy zrozumiała, że to nie głos żadnego zwierzęcia. Kojarzył się raczej z pracą jakiegoś mechanizmu.

- Przestań! Cokolwiek robisz, natychmiast przestań! - Głos Loli był teraz jedynie szeptem i Grace nie zamierzała go posłuchać.

Jej wizja stawała się coraz bardziej sugestywna. Widziała końskie kopyta unoszące się nad powierzchnią ziemi i kałuże lśniące w nierównościach wiejskiej drogi. Trzaski, które słyszała, dobywały się z kół powozów ciągniętych przez konie. Te koła były zardzewiałe i wymagały naoliwienia.

Nagle Grace poczuła piekący ból w policzku. Jej wizja została przerwana. Otworzywszy oczy, zobaczyła lady Lolę z uniesioną ręką. Przyjrzała jej się z niedowierzaniem.

- Czy ty mnie spoliczkowałeś?

Wampirzyca nawet nie próbowała zaprzeczać.

- Nie pozostawiłaś mi wyboru. Zachowałeś się bardzo nieelegancko. Nie akceptuję braku dobrych manier.

- Dobre maniery?! - Dziewczyna spoglądała na Lolę. Policzek nadal ją piekł. - I niby ty miałabyś mnie pouczać w sprawie jakichkolwiek manier?

- Dajmy już temu spokój. Zrobiłam to, co uznałam za konieczne. Nie mamy wiele czasu. Przestań bujać w obłokach i skup się na tym, co mam ci do powiedzenia.

Grace skrzyżowała ramiona na piersi.

- Podaj mi jeden dobry powód, dla którego miałabym ci poświęcić choćby pięć sekund.

- Och, Grace! - westchnęła wampiratka. - Wiesz przecież, że znalazłaś się w trudnej sytuacji i tylko ja jestem w stanie ci pomóc.

Dziewczyna potrząsnęła głową. - Nic mi o tym nie wiadomo. - Jesteś dampirem, Grace! Pół śmiertelniczką, pół wampirem. Wiem, że świetnie zdajesz sobie z tego sprawę. Kłopot w tym, że nie do końca rozumiesz, co to oznacza. Potrzebujesz pomocy, by odkryć, kim naprawdę jesteś i na co cię stać. Potrzebujesz wskazówek, by dojrzeć jako istota nieśmiertelna.

- I ty oferujesz mi tę pomoc?

- Mogłaś trafić znacznie gorzej - stwierdziła Lola.

Grace przewróciła oczami, ale niezrażona lady Lockwood mówiła dalej:

- Do tej pory żyłaś w kłamstwie. Sądziłaś, że Dexter Tempest jest twoim ojcem. Nic bardziej mylnego. Był miłym, chociaż mało ambitnym mężczyzną, który pokochał twoją matkę, a ciebie i Connora wychował najlepiej, jak potrafił. Ale nie łączyły was więzy krwi.

- Dexter był moim tatą - oznajmiła Grace stanowczo. - Cokolwiek powie Sidorio, ten fakt się nie zmieni.

Lola pokręciła głową.

- Twój związek z Sidoriem wszystko zmienia. To twój ojciec krwi. Jest bardzo potężną postacią, królem wszystkich wampiratów.

Dziewczyna prychnęła drwiąco, a potem zamarła, obawiając się, że po raz kolejny dłoń wampirzycy wyląduje na jej policzku. Jednak żona Sidorio tylko spojrzała na nią pytająco. Grace poczuła przypływ odwagi.

- Sidorio jest wodzem obszarpanej bandy renegatów - oświadczyła. - Tych, którzy nie radzili sobie z dyscypliną na tym statku lub w Sanktuarium. Na pewno nie jest królem wampiratów. To jest jedyny prawdziwy statek wampiratów. Nie twój i nie Krwawy Kapitan, tylko ten statek - Nokturn!

Lola wzruszyła ramionami.

- Kiedyś może i była to prawda. Ale ten statek nie ma już nawet kapitana. - Uśmiechnęła się smutno. - Widzę, że nie próbujesz zaprzeczać.

- Kapitan... wyjechał - odpowiedziała Grace. - Ale niedługo wróci. A tymczasem...

- Daj spokój! - Wampirzyca uniosła dłoń. - Nie marnuj cennego oddechu na przekonywanie mnie, że Mosh Zu pilnuje jego tronu. Znowu wpadłaś w tę samą pułapkę, moje

dziecko. Żyjesz w kolejnym kłamstwie. Wiem, że chcesz być lojalna wobec biednego kapitana i załogi tego statku. Ale Nokturn umiera, droga Grace. Połowa wampiratów odeszła i przyłączyła się do Sidorio. Nie dlatego, że brak im dyscypliny. Po prostu wreszcie się ocknęli i pojęli swoją naturę. Nie byłoby właściwe, gdyby dłużej uginali kark przed kapitanem, który na długo przed tym, jak zupełnie zniknął, skrywał oblicze pod maską. Jego czas dobiegł końca.

Brutalne słowa Loli poruszyły Grace.

- Mosh Zu... - zaczęła, ale umilkła.

Lady Lockwood nie traciła animuszu.

- Mosh Zu znajduje się tutaj, owszem. Ma wiele talentów, ale nie jest przywódcą. Pamiętaj, co zrobił, kiedy Sidorio wtargnął do Sanktuarium? Pozwolił wampiratom odejść! Świat wampiratów się zmienia, Grace, a ty musisz podjąć decyzję. Wolisz odejść w niepamięć z powodu niedorzecznego poczucia lojalności, czy zająć należne ci miejsce u boku ojca i brata tworzących nowe imperium? Imperium, które Sidorio i ja przeznaczyliśmy dla ciebie i Connora. Dla nas wszystkich. - Oczy wampirzycy roziskrzyły się pod wpływem ambicji. - Nasze imperium nocy!

Grace opuściła wzrok.

- Odejdź stąd - powiedziała cicho, lecz z przekonaniem.

- Niedługo tak uczynię - odparła Lola. - Muszę wracać na pokład Wagabundy. Ale zanim sobie pójdę, powiem ci coś jeszcze.

Grace czekała, czując na sobie przeszywające spojrzenie wampiratki.

- Staw czoło temu, kim jesteś, Grace - powiedziała wreszcie lady Lockwood. - Temu, czym jesteś. - Podniosła list ze stolika. - Nie odrzucaj zaproszenia, za które wielu innych byłoby gotowych zabić. - Podała kopertę dziewczynie, ta jednak nie zamierzała jej wziąć.

Grace ze zdumieniem spostrzegła, że drży, nie była jednak pewna, czy ze strachu, czy ze złości, czy może pod wpływem obu tych emocji.

- Nie prosiłam o to - rzekła cicho. - Wcześniej byłam szczęśliwa. Wystarczało mi bycie zwyczajną dziewczyną. W latarni, razem z tatą i Connorem, byłam szczęśliwa... kiedy mieszkaliśmy w Zatoce Księżycowej.

Lola parsknęła śmiechem.

- Sama w to nie wierzysz. Może i o nic nie prosiłaś, jednak fascynuje cię świat, który odkryłaś i którego jesteś częścią. Otrzymałaś wiele darów, Grace. Ale wszystko posiada swoją cenę. Masz zobowiązania - wobec siebie i wobec swojego ojca.

- Wobec Sidorio? - krzyknęła dziewczyna. - Nie jestem mu nic winna!

W oczach wampirzycy zapłonął ogień.

- Wręcz przeciwnie, moja droga. Jesteś mu wiele winna. Zawdzięczasz mu życie. Zawdzięczasz mu swoją nieśmiertelność. Nie oszukuj się, kochanie. Gdybyś była zwykłą śmiertelniczką, nie przetrwałabyś na tym statku ani jednej nocy. Ktoś od razu pożywiłby się twoją krwią. Wszyscy od początku zdawali sobie sprawę, że jesteś inna, wyjątkowa. Ty jedyna poruszałaś się w ciemności po omacku. - Lola nachyliła się i sięgnęła po notes Grace. Dziewczyna patrzyła z przerażeniem, jak wampiratka przerzuca kartki. Obawiała się, że Lola zniszczy jej zapiski z czystej złośliwości. - Spokojnie! - syknęła lady Lockwood, zamykając notes. - Nie zniweczę twojego cennego dzieła. Ale czy naprawdę niczego nie dostrzegasz? Tak cię zafascynowały historie przejścia innych, że pominęłaś najważniejszą. Swoją własną. Niedbale cisnęła zeszyt Grace na łóżko.

- To wszystko, co chciałam ci powiedzieć. Kiedy będziesz gotowa, przestań spisywać te opowiadanka i zacznij żyć, naprawdę żyć. Powitamy cię wówczas z otwartymi ramionami, twój ojciec i ja.

Lady Lola Lockwood Sidorio, niegodziwa macocha Grace, wyszła z kajuty. Kiedy drzwi się za nią zamknęły, dziewczyna niepewnie wstała. Miała wrażenie, że wpadła pomiędzy zachłanne wiry morskie, które tylko czyhają na to, by ją porwać.

Rozdział 12

Sługa dwóch panów

- Masz szczęście, że mnie zastałeś - oznajmiła Cheng Li, kiedy Connor wszedł do kajuty kapitańskiej. - Miałam właśnie zejść do taksówki wodnej.

- Zerknęła na zegar wiszący nad biurkiem. - Która powinna przy płynąć trzy minuty temu! Jeszcze jedno spóźnienie, a zmienię korporację.

Connor był skonsternowany. Przez ostatnie dwadzieścia cztery godziny przygotowywał się psychicznie na to spotkanie i miał nadzieję, że wcześniej rano, nim większość załogi wstanie, będzie mógł porozmawiać z Cheng Li w spokoju.

- Dokąd płyniesz? - spytał.

Na twarzy dziewczyny pojawił się uśmiech.

- Jestem umówiona z naszym starym znajomym, komandorem Blackiem. Po sukcesie operacji Czarne Serce czas zaplanować kolejną wyprawę przeciwko wampiratom.

Chłopak zmartwiał. Jego zwierzchniczka przyjrzała mu się uważnie.

- Wyglądasz niewyraźnie. Jesteś chory? Mam nadzieję, że nie złapałeś tej rybiej grypy, która teraz szaleje. Lepiej usiądź. - Wskazała krzesło stojące obok biurka.

Connor wahał się przez chwilę.

- Naprawdę musimy pogadać - powiedział w końcu.

- Wiesz, jak bardzo lubię nasze rozmowy - odparła Cheng Li. - Obawiam się jednak, że to nie najlepsza pora. Jeśli chcesz, możemy umówić się na wieczór, kiedy wrócę z Akademii.

Chłopak pokręcił głową.

- Nie. Musimy porozmawiać, zanim spotkasz się z przedstawicielami Federacji.

Cheng Li uniosła brew, nic nie mówiąc. Pracowali ze sobą już na tyle długo, by rozumieć się bez słów. Connor wiedział, że zostanie wysłuchany z uwagą, ale musi się spieszyć.

- Lola Lockwood nie zginęła.

Dziewczyna osłupiała.

Ktoś zapukał do drzwi, a potem je uchylił. Bo Yin wsunęła głowę do kajuty i oznajmiła z uśmiechem:

- Pani kapitan, przyплыnęła taksówka. - Dziękuję, Bo Yin - odparła Cheng Li zadziwiająco opanowanym głosem. - Powiedz, proszę, przewoźnikowi, że skoro spóźnił się pięć minut, musi poczekać na mnie kolejnych pięć. I nie zamierzam płacić mu za ten czas.

- Tak jest, pani kapitan! - Bo Yin zasalutowała, a potem uśmiechnęła się promiennie do Connora i radośnie pobiegła wykonać rozkaz. Nie ulegało wątpliwości, że dziewczynkę cieszy przynależność do załogi.

Cheng Li usiadła za biurkiem.

- No dobrze. Zyskaliśmy pięć cennych minut. Najwyraźniej masz dla mnie ważne informacje. Mów.

- Lola Lockwood nie została unicestwiona w noc ślubu - oznajmił Connor, czując przyływ adrenaliny. - Operacja Czarne Serce zakończyła się porażką. Sidorio połączył głowę Loli z jej ciałem. Ta kobieta żyje, ma się dobrze i powróciła właśnie z romantycznej podróży poślubnej.

Jego rozmówczyni zmarszczyła brwi.

- Skąd to wiesz?

Nie tracąc czasu, chłopak położył na biurku kopertę.

- Stukeley mnie odszukał - powiedział. - Przyniósł mi zaproszenie.

Cheng Li wsunęła na nos okulary do czytania i wyjęła z koperty złożoną kartkę. W miarę odczytywania słów Sidorio jej twarz przybierała coraz bardziej surowy wyraz. Wreszcie Cheng Li odłożyła list, splótła dłonie i oparła o nie podbródek.

- Wygląda na to, że mamy problem - stwierdziła.

Connor przytaknął.

- Przepraszam. Powinienem być od razu do ciebie przyjść.

- Kiedy Stukeley ci to dał?

- Przedwczoraj w nocy, gdy zegnaliśmy Cate i Barta. Wyszedłem z tawerny, żeby się przewietrzyć. Cekał na mnie na tej zaśmieconej plaży.

Cheng Li była wyraźnie niezadowolona.

- Wiem, że należało powiedzieć ci o tym od razu - mruknął chłopak ze skruchą. - Przepraszam.

Cheng Li przyglądała mu się przez moment.

- Owszem. Ale bez wątpienia miałeś jakiś ważny powód, żeby tego nie zrobić. I tak jestem ci wdzięczna, że dowiedziałam się o wszystkim, zanim stanęłam przed tym nadętym Ahabem Blackiem.

Connor był zdumiony spokojem, z jakim przyjęła te ponure wieści. Skrupulatnie zaplanowana operacja, po której przeprowadzeniu młoda kapitan i członkowie jej załogi zebrali tyle pochwał, okazała się katastrofą. Chłopak z zażenowaniem pomyślał, że jego postępowanie pozbawiło Cheng Li kilkunastu godzin na przemyślenie strategii.

Nagle dziewczyna wstała i sięgnęła po swój żeglarski worek. Czyżby już wychodziła?

- Jest mi naprawdę przykro - powiedział.

- Przestań się usprawiedliwiać - odparła Cheng Li, zarzucając worek na ramię. - I porzuć tę smutną minę. Nasza misja nie jest typowa, więc wszystko może się zdarzyć. Nie mamy do czynienia ze zwyczajnym wrogiem.

Connor był zdumiony jej stoicyzmem.

- Co im powiesz?

- Nie wiem - odparła, otwierając drzwi. - Pomyślimy o tym po drodze. Zbieraj się.

- Mam płynąć z tobą do Akademii?

- Connor, pij tran na śniadanie - rzuciła zaczepnie. - Może dzięki temu twój umysł będzie rankami sprawniej funkcjonował. Chodź! Jesteśmy już dziesięć minut spóźnieni. Lepiej, żeby ten przewoźnik znał się na nawigacji.

Gdy taksówka sunęła prędko po falach oceanu, bliskość wody sprawiła, że Connor wreszcie się rozluźnił. Poranek był ciepły, a słone krople przyjemnie chłodziły twarz i ramiona. Razem z Cheng Li usiadł po przeciwnej stronie łodzi niż przewoźnik. Dzięki temu mogli rozmawiać, nie obawiając się, że ktoś ich podsłucha. Niemniej jednak pierwszą część drogi spędzili w milczeniu, jakby mieli czas na podziwianie widoków i rozmyślania.

- A zatem - Cheng Li przerwała ciszę - dostałeś zaproszenie od Sidorii i lady Loli. Zastanawiałeś się nad przyjęciem go?

Connor pokręcił głową.

- Nie - odparł z całkowitą szczerością. - Ich statek to ostatnie miejsce, w którym chciałbym się znaleźć, a oni są ostatnimi osobami, z którymi chciałbym spędzać czas.

Cheng Li uniosła okulary przeciwsłoneczne i spojrzała na towarzysza.

- Nie działaj pochopnie. W tej sytuacji nie ma dobrych i złych wyborów. Powiedziałabym, że po tym, czego się dowiedzieliśmy o twoim pochodzeniu, oboje - ale w szczególności ty - wpływamy na nieznane wody.

Chłopak zmarszczył brwi. To było do niej zupełnie niepodobne. Potrzebował prostej odpowiedzi, czarno na białym: „Zrób to, nie rób tego”. Nie spodobało mu się jej nastawienie. Jeśli cokolwiek sprawiało, że czuł się, jakby żeglował po nieznanym wodach, to właśnie enigmatyczne zachowanie Cheng Li.

- Wiem, że Sidorio jest moim biologicznym ojcem - powiedział. - Wiem, że przez to jestem inny. Cóż, jakoś sobie z tym poradzę. Nieważne, co będę musiał zrobić i jak długo to potrwa. Jestem wdzięczny za twoje wsparcie. Nie chcę wkraczać do świata wampirów. Chcę być tutaj, otoczony przyjaciółmi, w miejscu, które znam.

- Hmm... - Cheng Li ponownie nasunęła ciemne okulary na nos i rozważała słowa Connora. - Rzecz w tym, że znalazłeś się między Scyllą a Charybdą. A tymczasem naszą misją jest zniszczenie wampiratów, przynajmniej tych zbuntowanych, również Sidorio, Loli i Stukeleya. Musisz się zastanowić, czy chcesz nadal brać w niej udział. Twoja lojalność może zostać poddana próbie. Jako sługa dwóch panów nie będziesz już tak przydatny.

Connor poczuł gniew.

- Nie jestem i nie będę sługą dwóch panów! - warknął ze złością. - Ani przez chwilę! Wampiraci nic dla mnie nie znaczą. Nawet mniej niż nic. Chcę ich zniszczyć tak samo jak ty. A pewnie nawet bardziej. - Patrzył Cheng Li prosto w oczy. - Jestem gotów pomóc w unicestwieniu każdego z tych potworów. Musisz mi uwierzyć.

- Wierzę - zapewniła, kładąc mu dłoń na ramieniu i ścisząc głos. - Ale ty musisz mieć pewność. Nawet jeśli nasza misja się powiedzie i zniszczymy ich co do jednego, nie zmienisz swoich genów. Nadal będzieszampirem, tak samo jak Grace. A Sidorio pozostanie twoim ojcem. - Mówiła łagodnie, niemal ze współczuciem, jednak jej słowa przeszywały Connora niczym ostrze.

- W porządku - odparł. - Najpierw ich zniszczmy. Potem będę miał całą wieczność na uporanie się z kryzysem tożsamości.

- No dobrze - odparła Cheng Li. - Skoro jesteś tego pewien. Ale żeby było jasne: jeśli chcesz uczestniczyć w misji, masz zrobić wszystko, o co poproszę. Tego od ciebie oczekuję. Nie będę robić wyjątków tylko dlatego, że mamy wspólny sekret.

- Nie chcę specjalnego traktowania - oznajmił chłopak. - Jestem zaangażowany w tę misję w stu procentach. Proszę jedynie o to, żebyś zachowała tajemnicę. Przynajmniej do czasu, aż będę gotów sam wszystko wyjawić załodze. - Spuścił głowę. - O ile ten dzień kiedykolwiek nadejdzie.

Cheng Li wyciągnęła rękę.

- Umowa stoi.

Connor ujął podaną mu dłoń. Drżał z przejęcia, ale uspokoił go mocny uścisk jej palców.

Z drugiego końca łodzi dobiegło ich wołanie:

- Patrzcie! To Akademia Piractwa. Dowiozłem was dobrych dwadzieścia minut przed czasem. - Przewoźnik uśmiechnął się, pokazując niemal bezzębne dziąsła. - Mam nadzieję, kapitan Li, że daje szefowa duże napiwki.

Kiedy stanęli na znajomym pomoście przy Akademii, Connor westchnął, pozbywając się części napięcia, które odczuwał od czasu spotkania ze Stukeleyem. Po rozmowie z Cheng Li poczuł się dużo lepiej.

Była przy nim, tak jak zawsze, odkąd wyłowiła go z oceanu.

- Chodź - powiedziała, wspinając się po schodach. - Nie każmy Blackowi czekać. - Pomachała w kierunku drobnej figurki profesor Lisabeth Quivers, którą dostrzegła na tarasie u szczytu wzgórza.

Pani Quivers była jednym z byłych kapitanów, którzy odgrywali teraz ważną rolę zarówno w Akademii, jak i w Federacji. Connor nie darzył większości tutejszych wykładowców ciepłymi uczuciami, ale tę starszą damę bardzo lubił. Miała o wiele lepiej rozwiniętą wrażliwość niż jej koledzy po fachu.

Przyspieszył kroku, by zrównać się z Cheng Li.

- Wymyśliłaś już, co powiesz komandorowi Blackowi i członkom Federacji? - spytał.

- Mniej więcej - oznajmiła. - Jestem pewna, że kiedy wejdziemy do sali, wszystko samo ułoży mi się w głowie. Tylko pamiętaj, co obiecałeś. Zrobisz wszystko, o co cię poproszę.

Connor skinął ponuro głową.

- Pamiętam. Nie zawiodę, pani kapitan.

Rozdział 13

Audiencja w Federacji

Cheng Li zastukała energicznie do drzwi gabinetu dyrektora. - Entrez! - zawołał znajomy głos. Drzwi się otworzyły, a Rene Grammont ponaglił ich, by weszli. - Cheng Li i pan Tempest. Bienvenue! Witajcie na starych śmieciach. - Kapitan Grammont ucałował dziewczynę w oba policzki. - I jeszcze jeden całus na szczęście, riest-ce-pas?

Potem wyciągnął rękę i uściśnął dłoń Connora tak mocno, że chłopcu aż łzy napłynęły do oczu. W Rene Grammoncie było coś kojąco staromodnego, począwszy od rumianych, gładko ogolonych policzków, aż po delikatny zapach fajkowego tytoniu zmieszanego z cytrusową wodą kolońską.

- Gratuluję panu objęcia po Johnie stanowiska dyrektora - powiedziała Cheng Li, wchodząc do gabinetu. - Wiem, że on właśnie tego by sobie życzył.

- Merci. - Grammont uśmiechnął się z dumą. - Dla mnie to prawdziwy zaszczyt, móc kontynuować dzieło komandora Kuo.

- Był pan przy nim od samego początku - odparła. - Jestem pewna, że zmiana będzie ledwie odczuwalna.

- Jesteś aż nazbyt miła! - Błękitne oczy Grammonta błyszczały zadowoleniem. - Doskonale wyglądasz. No i razem ze swoją młodą załogą świetnie się spisujesz. Tutaj, w Akademii, ale też w Federacji, wszyscy są pod ogromnym wrażeniem waszych dokonań.

Cheng Li skromnie opuściła głowę. Connor zaczął się zastanawiać, jak dowództwo zareaguje na wieść, że operacja Czarne Serce wcale nie zakończyła się sukcesem. Oby kapitanowie przyjęli to spokojnie, tak jak Cheng Li. Lecz o ile Rene Grammont mógł wykazać zrozumienie, o tyle nie sposób było przewidzieć, jak zachowa się zagadkowy komandor Ahab Black - ich przełożony z ramienia Federacji.

Kapitan Grammont zerknął na swój wypolerowany zegarek kieszonkowy.

- Alors, bardzo chętnie pogawędziłbym z wami, ale powinniśmy już iść.

- W rzeczy samej - podchwyciła Cheng Li. - Gdzie mamy się spotkać z komandorem Blackiem?

Nowy dyrektor Akademii uniósł brew. - W skrytce. - W skrytce? - Cheng Li nie kryła zdumienia. - Podniósł poziom ochrony do stopnia szóstego - wyjaśnił Grammont. - Chodźcie. Zaprowadzę was.

Connor i Cheng Li wchodzili już do skrytki Akademii przez tajne drzwi w podłodze Rotundy. Udali się tam kiedyś, by odnaleźć archiwa Federacji, w których zebrano materiały i przedmioty związane z wampirami. Teraz pokazano im krótszą drogę. Kapitan Grammont pochylił się nad stojącym w kącie gabinetu srebrnym globusem i trzykrotnie obrócił kulę wokół jej osi. Kiedy to uczynił, jeden z obitych skórą paneli ściennych odsunął się, ukazując słabo oświetlone kręte schody.

Dyrektor puścił gości przodem.

- Mam nadzieję, że żadne z was nie jest uczulone na kurz - rzekł, zdejmując pajęczynę ze swoich idealnie ufryzowanych włosów.

Schody prowadziły w dół do znajomego podziemnego korytarza z rzędami identycznych drzwi po obu stronach. Connor rzucił okiem na te oznaczone numerem osiem. Za nimi znajdowało się pomieszczenie, w którym przez wiele długich godzin, w pocie i znoju, przeglądali archiwalne materiały, szukając słabych punktów wampirów. Tutaj narodził się plan, który - jak sądzili - był niezawodny. Niestety, rozwój wypadków pokazał, że się mylili. Teraz jednak kapitan Grammont poprowadził gości do pokoju numer trzynastka. Zastukał, by dać znać o ich przybyciu, i odczekał chwilę. Potem otworzył drzwi. Wszedł pierwszy, nakazując gestem towarzyszom, by ruszyli za nim. Kiedy znaleźli się w środku, dokonał oficjalnej prezentacji:

- Kapitan Li i pan Tempest z pokładu Tygrysa.

Drzwi zatrzęsnęły się za nimi z hukiem.

Trzynastka, podobnie jak inne pokoje w skrytce, była słabo oświetlona. Powietrze wydawało się tu gęste i chłodne, jakby znajdowali się pod wodą. Ignorując unoszące się w powietrzu drobinki kurzu, chłopak spojrział na stół ustawiony wzdłuż jednej ze ścian. Zawalony był różnymi papierami, karafkami z wodą i misami pełnymi owoców. U jego szczytu siedział komandor Black, który wstał, by powitać nowo przybyłych. Na jego ustach pojawił się ledwo widoczny uśmiech. Connor zerknął na jedyne widoczne oko Blacka. Mimo panującego w

pomieszczeniu półmroku wyraźnie dostrzegł fiolet tęczówki. Drugie oko komandora, tak jak podczas ich poprzedniego spotkania, przesłaniała opaska.

Connor odniósł wrażenie, że Cheng Li wolałaby porozmawiać z Blackiem na osobności. To jednak nie było jej dane. Za stołem zasiadali już pozostali profesorowie Akademii Piractwa, piastujący wysokie stanowiska także w Federacji. Idąc za Cheng Li w ich stronę, Connor rozpoznawał znajome twarze. Miejsca po lewej zajmowali Paweł Płatonow, Shivaji Singh, Francisco Moscardo i Apostolos Solomos. Naprzeciwko nich siedzieli Floris van Amstel, Kirsten Larsen, Wilfred Avery i Lisabeth Quivers, która chyba przyszła prosto z tarasu. Kapitanowie uprzejmie powitali gości. Obecność Connora na spotkaniu nie była planowana, ale najwyraźniej nikomu nie przeszkadzała. Wręcz przeciwnie. Kapitan Płatonow wstał i osobiście przyniósł dla chłopaka dodatkowe krzesło. Przypomniawszy sobie swoje pierwsze spotkanie z przedstawicielami Federacji, Connor pojął, jak bardzo zwiększył się jego prestiż.

Zajął miejsce obok Cheng Li, dyrektor Grammont zaś pospieszył ku przeciwnemu krańcowi stołu, by dołączyć do komandora Blacka. Spoglądając w ślad za nim, Connor dostrzegł jeszcze czterech wysokich rangą piratów siedzących obok szefa Federacji. Cheng Li nagle zmieniła postawę i chłopak się zorientował, że i ona ich zauważyła.

- Witamy, kapitan Li, panie Tempest. Jak widzicie, zebrali się tu dzisiaj wszyscy wykładowcy Akademii. Są też z nami osobistości, które dobrze znacie: Barbarro Wrathe i jego małżonka Trofie, czyli kapitan i pierwszy oficer ze statku Tyfon. A także Molucco Wrathe i Cate Morgan, kapitan i pierwszy oficer ze statku Diabło.

Cate uśmiechnęła się do Cheng Li i Connora, unosząc dłoń w powitalnym geście. Troje Wrathe'ów także na nich spojrzało. Co dziwne - oni również się uśmiechali.

- Może powinienem to wyjaśnić... - ciągnął komandor Black.

- Nie zaszkodzi - odparła Cheng Li spokojnym głosem.

- W naszym świecie zachodzą wielkie zmiany, pani kapitan. Dlatego też musimy wzmacniać sojusze wewnątrz Federacji. To oznacza wyciągnięcie ręki do utalentowanych piratów, którzy z takich czy innych powodów w ostatnich latach nas opuścili. - Black zerknął na Molucca. - Wcześniej zawarliśmy umowę, na mocy której Molucco Wrathe został ponownie wcielony w szeregi Federacji. - Kapitan Diabła skinął głową i z uśmiechem przyglądał swoje tęczowe dredy. Spomiędzy nich wychynął nagle łeb jego ulubieńca, Scrimshawa. Oswojony wąż popętlął w dół i owinał się wokół ramienia właściciela. W tej samej chwili z gęstwiny ciemnych

loków Barbarro wysunął się Skirmish, brat Scrimshawa, i zaczął powoli sunąć wzdłuż rękawa swojego pana.

Ahab Black umilkł na moment, obserwując to dziwne zjawisko. Szybko jednak się otrząsnął i wrócił do tematu.

- Śmierć komandora Kuo pozostawiła w hierarchii Federacji ogromną wyrwę. Obawiam się, że nie wypełni jej jedna osoba. Dlatego też z radością oświadczam, że od dzisiaj komandorzy Barbarro Wrathe i Molucco Wrathe podzielą między siebie obowiązki federacyjne naszego zmarłego kolegi. Kapitan Li, oto pani nowi dowódcy!

Dziewczyna zaniemówiła. Nie potrafiła oderwać oczu od Molucca. Ten podczas przemowy Blacka z zadumą głaskał Scrimshawa, teraz jednak podniósł wzrok i uśmiechnął się szeroko.

- To miło, że znów dla mnie pracujesz, Cheng Li.

W pomieszczeniu zapanowała niezręczna cisza.

Wreszcie odezwała się Cate:

- Zapewne chciał pan powiedzieć, że to miło, iż Cheng Li ponownie z panem współpracuje.

- Doprawdy? - W oczach Molucca pojawiły się złośliwe iskierki.

Pałeczkę przejął Barbarro.

- Kapitan Li, wiem, że mój brat i ja spieraliśmy się z panią w przeszłości, ale jesteśmy gotowi zakopać topór wojenny i zjednoczyć się w imię wspólnego dobra. Operacja Czarne Serce zrobiła na nas ogromne wrażenie. Sprostą pani wszystkim naszym oczekiwaniom. - Wzdrygnął się i położył rękę na ramieniu Trofie. - Moja żona i ja mieliśmy paskudne spotkanie z tą upiorną Lolą Lockwood.

Trofie Wrathe podniosła złotą dłoń do policzka. Zalśniły rubinowe paznokcie.

- Chyba nie tak paskudne jak kapitan Kuo - zauważyła Cheng Li.

- Racja - przyznał Barbarro. - Mieliśmy szczęście, że uszliśmy z życiem. Jesteśmy bardzo wdzięczni za pani dokonania... - Jego wzrok spoczął na Connorze.

- Pani i reszty załogi. Uwolniliście oceany od potwora. Ale wasza misja nie jest jeszcze zakończona. Jak wiecie, Molucco i ja mieliśmy młodszego brata, Porfiria. Nasz drogi braciszek... Był zdolnym kapitanem ze wspaniałymi widokami na przyszłość. Został jednak

zamordowany przez wampiratów, przez Sidorą, z którym już się starliście. Teraz, skoro nie ma już tamtej diablicy, pora rozprawić się z nim. To będzie wasze następne zadanie.

Connor zmartwił. Wszystko działo się tak prędko... Pomyślał o rozmowie, którą odbył tego ranka z Cheng Li w drodze do Akademii. Zastanawiał się, co jego zwierzchniczka odpowie Wrathe'om.

Oczy zebranych zwrócone były na najmłodszą kapitan Federacji, która odezwała się po chwili milczenia:

- Komandorze Black, zakładałam, że dzisiejsze spotkanie odbędziemy w cztery oczy. Oczywiście zawsze miło jest zobaczyć swoich nauczycieli i przyjaciół. W gruncie rzeczy dobrze, że jesteście tu dzisiaj wszyscy, bo mam dla was ważne informacje, zarówno złe, jak i dobre. Chcę, żebyście byli na bieżąco.

Spokojny, wyważony ton Cheng Li zrobił dobre wrażenie na zgromadzonych, nie wyłączając Connora.

Chłopak nadal jednak nie wiedział, jak dziewczyna rozegra tę partię.

- Zacznę od wiadomości, która jest najtrudniejsza do przelknięcia - kontynuowała. - Lola Lockwood nie została unicestwiona.

Wokół stołu dało się słyszeć westchnienia niedowierzania.

Cheng Li pokiwała głową.

- Obawiam się, że to prawda. Wbrew naszym przekonaniom operacja Czarne Serce nie okazała się stuprocentowym sukcesem.

Molucco nie zwlekał ani chwili.

- Jeżeli lady Lola nie została wyeliminowana, to de facto powodzenie operacji należy obliczać na zero procent.

Uśmiechnął się kpiąco, widząc zmieszanie Cheng Li. Niespodziewanie jednak z pomocą dziewczynie przyszedł Barbarro Wrathe, odzywając się grzmiącym głosem:

- Bracie, daj pani kapitan dokończyć!

Cheng Li skłoniła głowę w geście podziękowania.

- Faktem jest, że wampiraci mają pewne zdolności, które dopiero zaczynamy poznawać. Mogę dodać, że w ciągu ostatnich kilku miesięcy moja załoga zdołała zgromadzić więcej wiadomości o nich, niż udało się to w którymkolwiek z wcześniejszych dochodzeń Federacji. Nasza wiedza i doświadczenie znacznie przekraczają wszystko to, co znajduje się w tajnych

archiwach pokoju numer osiem. Pragnę też dodać, że obecna tutaj Cate Morgan wykazała się geniuszem w planowaniu strategii walki z nowym wrogiem.

- Brawo, brawo! - zawołało kilku kapitanów.

Przesunąwszy wzrokiem po twarzach obecnych, Cheng Li mówiła dalej:

- Musimy zaakceptować niewygodną prawdę. Wampiraci nie są zwykłym przeciwnikiem.

Naiwnością z naszej strony było przeświadczenie, że pokonamy ich w pierwszym starciu. Krótko rzecz ujmując, powinniśmy porzucić plany stoczenia z nimi jednej decydującej bitwy, a zamiast tego przygotować się do długotrwałych działań wojennych.

- To mi się nie podoba - oświadczył Wilfred Avery.

- Mnie też nie - dodał Shivaji Singh. - Wojny są kosztowne.

- Właśnie! - przytaknął Floris van Amstel.

- Nikomu z nas się to nie podoba - warknęła kapitan Larsen. - Ale przez wiele lat przymykaliśmy oko na zagrożenie, jakim są wampiraci, i to doprowadziło do dzisiejszej sytuacji.

- To nie do końca prawda - sprzeciwiła się Lisabeth Quivers. - Aż do niedawna wampiraci nie stanowili większego zagrożenia.

- Właśnie - przytaknął Francisco Moscardo. - Chyba że sugerujesz, iż powinniśmy byli wyeliminować zagrożenie, zanim się pojawiło.

- Bez sensu! - krzyknął Apostolos Solomos.

- O to mi właśnie chodzi. - Moscardo skinął głową.

- Cheng Li ma rację - stwierdził Paweł Płatonow.

- Musimy stawić czoło sytuacji.

- Zgoda. - Ahab Black mówił spokojnie, ale autorytatywnie. Jego surowy ton przywołał sprzeczących się piratów do porządku. - Kapitan Li, mówiła pani o złych i dobrych wieściach.

Zakładam, że rewelacje o przeżyciu Lockwood były tą złą?

Cheng Li przytaknęła.

- Posłuchajmy więc dobrych wiadomości.

Connor obserwował, jak uwaga zgromadzonych ponownie skupia się na słowach jego zwierzchniczki.

- Jak już mówiłam, wampiraci to nowy rodzaj wroga. Mają umiejętności, których nie docenialiśmy, co widać na przykładzie lady Lockwood. Jednak wiemy też, że nasz przeciwnik ma pewne słabości. Najważniejszą z nich jest, mówiąc bez ogródek, bezbrzeżna głupota.

Pośród kapitanów znów zapanował harmider. Komandor Black uniósł dłoń, aby ich uciszyć.

- Głupota? - powtórzył. - Proszę wyjaśnić.

- Wampiraci są łatwowierni - odparła Cheng Li. - Skłonni uwierzyć w bajeczki, na które żaden śmiertelnik nigdy nie dałby się nabrać. Na przykład wspomniany wcześniej Sidorio, samozwańczy król zbuntowanych wampiratów. Udało nam się go przekonać, że Connor jest jego synem.

Chłopak był w szoku. Nie powinna tego mówić! Miał wrażenie, że to nie dzieje się naprawdę...

- Nie żartuję - ciągnęła pani kapitan. - Sidorio wierzy teraz, że ma dwoje dzieci: Connora i jego siostrę Grace. Później wyjaśnię szczegóły. - Jej wzrok znów prześlizgnął się po zebranych. - Będziemy musieli też przedyskutować pewne ważne kwestie dotyczące uczestników misji. Na przykład sprawę przyłączenia Cate Morgan i Barta Pearce'a na dłużej do mojej załogi. - Molucco już otworzył usta, żeby zaprotestować, ale Cheng Li nie dała mu dojść do słowa. - Najważniejsze jest teraz to, że Sidorio nam uwierzył. Zaprosił Connora i Grace, by zamieszkali z nim i Lolą na ich statkach. Z pewnością wszyscy się zgodzicie, że daje nam to niepowtarzalną okazję do umieszczenia szpiega w obozie wroga.

- A czy to nie oznacza wystawienia Connora na ogromne niebezpieczeństwo? - spytała Lisabeth Quivers.

- Pan Tempest niejednokrotnie już wykazał się determinacją - odparła Cheng Li. - Tak długo, jak Sidorio sądzi, że jest jego ojcem, Connorowi nic nie grozi. - Sięgnęła do swojego worka i wyjęła z niego kopertę.

Connor nie wierzył własnym oczom. Nie przypominał sobie, żeby dawał jej zaproszenie, chociaż nie mógł tego wykluczyć. Rano był tak rozkojarzony, że nie wiedział, co robi.

- Oto dowód - oświadczyła kapitan Li, otwierając list i rzucając go z satysfakcją na stół. - Przeczytajcie. Z pewnością przyznacie, że on wszystko zmienia.

Molucco pokręcił głową.

- Nie zmienia faktu, że operacja Czarne Serce była całkowitą porażką. Nie dam ci znowu Cate i Barta. Oni należą do mnie.

- Och, nie bądź takim sknerą! - syknęła Trofie, złotą dłonią chwytając list Sidorio. - W rzeczy samej, to niepowtarzalna okazja, żeby szpiegować wampiratów i zebrać o nich więcej

informacji, które pomogą nam ostatecznie ich unicestwić! - Z aprobatą zwróciła się do Cheng Li.
- Po raz kolejny nas pani zaskoczyła, pani kapitan. Brawo.

- Zgadzam się - zawtórował komandor Black. - Kapitan Li potrafiła przekuć klęskę we wspaniałe zwycięstwo. Federacja da pani załogę, o którą pani prosi, oraz wszystko inne, co będzie potrzebne. Kolejne posunięcia są oczywiste. Pan Tempest przyjmie zaproszenie Sidorii i dowie się absolutnie wszystkiego o działaniach wampiratów.

Connor czuł na sobie spojrzenia kapitanów. Nie mógł uwierzyć, że Cheng Li postawiła go w takiej sytuacji. Ciekawe, jak usprawiedliwi swoje postępowanie! Jednak gdy rzucał jej pytające spojrzenie, przypomniał sobie słowa przełożonej: „Jeśli chcesz uczestniczyć w misji, masz zrobić wszystko, o co poproszę”. Pokręcił głową. Naprawdę powinien był to przewidzieć.

Rozdział 14

Wieści o kapitanie

Grace leżała na łóżku, obracając w dłoniach kopertę z listem od Sidorii. W głowie tłoczyły jej się sprzeczne myśli i nie potrafiła zdefiniować wszystkich emocji, jakie wywołało w niej to zaproszenie. Wiadomość oraz niezapowiedziane odwiedziny Johnny'ego i Loli nie pozwalały jej zasnąć. Jakby nie dosyć jej było tego, co się wydarzyło w noc Uczty!

Dziewczyna nie miała jeszcze okazji porozmawiać z Lorcanem o swoim wtargnięciu do kajuty Oskara i o równie nagłym jej opuszczeniu. Zdała też sobie sprawę, że musi powiedzieć mistrzowi o dręczącym ją głodzie. W krótkim czasie wydarzyło się tak wiele, że traciła już rozeznanie.

Ktoś zapukał do drzwi.

- Proszę! - zawołała Grace, wsuwając kopertę pomiędzy kartki notesu i sięgając po długopis. Do kajuty weszła Darcy Flotsam, wyraźnie podniecona.

- Cześć, Grace! - zawołała. - Och, przepraszam! Mam nadzieję, że nie przeszkadzam ci w pisaniu?

Grace pokręciła głową. Czowała się trochę winna, oszukując przyjaciółkę. Zamknęła notes i odłożyła go na blat nocnego stolika.

Darcy zamknęła drzwi i charakterystycznym dla siebie estradowym krokiem zbliżyła się do łóżka.

- Przeglądałam swoje stare szkatułki z biżuterią... Wiesz, jaka ze mnie sroka... No i znalazłam to. - Wyciągnęła zaciśniętą pięść i rozchyliła palce.

Grace aż westchnęła. Na dłoni panny Flotsam leżała para najbardziej zachwycających kolczyków, jakie kiedykolwiek widziała. Osadzone w nich akwamaryny mieniły się nieskończoną liczbą odcieni zieleni i błękitu, jakby naprawdę powstały z morskiej wody.

- Dla mnie są zbyt klasyczne - oznajmiła Darcy. - Ale kiedy je znalazłam, od razu pomyślałam o tobie. Unieś włosy. Zobaczmy, jak będziesz wyglądać.

- Są przepiękne! - Grace ponownie westchnęła i posłusznie zebrała włosy w węzeł. Dopiero teraz zauważyła, jak bardzo są już długie.

Wampiratka wsunęła jej kolczyki w uszy.

- Idealnie! - oceniła z uśmiechem. - Wstań i się przejrzyj! Grace podeszła do lustra. Na widok swojego odbicia poczuła ucisk w żołądku. Miała wrażenie, że patrzy na własną matkę. Nigdy wcześniej nie wyglądała tak dojrzałe.

Darcy położyła dłoń na ramieniu przyjaciółki.

- Kolczyki są ładne, ale ty, Grace, jesteś piękna - oznajmiła. - Nic dziwnego, że Lorcan tak bardzo się w tobie zadurzył.

Dziewczyna nie potrafiła powstrzymać łzy, która spłynęła po jej policzku.

- Ależ kochanie, czemu płaczesz? - zdumiała się panna Flotsam, nerwowo szukając chusteczki.

- Przepraszam - wyjąkała Grace i kolejne łzy popłynęły jej z oczu. - Próbuję nie ulegać emocjom, ale tak wiele się dzieje...

- No już, już. - Wampiratka otarła chusteczką policzki przyjaciółki. - Usiądźmy. Opowiesz wszystko cioci Darcy, tak?

- Cioci? - Grace roześmiała się przez łzy i wróciła na łóżko. - Jesteś za młoda, żeby być moją ciotką! To znaczy, wyglądasz za młodo... Och, wiesz, co mam na myśli!

- Przegięłam, tak? - Darcy położyła się obok niej.

- No dobra, powiem szczerze. Wiem, że coś się święci. Kolczyki były...

- Pretekstem? - spytała Grace, rozbawiona.

- Raczej koniem trojańskim. Chciałam po prostu sprawdzić, czy wszystko u ciebie w porządku, no a podarunek dawał mi dobry powód, żeby tutaj zajrzeć.

- Och, Darcy! - jęknęła Grace. - Wcale nie potrzebowałaś biżuterii, żeby tu przyjść! Ale kolczyki są prześliczne i nie waż się ich zabierać! Jesteś moją przyjaciółką. Właściwie to jesteś dla mnie jak siostra, której nigdy nie miałam.

- Grace! - Wampiratka podniosła chusteczkę do oczu. - To najmiłsza... po prostu najmiłsza rzecz...

Dziewczyna się uśmiechnęła. Wizyta Darcy była prawdziwym błogosławieństwem. Mogła obgadać z nią wszystko i wspólnie się zastanowić, jak zacząć rozmowę z mistrzem i Lorcanem. Panna Flotsam nieraz już udowodniła, że doskonała z niej powierniczka.

- No więc? - spytała panna Flotsam, szeroko otwierając brązowe oczy i lekko wydymając usta. - Chyba najwyższa pora, żebyś powiedziała mi, co cię gnębi.

Grace już miała zacząć zwierzenia, kiedy powstrzymało ją kolejne pukanie do drzwi. Nim zdolała powiedzieć „proszę”, do kajuty wszedł Lorcan.

- Aha! - rzucił z uśmiechem. - Dwie piękności zamiast jednej!

- Lorcan! - ucieszyła się Grace. - Wejdz. Właśnie sobie gawędziłyśmy.

- A jakże - mruknęła Darcy, siadając i poprawiając włosy. - Zwyczajne babskie ploty. Nic, co nie mogłoby poczekać. - Postukała palcami w narzutę na znak zniecierpliwienia.

- Przepraszam, drogie panie, że wam przeszkodziłem. Ale musicie pójść ze mną. Mosh Zu chce natychmiast widzieć nas troje.

- Dlaczego? - zdumiała się Grace, wstając z łóżka.

Lorcan spojrzał na nie uważnie i odpowiedział spokojnym tonem:

- Wiem tylko, że chodzi o kapitana.

- O kapitana? - Serce Grace zabiło mocniej. W pierwszej chwili poczuła przypływ ekscytacji, potem jednak zaczęła się bać. Minęło sporo czasu, odkąd Mosh Zu po raz ostatni informował ich o stanie kapitana. W głowie dziewczyny panował zamęt. Zauważyła, że panna Flotsam drży, więc wyciągnęła do niej rękę.

- No już, Darcy. Nie przejmuj się tak - powiedział łagodnie Lorcan. - Ty też, Grace. Przecież to mogą być dobre wieści.

- Mosh Zu chce widzieć naszą trójkę. Ostatnie trzy osoby, które widziały kapitana w Sanktuarium. - W głosie wampiratki słychać było zdenerwowanie. Pokręciła głową. - Nie rozumiecie? To nie mogą być dobre wieści! Po prostu nie mogą!

- Darcy! - Grace ścisnęła przyjaciółkę za rękę.

- Uspokój się, proszę. Mosh Zu chce, abyśmy byli silni, tak jak kapitan. - Przyciągnęła pannę Flotsam do siebie i mocno ją przytuliła. - Darcy, wiem, jak wiele kapitan dla ciebie znaczy. Jest ważny dla nas wszystkich. Ale musimy tam iść i wysłuchać, co Mosh Zu ma nam do powiedzenia.

Lorcan przytaknął.

- Grace ma rację. Razem przez to przejdziemy. - Ponaglił je ruchem dłoni. - Powinniśmy ruszać. Im dłużej będziemy to odwlekać, tym bardziej będziemy przerażeni.

Miał słuszość. Grace starała się okazywać odwagę, ale ciarki raz po raz przebiegały jej po plecach. Nie była jednak w stanie określić, czy wynikało to z lęku o kapitana, czy raczej z jej wewnętrznej przemiany. Wychodząc za przyjaciółmi z kajuty, rzuciła okiem na obraz przedstawiający rodziców. Usłyszała głos taty:

„Zaufaj fali!”.

Skinęła głową, czując, jak spokój zastępuje panikę. Odwróciła się i ruszyła korytarzem za Darcy i Lorcanem.

Razem podeszli do drzwi kajuty mistrza, zajmowanej wcześniej przez bezimiennego kapitana. Grace przypomniała sobie, jak po raz pierwszy podeszła do tych drzwi, zdecydowana dowiedzieć się, jak niebezpieczne może być dla niej przebywanie na statku. Teraz to wspomnienie wydawało się tak odległe. Wówczas była zadziwiająco dzielna, biorąc pod uwagę okoliczności. Gdyby teraz mogła się poczuć choć w połowie tak odważna! „Utrata kapitana byłaby ogromnym ciosem - pomyślała. - Nie znam nawet jego imienia...”.

Pogrążona w myślach Grace nie usłyszała, jak Lorcan puka do drzwi, a Mosh Zu woła, żeby weszli. Nim się zorientowała, była już w kajucie, nadal trzymając przyjaciół za ręce.

Mosh Zu wstał na powitanie gości.

- Miło was wszystkich widzieć - oznajmił. Wyraz jego twarzy był, jak zawsze, trudny do rozszyfrowania. - Może zechcecie usiąść?

- A nie mówiłam?! - krzyknęła Darcy. - To nie mogą być dobre wieści! Ludzie zawsze tak zaczynają, kiedy mają do przekazania coś strasznego! Proszę, żeby usiąść! Proponuję filiżankę herbaty! Jakby to mogło złagodzić cios!

W zachowaniu przyjaciółki Grace dostrzegła odbicie własnych emocji. Zerknęła na mistrza i zobaczyła, że ten kręci głową i łagodnie się uśmiecha.

- Pomyślałem po prostu, że tak będzie wam wygodniej - powiedział. - Mamy wiele do omówienia.

Rozdział 15

Narada wojenna

- Dziękuję, że tak prędko przyszliście. - Mosh Zu nadal stał, mimo że Grace i Darcy zajęły już miejsca na kanapie, a Lorcan usadowił się na krześle.

- Wnioskuje z waszych min, że martwicie się o naszego drogiego przyjaciela, kapitana. Wiem, jak wiele on dla was znaczy. Dlatego z radością przekazuję wam te wieści. Grace poczuła, jak opada z niej lęk. Lorcan uśmiechnął się z ulgą. Tylko Darcy nadal była spięta i z niecierpliwością czekała na dalsze słowa mistrza.

- Kapitan wszedł w ostatnią fazę regeneracji - oznajmił Mosh Zu. - Wkrótce uda się w drogę powrotną do nas.

- Gdzie on teraz jest? - spytała Grace, ale mistrz uniósł dłoń, by powstrzymać dalsze pytania, i kontynuował:

- Przez kilka ostatnich nocy regularnie rozmawialiśmy, kapitan i ja. Obaj zgadzamy się co do tego, że zbliża się przełom. Musimy podjąć zdecydowane kroki, dlatego zaprosiłem do siebie waszą trójkę. Jesteście najbardziej lojalnymi i zaufanymi członkami załogi.

Słyszając to, Grace poczuła dumę. Łzy napłynęły jej do oczu. Tym razem były one wyrazem ulgi, ale starała się je opanować. Musiała się skupić. Najwyraźniej Mosh Zu miał im do przekazania coś niezwykle ważnego.

- Świat wampiratów się zmienia - ciągnął. - Niegdyś trzymaliśmy się razem, a nasza obecność była niemal niezauważana przez śmiertelników. Stworzyliśmy wiele szant, które miały napęłnić serca ludzi strachem i w ten sposób zmusić ich do trzymania się z daleka.

Grace przypomniała sobie piosenkę, którą tata śpiewał jej i Connorowi.

Oj, lepiej dobry bądź i prawy, nie żałuj na to sił, bo cię zamienię w wampirata i w dal odpłyniesz w mig.

Tak, lepiej dobry bądź i prawy, bo - spójrz! Czy widzisz to: jest czarny statek w porcie dziś, ma w pustym luku miejsca dość.

(Dla ciebie miejsca dość!).

Zatem ta szanta została ułożona przez samych wampiratów! W głowie dziewczyny pojawiła się przezabawna wizja mistrza siedzącego przy pianinie i komponującego muzykę oraz kapitana piszącego tekst. Uśmiechnęła się na tę myśl, jednak zaraz ją odpędziła, mistrz bowiem mówił dalej:

- Nokturn dawał schronienie tym, którzy nie znajdowali dla siebie miejsca w konwencjonalnym wampirzym społeczeństwie, owładniętym pragnieniem krwi. Z początku były także inne statki, ale to temat na inną rozmowę. W każdym razie jednostki te żeglowały przez wieczność, zapewniając bezpieczną przystań zgwałconym wampirom, zagubionym i prześladowanym, nieszczęśliwszym po śmierci bardziej niż kiedykolwiek za życia.

Lorcan ze zrozumieniem skinął głową.

- To samo dotyczyło Sanktuarium, w którym pracowałem przez wiele stuleci, pomagając wampirom zrozumieć własne instynkty. Jeśli nawet nie nauczyłem moich podopiecznych kontrolowania głodu, to przynajmniej uświadomili sobie, że wampirza natura nie jest jedynym, co ich określa. Tam też przygotowywałem członków załóg, zarówno wampiratów, jak i donorów, do życia na pokładzie. - Mosh Zu spojrzał z uwagą na swoich słuchaczy. - Jednak teraz wszystko ulega zmianie, i to w zastraszającym tempie.

- Sidorio - odgadła Grace. - I jego nowe imperium. Imperium nocy.

Lorcan zerknął na nią z ciekawością. Nie była jeszcze gotowa spojrzeć mu w oczy, więc zwróciła wzrok na mistrza, który potwierdził jej przypuszczenia.

- Tak. Wszystko zaczęło się zmieniać, kiedy Sidorio zbuntował się przeciwko kapitanowi i wybrał wygnanie. Sądziliśmy, że więcej o nim nie usłyszymy, ale niestety, nasze nadzieje okazały się płonne. Nie doceniliśmy go. Jako banita urósł w siłę.

Spojrzenie mistrza wyrażało teraz smutek.

- Bunt Sidorio podziałał jak magnes na innych wampiratów, którzy nie potrafili pogodzić się z tym, kim są, którzy uważają, że ich los usprawiedliwia bestialskie, okrutne zachowania. Chcą dorównać legendzie, którą sami stworzyliśmy. Ich cele są, co prawda, różne od naszych, ale nie możemy oczekiwać, że śmiertelnicy to dostrzegą.

Mosh Zu stanął przed paleniskiem. Było wygaszone. Ogień gniewu płonął za to w jego oczach.

- Przyjaciele, nadchodzi czas wojny. Nie chcieliśmy jej, ale nie miejcie wątpliwości: będziemy walczyć. I zwyciężymy. Mówię wam to w imieniu swoim i kapitana. To jest właśnie powód, dla którego musieliśmy się wycofać. Wcześniej był za słaby, żeby stawić czoło siłom ciemności.

- Ta wojna... - zaczął Lorcan. - Rozegra się między nami a armią Sidoria? My przeciwko jego imperium?

- Nie tylko my weźmiemy w niej udział - wyjaśnił mistrz. - Działania Sidoria doprowadziły do konfliktu między wampirami a światem śmiertelnych piratów. Oni również szykują się do ataku.

Grace pomyślała o Connorze i pokręciła głową.

- Piraci nas nie zaatakują - powiedziała. - Chcą Sidoria. Oni z pewnością dostrzegą różnicę.

- Tak zaczynają się wszystkie wojny - odparł Mosh Zu. - Ale kończą się inaczej.

Zrobimy wszystko, by uniknąć konfrontacji z piratami, ale musimy się na nią przygotować.

- W jaki sposób? - zapytał Lorcan.

- Każde z was odegra w tych przygotowaniach ważną rolę. Dlatego was wezwałem.

- Każde z nas? - Darcy była zdumiona. - A cóż my możemy uczynić? - Spojrzała na przyjaciół. - Nie chcę was przygnębiać, ale biorąc pod uwagę wizję rychłego końca świata, jakie mamy szanse?

- Ogromne - odrzekł Mosh Zu z uśmiechem. - Nieśmiertelna przyszłość zaczyna się od waszej trójki. Kapitan i ja pokładamy w was wielkie nadzieje.

Spojrzał na Irlandczyka.

- Lorcanie, Nokturn był zawsze statkiem pacyfistów. Trzymaliśmy się z dala od kłopotów, pilnowaliśmy własnych spraw i nigdy wcześniej nie walczyliśmy. Teraz jednak będziemy musieli umieć się bronić. Opracujesz techniki oraz strategię walki i wyszkolisz załogę, tak by mogła stawić czoło zarówno siłom Sidoria, jak i piratom.

- To trudne zadanie! - zawołał porucznik.

- Dlatego do jego wypełnienia potrzebujemy kogoś z twoim talentem i charakterem - oznajmił mistrz.

- Będę ci oczywiście pomógł. Podobnie jak kapitan, kiedy już wróci.

Lorcan skłonił głowę.

- Zrobię wszystko, co w mojej mocy - zapewnił. - Z radością.

- Znakomicie. - Teraz Mosh Zu zwrócił się do panny Flotsam, która ze zdenerwowania co chwila zakładała nogę na nogę i okręcała wokół palca kosmyk włosów. - Darcy, jesteś silniejsza, niż ci się wydaje. Ocaliłaś życie kapitana, kiedy był najslabszy. Musisz bardziej w siebie wierzyć. - Uśmiechnął się. - Nikt nie zaprzeczy, że doskonale potrafi się pani dogadywać z innymi, panno Flotsam. Lubi pani rozmawiać, prawda? Plotkować i gawędzić z członkami załogi?

- Cóż, tak. - Darcy zarumieniła się lekko. - Lubię być na bieżąco z tym, co się dzieje u moich towarzyszy podróży. Winna, wysoki sędzie.

- I dlatego idealnie nadajesz się do tej misji - rzekł mistrz. - Po pierwsze, staniesz się moimi oczami i uszami na statku. Będziesz rozmawiać z każdym członkiem załogi. Będziesz słuchać i obserwować, a jeśli poczujesz, że szykuje się nowy bunt, powiesz mi o tym. Nie możemy sobie ponownie na coś takiego pozwolić.

Panna Flotsam przytaknęła.

- Rozumiem - odparła.

- A teraz druga część twojego zadania - ciągnął Mosh Zu. - Kapitan i ja podjęliśmy ważną decyzję. Napęlnia nas ona smutkiem i nie przyszła nam łatwo.

Grace, Darcy i Lorcan wymienili spojrzenia, zastanawiając się, co usłyszą.

- Sidorio przywłaszczył sobie nazwę „wampiraci”. Hańby, jaką ściągnął na nas swoim postępowaniem, nie da się już zatrzeć - mówił mistrz. - Dlatego nadeszła pora poczynić rozróżnienie między nimi a nami. Od tej pory będziemy się nazywać „nokturnami”, od imienia naszego statku.

- Nokturnami? - powtórzyła panna Flotsam.

Mosh Zu przytaknął.

- Drugą częścią twojej misji, Darcy, będzie rozpowszechnienie tej nazwy wśród załogi. Pomożesz nam zaakceptować nową tożsamość. Dasz radę?

- Postaram się! - odparła Darcy z zapałem.

- A teraz ty, Grace. - Mosh Zu spojrzał na dziewczynę. - Pod wieloma względami twoja misja będzie najtrudniejsza.

Grace poczuła ciarki na plecach. Co mistrz i kapitan dla niej obmyślili?

- Przyjmiesz zaproszenie Sidoria - obwieścił Mosh Zu.

Dziewczyna zaniemówiła. Skąd wiedział?

Mistrz uśmiechał się, ale w jego głosie wyczuła chłód.

- Czy Sidorio naprawdę sądzi, że może wysłać na ten statek swojego porucznika oraz żonę i komunikować się z członkami tej załogi bez mojej wiedzy?

Grace poczuła na sobie spojrzenia przyjaciół. Miała wrażenie, że ich wzrok przewierca ją na wylot.

- Johnny do mnie przyszedł - wyjaśniła. - A potem żona Sidoria, Lola Lockwood. Zaprosili mnie do siebie. - Spojrzała na Lorcan. - Miałam ci o tym powiedzieć, ale to się wydarzyło dopiero przedwczoraj, w noc Uczty. Miałam wiele do przemyślenia.

- Wiele do przemyślenia! - powtórzył Lorcan. - Niby co chciałaś przemyśleć? Oczywiście nie przyjmiesz tego zaproszenia!

Grace poczuła, że się rumieni, Mosh Zu odpowiedział za nią:

- Wręcz przeciwnie. Grace musi je przyjąć. - Nie! - krzyknęła Darcy. - Czemu miałyby się tak głupio narażać?! - syknął Lorcan. - Z dwóch powodów - odparł mistrz. - Po pierwsze, będziemy mieli możliwość śledzenia poczynań Sidoria i jego plugawej załogi. Po drugie, zyskamy szansę zniszczenia imperium nocy od środka.

Lorcan był wstrząśnięty.

- To nie w porządku prosić Grace o coś takiego! Zadanie jest zbyt karkołomne. I niebezpieczne. Ja ją zastąpię!

Mosh Zu pokręcił głową. Na twarzy porucznika malowała się furia. Darcy płakała.

Nagle Grace poczuła, jak spływa na nią fala spokoju.

- Nie rozumiecie? - zwróciła się do przyjaciół.

- Muszę iść. Tylko ja mogę to zrobić. To mój obowiązek. Jestem córką Sidoria.

Rozdział 16

Tajni agenci

- Nie chcę zostawiać cię tu samej - powiedział Lorcan. Grace spojrzała na opustoszałą, muskaną nocną bryzą plażę. Zadrżała z zimna. - Nic mi nie będzie - odparła, zerkając na zegarek. - Poza tym nie będę długo sama. Wkrótce powinien pojawić się statek.

Lorcan zmarszczył brwi.

- W ogóle nie podoba mi się, że musisz to robić.

Grace postawiła walizkę na piasku i objęła szyję chłopaka.

- Muszę - szepnęła. - Jestem...

- Wiem - przerwał jej, naburmuszony. - Nie musisz tego powtarzać. Jesteś córką Sidorii.

Grace pokręciła głową.

- Chciałam powiedzieć, że jestem gotowa zrobić wszystko, by zapewnić bezpieczną przyszłość wampi... - Umilkła i poprawiła się po chwili: - By zapewnić bezpieczną przyszłość nokturnom. - Jeszcze nie przywykła do nowej nazwy, ale świetnie rozumiała względy, którymi kierował się Mosh Zu. Spojrzała na piękną, zatroskaną twarz Lorcana. - Proszę, spróbuj się o mnie nie martwić. Wiesz przecież, że potrafię o siebie zadbać.

- Wiem. Rzecz w tym, że spodobała mi się opieka nad tobą. - Jego błękitne oczy zabłyśły, gdy pochylił się, by ją pocałować.

- To tylko na trochę - zapewniła, gdy się odsunął.

- Muszę spełnić swój obowiązek, tak jak i ty musisz spełnić swój. Poza tym będziesz tak zajęty szkoleniem nokturnów do walki, że nawet nie zauważysz, iż mnie nie ma.

Lorcan ponownie przyciągnął dziewczynę do siebie.

- Zauważę - odparł. - Zauważę twoją nieobecność, tak jak zauważyłbym brak gwiazdy na niebie. Ale będę wiedział, że ona wkrótce znowu zabłyśnie i będę jej wypatrywał.

Grace uśmiechnęła się i wtuliła w jego pierś. Gdyby tylko nie musieli się rozdzielać, gdyby sprawy nie zaszły tak daleko... Ale musieli iść naprzód i robić swoje. To był jedyny sposób. Niechętnie oderwała się od chłopaka.

- Lepiej już idź - poprosiła. - Nie przyplyną po mnie, jeśli dostrzegą zacumowany na płyciźnie Nokturn.

- Masz rację - odparł Lorcan. Objął Grace i znowu ją pocałował. Zanim odszedł, dziewczynie zdawało się, że dostrzegła w jego oczach łzy. Kiedy już szedł przez plażę, a poły jego szarego wojskowego płaszcza powiewały na wietrze, uświadomiła sobie, jak silny jest ich związek. Byli tak bardzo sobie bliscy, że nie wiedziała, jak zdoła znieść rozłąkę.

Patrzyła, jak Nokturn odpływa w ciemną noc. Czowała dreszcze i nie była pewna, czy to z powodu chłodnej bryzy, czy poczucia osamotnienia. Mocniej otuliła się płaszczem. Gdy poprawiała szalik, poczuła na ramieniu czyjaś dłoń.

- Grace. - Dźwięk tego głosu, podobnie jak dotyk, był tak niespodziewany, że aż podskoczyła.

Odwróciła się i zobaczyła stojącego przed nią brata.

- Connor! - krzyknęła uradowana. Natychmiast go przytuliła. - Jak dobrze znów cię widzieć!

- Ciebie też - odparł z uśmiechem. Miał na sobie ciepłą kurtkę, a przez ramię przewieszony marynarski worek. Grace przypomniało się ich ostatnie pożegnanie u bram Sanktuarium. Wówczas była wściekła na Connora, ale to należało do przeszłości. Teraz nie znajdowała już w sobie miejsca na złość. Nie czuła się już samotna. Miała mu tyle do opowiedzenia, w tym o nokturnach. Chciała wiedzieć, jak brat przyjął wiadomość, że jest synem Sidorio, że jest dampirem. Czy doświadczał takiego samego głodu krwi jak ona? Jak sobie z tym radził?

- Wiem, że i ciebie zaprosili - powiedziała. - Twierdzili, że przyjąłeś propozycję, ale nie byłam tego pewna. Zdaję sobie sprawę, jaki jest twój stosunek do wampiratów.

Connor spojrział na nią z powagą.

- Moje uczucia względem nich się nie zmieniły - oświadczył.

- Nawet mimo... - zaczęła jego siostra.

- Nawet mimo iż jestem dampirem - powiedział.

- Grace, rozumiem, czym jesteśmy. Wiem, że Sidorio jest naszym ojcem.

- Ważne, żebyśmy pamiętali, że chociaż z Sidoriem łączą nas więzy krwi, naszym tatą był i zawsze będzie Dexter Tempest.

Connor się uśmiechnął.

- Masz całkowitą rację. - Ponownie spoważniał. - Grace, nie wiem, kiedy oni po nas przyplyną, a mam ci tyle do powiedzenia...

- Ja tobie również. Ale będziemy mieć mnóstwo czasu, jak już znajdziemy się na statku.

Connor wzruszył ramionami. - Możliwe, ale tam będziemy musieli zachować ostrożność.

- Co masz na myśli? - spytała Grace. - Powinnaś o czymś wiedzieć - zaczął szybko wyjaśniać. - Nie przyjąłem tego zaproszenia dlatego, że chcę lepiej poznać Sidoria, jego żonę lub załogę. Nie przybyłem tu też po to, by pogodzić się z tym, czym jestem. Przybyłem tu jako szpieg. Wypełniam misję dla Federacji. - Na chwilę umilkł, by zaczerpnąć powietrza. - Mówiłem ci już, że Federacja zmienia swoje stanowisko wobec wampiratów. Ostrzegałem cię. Wiem, że przywiązałaś się do Lorcana, Darcy, mistrza i kapitana, ale nadciąga wojna. Grace, wszystko się zmienia. Musisz być przygotowana na podjęcie trudnych decyzji. - W jego głosie pojawił się błagalny ton.

Grace skinęła głową.

- Jestem przygotowana - odparła. - Ja też nie przybyłam tu po to, by poznać lepiej Sidoria i Lolę. A co do godzenia się z własną tożsamością, pomogą mi w tym przyjaciele, którym ufam. - Spojrzała bratu w oczy. - Mnie również powierzono tajną misję. Wampiraci wiedzą o wojnie. Kapitan i Mosh Zu dokonują pewnych ważnych posunięć. Nie chcą, żeby Federacja postrzegala wszystkich wampiratów tak samo. Dlatego ich załoga, moja załoga, od teraz znana będzie jako nokturni. Piraci muszą zobaczyć, że jest różnica pomiędzy nami a bandą Sidoria.

- No proszę! - Connor wreszcie odetchnął. - To ci dopiero nowina!

Grace była bardzo z siebie zadowolona.

- Przekazując informacje swoim dowódcom, musisz im to wyjaśnić. Im szybciej zrozumieją, że wampiratów i nokturnów dzieli przepaść, tym lepiej.

Connor skinął głową, ale miał zmartwioną minę.

- Powiem im to, oczywiście. Ale, Grace, ja już wcześniej starałem się uświadomić Federacji istnienie różnych frakcji wśród wampirów.

- Naprawdę?

Chłopak ponownie skinął głową.

- Musiałem cię chronić, żebyś nie ucierpiała podczas jakiegokolwiek ataku piratów. Poza tym wiem, że Lorcan i pozostali byli dla ciebie dobrzy, jestem im więc za to wdzięczny. Dziewczyna się uśmiechnęła.

- Właściwie to jest coś jeszcze, o czym chciałabym ci powiedzieć...

Connor uniósł dłoń, powstrzymując siostrę.

- Proszę, Grace. Nie wiemy, ile mamy czasu, nim przyplyną wampiraci, a nie sądzę, by bezpiecznie było rozmawiać na pokładzie ich statku. To może być nasza ostatnia szansa na wymianę naprawdę ważnych informacji.

Dziewczyna poczuła przypływ irytacji. Brat jak zwykle potraktował ją z góry. Skąd mógł wiedzieć, czy to, co miała mu do powiedzenia, nie było ważną informacją? Z jej punktu widzenia wiadomość o związku z Lorcanem wydawała się ogromnie istotna.

- Jak już mówiłem - ciągnął Connor - starałem się uświadomić piratom różnicę pomiędzy zgrają Sidorii a wampirami z Nokturnu. I nadal będę próbował, ale obawiam się, że w miarę zaostrowania się konfliktu ta granica się zatrze.

Grace wzruszyła ramionami.

- Wtedy ponownie ją wyznaczymy - odparła. Nagle zrozumiała, że ona i Connor nie stoją po tej samej stronie. Czuli się głupio, że nie dostrzegła tego wcześniej. Teraz stało się to aż nadto widoczne. Chociaż z pewnością brat zrobi wszystko, by jej nie narażać, kiedy rozpocznie się wojna, on będzie działał na rzecz piratów, a ona na rzecz nokturnów. A jeśli miał rację i piraci nie dostrzegą różnicy pomiędzy obiema frakcjami wampirów, ona i Connor znajdą się po przeciwnych stronach linii frontu jako żołnierze wrogich sobie armii. Myśl ta sprawiła, że Grace popadła w przygnębienie.

- Hej! - Connor zauważył zmianę nastroju siostry.

- Co się stało? Już nie wyglądasz na zadowoloną, że mnie widzisz.

- Zawsze się cieszę, gdy cię widzę. Po prostu myślałam o tym, że teraz stoimy po dwóch stronach barykady.

- Masz rację. Już dawniej doprowadzało mnie to do szału. Dlatego tak bardzo starałem się wyrwać cię ze świata wampi... nokturnów. Teraz wiem, że nie mogę. I nie oczekuję też, że ich opuścisz.

Grace była zdumiona jego rozsądną oceną sytuacji. Niemniej nadal nie widziała z niej wyjścia.

- To co zrobimy? - spytała.

- Może i w tym konflikcie nie jesteśmy sojusznikami - odparł jej brat - ale oboje mamy za zadanie szpiegować Sidorio oraz dowiedzieć się, w jaki sposób go unicestwić. - Ujął Grace za rękę. - Wychodzi na to, że przybyliśmy tu w tym samym celu, no nie?

Uśmiechnęli się do siebie. Grace stwierdziła, że od ich ostatniego spotkania Connor bardzo wydorósł. Zmienił się, podobnie jak ona. Ta myśl przypominała jej, że nie rozmawiali jeszcze o swojej nowej tożsamości. Ale brat miał rację. Czasu zostało im niewiele, a ta sprawa była zbyt ważna, by omawiać ją w pośpiechu.

- Kto by powiedział? - rzuciła żartobliwie dziewczyna. - Dwójka dzieciaków z Zatoki Księżycowej udaje się na pole bitwy jako tajni agenci!

Connor odwrócił się do siostry.

- Grace, musimy uczynić wszystko, żeby zapobiec wojnie. - Westchnął. - W sumie mogę ci to powiedzieć. Piraci szkolą się do walki z wampirami. Ja poprowadziłem pierwszy atak podczas ślubu Sidorio. Nie wszystko się powiodło, nie wyeliminowaliśmy lady Loli Lockwood, ale nasze informacje są coraz pełniejsze, a strategie bardziej wyrafinowane. Wkrótce żaden wampirat i żaden nokturn nie będą bezpieczni.

Grace przyjęła straszną wiadomość jedynie lekkim skinieniem głowy. Zastanawiała się, czy powinna zrewanżować się bratu i powiedzieć mu, że nokturni również szykują się do walki. Korciło ją, by oddać cios za cios. Ale spokojny głos gdzieś w jej wnętrzu radził, by się powstrzymała. Przeniósłszy wzrok na morze, dostrzegła, że skończył im się czas. Dwa statki, płynące burta w burtę, kierowały się do brzegu.

Jednostka po lewej była brzydka, zaniedbana i dużo większa od towarzyszącego jej eleganckiego galeonu, który znacznie bardziej przypadł Grace do gustu.

- Ten większy statek to Krwawy Kapitan - wyjaśnił Connor. - Kiedyś to było pływające więzienie, ale przejęli je Sidorio i jego załoga. Galeon nosi nazwę Wagabunda. Należy do lady Lockwood. Myślałem, że po ślubie Lola z niego zrezygnuje.

- Najwyraźniej nie chciała. - Wzrok Grace skupiony był na zgrabnej sylwetce Wagabundy. Statek opuszczał właśnie kotwicę. Na pokładzie, w blasku księżyca, dostrzegła kilka kobiet. Były podobnie ubrane, ale dziewczynie wydawało się, że rozpoznaje wśród nich lady Lolę. Po rozmowach o wojnie i tajnych misjach wszystko nagle stało się bardzo realne. Grace wspomniała swoje pierwsze spotkanie z Sidorio - napadł na nią wtedy w jej kajucie na

pokładzie Nokturnu. Potem pomyślała o wizycie lady Loli i o policzku piekącym po jej uderzeniu. Poczowała, że przesywa ją dreszcz. Z entuzjazmem przyjęła tę misję, ale czy jej podoła?

Z zamyślenia wyrwał Grace widok dwóch łodzi zmierzających ku plaży. W każdej z nich siedział tylko jeden załogant. Kiedy się zbliżali, dziewczyna rozpoznała ich twarze. Wbrew sobie samej uniosła dłoń i pomachała.

- Cóż... - szepnęła do Connora. - Zaczynamy.

Chłopak przytaknął.

- Niech tata będzie z nas dumny - powiedział. - I nie mam na myśli Sidorii.

- Właśnie! - Uśmiechnęła się, wdzięczna za podsuniecie jej tej myśli.

Osoby siedzące w szalupach przyzywały ich gestami. Grace spojrzała na brata i razem pobiegli przez piasek. Zatrzymali się tuż przed dziobami łodzi.

- Grace! - Johnny wyszczerzył do niej zęby. - Wskakuj! Płyniesz ze mną na Wagabundę.

- Connor! - zawołał Stukeley. - Tutaj, brachu! My popłyniemy na Krwawego Kapitana.

Rodzeństwo wymieniło spojrzenia. Dopiero co ponownie się spotkali, a już zmierzają w różnych kierunkach. Jak zwykle. Na twarzy Connora malowało się rozczarowanie.

- Wielka scena pożegnania jest zbędna! - huknął Stukeley. - Zobaczycie się najdalej za kilka godzin.

- Właśnie - przytaknął Johnny. - Ulokujemy was w waszych kajutach, a potem spotkamy się na Wagabundzie. Będzie tiffin.

- Tiffin? - spytali jednocześnie Grace i Connor.

- Wszystko wkrótce się wyjaśni! - zawołał Stukeley, ponaglając Connora. - Dalej, stary, ruchy!

Johnny z galanterią podał Grace rękę.

- Wskakuj, aniołku - powiedział. - Lady Lola nie lubi, gdy każe jej się czekać.

Rozdział 17

Idealna gospodyni

Kochana Grace!

Witaj, witaj, witaj! Życzę Ci niewyobrażalnie szczęśliwego pobytu na moim stateczku. Cała załoga jest do Twojej dyspozycji, więc jeśli będziesz czegoś potrzebować - czegokolwiek - po prostu zadzwoń! Dziś wieczorem odbędzie się nieformalne przyjęcie - chcemy uczcić przyjazd Twój i Connora. Kiedy się rozpakujesz i odświeżysz, włóż na siebie coś fantastycznego (pozwoliłam sobie umieścić kilka ubrań i dodatków w Twojej garderobie) i dołącz do nas w mojej kajucie. To ta na końcu głównego korytarza, ze złotymi drzwiami.

Ściskam i niecierpliwie Cię oczekuję.

Twoja „niegodziwa macocha”,

lady Lola Lockwood Sidorio

Grace znalazła liścik oparty o salaterkę pełną czerwonych jabłek ustawioną na komodzie w jej nowej kajucie. Przekonało ją to - w pewnym stopniu - że naprawdę jest mile widziana na pokładzie Wagabundy, a intencje Loli są szczerze. Czerwone jabłka i nawiązanie do „niegodziwej macochy” także wydawały się dobrym znakiem. Przynajmniej wampirzyca wykazała się poczuciem humoru.

Jakieś pół godziny później Grace zapukała do złoconych drzwi kapitańskiej kajuty. Usłyszawszy przytłumione głosy i stukot obcasów, przypomniała sobie wcześniejsze spotkanie z lady Lockwood oraz siarczysty policzek. Znowu poczuła pieczenie na twarzy, a po plecach przebiegły jej ciarki. Wyglądziła ozdobioną kwiecistym deseniem letnią sukienkę, którą wybrała spośród licznych strojów pozostawionych dla niej w garderobie. Starła się opanować nerwy.

Kiedy drzwi się otworzyły, Grace ujrzała całkiem inną lady Lolę. Podczas ich pierwszego spotkania włosy pani kapitan upięte były w ciasny kok, nadający jej twarzy surowy wyraz. Tym razem kruczoczarne loki wampiratki spływały miękko w dół, łagodząc kształt ostro zarysowanych kości policzkowych i sprawiając, że wyglądała młodziej i bardziej sympatycznie.

Ubrana była w purpurową sukienkę oraz czerwone szpilki, a jej szyję okalała wyrafinowana kolia, przypominająca pajęczynę z uwiecznionymi w niej rubinami. Uśmiechając się do pasierbicy, Lola wyciągnęła ramiona i pochyliła się, by ją ucałować.

- Grace! Witamy na pokładzie! Kiedy wypuściła dziewczynę z objęć, odsunęła ją nieco od siebie i zlustrowała od stóp do głów.

- Wyglądasz bosko w tej sukience! Wiedziałam, że będzie ci w niej do twarzy.

Wampiratka wciągnęła Grace za próg. Złoczone drzwi ponownie się zamknęły. Dziewczyna powiodła wzrokiem po pomieszczeniu. Po raz pierwszy znalazła się w kajucie kapitana kobiety. Był to wykwintny apartament, zachwycająco urządzone, luksusowy, a zarazem stylowy. Na starych meblach ustawiono setki świec, które dawały rozproszone światło i wydzielaly cudowny aromat ogrodu nocą.

- Mam nadzieję, że twoja kajuta przypadła ci do gustu - powiedziała Lola.

- Tak - odparła Grace. - Jest śliczna. I dziękuję za wypożyczenie ubrań.

Lady Lockwood zaśmiała się dźwięcznie.

- Kochanie, to nie są moje ubrania! Kazałam je przygotować specjalnie dla ciebie.

Grace była zdumiona hojnością macochy.

- Nie wiem, co powiedzieć.

Lola pokręciła głową.

- Po prostu ciesz się nimi - poradziła. - Dobrze się bawiłyśmy, wybierając je dla ciebie, prawda, moje panie?

Grace dostrzegła nagle trzy członkinie załogi Wagabundy stojące w cieniu pod ścianą. Na wezwanie lady Lockwood weszły w krąg światła. Rozpromieniona Lola przedstawiła je po kolei:

- Jacqueline, Nathalie, Mimma. Drogie dziewczęta, poznajcie naszego wyjątkowego gościa. Oto moja piękna pasierbica. Ma na imię Grace, co bardzo do niej pasuje.

Dziewczyna zauważyła, że wszystkie trzy wampiratki mają na twarzach czarne serce, tyle że u każdej z nich ozdobiło ono prawe oko. Zapewne chodziło tu o rozróżnienie rangi.

Kiedy kobiety podchodziły kolejno, by się przywitać, Grace podziwiała ich urodę. Włosy Jacqueline, w kolorze dojrzałej śliwki, splecione były w wiele drobniutkich warkoczyków. Ciemnobrązowe loki Nathalie opadały jej na ramiona, zaś spod zmierzwionej czupryny Mimmy widać było głównie niebieskie oczy, lśniące niczym szafiry. Wszystkie trzy miały na sobie piękne suknie, pantofelki i biżuterię. Witając się z nimi, Grace pomyślała, że nawet taka

ekspertka od mody jak Darcy musiałyby się nieźle wysilić, żeby dorównać szykiem ślicznotkom z Wagabundy.

- O co chodzi z jedzeniem, pani kapitan? - spytała Mimma, wskazując ręką za siebie.

Dopiero teraz Grace zobaczyła suto zastawiony stół ozdobiony ogromnym wazonem z różami. Kwiaty były w różnych odcieniach - od blad różowego po karmazynowy.

Lola uśmiechała się promiennie. - Czyż to nie wygląda pysznie? Zatrudniłam kucharza na okres waszego pobytu. Był bardzo znany jeszcze za swych śmiertelnych czasów. Aby uczcić wasze przybycie, przygotował tę wspaniałą wieczerzę. - Kiedy Lola wskazywała kolejne naczynia, Grace zauważyła, że potrawy są w tej samej tonacji kolorystycznej co kwiaty. - Na pierwsze danie barszcz, potem kurczę w papryce i młoda jagnięcina w mleku. Następnie dwa popisowe desery szefa kuchni Escoffiera: melba brzoskwiniowa oraz truskawki z sosem ananasowym.

- Och! - Grace była pod wrażeniem. - Zapewne spodziewasz się wielu gości.

- Kilku. - Lola spieszyła się lekko. - Ale to jedzenie jest tylko dla ciebie i Connora. Musicie być głodni po podróży.

Grace przyglądała się z niedowierzaniem zastawie.

- To wszystko jest dla nas dwojga?

Lola przytaknęła.

- Naprawdę mam nadzieję, że będzie wam smakowało. Wiele wody upłynęło, odkąd ostatni raz kosztowałam kuchni śmiertelników. Musicie powiedzieć mi, co lubicie, a czego nie. Przekażę to mistrzowi Escoffierowi. Chcę, żebyście czuli się tu jak w domu.

Grace skinęła głową. Zrozumiała, że Lola wychodzi ze skóry, by wykazać się gościnnością.

- Wszystko wygląda smakowicie. Tyle że wystarczy dla mnie i dla Connora na tydzień lub dwa!

Lola zaśmiała się perliście.

- Jeśli to, co słyszałam o apetycie nastoletnich chłopców jest prawdą, Connor upora się z tym bez trudu.

W tej samej chwili po drugiej stronie złożonych drzwi rozległy się jakieś hałasy.

- O wilku mowa! - oznajmiła wesoło Lola. - Chłopcy przyszli! Jacqueline, Nathalie, czyńcie honory!

Dwie wampiratki otworzyły drzwi. Grace ujrzała nowo przybyłych i zadrżała, tym razem na pewno ze strachu.

Po jednej stronie dowódcy stali Stukeley i Connor, po drugiej - Johnny, który uniósł Stetsona, mrugając do Grace, oraz jeszcze jeden starszy mężczyzna o ciemnych włosach do ramion i przeszywającym spojrzeniu niemal czarnych oczu. Dziewczyna nie potrafiła oderwać od niego wzroku, ale on patrzył przez nią jak przez szybę. Kim był?

Johnny i Stukeley zbliżyli się do wampiratek. Kiedy Johnny ucałował Nathalie na powitanie, dziewczyna poczuła irracjonalne ukłucie zazdrości. Odwróciła się i dostrzegła, jak Sidorio, kładąc dłoń na ramieniu jej brata, przedstawia go Loli.

- Najdroższa, poznaj Connora - powiedział. W jego głosie zadrgało wzruszenie. - Mojego syna.

Chłopak nie czuł się zbyt pewnie, stając przed lady Lockwood. Dobrze pamiętał ostatnie spotkanie - ostatecznie odciął jej wtedy głowę.

- My już się znamy - mruknął pod nosem.

Lola pokręciła głową.

- Nie - oznajmiła. Jej dłoń powędrowała na moment ku rubinowej koliai, pod którą ukrywała bliznę na szyi. - Nigdy się tak naprawdę nie poznaliśmy. To, co było kiedyś, zostaje zapomniane. Dziś zaczynamy wszystko od nowa, ty i ja. Jesteś synem mojego męża, moim pasierbem. Witaj na pokładzie Wagabundy! - Ku zdumieniu Connora, wampirzyca podała mu dłoń. Grace patrzyła, jak brat ją ściska.

Sidorio zauważywszy dziewczynę, podszedł do niej.

- Grace - zaczął. - Tak się cieszę, że znów cię widzę. Dziękuję, że tu jesteś. - Gdy otworzył ramiona, zorientowała się, że wampirat zamierza ją uściskać. Odsunięcie się byłoby z jej strony grubiaństwem...

Kiedy wreszcie wypuścił Grace z objęć, patrzył tak, jakby widział ją po raz pierwszy.

- Wyglądasz pięknie - powiedział ze łzami w oczach. - Jesteś taka podobna do matki! Słyszając to zapewnienie, Grace poczuła suchość w gardle. Nie tego się spodziewała po Sidoriu. Zrozumiała, że w gruncie rzeczy nic o nim nie wie. Powtarzała sobie jednak, że powinna stąpać bardzo ostrożnie po tym kruchym lodzie.

Lady Lockwood położyła dłoń na ramieniu Sidorio.

- Mężu - rzekła. - Nie uprzedziłeś mnie, że przyprowadzisz gościa.

- Gościa? - Sidorio jeszcze przez moment nie spuszczał wzroku z Grace. Potem odwrócił się do żony.

Lola skinęła nieznacznie w kierunku nieznanego, który stanął w kącie kajuty. Grace znowu uważnie mu się przyjrzała. Przypominał posąg. Nie miała pewności, czy chociaż raz się poruszył.

Sidorio zawołał ku niemu:

- Obsydianie, podejdź tu! Poznaj moją żonę i dzieci!

Mężczyzna się zawahał. Potem, z kamiennym wyrazem twarzy, przeszedł przez pomieszczenie i dołączył do kapitańskiej pary.

Sidorio zwrócił się do Loli.

- To Obsydian Darke, mój nowy porucznik. Przysłał do nas niedawno, ale już pokazał, że jest wschodzącą gwiazdą Krwawego Kapitana. Moja załoga darzy go ogromnym szacunkiem.

Na wąskich ustach Darke'a pojawił się słaby uśmiech. Mężczyzna przemówił chrapliwym głosem:

- Lady Lockwood, poznanie pani to prawdziwa przyjemność. - Ukłonił się sztywno, nim ujął podaną mu rękę. Miał na dłoniach rękawiczki, ale zdjął je, jak przysłało na dżentelmena.

Grace obserwowała reakcję Loli na widok przybysza. Idealna gospodyni stanęła przed trudnym zadaniem zajęcia się niezapowiedzianym gościem. Co więcej, było w nim coś przerażającego - i może nawet wampirzyca poczuła niepokój. Mężczyzna roztaczał wokół siebie jakąś dziwną aurę. Jego oczy były tak ciemne, jak sugerowało to nazwisko, ale Grace domyślała się, że prawdziwie nieprzenikniony mrok wypełnia jego wnętrze.

- Poruczniku Darke - powitała go Lola. - Skoro mój małżonek tak wysoko pana ceni, jestem przekonana o pańskich nadzwyczajnych talentach. - Przez chwilę przyglądała się jego twarzy. - Zapraszamy na tiffin. Razem uczcimy dzisiejszą radosną okazję.

Podczas tej prezentacji Connor podszedł do Grace.

- Trafiłaś lepiej niż ja - szepnął. - Statek Loli jest dużo przytulniejszy. Moja kajuta to raczej honorowa cela więzienna.

Dziewczyna uśmiechnęła się do brata.

- Faktycznie miałeś pecha - odparła. - Będę o tobie myśleć, kiedy otulę się pościelą z egipskiej bawełny.

Spojrzała na Lolę i Sidorio. Oboje przyglądali się bliźniętom. Grace spąsowiała ze zdenerwowania.

- Connor, popatrz na jedzenie, które przygotował dla nas kucharz lady Loli! - powiedziała, chcąc skupić uwagę na czym innym.

- Bosko! - Chłopak podszedł do stołu. - Umieram z głodu!

Wampirzyca puściła oko do Grace.

- Nie przejmujcie się etykietą. Usiądź, skarbie. Ty też, Connor. - Wskazała dwa przygotowane dla nich nakrycia, a kiedy zasiedli za stołem, zwróciła się do pozostałych gości: - Dzieciaczki już pałaszują. Co państwo powiedzą na coś mocniejszego?

Sidorio poklepał Obsydiana po plecach.

- Moja żona ma skład szlachetnych win - wyjaśnił.

- Słyszałem - odparł Darke i pokręcił głową. - Nie piję wina.

Kapitan parsknął śmiechem. - To nie jest zwykłe wino! Niech ktoś poda mu kieliszek. - Pozwoli pan - rzekła Lola, podchodząc z karafką i jednym ze swoich ulubionych starych kielichów.

- Naprawdę dziękuję - wzbraniał się Obsydian. - Nie nawykłem do wykwinnych trunków.

- Rozumiem - odparła lady Lockwood. - Ale teraz jest pan częścią naszej załogi oraz gościem uczestniczącym w ważnej uroczystości. - Podała mu kieliszek.

- Niegrzecznie byłoby nie przyjąć poczęstunku.

Wyraz twarzy Darke'a nie uległ zmianie. Porucznik przez chwilę przyglądał się kieliszкови w dłoni Loli. Wreszcie po niego sięgnął.

- Ma pani rację, pani kapitan. Jestem głęboko wdzięczny za okazaną mi gościnność. - Uniósł kieliszek i wypił jego zawartość jednym haustem.

Lola z uśmiechem zwróciła się do członkiń swojej załogi.

- Widziałyście to, dziewczęta? Wszyscy mężczyźni są tacy sami! Najpierw mówią, że nie piją wina, a potem opróżniają kielich, jakby to była ostatnia kropla wody na pustyni. - Jej słowa wydawały się szorstkie, ale ton głosu zdradzał rozbawienie. - Jedyne wyjątkiem to nasz drogi Johnny. On jest bardziej subtelny, co z radością stwierdzam. Wie, co to znaczy przebywać w towarzystwie dam. Prawda, Johnny?

Kowboj z wdziękiem skłonił się przed wampiratkami, co widząc, Grace nie mogła powstrzymać uśmiechu. Lola tymczasem ponownie przemówiła do swoich podkomendnych:

- Pomóżcie mi, moje panie. - Na jej znak Mimma, Jacqueline i Nathalie zaczęły przechadzać się pomiędzy gośćmi ze srebrnymi tacami. Na każdej stały karafka i kieliszki.

Grace obserwowała, jak wampiry piją. Nietrudno było sobie wyobrazić, że płyn to stare porto - ale dziewczyna nie miała żadnych wątpliwości. Choć serwowano ją w pięknych kieliszkach, była to krew. Do niedawna krążyła w czyimś ciele. Skąd ją wzięli? Od kogo?

Connor na nic nie zwracał uwagi. Nałożył sobie na talerz obfitą porcję i pochłaniał ją w błyskawicznym tempie. Zupełnie jakby nie jadł od miesiąca.

- Jesteś dziś bardzo głodny - zauważyła Grace.

Connor połknął krewetkę i sięgnął po homara.

- Żartujesz? To żarcie jest niesamowite! Cheng Li trzyma nas teraz na diecie makrobiotycznej. Nawet nie masz pojęcia, jaka to frajda zjeść znowu coś normalnego.

Grace zachichotała. Tak wiele się zmieniło - zarówno w nich samych, jak i w ich otoczeniu - ale Connor pozostał tym samym łakomczuchem, który w mgnieniu oka opróżnił swój talerz, a potem podkrażał jedzenie siostry. Jednak miał rację. Przygotowane potrawy naprawdę były niesamowite. Dziewczyna z ulgą stwierdziła, że apetyt jej dopisuje. Ostatnio miewała z nim kłopoty, a przecież odejście od stołu byłoby takim samym afrontem jak nieprzyjęcie przez Obsydiana kieliszka wina. No i Lola tak bardzo się starała, żeby uczyć ich przybycie...

- Cóż - rzekła lady Lockwood, tłumiąc dłonią ziewnięcie. - Nie wiem jak wy, ale ja mam ochotę na sjestę.

Sidorio zaczął się śmiać.

- Najdroższa, noc jest jeszcze młoda!

Lola pokręciła głową i odebrała mężowi kieliszek.

- Pora kończyć, moi mili. - Odwróciła się do bliźniąt. - Z pewnością wy również chcecie odpocząć.

Grace przytaknęła. Connor wepchnął w siebie ostatnią łyżeczkę deseru i spojrzał na macochę.

- Nie miałbym nic przeciwko drzemce - powiedział. - To był najlepszy posiłek, jaki jadłem od... No, kiedykolwiek.

Gospodyni aż klasnęła z zadowolenia.

- Przekażę twój komplement mistrzowi Escoffierowi. - Zwróciła się do jednej z wampirek: - Mimmo, czy mogłabyś odprowadzić Grace do jej kajuty? Stukeley, pomóż Connorowi znaleźć drogę do łóżka.

- Nie trzeba - zaprotestował chłopak. - Sam trafię.

- Z pewnością - przytaknęła Lola. - Ale jesteś naszym gościem, a na Wagabundzie i Krwawym Kapitanie obowiązują pewne zasady, prawda, najdroższy?

- Błyszczącymi oczami spojrzała na męża. Sidorio zgodził się z nią bez słowa.

Connor nie oponował dłużej.

- Dziękuję za doskonałą kolację - powiedział i ruszył za Stukeleyem w kierunku wyjścia. - Dobranoc wszystkim.

Mimma ujęła Grace pod ramię i poprowadziła ją w stronę złotych drzwi, które przytrzymały Jacqueline i Nathalie. W progu dziewczyna odwróciła się i spojrzała na Lolę.

- Jeszcze raz dziękuję. Za wszystko.

- Nie ma za co, kotku - odparła pani kapitan. - Cudownie, że tu z nami jesteście. A teraz odpocznij. Przygotowaliśmy dla ciebie wiele atrakcji.

Gdy rodzeństwo wyszło na korytarz, złote drzwi zamknęły się za nimi głośno.

Sidorio spojrzał na żonę.

- Wcale nie jesteś zmęczona, prawda? Lola pokręciła głową. - Oczywiście, że nie. Pomyślałam po prostu, że usiądziemy i omówimy strategię. - Aha. Rozumiem. Wtedy Lola nachyliła się do męża i szepnęła: - Może odprawisz już porucznika Darke'a? Spojrzeli sobie głęboko w oczy, a potem Sidorio wziął Obsydiana na stronę. Lola obserwowała, jak jej mąż zwalnia porucznika z obowiązku towarzyszenia mu. Usatysfakcjonowana spojrzała na drugi koniec kajuty, gdzie siedzący przy stole Johnny, Jacqueline i Nathalie gawędzili z ożywieniem. Nie zwlekając, podeszła do nich.

- Cóż - oznajmiła. - Sądzę, że godnie przywitaliśmy Grace i Connora. A wy?

- My także - odparły chórem dziewczęta.

- Dobrze ich pani nakarmiła - dodał Johnny.

Lady Lockwood uśmiechnęła się do siebie, a potem do pozostałych.

- Nie bez powodu nazywają mnie idealną gospodynią. Zastanawiam się tylko... - Przerwała, słysząc oddalające się kroki Obsydiana Darke'a. Po chwili Sidorio stanął u boku żony i objął jej szczupłą talię.

- Miała coś nam pani powiedzieć, pani kapitan - przypomniała Jacqueline. - Nim kapitan Sidorio do nas dołączył. O co chodziło?

Lola wzruszyła ramionami. Jej wzrok przesunął się po stosie pustych naczyń pozostałych na stole.

- O nic takiego. Zastanawiam się, jak Grace i Connorowi smakowała ich pierwsza porcja krwi.

Rozdział 18

Nocne interesy

Stukeley wskoczył na pokład Wagabundy, gdzie zastał czekającą na niego Mimnę. Stała oparta o nadburcie, a burza jej włosów i miękki materiał sukienki powiewały lekko na wietrze. Usłyszawszy kroki porucznika, odwróciła się i uśmiechnęła.

- Uśpiłeś swoje dzieciątko?

Stukeley skinął głową.

- A ty?

Mimma przytaknęła, zamykając na chwilę powieki.

- Ja także.

- A zatem... - Stukeley podał wampiratce ramię. - Chociaż wizja pozostania tutaj z tobą i wspólnego liczenia gwiazd jest kusząca, obawiam się, że musimy się udać na zebranie. Mimma spojrzała mu w oczy.

- Jesteś czarującym mężczyzną, ale oczywiście masz rację. Zło nigdy nie odpoczywa!

Ująwszy go pod rękę, zaprowadziła Stukeleya do kapitańskiej kajuty.

- Skoro już wszyscy jesteśmy obecni, to zacznijmy - rzekła Lola do najważniejszych członków załóg Krwawego Kapitana i Wagabundy. - Mamy wiele do omówienia. - To rzekłszy, spojrzała na Sidorio, siedzącego obok niej u szczytu długiego, wypolerowanego na wysoki połysk stołu.

Kapitan wstał i odchrząknął.

- Po powrocie z miesiąca miodowego moja żona i ja opowiedzieliśmy wam o naszych planach powiększenia i wzmocnienia imperium. Każdemu z was przekazaliśmy jedno zadanie.

Sidorio skinął na małżonkę, a ta wstała i podeszła do sztalugi okrytej czarną tkaniną. Zdjęła zasłonę i wzięła do ręki coś, co wyglądało na mały pejcz. Wskazała czerwony napis widniejący na tablicy.

- W skrócie - kontynuował Sidorio - chcemy... więcej statków...

W pomieszczeniu rozległ się przytłumiony trzask - dla podkreślenia słów męża Lola uderzyła pejczem w tablicę.

- ...więcej krwi... Bum! - ...więcej żołnierzy... Bum! - ...i więcej dowódców. Bum! - Dziękuję. - Sidorio puścił do żony oko. Lady Lockwood z uśmiechem odłożyła pejczyk i wróciła na swoje miejsce. Jej mąż odszukał wzrokiem Stukeleya, który siedział obok Mimmy po przeciwnej stronie stołu. Na blacie przed porucznikiem leżał plik papierów.

- Stukeley, miałeś powiększyć naszą flotę.

Porucznik przytaknął, a spojrzenia wszystkich pobiegły w jego kierunku.

- Tak, panie kapitanie. Sprawdziłem możliwości wybudowania dla nas nowych jednostek.

- Z jakim rezultatem? - warknął Sidorio.

- To kosztowne - odpowiedział. - Ale co ważniejsze, zbyt czasochłonne. - Podniósł dokumenty. - Mam tu cenniki kilku stoczní, ale minęłyby miesiące, zanim zdołalibyśmy zwodować pierwszy statek. Między innymi dlatego, że również piraci zamówili nowe okręty. Ta informacja nie zrobiła na Sidoriu wrażenia.

- Masz cenniki? Oferowałeś pieniądze? Coś ty sobie myślał? Jesteśmy wampirami! My nie kupujemy, my bierzemy!

Zgromadzeni przy stole zaczęli się śmiać - na tyle głośno, by pochwalić żart kapitana, ale nie aż tak, by podważyć autorytet Stukeleya.

Nie tracąc dobrego humoru, porucznik wertował swoje papiery.

- Dlatego też, kapitanie, stworzyłem inny plan. Wierzę, że dzięki niemu osiągniemy cel i zwiększymy liczbę jednostek w naszej flocie w jak najkrótszym czasie i minimalnym kosztem.

Lady Lockwood była wyraźnie zaintrygowana.

- Brzmi interesująco. Opowiedz nam o tym.

- Ukradniemy statki piratom - wyjaśnił Stukeley.

- Upieczemy dwie pieczenie na jednym ogniu. Zubożymy Federację i dostaniemy w swoje ręce najlepsze okręty pływające na oceanach.

- Podoba mi się to! - Lola aż zacisnęła pięści.

Sidorio uśmiechnął się złowieszczo.

- Dobra robota, Stukeley.

Porucznik podał kapitanowi zapisany arkusz. - Dowiedziałem się tego i owego o statkach Federacji. Sporządziłem też listę potencjalnych celów.

Sidorio chwycił kartkę i spojrział na wypisane na niej nazwy jednostek. Jednak Stukeley nie skończył mówić.

- Sprawa ma jeszcze jeden aspekt, ale o nim opowie już mój kolega, pan Desperado.

Johnny wstał, jak zwykł to czynić podczas zebrań.

- Jak wiecie, kieruję działem zasobów nieludzkich na naszych okrętach. - Na twarzach słuchaczy pojawiły się uśmiechy. Johnny zawsze okraszał swoje raporty solidną dawką humoru. - Innymi słowy, odpowiadam za rekrutację. W wampirackim imperium są dwa główne źródła pozyskiwania nowych żołnierzy. Pierwszym są nasze szczury lądowe. Niedawno odbyłem spotkania z kilkoma ważnymi członkami społeczności wampirów z wybrzeża. Oni dobrze wiedzą, że prawdziwa potęga czeka na nich tu, na oceanach, i są gotowi się do nas przyłączyć.

- Naprawdę? - spytała Lola z niedowierzaniem. - Tak po prostu? Wcześniej próbowali stawiać nam warunki.

Johnny przytaknął.

- W rzeczy samej, pani kapitan. Negocjacje wciąż trwają, ale nie pozostawiłem im wątpliwości co do tego, jak bardzo urosliśmy w siłę... i o ile silniejsi jeszcze się staniemy. Jestem pewien, że wkrótce będę miał przyjemność przynieść pani podpisaną umowę.

Lady Lockwood zapisała coś w notesie.

- Oczywiście - ciągnął Johnny - kiedy przyjmimy wampiry bez jakiegokolwiek żeglarskiego doświadczenia, trzeba będzie je szybko wyszkolić. I to prowadzi nas do drugiego źródła rekrutacji. Pod wieloma względami korzystniejsze jest dla nas pozyskiwanie załóg pirackich okrętów. Minie trochę czasu, nim piraci się przestawią, ale przynajmniej są obeznani z morzem. - Uśmiechnął się złośliwie. - W tym miejscu pomysły moje i Stuke'a idą w parze. Przejmując kolejne jednostki, będziemy stawiać załogom ultimatum: „Przyłączcie się do nas lub gińcie”.

Johnny usiadł, a Sidorio nagroził go brawami.

- Jak zawsze doskonała robota, Stetson. - Zwrócił się do Loli: - Zgodzisz się ze mną, najdroższa?

Wampirzyca przytaknęła:

- Jestem pod wrażeniem, Johnny.

- Dobrze więc. - Sidorio rzucił okiem na tablicę. - Co dalej? A, tak... Więcej krwi.

Proszę, moja droga.

- Dziękuję - odparła lady Lockwood. - Oczywiście zdobywanie i przechowywanie krwi należy do zadań winnicy Czarne Serce. - Zerknęła na pięć młodych kobiet, które siedziały u jej boku. - Jessamy, jeśli się nie mylę, to ty masz najnowsze dane.

Dziewczyna wstała i podeszła do sztalugi, na której stała tablica. Zdjęła arkusz z głównymi założeniami ekspansji i odsłoniła znajdujący się pod spodem wykres. Lola podała jej pejczyk, a Jessamy wskazała nim niebieską linię.

- To nasze obecne zapasy. Jak widzicie, są jeszcze dość pokaźne, ale odkąd połączyliśmy oba statki, szybko topnieją. - Spojrzała na Sidorio z uśmiechem.

- Kapitanie, ma pan spragnioną załogę!

Wampirat wzruszył ramionami. Jessamy odczekała, aż śmiech zebranych ucichnie, i mówiła dalej:

- Popatrzcie na czerwoną linię. To zakładany wzrost produkcji na następne sześć miesięcy. Z pewnością zgodzicie się, że robi wrażenie.

- W rzeczy samej - odparł Sidorio. - Ale czy ten plan jest wykonalny?

- Ależ oczywiście - odparła dziewczyna. - Usprawniliśmy nasz sprzęt do pobierania krwi. Każda członkini personelu zostanie odpowiednio wyposażona. Camille, opowiesz?

Jej koleżanka odsunęła krzesło i sięgnęła pod stół. Położyła na blacie coś, co wyglądało jak sporych rozmiarów aktówka. Camille otworzyła ją i pokazała wszystkim, co zawiera.

- Jak widzicie, ta lekka, bardzo trwała walizeczka zawiera sześć standardowych butelek. Jest to nasz przeciętny zbiór z jednego źródła.

Lady Lockwood uniosła dłoń na znak, że chce coś powiedzieć.

- Ten najwyższej jakości przenośny ekwipunek zrewolucjonizuje nasz proces produkcyjny. Nie będziemy musiały dłużej pobierać krwi na Wagabundzie, co było bardzo uciążliwe. Już wcześniej testowałyśmy przenośne zestawy, ale zawsze marnowało się zbyt wiele surowca. Z tym już koniec! Doskonała robota, drogie panie.

Camille uśmiechnęła się i uniosła rąbek bluzki.

- Pozostała część sprzętu będzie mocowana na tych pasach. To również nowy wynalazek. Otrzyma go każdy z zespołów łowieckich.

- Brawo! - Rozpromieniona Lola zaczęła klaskać. Pozostali poszli w jej ślady.

- Jak na razie, wszystko idzie jak po maśle - stwierdził Sidorio. - Teraz ostatnia sprawa. Każde z was miało wypatrywać wśród załogi potencjalnych dowódców. Wraz z rozwojem floty

wampiratów będziemy potrzebowali na czele naszych statków odpowiednich mężczyzn i kobiet.

- Jego wzrok przesunął się po twarzach zebranych. - Dziękujemy za wszystkie cenne uwagi. -

Następnie zwrócił się do małżonki. - Powiedz, moja droga, co sądzisz o Obsydianie Darke'u?

Lola starannie dobierała słowa.

- Jest zimny, pozbawiony manier i choćby śladu ludzkiego ciepła. Nie ma krzty uroku, żyje we własnym świecie. Wydaje się zdolny do wielkiego okrucieństwa. - Uśmiechnęła się słodko. - To dokładnie taki dowódca, jakiego szukamy.

- Zgadzam się z tobą - odparł Sidorio. - Słuchając Stukeleya i jego planu przejęcia statków piratów, sam wpadłem na doskonałą myśl. Na czele każdej misji postawimy innego wampirata. W ten sposób nie tylko szybko zdobędziemy kolejne jednostki, lecz także przekonamy się, kto ma dość cojones, by zająć ważne stanowisko w naszej organizacji.

Lady Lockwood chrząknęła.

- Kochanie, od kiedy to posiadanie cojones jest oznaką talentów przywódczych?

- To tylko takie wyrażenie, moja miła! - zaśmiał się Sidorio. - Obsydian Darke poprowadzi pierwszy szturm. Zobaczymy, jak się z tym sprawi.

Lola pokręciła głową.

- Nie. To ty musisz poprowadzić pierwsze natarcie. Potem Stukeley i Johnny. To ważne, żeby nasi oficerowie umocnili swój autorytet wśród załogi. Potem, jeśli zechcesz, będziesz mógł przekazać pałeczkę Obsydianowi.

- Uważam, że pani kapitan ma rację - poparł ją Stukeley. - Jeśli powiększymy flotę tak prędko, jak mamy nadzieję, załoga może być zdezorientowana. Wzmocnienie pozycji kapitanów i oficerów to doskonały pomysł.

- Zatem postanowione - oznajmił Sidorio. - Ja poprowadzę pierwszy atak, później przyjdzie kolej na Stukeleya i Stetsona. A potem na Darke'a! Czy ktoś spisuje protokół?

- Tak! - zawołała z drugiej strony stołu Nathalie. Jej długopis sunął po żółtych stronicach zeszytu. Robiła notatki od początku zebrania.

- A zatem... - Sidorio znów zwrócił się do wszystkich. - To by było na tyle. Chyba że ktoś wpadł właśnie na jakiś genialny pomysł.

- Pani kapitan, panie kapitanie. - Jacqueline uniosła rękę. - Chciałabym spytać o nasze plany w związku z zagrożeniem ze strony piratów. Ich ataki na nas stają się coraz bardziej przemyślane i zuchwałe. Wystarczy wspomnieć, co zaszło na państwa ślubie.

Lola przytaknęła, wymieniając szybkie spojrzenie ze Stukeleyem i Johnnym. Nikt prócz ich trojga tego nie dostrzegł.

- Masz rację, że o to pytasz, Jacai. Oczywiście musimy być ostrożni, ale skłaniam się ku przekonaniu, że incydent na naszym ślubie był odosobnionym przypadkiem. - Ponownie zerknęła na poruczników. - Dzięki opracowanemu przez Stukeleya planowi uszczuplenia floty piratów nasi przeciwnicy będą mieli zbyt wiele na głowie, by nas atakować.

Tym razem odezwała się Nathalie:

- Ale, pani kapitan, czy Connor nie był częścią oddziału, który na was napadł? Takie krążą plotki. Czy powinniśmy martwić się o nasze bezpieczeństwo?

Lola zaprzeczyła ruchem głowy.

- To zasadne obawy, ale na razie nie musicie się lękać ani Connora, ani Grace.

- Wiemy, że są dampirami. - Nathalie nie odpuszczała. - I jako dampiry mają zdolność unicestwiania wampirów.

- Tylko jeśli dokonają takiego wyboru. - Lady Lockwood spojrzała na męża. - Wprawdzie nie mieliśmy się dzisiaj na ten temat mówić, ale widzę, że jesteście zaniepokojeni...

Sidorio przerwał małżonce.

- Dampir, jako pół śmiertelnik i pół wampir, z chwilą osiągnięcia wieku dojrzewania - wieku, w którym są teraz Grace i Connor - staje przed wyborem. Może stać się potężnym sprzymierzeńcem w naszej walce albo zwrócić się przeciwko nam.

Wampiraci siedzący wokół stołu byli wyraźnie zatroskani. Lola uśmiechnęła się, by dodać im otuchy.

- Nie róbcie takich posępnych min, moi drodzy. Trzymamy rękę na pulsie. Dzisiaj zaczęliśmy potajemnie karmić bliźnięta krwią. Będziemy to robić dalej przez kilka kolejnych nocy. Krew pobudzi ich apetyt, a głód na stałe zwiąże Connora i Grace z nami.

- Co oni tu właściwie robią? - spytała Mimma. - Z pewnością nie przybyli tylko z chęci dowiedzenia się czegoś więcej o swoim pochodzeniu.

- Głęboko wierzę, że był to jeden z powodów - odparła lady Lockwood. - Ale oczywiście masz rację, Mim, podejrzewając, że w grę wchodzi również inne względy. Connor należy do załogi niedoszłych zabójców wampirów. Czy nas szpieguje? To więcej niż pewne. Czy ma to znaczenie? Żadnego. Kiedy z nim skończymy, będzie miał na głowie znacznie ważniejsze problemy.

- A Grace? - spytał Johnny.

Lola była wyraźnie rozbawiona.

- Sądziłam, że to ty jesteś znawcą dziewczęcych dusz. Jak sądzisz, dlaczego tu przybyła?
Johnny wzruszył ramionami.

- Jest bardzo otwarta. Myślę, że chce was lepiej poznać. - Umilkł na chwilę. - Ale prawdą pozostaje, że jest silnie związana z załogą Nokturnu. Szczególnie z Lorcanem Fureym.

Po raz kolejny pani kapitan się uśmiechnęła.

- Twoim zadaniem, mój drogi, będzie zerwanie tych więzów. Stukeley natomiast popracuje nad Connorem. - Lola upewniła się, że uwaga zebranych skupiona jest na niej, i dopiero wówczas dokończyła wypowiedź. - Connor i Grace mają moc zniszczenia nas wszystkich. Musimy wyeliminować to zagrożenie, zanim stanie się ono realne, przekonując tych dwoje, że ich miejsce jest przy nas. - Uniosła głowę królewskim gestem. - Czy wszyscy zrozumieli?

- Tak, pani kapitan - odparli chórem.

- Koniec zebrania - oznajmiła lady Lockwood. - Dobra robota, moi mili. A teraz do dzieła! Chwytajcie noc!

W zaledwie kilka minut członkowie załogi zebrali dokumenty i opuścili kajutę.

Gdy drzwi się za nimi zamknęły, Lola nalała świeżej krwi do dwóch kieliszków. Podawała jeden z nich mężowi.

- Dobrze poszło - stwierdził Sidorio, pijąc szkarłatny trunek. - Nasza załoga jest nie do pobicia.

Lola sączyła napój ze swojego kieliszka.

- Ogólnie biorąc, owszem - mruknęła. - Ale powinieneś mieć oko na swoich zastępców.

Sidorio zmarszczył brwi.

- Nigdy za nimi nie przepadałaś, prawda, Loluniu?

Wampirzyca spiorunowała go wzrokiem.

- Nigdy więcej mnie tak nie nazywaj - rzekła. - To nie kwestia sympatii. Po prostu im nie ufam. Nie proszę cię, byś wybierał między nimi a mną, ale...

- Wybrałbym ciebie - oświadczył Sidorio bez namysłu. - Zawsze. Jesteś najważniejsza. Ważniejsza nawet od moich dzieci. - Jego głos drżał od emocji. Lola nie miała wątpliwości, że mąż mówi prawdę.

- Nikt nie prosi cię, żebyś wybierał - powtórzyła łagodnie, lecz po chwili jej ton ponownie stał się ostry. - Tylko zajmij ich czymś!

Rozdział 19

Łącznik

Connor zaczął biec i już po chwili złapał swój rytm. Ciało domagało się jakiegoś fizycznego wysiłku, a popołudniowe słońce przyjemnie grzało w plecy. Choć jego kroki były lekkie, ich odgłos odbijał się echem od metalu. Chłopak pomyślał o śpiących pod pokładem wampiratach. Miał nadzieję, że hałas ich nie obudzi.

Dziwiło go, że jest w tak świetnej formie. Na Tygrysie pod koniec dnia zwykle ślaniał się ze zmęczenia, gotów zasnąć choćby na gołych deskach. A jednak tutaj nie czuł się ani trochę znużony, wręcz przeciwnie. Jego organizm rozpierała energia. Zrozumiał też, że może mieć problem z dostosowaniem się do przyjętych na Krwawym Kapitanie pór snu i wstawania. Zastanawiał się, czy Grace doświadcza podobnych wrażeń na pokładzie Wagabundy. Przypomniawszy sobie jednak, że siostra od dawna podróżuje z wampiratami. Zamiana dnia z nocą przychodziła jej pewnie dość łatwo.

Przemierzając długość pokładu, chłopak chłonał wzrokiem ogrom statku. Czuł się niczym w klatce. Jak, u licha, mógł liczyć na to, że w pojedynkę czegoś tu dokona? Najważniejsze to sprawić, żeby Sidorio, Stukeley i inni członkowie załogi mu zaufali.

Ta część zadania jak dotąd szła dobrze - Connorowi przyszło jednak do głowy, że być może wampiraci również starają się zdobyć jego zaufanie. Wiedział, że istnieje spore prawdopodobieństwo, iż go szpiegują. Niech i tak będzie. Teraz zaprzętała go inna kwestia. Nadal nie wiedział, w jaki sposób miałby przekazywać informacje Cheng Li. Obiecała przysłać mu łącznika, ale nie wyjawiała, kto nim będzie ani kiedy się pojawi.

Po trzech okrążeniach zatrzymał się na moment, by złapać oddech i otrzeć z czoła krople potu. Słońce chyliło się już ku zachodowi, cień statku na wodzie się wydłużył. Chłopak liczył na to, że wysiłek przyprawi go o senność, ale zamiast tego czuł się jeszcze bardziej pobudzony. Może to adrenalina? Ostatecznie przez dwadzieścia cztery godziny na dobę musiał być w pogotowiu. Obrócił się i wyjrzał za burtę. Zupełnie jakby patrzył w dół ciemnego klifu. Dziwne,

ale nie odczuwał lęku wysokości, a turkusowe wody wydawały się go przyzywać. Może pływanie pomogłoby mu rozładować nadmiar energii?

Rozwiązał sznurowadła, zdjął buty oraz przepoconą koszulkę i położył na pokładzie. Potem przeszedł przez reling i postawił stopy na drabince. Było wysoko, ale o ile niegdyś chłopak by się zawahał, o tyle teraz schodził po śliskich szczeblach z absolutnym spokojem i pewnością siebie.

Gdy był mniej więcej w połowie wysokości, nie mógł się oprzeć i jeszcze raz zerknął na lśniąca tafłę wody. Również tym razem zamiast strachu poczuł gwałtowny przyływ adrenaliny. „Naprawdę się zmieniam” - pomyślał, odrywając ręce od szczebli i skacząc na główkę do morza. Był podekscytowany.

Jego ciało przecięło lustro wody niczym strzała, a gdy wreszcie przestało opadać, chłopak zorientował się, że zanurkował dość głęboko. Było tu cicho i spokojnie, całkiem inaczej niż na powierzchni. Przez chwilę czuł się bardzo daleko od wszystkich swoich zmartwień. Unosił się w wodzie, czując, jak jego płuca wypełnia powietrze. Potem zaczął powoli płynąć ku górze.

Wynurzył się w cieniu ogromnego statku, mniej już wyraźnym, gdyż właśnie zaczął zapadać zmierzch. Popłynął wzdłuż kadłuba z dziwnym wrażeniem, że coś czai się za nim w głębinie. Zawahał się i rozejrzał wokół w poszukiwaniu złowieszczej płetwy. Pusto. W pewnej chwili zrozumiał, że za bardzo zbliżył się do obrośniętej skorupiakami burty, i odepchnął się od niej jednym ruchem stopy.

Ponownie spojrzął na Krwawego Kapitana. Z tej perspektywy statek wydawał się jeszcze większy - przesłaniał całe pole widzenia niczym gigantyczna orka. Chłopak powrócił myślami do swojej misji. Czy naprawdę temu podoła?

Lecz już po chwili musiał poradzić sobie z bardziej palącym problemem. Coś - lub ktoś - chwyciło go za kostki i pociągnęło w dół. Zdążył jedynie pomyśleć: „Co do...” i jego głowa znalazła się pod wodą.

Connor zaczął odruchowo machać nogami, chcąc zrzucić z siebie to, co do niego przywarło. Uchwyt wokół kostek wydawał się bardzo ludzki, a w takiej sytuacji kopniaki są dobrą formą obrony.

Bąbelki powietrza, wywołane gwałtownymi ruchami jego i napastnika, znacznie ograniczały widoczność, ale chłopakowi wydało się, że dostrzega pomiędzy nimi zarys płetwy ogonowej. To nie miało najmniejszego sensu. Wiedział, że ręce, które z kostek przeniosły się

teraz na jego talię, należą do człowieka. Zdezorientowany, jakimś cudem zdołał wyrwać się przeciwnikowi. Nie próbował nawet przyjrzeć się płetwie - natychmiast popłynął ku powierzchni. Instynktownie chciał zaczerpnąć powietrza. Wiedział, że istota, która go zaatakowała, czai się gdzieś w pobliżu. Musiał płynąć szybko, żeby jej uciec. Natychmiast skierował się w stronę statku.

Coś znów przepłynęło obok niego i chłopak ponownie dostrzegł błyszczący rybi ogon. Tuż przed nim z wody wyłoniła się głowa. Connor zamarł. Poraziła go niesamowita uroda tej dziwnej dziewczyny. Miała przepiękne oczy, które lśniły wszystkimi kolorami tęczy, i króciutkie jasnoniebieskie włosy.

Uśmiechnęła się do niego przyjaźnie.

- Connor! - powiedziała. - Kopę lat!

- Kim jesteś? - spytał chłopak, krzywiąc się, bo słona woda zalała mu usta.

Nieznajoma się zaśmiała.

- Tylko się wygłupiałam! Chciałam przyciągnąć twoją uwagę.

Connor odgarnął włosy z twarzy i dokładnie przyjrzał się dziewczynie.

- Zadałem ci pytanie - rzekł stanowczo. - Kim jesteś?

Przez pewien czas mierzyli się wzrokiem, aż w końcu ona przerwała milczenie.

- Ty naprawdę mnie nie pamiętasz - stwierdziła. Connor skinął głową. - Hmm. - Wyraźnie jej się to nie podobało. - Więc będę się musiała gęsto tłumaczyć. - Za jej plecami wysunął się ponad powierzchnię wody lśniący ogon.

Connor z zaskoczeniem odkrył, że ogon należy do nieznajomej. Nie mógł oderwać od niej wzroku.

- Jesteś... jakąś syreną? - spytał wreszcie.

- Rybogonką - odparła. - Mam na imię Kally. Nie będę udawać: jest mi przykro, że mnie nie pamiętasz.

- Potrzęsnęła głową, otrzepując z włosów słone krople. - Ale najpierw obowiązki. Przysłała mnie kapitan Li. Jestem agentką Federacji i będę współpracować z tobą podczas tej misji. Mam być waszym łącznikiem. - Puściła do niego oko. - Gwarantuję dostarczenie wiadomości jeszcze tego samego dnia.

Chłopak przyglądał się Kally w zadumie. Cheng Li obiecała, że znajdzie bezpieczny sposób komunikowania się z nim, ale nawet w najdzikszych marzeniach nie przyszłoby mu do głowy, że zaangażuje do tego zadania syrenę - to znaczy rybogonkę.

Zauważył, że dzień już niemal dobiegł końca.

- Nie mamy wiele czasu - powiedział.

Kiedy Connor wdrapywał się po drabince na pokład Krwawego Kapitana, w głowie kłębiły mu się setki myśli. Zastanawiał się nad tym, co opowiedziała mu Kally. Spieszyli się i podejrzewał, że rybogonka wykorzystała ten fakt, by ucinąć pewne tematy. Nieważne, przecież jeszcze nieraz się spotkają. Kally wyjaśniła, że dostała polecenie, by się z nim widywać codziennie. Zgodnie z tym, co mówiła rybogonka, poznała Connora, Barta i Jeza (tak się wówczas nazywał porucznik Stukeley) w podrzędnej speluncie podczas ich weekendowej przepustki z Diabła. Utrzymała, że pokonała wszystkich trzech na rękę. Potem doszło do „jakiejś przepychanki z niedomytym gnojkiem o imieniu Promyk”. Connor nadstawił uszu. Może i nic z tego nie pamiętał, ale nietrudno było o konflikt z Promykiem Wrathe'em, nastoletnim synem Barbarra i Trofie. To tłumaczyło wrogość, którą „gnojek” okazał Connorowi, gdy ten pojawił się na pokładzie Tyfona - po prostu nie było to ich pierwsze spotkanie.

Jeśli wierzyć Kally, Trzej Bukanierzy spędzili weekend na Lorelei - statku należącym do jej ojca, Flynna. Załogę stanowili sami rybogoni. W pewnym punkcie opowieści dziewczyna zamilkła na moment, a potem oznajmiła, że doszło do nieporozumienia. Nie chciała bliżej tego wyjaśniać. Chłopcy opuścili pokład Lorelei w nie najlepszych stosunkach z załogą. Wkrótce potem rybogonów zaatakował Sidorio i przejął statek.

Pokonując ostatnie szczeble, Connor widział zapalane kolejno na pokładzie światła. Wracał w samą porę. Opowieść Kally dała mu do myślenia. Czy Bart lub Stukeley pamiętali cokolwiek z Calle del Marinero? Czy pamiętali rybogonów? Nie miał wątpliwości co do tego, że nienawiść dziewczyny do Sidorio jest prawdziwa. Opowiadając, jak tamten brutalnie zamordował jej ojca, z trudem powstrzymywała łzy.

Pokręcił głową. Pasma zniszczeń, jakie pozostawiał za sobą Sidorio, zdawało się nie mieć końca. Ale dzięki działaniom Federacji wkrótce zaciśnie się pętla wokół szyi samozwańczego króla wampiratów. Connor już nie czuł się osamotniony. Spotkanie z Kally wzmogło jego determinację.

Przeskoczył przez reling, czując przyływ euforii. Kiedy jednak jego stopy dotknęły pokładu, o nagą pierś chłopaka oparł się koniec miecza. Rękojeść znajdowała się w dłoni Sidorii.

Rozdział 20

Pojedynek

Connor spojrział na ostrze dotykające jego skóry. Było w nim coś znajomego, ale nie mógł sobie teraz pozwolić na dekoncentrację. Dobrze pamiętał pierwsze treningi z Bartem i Cate. „Zawsze patrz przeciwnikowi w oczy, a nie na czubek jego miecza”. Teraz zatem należało skupić się na oczach przeciwnika - z nich można było wyczytać intencje. Connor odważnie zmierzył się z Sidoriem wzrokiem.

Na początku musiał ocenić, w jak dużym jest niebezpieczeństwie. Czy Sidorio widział go rozmawiającego z Kally? Spotkali się w niknącym już, ale dziennym świetle, więc wampir raczej nie mógł ich zauważyć.

- Będziemy walczyć? - zapytał Connor tonem, w którym niewinność mieszała się z zuchwałością. Najwyraźniej Sidoriowi podobała się taka postawa, bo na jego ustach zagościł szeroki uśmiech.

- Bystrzak z ciebie, nie? Tak, mój synu, będziemy walczyć. Chętnie się przekonam, czy opowieści, jakie o tobie krążą, nie są przesadzone. Ty i ja. Jeden na jednego.

Wyraz twarzy chłopca pozostał obojętny, jednak Connor poczuł bezbrzeżną ulgę. To była tylko próba. Nie kara ani nie groźba. Connor Tempest nieraz już stawał przed takimi wyzwaniem i wszystkim im sprostał.

- Dostanę jakąś broń? - spytał.

Sidorio przytaknął. Opuścił rękę i zawołał:

- Stetson, przynieś mojemu synowi jego miecz!

Dopiero teraz Connor pozwolił sobie rzucić okiem na oręż Sidorio. Natychmiast go rozpoznał. Toledański rapier - legendarne ostrze należące do Johna Kuo. Connor dostrzegł pod palcami wampirata jedyną w swoim rodzaju rękojeść obłożoną skórą trygona. Nie było wątpliwości, że po zamordowaniu komandora Lola zabrała tę klingę. Przez głowę chłopaka przelatywały setki myśli, ale nie pozwolił sobie na jakiegokolwiek emocje. Jego uczucia wobec

Kuo i wobec lady Lockwood nie miały teraz żadnego znaczenia. Jedyne, co musiał wiedzieć, to że Sidorio posługuje się toledańskim rapierem. Connor wiele słyszał o tej broni i raz używał jej podczas pojedynku. Znał jej zalety i wady. To dawało mu znaczącą przewagę.

Johnny pojawił się u jego boku i podał mu miecz. Connor wziął go, dostrzegając kątem oka, że pokład zapełnił się wampirami. Otoczyli ich ciasnym kręgiem. To z pewnością była najniebezpieczniejsza sytuacja, w jakiej chłopak kiedykolwiek się znalazł. A jednak z jakiegoś powodu się nie bał. Jedyne, co czuł, to krążącą w żyłach adrenalinę.

- Kto pierwszy upuści przeciwnikowi krwi, wygrywa! - oświadczył Johnny.

- A otóż i ona! - zawołała Lola, podnosząc się z armaty, na której siedziała jak w damskim siodle. Mimma właśnie wprowadzała Grace na pokład Wagabundy.

Centralna jego część oświetlona była małymi lampkami. Pośrodku rozłożono duży koc piknikowy w kratę i mnóstwo poduszek. Na wielu z nich spoczywały już członkinie załogi Loli. Spojrzały na Grace i z wdziękiem ją pozdrowiły. W odpowiedzi dziewczyna uśmiechnęła się i również im pomachała.

Na kocu ustawiony był porcelanowy serwis, srebrne imbryczki i elegancka pięciopoziomowa patera pełna maleńkich babeczek z różowym lukrem.

- Urządziliśmy sobie właśnie mały piknik - oznajmiła pani kapitan, przywołując Grace gestem. - Na twoją cześć.

- Dziękuję - odpowiedziała dziewczyna, siadając na poduszce pomiędzy Nathalie a Jacqueline.

- Może herbaty? - spytała ta druga, chwytając czystą filiżankę i jeden ze srebrnych imbryczków.

Widząc wahanie Grace, wampiratka uśmiechnęła się przymilnie.

- Zaparzyłyśmy lady grey specjalnie dla ciebie - powiedziała.

Dziewczyna odetchnęła z ulgą.

- W takim razie poproszę.

Jacqueline napełniła filiżankę i zapytała:

- Z mlekiem czy z cytryną?

- Z niczym - odparła Grace. - Lubię smak herbaty bez dodatków.

- Widzicie? - Lola usiadła z resztą załogi. - Grace wyrasta na prawdziwą koneserkę, jak jej macocha.

Dziewczyna wzięła od Jacqueline filiżankę, a wampiratki zaśmiały się wesoło. „Stanowią interesującą grupę” - myślała Grace, przyglądając się twarzom ozdobionym tatuażem czarnego serca. Kiedy wzrok dziewczyny padł na dwie kobiety, których wcześniej nie widziała, usłyszała głos Loli:

- Ojej! Jakie to z mojej strony niegrzeczne! Grace, zapomniałam ci przedstawić Leonie i Holly.

Obie wampiratki przyjaźnie skinęły głowami do dziewczyny. - Masz ochotę na babeczkę? - spytała Holly, podsuwając jej tacę. - Właściwie nie jestem... - Są pyszne - zapewniła Leonie. - Zaufaj mi, kochana. Nigdy nie próbowałam czegoś równie smacznego.

- Zrobiłyśmy je specjalnie dla ciebie - dodała Holly. - Bardzo chcemy, żebyś czuła się tutaj jak w domu.

Grace spojrzała na wieżę z ciastek. Wyglądały bardzo kusząco. Niemal bez udziału świadomości jej dłoń pochwyciła babeczkę i przeniosła na talerzyk.

Widząc wyczekujące spojrzenia wampiratek, Grace zrozumiała, że powinna skosztować smakołyku. Zdjęła więc papierową foremkę i włożyła ciastko do ust. Smak, jaki poczuła, wydał jej się najwspanialszy z możliwych.

- Nieziemskie, prawda? - dopytywała się Leonie z anielskim uśmiechem.

Grace przytaknęła ruchem głowy. Zauważyła, że Lola wstała. Patrzyła teraz przez lornetkę na pokład Krwawego Kapitana. Dziewczyna podeszła do macochy.

- Co się dzieje? - spytała.

Lady Lockwood podała pasierbicy lornetkę.

- Sama zobacz - zaproponowała. - Wygląda na to, że chłopcy urządzili sobie zawody. Grace spojrzała na jasno oświetlony pokład ogromnego statku. Tłoczyli się na nim członkowie załogi. Dziewczyna bez trudu rozpoznała dwie osoby walczące w kręgu gapiów. Zobaczyła, jak Sidorio bierze zamach mieczem i atakuje Connora. W pierwszej chwili się przeraziła, ale potem usłyszała w głowie wyraźny głos brata: „Nie martw się, Gracie. Wiem, co robię”. Dźwięczały w nim spokój i pewność siebie.

Dziewczyna patrzyła, jak Connor energicznie paruje cios Sidorio i trafia wampirata w ramię. Na spoconym bicepsie kapitana pojawiła się czerwona strużka krwi. Grace była zdumiona. Co tam się wydarzyło? Dlaczego tak szybko stanęli przeciwko sobie?

- Pierwsza krew należy do Connora! - zawołał Johnny.

Wampiraci zaczęli krzyczeć. Z początku Connor sądził, że będą mu złorzeczyli, ale szybko się zorientował, że wcale nie kibicują kapitanowi, a po prostu lubią dobrą walkę. Ich okrzyki były radosne, a tu i ówdzie rozległy się spontaniczne oklaski. Connor miał wrażenie, jakby razem z Sidoriem znalazł się na arenie cyrkowej. „Przydałaby się jakaś zbroja” - pomyślał, zdając sobie sprawę, że jest bez koszuli i boso.

Przeciwnik natomiast nosił obszytą skórą kolczugę. Po raz kolejny jednak chłopak odsunął od siebie obawy. Nie potrzebował zbroi, by wygrać pierwszą rundę. Był lżejszy od Sidorio, a bez spowalniających ruchy ciężkich butów i ubrania zyskiwał znaczącą przewagę.

- Zmiana broni! - krzyknął Johnny, niosąc metalową skrzynkę. Podeszedł z nią do Connora i uchylił wieko.

Spoglądając na zawartość skrzyni, chłopak się skrzywił.

- Co to jest? - spytał, unosząc nabijaną kolcami kulę na łańcuchu, z drugiej strony przytwierdzonym do drewnianego kołka.

- To kiścień, zwany też poranną gwiazdą na uwięzi - wyjaśnił Sidorio. - Moja ulubiona broń.

Zebrani wampiraci tupali i coraz głośniejszymi wykrzykiwali słowa zachęty. Chcieli, by druga runda pojedynku rozpoczęła się jak najszybciej.

- Rzadko odpuszczają - rzucił Johnny, puszczać oko do Connora.

Chłopak zważył w dłoni niebezpiecznie- wyglądającą broń.

- W życiu czegoś takiego nie widziałem - wyznał i pożałował tych słów, kiedy tylko je wymówił.

Sidorio uśmiechał się złośliwie.

- Zatem ta runda będzie bardzo interesująca - stwierdził.

- Czy mogę już odzyskać lornetkę? - zapytała Lola.

Grace była tak pochłonięta obserwowaniem przebiegu wypadków na pokładzie Krwawego Kapitana, że puściła jej słowa mimo uszu. Co to za broń, z którą Sidorio i Connor teraz na siebie nacierają?

Nagle dziewczyna poczuła, że ktoś wydziera jej siłą lornetkę. Nic już nie widziała.

- Grace, manieri! - upomniała ją lady Lockwood ściszym, ale ostrym tonem. - Dziewczęta zadały sobie wiele trudu, by przygotować dla ciebie to przyjęcie. Nie uważasz, że powinnaś poświęcić im nieco więcej uwagi?

- Mój brat walczy z Sidoriem - wyszeptała dziewczyna bez tchu. - Wygląda to niebezpiecznie.

Lola przewróciła oczami.

- Chłopcy mają swoje rozrywki - oznajmiła, popychając pasierbicę w kierunku koca, a następnie zdecydowanym ruchem sadzając na poduszce. - Holly, podaj Grace kolejną babeczkę.

Wampiratka posłusznie podsunęła dziewczynie tacę.

Grace ugryzła ciastko, wpatrując się posepnie w macochę. Każda babeczka wydawała się lepsza od poprzedniej. Były wręcz uzależniające. Kiedy dziewczyna zachwycała się złożonością smaków, myśli o tym, co się dzieje na pokładzie Krwawego Kapitana, uleciały jej z głowy. Bezwiednie zapatrzyła się w twarz Loli, a w szczególności w jej tatuaż w kształcie serca. Niespodziewanie czarny kształt zaczął znikać i dziewczyna ponownie dostrzegła pod nim zarys brzydkiego siniaka. Tak samo jak za pierwszym razem, przypominał on półksiężyc i był jedynie bramą do kolejnej, wyraźniejszej wizji. Grace usłyszała tętent końskich kopyt i pisk kół powozu.

Lola spoglądała na nią ze srogą miną. Dziewczyna pamiętała, jak rozjuszyła wampiratkę, zaglądając w jej myśli. Nadal czuła na policzku tamto uderzenie, ale nic jej to teraz nie obchodziło. Wizja była silna i sugestywna. Wzrok Grace przesunął się z kół ku górze, na drzwiczki powozu. Za szybą dostrzegła bladą i przerażoną twarz.

Potem usłyszała znajomy głos:

- Stać! Stać, mówię! Pieniądze albo życie!

Nagle ten sam głos - należący bez wątpienia do Loli - wrzasnął w jej głowie:

- Nie!

Wyrwana z odrętwienia, Grace spojrzała na lady Lockwood. Wampirzyca uśmiechała się spokojnie. Potem zaklaskała:

- Drogie panie! Grace zna wspaniałą sztuczkę. Prawda, kochanie?

- Tak? - spytała dziewczyna z nonszalancją, sięgając po następną babeczkę.

- Wiesz, że tak - odparła Lola wesoło. - Potrzebujemy ochotniczki. Ręce do góry, moje miłe! - Jej wzrok przesunął się po zebranych. - A, Mimma. Idealnie! - Pani kapitan oparła dłonie na biodrach. - No dalej, Grace. Do dzieła!

Connor niewiele widział rzeczy bardziej przerażających od Sidorio wymachującego kiścieniem. Wampirat kręcił drewnianą rączką coraz szybciej i szybciej, nadając metalowej kuli zabójczą prędkość. Chłopak ponownie skupił się na oczach przeciwnika, chociaż niełatwo mu

było odwrócić wzrok od śmiercionośnych kolców, wirujących coraz bliżej jego głowy. Ponownie pomyślał o tym, że nie chroni go żadna zbroja.

Spychając tę myśl w zakamarki podświadomości, Connor zakręcił własnym kiścieniem. Chociaż broń wyglądała doprawdy złowrogo - i taka też oczywiście była - sztuka posługiwania się nią nie okazała się trudna. Należało po prostu przedrzeć się przez obronę rywala i zręcznie unikać ciosów.

Okrutna gra w kotka i myszkę rozpoczęła się na środku pokładu. Gapie rozsunęli się jednak szybko, by dać walczącym więcej przestrzeni - i nie stanąć przypadkiem na drodze pędzącej kuli. Connor okrążał Sidoria. Każdy z nich machał kiścieniem w takim tempie, że kolce na kuli były właściwie niewidoczne. W przyływie odwagi chłopak wrzasnął i zaatakował, wyprowadzając cios w ramię przeciwnika. Ale coś poszło nie tak. Gdzie się podziła kula? Zaczepiła o coś. Connor był tak skoncentrowany na Sidorium, że nie spostrzegł, kiedy został zapędzony w pułapkę - wprost na takielunek. Tam naszpikowana kolcami kula zaplątała się w liny.

Wampirat nie marnował okazji. Podczas gdy chłopak starał się uwolnić broń, kula Sidoria przecięła powietrze i przesunęła się po udzie Connora. Ten poczuł gwałtowny ból, a kiedy spojrział w dół, dostrzegł spory strumień krwi spływającej po nodze.

Kilku wampiratów podeszło bliżej. Widział w ich oczach głód, gdy patrzyli na szkarłatną kałużę na pokładzie.

- Druga krew należy do Sidoria! - oświadczył Johnny rozentuzjasmowanemu tłumowi. Connor był zdziwiony tym, jak prędko ból ustąpił. Wkrótce też krew została zatamowana chustką porucznika i chociaż noga chłopca wyglądała, jakby rozorały ją pazury tygrysa, to rana była powierzchowna. Biorąc pod uwagę okoliczności, Sidorio potraktował przeciwnika bardzo łagodnie.

Johnny powrócił z metalową skrzynką. Pełen wdzięczności Connor wrzucił do niej swój kiścień i obserwował, jak Sidorio robi to samo. Chłopak liczył, że to już koniec walki.

- Zmiana broni przed rundą trzecią! - zawołał jednakże porucznik, odstawiając skrzynkę i sięgając po następną, tym razem mniejszą.

Connor pokręcił głową. Co teraz? Johnny podsunął mu metalowy pojemnik. Kiedy chłopak zerknął do środka, poczuł dreszcz na plecach i nieprzyjemne ściskanie w dołku.

Yawary. Wyglądały niewinnie - jak niewielkie drewniane ciężarki. Wykorzystywane były w wielu japońskich sztukach walki, zawsze po dwie. Wzmacniały ciosy, łamały kości i zapewniały wiele innych rozkosznych doznań. Connor aż się skrzywił. Ta broń wyglądała na mniej zabójczą niż kiścień, ale oznaczała walkę wręcz w trzeciej rundzie. Zerkając na potężne ciało Sidorii, chłopak pomyślał, że nie ma szans na wygraną.

Grace skupiła wzrok na twarzy Mimmy. Zaledwie chwilę zajęło jej skoncentrowanie uwagi, a wówczas poczuła znajomy spokój.

- Jesteś ubrana w czarną koronkę - powiedziała.

- To piekielnie gorący dzień, ale masz na sobie elegancką suknię, a twarz przesłania ci welon.

Mimma nachyliła się, przejęta.

- Tak, tak - powtarzała. - Mów dalej! Grace była świadoma, że oczy każdej wampiratki, łącznie z panią kapitan, zwrócone są na nią. Nie mogła zaprzeczyć, podobało jej się to. Czuli się ważna.

- Trzymasz w rękach kwiaty. Jakby bukiet ślubny, ale masz też coś więcej. - Na moment umilkła, czekając, aż wizja nabierze ostrości. Wampiratki patrzyły na nią wyczekująco. Najbardziej podekscytowana była sama Mimma.

- Tak - podjęła wreszcie Grace. - Pod kwiatami ukrywasz broń.

- To niesamowite! - zawołała Mimma. - Mówiła jej pani o tym, pani kapitan?

Lola pokręciła głową.

- Ależ skąd - rzekła. - Grace ma dar. Czyż to nie cudowne? - Zaczęła klaskać, a członkinie załogi natychmiast poszły w jej ślady.

Kiedy brawa umilkły, Jacqueline uniosła rękę.

- Teraz ja! - rzekła. - Odczytaj mnie.

- Jak tylko zjem jeszcze jedną babeczkę. - Grace sięgnęła po smakołyk. Miała zamiar dłużej się nim delectować, ale ciastko jakby samo rozpląnęło się w ustach.

Spojrzała Jacqueline w oczy. Po chwili skinęła głową i z uśmiechem zaczęła:

- Znam to miasto. To Paryż. Jesteś ubrana w łachmany i masz bosa stopy. Jesteś bardzo głodna. I zła, wręcz wściekła...

- Mów dalej! - ponagliła wampiratka z oczami szeroko otwartymi ze zdumienia. - Nie przerywaj!

Trzecia runda pojedynku trwała już dwa razy dłużej niż dwie poprzednie razem wzięte. Z początku Connor był zdenerwowany i zmęczony, bardzo ostrożny ze względu na ranę na udzie i świadom trudności, jakie napotka w walce wręcz z Sidoriem. Ale w pewnej chwili gdzieś z jego wnętrza napłynęła fala spokoju, w wraz nią nowa energia. Zmęczenie chłopca minęło jak ręką odjął. Walczył wspaniale. Wiedział, że wykorzystuje swoje umiejętności. Przeciwnik kilka razy celował w niego mocno zaciśniętą pięścią i dopiero po chwili orientował się, że w miejscu, w które trafia, Connora już dawno nie ma. Chłopak widział frustrację w oczach Sidoria. Wiedział, że po wygranej w drugiej rundzie kapitan wampiratów chce mu udowodnić swoją wyższość, pokonując go i tym razem.

Connor znał technikę yawary tylko ze słyszenia. Dzięki wcześniejszym szkoleniom wiedział co nieco o ludzkiej anatomii. Teraz jednak, kiedy zbliżał się do Sidoria, jakiś wewnętrzny głos podpowiadał mu istnienie newralgicznych punktów, o których wcześniej nie miał najmniejszego pojęcia. Wszelkie wątpliwości nagle się ulotniły. Przestał postrzegać przeciwnika jako kolosa, równie silnego jak statek, którym dowodził. Zamiast tego miał przed oczami zbiór potencjalnych celów i przygotował się do zadania zwycięskiego uderzenia. Działo się to niemal w zwolnionym tempie. Wyprowadził dwa celne ciosy pięściami zaciśniętymi wokół broni. Tym, co zauważył następnie, był widok Sidoria padającego bezwładnie na pokład.

Wampiraci zamarli, patrząc, jak Connor stoi nad kapitanem. A potem rozległy się brawa i okrzyki. Johnny rozpoczął odliczanie. Potem ujął rękę Connora, podniósł ją i zawołał:

- Zwycięzca!

Wśród narastającego zgiełku Connor skierował wzrok na Sidoria. Kapitan wreszcie otworzył oczy. Patrzył na chłopaka, który czuł intensywność tego spojrzenia, ale nie był w stanie rozszyfrować wyrazu twarzy wampira. A potem Sidorio się uśmiechnął.

- Jestem z ciebie dumny, mój synu - powiedział.

Lola weszła do kajuty męża i zbliżyła się do jego łóżka. Sidorio leżał wsparty na ogromnych złotych poduszkach. Jego otwarte oczy błyszczały z przejęcia.

- Widzę, najdroższy, że walka była zacięta - rzekła wampiratka, gładząc chłodną dłonią skroń małżonka.

Sidorio pochwycił jej spojrzenie.

- Connor był wspaniały - oznajmił ochrypłym głosem. - Jest dokładnie taki, jak przewidywaliśmy. Wyjątkowy. A nawet więcej! Przez wszystkie lata wędrówki po tym świecie nie widziałem niczego równie imponującego.

- To miło - stwierdziła Lola, zdejmując pantofelki i kładąc się obok niego.

- Miło? - Wampirat usiadł. - O wiele więcej niż tylko miło, najdroższa. Czy masz pojęcie, jakie to uczucie: pojednać się z jedynym synem? Przekonać się, że jest równie utalentowany jak ja? Może nawet bardziej.

Lady Lockwood przytaknęła.

- Rozumiem - rzekła. - Ale nie zapominaj, że masz dwoje dzieci. A Grace jest tak samo niezwykła jak jej brat.

Sidorio uśmiechnął się z dumą.

- Connor jest taki silny! Jest jak wojenna machina.

- Tak, tak. - Lola weszła mu w słowo. - Ale fizyczna siła jest jak fizyczne piękno. Oszałamiająca, lecz powierzchowna. Talenty Grace leżą głębiej. Jestem pewna, że z czasem przekonamy się, iż ma nam do zaoferowania dużo więcej.

Sidorio wzruszył ramionami.

- Cóż, jak powiedziałaś, oboje są moimi dziećmi. Tak czy siak, wygrywamy.

Wampirzyca zaśmiała się radośnie.

- Otóż to, najdroższy! Nadszedł czas Lockwoodów Sidorio. - Wplotła swoje palce między jego. - Nasze małe imperium zaczyna nabierać kształtu, nie uważasz?

- O, tak. - Kapitan uśmiechnął się i ucałował dłoń żony.

- I nie zapominaj o jednym - mówiła dalej Lola. - Oni są również moimi dziećmi.

Może nie rodzonymi, ale wychowanie jest równie ważne, co biologia. Uważam, że mam wielki udział w przygotowaniu bliźniąt do czekającego ich przeznaczenia.

- Oczywiście - odparł Sidorio. - Oczywiście, kochanie.

Rozdział 21

Spotkanie o poranku

- Jesteś pewna, że to tutaj? - spytał Jacoby, idąc po wyludnionym pomoście. - Oczywiście, że tak - odparła Jasmine, stukając lekko palcem w mapę. - Zapomniałeś już, kto przez siedem długich lat miał najlepsze oceny z nawigacji?

- Dobra, w porządku. Tak tylko pytam. - Chłopak uniósł dłonie w obronnym geście i przeszedł na skraj pomostu.

Jasmine podążyła za nim, co jakiś czas zerkając na zegarek.

- Po prostu jesteśmy za wcześnie.

Jacoby spojrział na spokojną taflę wody, w której odbijały się poszarpane klify i różowawe światło świtu. Potem odwrócił się do dziewczyny.

- To romantyczny zakątek, nie sądzisz? Ile mamy jeszcze czasu? - Chciał objąć Jasmine, ale ta się odsunęła.

- Nie teraz! - fuknęła. - Co dokładnie kapitan Li powiedziała ci o Kally?

Jacoby wzruszył ramionami.

- Jest rybogonką. Krótko mówiąc, czymś w rodzaju syreny. Należała do ławicy, stada czy jak tam się to u nich nazywa, ale ich statek opanował Sidorio, zabijając przy okazji kilku członków załogi. W tym ojca Kally.

Jasmine przeszył dreszcz.

- Jakie to okropne...

- Jej ojciec, jeśli chcesz wiedzieć, nie był rybogonem - ciągnął chłopak. - Był zwyczajnym facetem, który zakochał się w syre... w rybogonce. W każdym razie Sidorio przejął ich statek, Lorelei. Dla Kally było to jedno z najgorszych doświadczeń w życiu. Akurat to mnie nie dziwi. Wraz z towarzyszami zaplanowała ucieczkę. Jej się udało, ale inni nie mieli tyle szczęścia. Dlatego Kally sądzi, że jest ostatnią przedstawicielką rybogonów na świecie.

Jasmine skinęła głową.

- Zaproponowała więc swoje usługi Federacji i jest wspaniałym sprzymierzeńcem w walce z wampirami.

- Otóż to! - zawołał Jacoby. - Cheng Li uznała, że Kally będzie idealnym łącznikiem pomiędzy nami a Connorem, który utknął na statku-bazie wampirów.

Jasmine zmarszczyła brwi. Nie myślała już o historii rybogonów.

- Jacoby - zagaiła. - Kupujesz tę bajkę kapitan Li o Connorze?

Chłopak uniósł pytająco brew.

- Masz na myśli to, co wmówili Sidorowi? Że Connor jest jego synem i dziedzicem?

- Właśnie.

- Wydaje mi się to bardzo naciągane - przyznał Jacoby. - Ale z drugiej strony, biorąc pod uwagę to, że czekamy właśnie na spotkanie z syreną...

- Z rybogonką - poprawiła go Jasmine. - To jest bardzo naciągane - potwierdziła. - I to pod wieloma względami. Po pierwsze, kiedy niby mieli możliwość przedstawić Sidorowi tę szaloną teorię?

- To akurat proste - stwierdził chłopak. - Podczas jego ślubu z Lolą Cheng Li i Connor zostali w tyle, sam na sam z Sidoriem. On trzymał w rękach jej odciętą głowę... O, to by było piękne zdjęcie do ślubnego albumu! W każdym razie my uciekliśmy i czekaliśmy na plaży. Widzieliśmy, jak wampir zaatakował Connora, jednak jakimś cudem odparli jego atak i zwiali. Pani kapitan nie wdawała się w szczegóły, ale z pewnością to właśnie wtedy powiedziała Sidorowi, że Connor jest jego synem. Wymyśliła to na poczekaniu. Trzeba przyznać, że umie improwizować!

Jasmine uznała, że lepiej na razie wstrzymać się z osądem. Było zbyt wiele pytań bez odpowiedzi.

- Jak Sidorio mógł w to uwierzyć?

- Widzę dwie możliwości - odparł Jacoby. - Po pierwsze, wampiraci są zwyczajnie głupi. Tak twierdzi kapitan Li, a ja jestem skłonny przyznać jej rację. Pamiętasz te trzy wampiry, cośmy je trzymali na pokładzie? Raczej nie porażały inteligencją.

Jasmine wróciła myślą do tamtego okresu.

- Zapomniałeś chyba, że jeden z nich zdołał uciec.

Jacoby nie dał zbić się z tropu.

- Tylko dlatego, że popełniliśmy błąd. Nie, ja zgadzam się z Cheng Li. Wampiraci może i są silni, ale bardzo ograniczeni.

Jasmine zastanowiła się nad jego słowami. Przez chwilę milczeli, wypatrując na wodzie fal zdradzających obecność Kally.

Dziewczyna położyła dłoń na ramieniu Jacoby'ego.

- Powiedziałeś, że są dwie możliwości. Pierwsza: Sidorio uwierzył Cheng Li, bo jest głupi. A druga?

Chłopak uniósł wzrok. - Min, to chyba oczywiste! Druga możliwość jest taka, że Cheng Li powiedziała Sidoriovi prawdę. Być może Connor nie jest synem latarnika. Jest dziedzicem dynastii wampiratów. Grace oczywiście również. Nie powinniśmy o niej zapominać.

- Naprawdę uważasz, że Connor i Grace mogliby być dziećmi Sidorio? - Jasmine zrobiła srogą minę. - Jeśli tak, kim by to ich czyniło? Chyba nie sugerujesz, że są wampirami? Jacoby pokręcił głową.

- Przypomnij sobie, jak kapitan Li dała nam zadania do wypełnienia. Ja miałem się dowiedzieć, czym można unicestwić wampira...

Zniecierpliwiona dziewczyna wyrecytowała:

- Ogień, światło słoneczne, kołek w serce.

Jacoby wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Wiesz co? Niesamowicie mnie kręci, że tak dobrze pamiętasz każde moje słowo. Tak po prawdzie, był jeszcze czwarty sposób, o którym nawet nie chciało mi się wspominać. - Jasmine przyglądała mu się w skupieniu. - Czwartym sposobem na unicestwienie wampira byłoby zatrudnienie dampira.

- Kogo?

- Dampira - powtórzył. - To dziecko śmiertelnej matki i ojca wampira. Według tego, co udało mi się ustalić, dampiry mają niezwykle moce.

Oczy dziewczyny rozszerzyły się ze zdziwienia.

- Skoro wiedziałeś o tym przez cały czas, to czemu, u licha, nic nam nie powiedziałeś? Przez krótką chwilę Jacoby wyglądał na zawstydzonego. Chciał ująć Jasmine za rękę, ale ona zacisnęła dłonie w pięści. Westchnąwszy, chłopak podjął opowieść.

- Uznałem, że to nie ma znaczenia. Szanse, że wpadniemy na jakiegoś dambira, były raczej znikome. Skąd mogłem wiedzieć, że jeden z nich chodzi już po naszym pokładzie? Jasmine odwróciła się i gorzko zaśmiała.

- Naprawdę uważasz, że Connor może być synem wampira? Synem Sidorii? Tak na serio?

Jacoby pokręcił głową.

- Nie - odparł. - Connor to normalny chłopak, tak jak ja i Bart. Spędziłem z nim dość czasu, żeby to wiedzieć. W przeciwnym wypadku zauważyłbym jakieś znaki. Wszyscy byśmy je dostrzegli. No wiesz: głód krwi, chowanie się przed światłem... Coś takiego by go zdradziło.

- Właśnie! Jasmine poczuła się uspokojona słowami Jacoby'ego, jednak uczucie ulgi szybko minęło. Przypomniała sobie, jak przygnębiony był Connor po konfrontacji z Sidorii. Pamiętała, jaki wydawał się nieobecny, kiedy siedział na wzgórzu i obserwował przystań w Akademii. Jasmine nie miała wątpliwości, że zaprzatają go jakieś ważne sprawy. Była zdumiona, gdy zastała Connora płaczącego. Czy między nim a Sidorii naprawdę istniała jakaś więź? W jakiej sytuacji stawiało to chłopaka? W jak wielkim był niebezpieczeństwie? Nie mogła uwierzyć, że w ogóle coś takiego rozważa.

- W Akademii Piractwa nie uczyli nas o wampirach i rybogonach - powiedziała po dłuższej chwili. - Może powinni byli.

- Ale nauczyli nas radzić sobie ze zmieniającymi się zagrożeniami - odparł Jacoby. - Może sądzili, że to załatwi sprawę.

- No nie wiem. - Dziewczyna pokręciła głową. - Nie odnosisz czasami wrażenia, że nasz świat za szybko się przeobraża?

Chłopak ponownie sięgnął po dłoń Jasmine. Tym razem jej nie odsunęła. Uścisnęła krótko jego palce.

- Spójrz! - zawołał Jacoby, wskazując na zmarszczki na tafli wody. - Coś się zbliża. Chwilę później spod powierzchni wyłoniła się dziewczęca głowa.

- Kally, mam rację? - spytał młody pirat.

Rybogonka przytaknęła, strząsając wodę z krótkich niebieskich włosów.

- W rzeczy samej. Ty musisz być Jacoby. A ty Jasmine.

- Tak - odparła Jasmine odruchowo. Jej myśli wciąż krążyły wokół Connora. - Miło cię poznać - mruknęła automatycznie.

- Wzajemnie - odparła Kally. - Podejrzewam, że dopóki misja trwa, będziemy się często widywać. Dziś nie mam wiele do przekazania. Mogę jedynie potwierdzić, że nawiązałam kontakt z Connorem. Nasz system łączności działa bez zarzutu.

- Dobra robota! - ucieszył się Jacoby. - Kapitan Li będzie zachwycona.

- Jak on sobie radzi? - spytała Jasmine.

- Dobrze - odparła rybogonka. - Biorąc pod uwagę dziwaczne okoliczności. Był chyba trochę zdziwiony na mój widok. Ale wszystko gra. - Jej oczy migotały w świetle poranka. - To tyle ode mnie na dzisiaj. Jutro o tej samej porze i w tym samym miejscu?

- Jakim cudem jesteś w stanie nawigować z taką dokładnością? - zainteresował się chłopak.

Kally mrugnęła.

- Stary, mam sonar nie z tej ziemi. - I bardzo kolorowy ogon - rzucił Jacoby z szerokim uśmiechem. - Ach... Gdybym dostawała perłę za każdym razem, gdy to słyszę! - zaśmiała się rybogonka.

Jasmine przysłuchiwała się tej słownej zonglerce, żałując, że nie ma szans porozmawiać z Kally w cztery oczy. Rybogonka uniosła kciuki w górę i odwróciła się, by zanurkować.

- Czekaj! - zawołała Jasmine w ostatniej chwili, nie mogąc się powstrzymać.

Kally spojrzała na nią.

- Coś jeszcze?

Dziewczyna przytaknęła i schyliła się, licząc na to, że Jacoby nic nie usłyszy.

- Mam prywatną wiadomość dla Connora.

- Jasne - rzekła rybogonka. - Wal.

- Przekaż mu, proszę, że to, co powiedziałam w Akademii, jest prawdą. - Zarumieniła się, ale Kally przyjęła jej słowa bez zdziwienia.

- Nie ma sprawy!

Potem rybogonka znikła w głębinie. Jasmine patrzyła, jak zmarszczki na wodzie powoli się wygładzają.

Jacoby podszedł do dziewczyny.

- Zrobiliśmy, co mieliśmy do zrobienia. Pora złożyć raport pani kapitan. Chyba że znajdziemy chwilę na śniadanie? Umieram z głodu, ale jakoś nie mam ochoty na śledzie. Jasmine skinęła głową. Myślni wciąż była przy Connorze. Kiedy Jacoby po raz pierwszy wypowiedział

słowo „dampir”, wydawało jej się to niedorzeczne. Ale im dłużej się zastanawiała, tym bardziej nabierało sensu. Zrozumiała, że nadeszła pora, by zaakceptować dwie prawdy. Connor Tempest i jego siostra mogli naprawdę być dampirami. I niezależnie od wszystkiego Jasmine zaczynała się w nim zakochiwać.

Rozdział 22

Zmiany

Kiedy Lorcan wszedł do kajuty kapitana (nie potrafił o niej myśleć inaczej, mimo że obecnie zajmował ją Mosh Zu), zastał mistrza i pannę Flotsam siedzących przy kominku. Czekali na porucznika. Darcy spojrzała na niego z wyraźną ulgą. Uśmiechała się, ale jej zdenerwowanie było aż nadto widoczne. Mosh Zu natomiast z nieprzeniknioną miną uniósł dłoń w geście powitania.

- Przepraszam za spóźnienie - rzekł Lorcan. - I za mój wygląd.

Był rozczochrany, włosy przykleiły mu się do mokrego czoła, a ubranie miał wilgotne od deszczu.

- Zamierzałem doprowadzić się do porządku po treningu, ale straciłem poczucie czasu. Mosh Zu skinął głową.

- To żaden problem. Zdążyłeś przed spodziewaną wizytą Grace. Jak poszedł trening? Lorcan westchnął, siadając na sofie. Woda z jego przemoczonych butów kapiała na dywan.

- Jak zwykle, ni tak, ni siak - odparł. - Część załogi naprawdę się angażuje. Rozumie powagę przedsięwzięcia.

- A pozostali? - spytała Darcy.

Lorcan wzruszył ramionami.

- Niektórzy w ogóle tego nie pojmują. Chowają głowy w piasek. Oczekują, że wszystko będzie takie jak dawniej.

Panna Flotsam zmarszczyła brwi i pokręciła głową.

- Nie pamiętają już, jak to było, kiedy Sidorio i inni się zbuntowali? - Na jej twarzy malowała się coraz większa troska. - I kiedy Jez... znaczy się, Stukeley... wzniecił rewoltę przeciwko kapitanowi? To było w noc Uczty. Wszyscy to widzieli. Jak mogą nie pamiętać? - Darcy spoglądała na mistrza, ale to Lorcan odpowiedział na jej pytania.

- Wolą o tym nie pamiętać. Wyparli wspomnienia. Udają, że nic się nie zmieniło. Kiedy powiedziałem im, że kapitan rozkazał przygotować się na nowe okoliczności, wyglądali na nieobecnych duchem. Jakby część z nich już o nim zapomniała.

- Nie! - Panna Flotsam aż jęknęła z przerażenia.

- Pozostali zakładają, że gdy kapitan wreszcie się zjawi, powrócimy do dawnych zwyczajów. Nie potrafią zaakceptować tego, że już nic nie będzie takie samo. - Lorcan spojrzał w skośne oczy mistrza z wyraźnym poczuciem winy. - Przepraszam, że tak narzekam. Staram się, ale to niełatwe zadanie.

Darcy pokręciła głową.

- To moja wina. Moim obowiązkiem było przekonanie załogi, że czasy się zmieniają i że trzeba się dostosować. Sądziłam, że dobrze mi idzie, ale widzę, że większość postanowiła po prostu pozostać ślepa i głucha.

Mosh Zu wstał, uśmiechając się dobrotliwie.

- Proszę, nie bądźcie dla siebie tacy surowi. Wiedzieliśmy przecież, że nie będzie to ani łatwy, ani szybki proces. Z moich obserwacji wynika, że radzicie sobie lepiej, niż jesteście gotowi przyznać. - Stał przy kominku i serdecznie spoglądał na przyjaciół.

- Nigdy nie oczekiwałem, że to będzie prosta sprawa, ale głęboko wierzę, że sobie poradzicie. Gdybyście pytali mnie o radę, rzekłbym tylko, byście skupili się na tych, którzy rozumieją sytuację. Przygotujcie ich. Oni przekażą wieści dalej, niczym kręgi na wodzie.

Lorcan skinął głową. Zauważył, że Darcy patrzy na niego dziwnym wzrokiem, jednak gdy spojrzał jej w oczy, odwróciła się do mistrza:

- Czy ma pan jakieś wieści o naszym kapitanie? Kiedy do nas wróci? Jestem pewna, że Grace o to spyta.

- Tak - odparł mistrz. - Z pewnością tak będzie.

W tej samej chwili spojrzał na drzwi.

- Proszę wejść! - zawołał.

Drzwi się nie otworzyły, ale nagle przed zebranymi pojawiła się uśmiechnięta Grace.

- Udało mi się! - oznajmiła. - Widzę w kajucie waszą trójkę.

- A my widzimy ciebie - potwierdził Mosh Zu. - Witaj, Grace. Dobrze wyglądasz. - To rzekłszy, usiadł i gestem poprosił dziewczynę, by podeszła.

Grace przysunęła się do pozostałych, chociaż w rzeczywistości nadal przebywała w swojej kajucie na Wagabundzie, a na Nokturnie znajdowało się jedynie jej ciało astralne. Miała na sobie długą białą tunikę wyszywaną srebrnymi i złotymi nićmi. Jej włosy były ułożone w misterne loki. Uszy zdobiły złote kolczyki.

Darcy aż zaklaskała z zachwytu.

- Boski strój, kochana! I ta fryzura!

Grace uniosła dłoń do włosów.

- Podoba ci się? - Gdy przyjaciółka przytaknęła, mówiła dalej: - Czesali mnie całe wieki. Konkretniej mówiąc, czesały mnie Nathalie i Jacqui, a ja odczytywałam przeszłość innych dziewcząt dla zabicia czasu. Tunikę uszył dla mnie ulubiony projektant Loli. Później będziemy pozować do portretu - ja, Connor, Sidorio i Lola. Lola uznała, że będzie zabawnie, jeśli włożymy rzymskie ubrania. Szwy są obłędne.

Darcy wyciągnęła dłoń, zła, że tak naprawdę nie może dotknąć tkaniny.

- Wygląda niesamowicie - przyznała. - Nawet z tego miejsca mogę stwierdzić, że doskonale leży.

Lorcan patrzył na Grace, zastanawiając się, co się stało z pełną determinacji towarzyszką, którą zostawił ledwie kilka dni wcześniej na plaży. Spostrzegł, że Mosh Zu również przygląda jej się z uwagą. Wreszcie dziewczyna odwróciła się do Lorcana. Patrzyła na niego tak intensywnie, że poczuł się skrępowany.

- Wyglądam strasznie - zaczął się tłumaczyć. - Przyszedłem prosto z treningu...

- Wyglądasz świetnie - przerwała i zmierzyła wzrokiem jego ciało. W jej oczach był jakiś nowy wyraz, który można było opisać tylko jednym słowem: głód. Uśmiechnęła się i usiadła obok chłopaka. - Ćwiczenia wspaniale wpływają na twoją sylwetkę.

Lorcan speszył się i pospiesznie zmienił temat:

- A więc... Będziesz pozowała z pozostałymi do portretu?

- Tak - ożywiła się Grace. - Portret rodzinny. Oczywiście to pomysł Loli. Lubi takie rzeczy. Jestem pewna, że Connorowi aż cierpieć skóra na myśl, że będzie musiał siedzieć kilka godzin w bezruchu, ale ponoć Lola sprowadziła jakiegoś sławnego malarza. Chyba nazywa się Caravaggio.

Mówiła z prędkością karabinu maszynowego i Lorcan miał problemy, by za nią nadążyć. O powstrzymaniu tego słowotoku nawet nie było co marzyć. Wreszcie dziewczyna umilkła, by móc złapać oddech, i pozwoliła mu coś powiedzieć.

- Wygląda na to, że się zadomowiłaś - stwierdził, zerkając na mistrza. - Może nawet odrobinę za bardzo?

Mosh Zu z uśmiechem pokręcił głową.

- Chcieliśmy, żeby Grace przeniknęła do serca imperium, i wygląda na to, że jej się to udało.

Lorcan zauważył, że Darcy ponownie znacząco na niego spogląda.

Mosh Zu mówił dalej:

- Grace, jak ci idzie? Jak się czujesz?

Dziewczyna uśmiechnęła się promiennie.

- Jest dobrze. Mniej przerażająco, niż się spodziewałam. Na swój sposób Sidorio i Lola robią wszystko, żebym czuła się jak w domu. A dziewczęta... Mimma, Nat, Jacqui... chyba naprawdę mnie lubią. – Widząc smutne spojrzenie Darcy, dodała: - Ale nigdy nie będą tak dobrymi przyjaciółkami jak ty.

Panna Flotsam uśmiechnęła się przelotnie i znów spojrzała na Lorcana.

- Co u Connora? Jak sobie radzi? - spytał Mosh Zu.

- W porządku. Ale jeśli mam być szczerą, to rzadko się z nim spotykam. Jest zajęty na pokładzie Krwawego Kapitana, a ja przebywam głównie na Wagabundzie. Widujemy się podczas tiffinu, conocnego spotkania oficerów obydwu statków. Ale to wszystko. - Spieszyła się, by powiedzieć jak najwięcej.

Lorcan zauważył, że z Grace emanuje jakaś nowa energia, chociaż podszyta zdenerwowaniem. Może to stres związany z nowym miejscem i wagą misji? Miał gorącą nadzieję, że tak właśnie jest.

- Często widzisz Johnny'ego? - spytał ją.

Dziewczyna wyciągnęła dłoń i chociaż nie mogła go dotknąć, położyła ją na ręce Lorcana.

- Rzadko - odparła. - Zwykle jedynie w przelocie.

- Chłopak zagryzł wargę. Zauważywszy to, Grace dodała: - Zaufaj mi. Nie masz się czym martwić.

- Ufam ci - powiedział. - Oczywiście, że ci ufam.

- Zmarszczył brwi. - To Johnny'emu nie wierzę.

- Powiedzcie mi, co u was słyhać - paplała Grace radośnie. - Jak idzie szkolenie ze sztuk walki? Darcy, a jak twoje postępy? Czy kapitan już wrócił?

Mówiła coraz szybciej. Lorcan i Darcy patrzyli na mistrza z przerażeniem.

Mosh Zu odpowiedział Grace, pozornie nie zauważając zmiany w jej zachowaniu.

- Kapitan jeszcze nie powrócił - oznajmił. - Ale niedługo to nastąpi. Z nocy na noc staje się silniejszy. Z niecierpliwością wygląda godziny, gdy do nas dołączy.

- To dobrze! - ucieszyła się Grace. - Proszę, gdy spotkacie się z nim, przekażcie moje... - Nagle umilkła. - Słyszeliście? Ktoś puka do moich drzwi.

Mosh Zu przytaknął.

- Lepiej już idź - powiedział.

- Grace! - rozległ się głos Mimmy. - Czekają na ciebie w kajucie pani kapitan. Signor Caravaggio rozkłada już swoje farby.

Grace spojrzała na towarzyszy przepaszająco.

- Przykro mi. Muszę iść. Chciałabym...

- W porządku. - Mosh Zu wpadł jej w słowo. - Spotkamy się jutro - powiedziała Darcy. - O tej samej porze. - Tak - rzuciła Grace, chociaż myślami była gdzie indziej. Potem zawołała do Mimmy: - Już idę, moja droga!

Sfrustrowany i pełen sprzecznych emocji Lorcan wyciągnął do niej rękę.

- Grace, uważaj na siebie! Proszę cię, bądź ostrożna. - Ale jego dłoń przeniknęła przez astralne ciało dziewczyny.

Porucznik wstał i ze złością walnął pięścią w podłokietnik sofy. Potem westchnął i odwrócił się do pozostałych.

- Przepraszam - powiedział zrezygnowany. - Naprawdę się o nią martwię. Ona zaczyna im ulegać. Wygląda inaczej. Mówi inaczej. Ma w sobie tę dziwną energię. Wiedziałem, że posłanie jej do obozu wroga to błąd.

- Nie doceniasz jej - rzekł Mosh Zu, wstając. - Tylko ona jedna mogła podjąć się tej misji. Nie rozumiesz? Wydaje się inna, bo adaptuje się do nowego otoczenia niczym kameleon. Musi tak robić, by zdobyć ich zaufanie.

- Skąd możesz mieć pewność, że to kamuflaż? - zapytał Lorcan.

- Będziemy ją obserwować - zapewnił go mistrz. Potem podszedł do chłopaka. - Jesteś zmęczony. - Położył dłoń na jego ramieniu. - Nic dziwnego. Nie minęła jeszcze połowa nocy, a już tyle zrobiliśmy. Idź odpocząć. Zmartwienia nie będą ci tak doskwierały.

- Dobrze. Ale jeśli uznamy, że Grace zaczyna się w tym gubić, zabierzemy ją stamtąd! Obiecuj mi to!

Mosh Zu zastanawiał się przez chwilę.

- Nie wierzę, że do tego dojdzie - powiedział wreszcie. - Ale zapewniam cię, przyjacielu, że nigdy nie postawiłbym Grace w sytuacji, której by nie sprostała.

- Chodźmy. - Darcy ujęła Lorcana pod ramię. - Mosh Zu ma rację, powinieneś odpocząć. Odprowadzę cię do kajuty. - Skinęła głową mistrzowi i poprowadziła chłopaka w stronę drzwi.

- Dobra robota! - zawołał Mosh Zu za nimi.

Gdy znaleźli się już w sporej odległości od kajuty kapitana, Lorcan zwrócił się do Darcy.

- Martwię się o Grace - powiedział. - Ty i Mosh Zu może i jesteście spokojni, ale ja znam ją lepiej...

- O, przepraszam! - przerwała mu panna Flotsam.

- Może i jesteś jej chłopakiem, ale ja jestem najlepszą przyjaciółką, więc znam ją równie dobrze jak ty.

O ile nie lepiej. I też się martwię. Coś dziwnego się z nią dzisiaj działo. Nie jestem w stanie stwierdzić dokładnie co, ale coś było nie tak.

Lorcanowi ulżyło, że ktoś podziela jego opinię.

- Więc jak to jest, że my to zauważyliśmy, a mistrz nie?

Darcy oparła się o ścianę korytarza.

- Wiem, że Mosh Zu jest niebywale mądry i ma liczne moce. Pewnie zabrzmi to, jakbym była nielojalna... - Umilkła.

- Mów dalej - ponaglił ją chłopak.

- Myślę, że Mosh Zu był w Sanktuarium tak bardzo oderwany od rzeczywistości, że zastępowanie kapitana jest dla niego niebywale trudne. Mam wrażenie, że zмага się sam ze sobą. Jest uzdrowicielem, a nie przywódcą. Nie pojmuje, jak złożoną sztuką jest dowodzenie statkiem, i odnoszę wrażenie, że nie do końca rozumie, co dzieje się z załogą. Jeśli jeszcze raz usłyszę od niego, żebym patrzyła, jak kręgi rozchodzą się po wodzie, to chyba zacznę krzyczeć! - Spojrzała

na Lorcana spłoszona. - Ojejku! Pewnie sądzisz, że stara poczciwa Darcy tym razem naprawdę postradała zmysły!

Lorcan pokręcił głową.

- Wręcz przeciwnie - powiedział cicho, lecz zdecydowanie. - Wyraziłaś to lepiej, niż ja byłbym w stanie. Czuję dokładnie to samo. Niezwykle szanuję mistrza, ale nie jest kapitanem, w każdym razie nie naszym. - Zmarszczył brwi. - Dostaliśmy zadanie niemożliwe do zrealizowania. Odkąd Nokturn wypłynął na wody oceanu, powtarzano załodze, że ma porzucić przemoc i żyć w pokoju. Teraz nagle mamy się zmienić z pacyfistów w wojowników i stawić czoło nie tylko Sidoriowi i jego bandzie, lecz także piratom. Jesteśmy skazani na porażkę.

- Nie - rzekła panna Flotsam. - Mosh Zu miał rację co do jednego. Zadanie może wydawać się przerażające, ale robimy postępy. Musimy pracować dalej i przygotować wszystko na powrót kapitana.

- Skoro tak mówisz. - Widząc wiarę Darcy w powodzenie ich misji, Lorcan poczuł, że odżywa w nim nadzieja.

- Mosh Zu nie jest odpowiednią osobą na zastępcę kapitana - ciągnęła panna Flotsam. - To powinien być ktoś, kto zna załogę i wie, w jaki sposób funkcjonuje Nokturn.

- O czym ty mówisz? - zdumiał się Lorcan.

- Sądzę, że dobrze wiesz, o czym mówię. - Jej głos był cichy i spokojny. Patrzyła porucznikowi w oczy.

- Chyba nie sugerujesz, byśmy zbuntowali się przeciwko naszemu dowódcy? - Nie! - Darcy pokręciła głową tak energicznie, że włosy zatańczyły jej wokół twarzy. - Oczywiście, że nie! Po prostu musimy być gotowi. Uważnie obserwujmy Grace - bardzo uważnie - i cierpliwie czekajmy na powrót kapitana. Tymczasem będziemy spełniać polecenia Mosh Zu, ale to chyba nie oznacza, że mamy przestać samodzielnie myśleć lub wymieniać poglądy, tak jak to robimy teraz?

- Nie, Darcy - odparł Lorcan. - W rzeczy samej. - Rzucił bacznie spojrzenie przyjaciółce. - Zmieniasz się.

Przytaknęła.

- To prawda. Ale nie jestem jedyna, panie mięśniaku. - Lekko dźgnęła palcem biceps porucznika. Potem jej ton stał się na powrót poważny. - Och, Lorcan... Nie rozumiesz? Musimy się zmienić. Wszyscy. I to prędko. W przeciwnym wypadku ten statek nie będzie miał

przyszłości, a my razem z nim. Wszystko, na co kapitan tak ciężko i tak długo pracował, popadnie w ruinę. Nie możemy do tego dopuścić.

Lorcan objął Darcy ramieniem.

- Masz rację - rzekł. - Nie możemy i nie dopuścimy.

Rozdział 23

Pierwsza krew

- Śliczne wdzianko! Connor aż się skrzywił, słysząc za sobą w korytarzu kpiący głos Stukeleya. Odwrócił się i zobaczył, że obaj zastępcy Sidorii idą trop w trop za nim.

- Wspaniale eksponuje nogi Connora, co nie, Johnny?

- Och, tak! - odparł jego kolega. Po chwili obaj wampiraci niemalże pokładali się ze śmiechu.

Chłopak stał tylko, czekając, aż tamci dwaj przestaną rechotać. Nie powiedzieli niczego, o czym sam by wcześniej nie wiedział. W todzie wybranej przez Lolę Connor wyglądał jak kretyn. Na dodatek musiał siedzieć w tych ciuchach bite dwie godziny. Nie mógł się już doczekać, kiedy nareszcie się przebierze.

- Wiesz, co jest najlepsze w tym kostiumie? - podjął Stukeley.

- No przecież to oczywiste! Złoty wieniec laurowy! - ryknął Johnny.

Connor się zarumienił. Nadal miał to paskudztwo na głowie? Zirytowany ściągnął wieniec.

- Nie, stary! - Stukeley nie dawał za wygraną. - Nie, najlepsze jest to, że kiedy portret zostanie ukończony, będziemy mogli patrzeć na tak ubranego Connora każdej nocy!

Tempest jęknął. Wcześniej nie przyszło mu to do głowy. No świetnie.

- Dzięki, chłopaki - rzekł. - Naprawdę poprawiliście mi humor. Brawo!

- Oj, tak się tylko z tobą droczymy! - zawołał Stukeley, szturchając Johnny'ego łokciem. - Ale podtrzymuję to, co powiedziałem o nogach!

- Dobra - uciął Connor. - Już dość! Idę się przebrać w coś normalnego. Potem będziemy mogli dokończyć tę rozmowę.

W kajucie pospiesznie zerwał z siebie togę i dodatki. Kusilo go, by wyrzucić cały ten chłam za burtę, ale podejrzewał, że Lola słono za niego zapłaciła. Cisnął więc wszystko na tył szafy. W tej samej chwili dostrzegł swoje odbicie w lustrze. Zauważył, że udo, które kilka nocy

wcześniej przeorał mu kciścień Sidorio, wygląda, jakby nigdy nie zostało skaleczone. Przesunął palcami po skórze. W miejscu, w którym się zrosła, wyczuł tylko niewielką bliznę.

Był zdumiony, jak szybko i czysto rana się wygoiła.

Zakładał właśnie spodnie, kiedy poczuł, że statkiem szarpnęło. Chłopak musiał przytrzymać się ściany, żeby nie upaść. Nocny rejs nie był niczym niezwykłym, Connor zdziwił się jednak, że tak prędko rzucili kotwicę. Zapiął rozporek i sięgnął po koszulę.

Ktoś zapukał do drzwi kajuty.

- Chwila! - zawołał. - Zmieniam moją mini na coś wygodniejszego!

Bez wątpienia Stukeley i Johnny przyszli, żeby jeszcze się z niego pośmiać. Przynajmniej nie zobaczą go teraz w wyszywanej złotem kiece. Właściwie nie miał nic przeciwko ich żartom. Stukeley był jego starym kumplem, a Johnny'ego też już tak traktował. Connor wspomniał Trzech Bukanierów. Tęsknił za Bartem, ale może nadeszła pora na utworzenie nowego trio? Ostatecznie Bart był śmiertelny, więc Connor miał więcej wspólnego ze Stukeleyem i Johnnym.

Pukanie rozległo się ponownie.

- Dobra! Już idę! - wrzasnął chłopak. - Nie świrujcie!

W niezasnurowanych butach podszedł do drzwi i otworzył je zamasyście. Ale nie zobaczył za nimi kolegów, lecz Sidorio, opartego o futrynę z rękami skrzyżowanymi na piersi.

Kapitan uśmiechnął się do Connora.

- Widzę, że zdjęłeś togę.

Chłopak przytaknął.

- Ty również. - Sidorio miał na sobie swoją ulubioną zbroję z metalu i skóry.

- Nigdy nie lubiłem spódnic, nawet w czasach, gdy były one społecznie akceptowane - odparł wampir. - Wybacz, synu. Widziałem, że pozowanie do tego portretu cieszy cię tak samo jak mnie. Ale czasami muszę robić to i owo, żeby żonka była szczęśliwa.

Connora zdumiał ten nagły przejaw solidarności. A przecież podczas pozowania kapitan był w świetnym nastroju: zabijał powagę i odpędzał nudę opowiadaniem dowcipów. W pewnym momencie signor Caravaggio tak bardzo się rozchichotał, że aż wypuścił z rąk paletę. Lola skarciła obu i kazała potraktować pozowanie bardziej poważnie, w przeciwnym wypadku nigdy nie skończą. W tym właśnie momencie Sidorio spytał żonę:

- A nie mogłaś poszukać wampira fotografa?

Lady Lockwood spojrzała na małżonka w taki sposób, że natychmiast przeprosił i obiecał poprawę.

- W każdym razie - mówił teraz Sidorio - nie wiem jak ty, ale ja po dwóch godzinach tkwienia w bezruchu mam ochotę na jakieś ćwiczenia fizyczne.

Connor zaśmiał się i dokończył sznurowanie butów. - Chyba nie proponujesz kolejnego pojedynku? Ledwo co wydobrzałem po poprzednim.

Wampir wyszczerzył zęby w uśmiechu. Jego złote kły zaślnęły w świetle wiszących w korytarzu lamp.

- Nie, synu, nie chodzi o pojedynek. Chodź ze mną. Aha, i zabierz swój miecz.

Zaintrygowany chłopak chwycił broń i dołączył do Sidoria. Na korytarzach nie spotkali nikogo. Idąc ramię w ramię z kapitanem po zawieszonych nad wnętrzem statku metalowych kratkach, Connor nie odczuwał lęku wysokości. Wręcz przeciwnie. Miał wrażenie, że kroczy w powietrzu. Po chwili zorientował się, że zmierzają na pokład główny.

Idąc, gawędzili ze sobą przyjaźnie. Jakaś część Connora przysłuchiwała się tej rozmowie z oddali, zastanawiając się, jakim cudem zdołał tak łatwo nawiązać bliskie stosunki z potworami. Częściowo z konieczności - aby dobrze wykonać zadanie powierzone mu przez Cheng Li i Federację, musiał być przekonujący w swoich relacjach z Sidoriem, Stukeleyem, Johnnym i resztą załogi. Jednak śmiejąc się z kolejnego dowcipu kapitana, chłopak zrozumiał, że lubi jego towarzystwo. Trudno było zobaczyć w takim Sidoriu monstrum, które Connor niegdyś usiłował zgładzić. Oczywiście był świadom tego, jak brutalny i bezwzględny potrafi być dowódca Krwawego Kapitana. Teraz jednak chłopak dostrzegał inną stronę jego osobowości. Wiedział, że Stukeley i Johnny również ją widzą. I chociaż niechętnie, Connor pomyślał, że Sidorio mógłby być całkiem fajnym ojcem. A potem kolejna myśl uderzyła go jak obuchem: „On jest moim ojcem?”. Wcześniej świadomość ta napelniała Connora przerażeniem i odrazą. Obecnie Sidorio stał się mu naprawdę bliski.

Kiedy wyszli na pokład, rozwiązała się zagadka opustoszałego wnętrza statku. Wszyscy wampiraci zgromadzili się już na zewnątrz. Natychmiast zauważyli kapitana i rozstąpili się przed nim niczym rozwijający się czerwony dywan. Connor nic nie mógł poradzić na to, że odczuwa dumę. Wiedział, że jako syn Sidoria cieszy się takim samym jak on szacunkiem wśród załogi. Chłopcu przypomniało się, jak po raz pierwszy przeszedł za aksamitny sznur w tawernie Mamy

Kettle. Był to przywilej, jakiego nie każdy mógł dostąpić. Wtedy Connor był pirackim VIP-em, a teraz, dzięki jakiemuś dziwnemu splotowi krwi i przeznaczenia - wampirackim VIP-em.

Sidorio kroczy pomiędzy dwoma rzędami swoich podwładnych ze swobodą urodzonego wodza. Na dziobie statku czekali na niego Stukeley i Johnny. Porucznicy zaszalutowali zarówno kapitanowi, jak i jego synowi. Connor uśmiechnął się pod nosem. „Koniec strojenia sobie żartów z mojego ubrania” - pomyślał.

- Wszystko gotowe? - zapytał Sidorio. - Tak, panie kapitanie - odparł Johnny. - Tam jest ten statek. To już nie potrwa długo. Dowódca podszedł bliżej, a Connor ruszył za nim. Dłoń Johnny'ego wskazywała kierunek północno-wschodni, gdzie pruł fale okazałych rozmiarów galeon. Na powiewającej na jego maszcie fladze widniał znajomy wizerunek czaszki i dwóch skrzyżowanych piszczeli. To był statek piracki. Connor natychmiast poczuł niepokój.

Sidorio zwrócił się do Stukeleya.

- Kiedy go dogonimy?

- Za niecałe dziesięć minut - odparł porucznik. - Zbliżamy się.

- Co to za jednostka? - zapytał Connor, ocierając z twarzy krople morskiej wody.

- Nazywa się Wybawca - wyjaśnił Stukeley.

- To statek Federacji, prawda? - Głos Connora był zachrypnięty. Czuł w ustach słony smak i ledwo wydusił z siebie tych kilka słów.

Porucznik przytaknął.

Sidorio położył dłoń na ramieniu chłopca.

- Jak dobrze, że jesteś tu ze mną. To będzie pierwsza z wielu bitew, które stoczymy ramię w ramię. Zapomnij o portrecie. To tutaj zaczniemy tworzyć naszą legendę. - Spojrzał Connorowi głęboko w oczy. - Najwyższa pora, byś przybrał nazwisko odpowiednie do twojej pozycji. Connor Tempest przestaje istnieć. Od dzisiaj, synu, nazywasz się Connor Kwintus Antoniusz Sidorio.

Chłopiec przyjął to oświadczenie bez słowa. Czy to była prawda? Czy Connor Tempest naprawdę przestał istnieć? A jeśli tak, to kto - lub co - zajęło jego miejsce?

Pomimo zapewnień Sidorio, że będą walczyć ramię w ramię, Connor nie wziął udziału w bitwie. Nie musiał. Zaledwie kilka chwil po wtargnięciu wampiratów na pokład Wybawcy było po wszystkim. Z początku chłopak spoglądał z odrazą na załogę Krwawego Kapitana mordującą każdego, kto im się nawinął. Jednak kiedy krew zabarwiła pokład na czerwono, Connor przestał

osądzać wampiratów. Bo i czym ten atak różnił się od innych, których był świadkiem lub w których uczestniczył? Napady zawsze były brutalne, niezależnie od tego, czy odbierało się życie, tnąc mieczem, czy wbijając ostre kły w klatkę piersiową przeciwnika. Chłopak sam nie rozumiał, jak zdołał tak szybko się z tym pogodzić. Ciała wokół niego opadały jak w zwolnionym tempie, ochlapując krwią wszystko wokół. A Connor stał jak wmurowany w jednym miejscu, odnosząc wrażenie, że jest całkiem gdzie indziej. Był tam, ale nieobecny. Czuł się dziwnie uprzywilejowany: znajdował się w samym sercu bitwy, ale nie musiał nawet unieść miecza.

W głowie słyszał głos Cheng Li - strofowała go. Dlaczego nie uczynił nic, żeby zapobiec temu atakowi? Ale co mógł zrobić? Dowiedział się o nim przed niecałą godziną, kiedy Sidorio zapukał do jego drzwi. A nawet jeśli, jakimś cudem, miałby okazję od razu przekazać informacje Kally, rybogonka nie zdołałaby dotrzeć z nimi na Tygrysa na tyle wcześnie, by Federacja mogła podjąć jakiegokolwiek działania zaradcze czy wysłać posiłki. Chłopak wiedział, że Cheng Li i inni kapitanowie wpadną we wściekłość na wieść o utracie Wybawcy, ale nic nie mógł na to poradzić.

Odczuwał dziwną ekscytację, której sam nie rozumiał. Podczas bitwy ogarnęło go otępienie - był biernym świadkiem rzezi. Ale potem pojawiło się inne uczucie, przypominające nagły przypływ adrenaliny, chociaż niezupełnie. Zmysły Connora były pobudzone; jego wzrok, słuch, smak i dotyk rejestrowały tylko jedno wrażenie. Krew.

Rozejrzał się po pokładzie Wybawcy, lecz nie widział już zwłok ani poniewierającej się wszędzie broni. Dostrzegał jedynie plamy czerwieni - szkarłatne krople na białych koszulach, połyskujące karmazynowe kałuże. Rzeki krwi łączące się w jeden wielki krwawy ocean.

Chłonąc pożądliwie to zjawisko, Connor poczuł nagle coś, co zawładnęło nim niepodzielnie i niespodziewanie.

Głód.

Zdenerwowana Cheng Li wpadła jak burza na główny pokład Tygrysa.

- Jacoby! Gdzie jest Jacoby?

- Nie wiem, pani kapitan! - zawołał Bart, który właśnie polerował działo.

- Nie widziałam go, pani kapitan! - krzyknęła Bo Yin z wysoko zawieszzonego takielunku, gdzie dokonywała niezbędnych napraw.

- Niech ktoś go znajdzie! - wrzeszczała Cheng Li.

- Natychmiast!

Jej podniesiony głos niósł się nie tylko po statku, lecz także po wodach oceanu.

Jacoby otworzył prowadzące na pokład drzwi i popędził w kierunku zwierzchniczki. Za nim podążały Jasmine i Kate.

- Jestem, pani kapitan! - zawołał.

- Jak mogło do tego dojść? - warknęła Cheng Li, kiedy spotkali się przy głównym maszcie Tygrysa.

- Zaskoczyli Connora - wyjaśnił Jacoby. - Nie zdążył na czas uprzedzić Kally. Obiecał, że następnym razem będzie lepiej.

- Następnym razem? - Głos pani kapitan ponownie podniósł się do wrzasku. - Następnym razem?! Ile jeszcze statków Federacja ma stracić, zanim ty, Connor i ta rybogonka zaczniecie się starać?!

Jacoby nigdy dotąd nie widział Cheng Li tak wścieklej. Minęła go, jakby był powietrzem, i zeszła pod pokład.

Jasmine podeszła do chłopaka i objęła go. Przyłączyli się do nich Cate i Bart, a po chwili również Bo Yin, która sprawnie zsunęła się z takielunku.

- Zrobiłeś wszystko, co w twojej mocy - powiedziała Jasmine. - Więcej się nie dało.

- Ma rację, stary. - Bart poparł dziewczynę. - Nie ma powodu, żebyś się tak dołował. Cate przytaknęła. Bo Yin pokręciła smutno głową.

W oczach Jacoby'ego wzbierały łzy. Chłopak drżał na całym ciele.

- Jeden stracony statek i kilkuset członków załogi zaginionych, prawdopodobnie martwych lub, co gorsza, nieumarłych. I to jest moja wina.

Wyrwał się z ramion Jasmine i pobiegł za Cheng Li, żeby obmyślić kolejny ruch.

Rozdział 24

Manewry

Connor z niecierpliwością czekał na tiffin. Była to najlepsza - a często jedyna - okazja do rozmowy z Grace w ciągu dnia... a właściwie nocy. Przez resztę czasu był zajęty na pokładzie Krwawego Kapitana, tak jak ona była zajęta na Wagabundzie. W ciągu ostatnich czterdziestu ośmiu godzin, od zakończenia ataku na Wybawcę, chłopak zbierał się na odwagę, by powiedzieć siostrze o swoim głodzie krwi. Siła tego nowego doznania przytłoczyła i przeraziła Connora. Od tamtego czasu sytuacja się nie powtórzyła, ale w głębi serca wiedział, że wcześniej czy później głód powróci - że nie odszedł, lecz przyczaił się gdzieś i zaatakuje w najmniej odpowiednim momencie. Chłopak zastanawiał się, czy widok krwi jest konieczny, by sprowokować jej łaknienie, czy też pojawia się ono zupełnie niezależnie.

Czy Grace także doświadczyła tego głodu? Wydawało się to prawdopodobne. Ona również byłaampirem w tym samym wieku co on, a przecież dziewczęta ponoć dojrzewają szybciej, czyż nie? Należało pomówić z siostrą i Connor o tym wiedział. Ale na samą myśl o tym odczuwał lęk. Miał poczucie, że gdy tylko powie Grace prawdę, wszystko stanie się bardzo rzeczywiste. Póki co, mógł się jeszcze oszukiwać, że tak naprawdę nie jestampirem, że Sidorio nie jest jego biologicznym ojcem - że to jedynie przykrywka wymyślona przez Cheng Li, by mogli infiltrować społeczność zbuntowanych wampiratów. W głębi serca wiedział jednak, że nie ucieknie przed przeznaczeniem. Connor się zmieniał - stawał sięampirem. Zaprzeczanie faktom nie miało sensu.

Gdy tylko przybyli na tiffin, Connor porzucił towarzyszy i odnalazł Grace. Tak jak się spodziewał, siedziała już przy stole. Oni dwoje byli jedynymi osobami, które podczas tych spotkań coś jadły, a kreatywność mistrza Escoffiera w przygotowywaniu posiłków zachwycała ich za każdym razem tak samo. A nawet bardziej - z nocy na noc szykowane przez francuskiego kucharza uczyły stawały się coraz wystawniejsze. Gdy Grace spojrzała w jego kierunku, Connor uśmiechnął się słabo i odetchnąwszy głęboko, zajął swoje miejsce przy stole. Jego siostra zajęta

była plotkowaniem z gromadką nowych przyjaciółek z Wagabundy. Nie mógł pomówić z nią na osobności.

Czując zawód i jednocześnie ulgę, Connor zaczął jeść. Z początku dziewczęta wciągały go do rozmowy, szybko jednak stało się jasne, że nie mają wspólnych tematów. Z rozkoszą skupił się więc na pochłanianiu wybornych potraw - jego apetyt rósł w zastraszającym tempie.

Obserwując siostrę zatopioną w rozmowie z wam-piratkami, Connor zauważył, że i ona bardzo się zmieniła. Od momentu przybycia bliźniąt na statki Loli i Sidorii minęło niewiele czasu, lecz Grace już wyglądała i zachowywała się inaczej. Dzisiaj ledwie dostrzegała brata. Wiedział, że jej również powierzono misję - miała przeniknąć w szeregi oficerów i zdawać raporty towarzyszącom na Nokturnie. Ale albo całkiem o tym zapomniała, albo była z niej lepszą aktorką, niż przypuszczał.

Z drugiej strony to chyba dobrze, że jej się nie zwierzył. Czasy, gdy mówili sobie o wszystkim, dawno minęły. Trochę trwało, nim Connor to sobie uświadomił, ale taka właśnie była prawda. Grace miała teraz innych powierników. I w zasadzie on również. Spojrzał na Stukeleya i Johnny'ego, stojących po przeciwnej stronie kajuty. Stukeley przeszedł tę samą drogę co Connor - od śmiertelnika do wampira. Doświadczył wszelkich fizycznych zmian związanych z metamorfozą. „To z nim powinienem porozmawiać o swoim głodzie - pomyślał chłopak. - Nie tutaj i nie teraz, ale już wkrótce”.

Grace śmiała się głośno z zabawnych anegdotek Nathalie, kiedy poczuła na ramieniu czyjąś dłoń. Odwróciła się i zobaczyła Sidorii.

- Czy moglibyśmy porozmawiać na osobności? - spytał wampir.

Grace była zaskoczona, ale skinęła głową.

- Tak, oczywiście - rzekła, pozwalając, by odsunął jej krzesło. Wampiratki na chwilę umilkły, jednak zaraz ponownie nachyliły się do siebie. Grace westchnęła, słysząc radosny śmiech przyjaciółek. Ich towarzystwo było uzależniające. Już za nimi tęskniła.

- Wyjdźmy na zewnątrz - zaproponował Sidorio, uchylając drzwi kajuty Loli. - Podoba ci się życie na pokładzie Wagabundy? - spytał, kiedy szli korytarzem.

- Bardzo - odparła zadowolona, że może udzielić szczerzej odpowiedzi. - Znalazłam tu kilka prawdziwych przyjaciółek.

Sidorio skinął głową.

- Widziałem. Mam nadzieję, że polubiłaś także macochę.

Grace przytaknęła, jednak zdecydowała się nie rozwijać tematu. Jeszcze nie była pewna, co sądzi o Loli.

- Przepraszam, że do tej pory nie poświęcałem ci zbyt wiele czasu - rzekł wampirat.

Dziewczyna potrząsnęła głową.

- To naprawdę żaden problem.

- Nie chcę, żebyś myślała, że wolę Connora. Grace, oboje jesteście dla mnie tak samo ważni. Uznaliśmy po prostu, że u Loli będziesz się czuła swobodniej, tak jak Connor na pokładzie Krwawego Kapitana.

- Rozumiem - odparła.

Sidorio otworzył drzwi prowadzące na pokład. Grace spostrzegła kilka pełniących wachtę przyjaciółek z załogi Wagabundy. Uśmiechnęła się do Holly, a potem do Leonie.

Kapitan w milczeniu poprowadził córkę na dziób. Kiedy się tam znaleźli, sięgnął do kieszeni.

- Chciałbym, żebyś to przyjęła - powiedział. Rozchylił palce i pokazał dziewczynie niewielką broszkę.

- Należała do mojej matki, a twojej babki.

W porównaniu z ekstrawagancką biżuterią noszoną przez Lolę i jej towarzyszki, broszka wyglądała bardzo nieefektywnie. Było w niej jednak coś, co natychmiast przykuło uwagę Grace.

Sidorio położył ją córce na dłoni.

- To jedyna ozdoba, jaką nosiła. Mój ojciec, a twój dziadek, podarował jej tę broszkę w dniu ślubu. Sam ją zrobił. Matka bardzo ją ceniła.

Grace spojrzała na broszkę, a później na Sidorio. Nagle dziedzictwo, o którego istnieniu dotąd nie wiedziała, stanęło jej przed oczami. Patrzyła na ojca, widząc w jego twarzy rysy dziadków, ludzi, którzy żyli przed wieloma wiekami...

- Zawiodłem rodziców - wyznał Sidorio. - Opuściłem ich, żeby coś osiągnąć. Zostałem piratem. Jednak nim powróciłem do domu z garncem złota, oni stali już u bram śmierci. Moje bogactwo na nic im się zdało. Było za późno. Gdy mnie potrzebowali, ja pływałem po morzu i rabowałem statki. Zawiodłem ich, choć byli moją jedyną rodziną... Aż do teraz.

Grace uniosła broszkę.

- Przypniesz mi ją do sukienki? - spytała.

Kapitan skinął głową. Zapinka była mała i Sidorio długo nie mógł jej uchwycić swoimi dużymi palcami. Grace czekała jednak cierpliwie, aż broszka znajdzie się na miejscu.

- Dziękuję - powiedziała. - Będę o nią dbała.

Przez chwilę stali obok siebie w milczeniu. Potem Sidorio ponownie się odezwał:

- Wiem, że to nie jest życie, jakie byś dla siebie wybrała. To samo dotyczy Connora. Ale chcę, byście wiedzieli, że zrobię wszystko, aby was uszczęśliwić.

Wyciągnął rękę do Grace. Ku własnemu zdumieniu, dziewczyna splotła swoją dłoń z jego dłonią, jakby to była najnaturalniejsza rzecz na świecie.

Connor rozmawiał ze Stukeleyem i Johnnym, kiedy podeszła do nich Mimma. - Chłopcy, jeszcze wina? - Jasne. - Stukeley podsunął jej swój kieliszek, a wampiratka uniosła karafkę i puściła do niego oko.

- Niegrzecznie by było odmówić - stwierdził Johnny i również podstawił kieliszek.

- Connor, a ty? - spytała Mimma.

- Ja dziękuję - odparł chłopak.

Mimma uniosła brew, dając w ten sposób wyraz swojemu zdumieniu.

- Jak sobie życzysz. - Wampiratka zrobiła kilka kroków, ale zaraz zawróciła. - Stukeley, ponoć masz poprowadzić następny atak. Mogę się z wami zabrać? Uwielbiam rozlew krwi przed snem.

Porucznik uśmiechnął się szeroko.

- Będę zachwycony, mając cię u swego boku, Mim - odparł.

- Spocznij, marynarzu. Nie daj się ponieść fantazji. Powiedziałam, że chcę się przyłączyć do walki, a nie pójść z tobą do ołtarza. W każdym razie jeszcze nie - dodała, ponownie puszczając oko. Potem odwróciła się i odeszła.

Connor spojrzał na Stukeleya z mocno bijącym sercem.

- Szykuje się kolejny atak? I to ty masz go poprowadzić?

Porucznik przytaknął.

- Owszem, mój przyjacielu. Jutro w nocy. I nigdy nie zgadniesz, kto jest celem.

Przyciągnął Connora do siebie i szepnął mu to na ucho.

- Tu jesteście! - zawołała Lola, kiedy Sidorio i Grace wrócili do kapitańskiej kajuty. - Już miałam wysłać za wami ekipę poszukiwawczą! - Uśmiechała się, gdy jednak dostrzegła broszkę

przypiętą do sukni dziewczyny, zmrużyła oczy. - Ach, Sid. Widzę, że dałeś jej broszkę swojej matki.

Wampir skinął głową.

- Jest piękna - rzekła Grace. - Zarówno sama broszka, jak i związana z nią historia.

- Doskonale na tobie wygląda, moja droga - stwierdziła lady Lockwood. Rozejrzała się po kajucie i nagle capnęła za ramię Obsydiana Darke'a, który kierował się do wyjścia. - A pan dokąd się wybiera, poruczniku Darke? Noc jest jeszcze młoda.

Grace zauważyła, z jaką rezerwą Obsydian traktuje Lolę.

- Mam obowiązki na pokładzie Krwawego Kapitana - odparł chłodno.

- Obowiązki nie zajmą - oświadczyła gospodyni, przyzywając Mimmę gestem. - Proszę zostać i się jeszcze z nami napić.

Nim skończyła mówić, kieliszek Darke'a był znów pełny. Obsydian nie wyglądał na zadowolonego.

- Poruczniku Darke, nie jestem pewna, czy przedstawiłam panu moją czarującą i utalentowaną pasierbicę. - Lady Lockwood matczynym gestem przesunęła dłonią po włosach Grace.

Obrzuciwszy dziewczynę obojętnym spojrzeniem, Darke zwrócił się do Loli:

- Poznaliśmy się już.

- Może powiedzieliście sobie „witaj” albo „cześć” - nalegała wampiratka. - Ale tak naprawdę nikt nie pozna Grace, dopóki ona go nie odczyta. To doprawdy niesamowite. Zrobiła to dla mnie i dla moich dziewcząt, prawda, kochanie?

Grace wzruszyła ramionami. Zaczynało ją irytować, że na każde skinienie Loli musi robić z siebie przedstawienie. Jednak gniew dziewczyny minął, kiedy zobaczyła, że Sidorio spogląda na nią z ojcowską dumą.

- No dalej, Grace - zachęcała lady Lockwood. - Dostrój się do porucznika Darke'a i sprawdź, czy naprawdę jest taki tajemniczy i nieprzystępny, za jakiego chce uchodzić.

Grace zwróciła się bezpośrednio do Obsydiana:

- Czy nie będzie pan miał nic przeciwko temu?

Lola parsknęła śmiechem.

- Nie przypominam sobie, żebyś raczyła mnie o to zapytać, nim zaczęłaś grzebać w mojej głowie!

Darke patrzył na Grace lodowatym wzrokiem.

- No dobrze - mruknęła dziewczyna, poirytowana, ale jednocześnie świadoma tego, że nie ma innego wyboru. Skupiła się na oczach porucznika. Zwykle ta metoda dawała najlepsze rezultaty. Jednak źrenice Obsydiana były niczym lustro, ukazujące tylko jej własne odbicie. Ustawił blokadę. Jak on to zrobił? Przecież Lola także nie życzyła sobie, żeby Grace ją „czytała”, ale nie potrafiła temu zapobiec.

Dziewczyna ponowiła próbę przebiccia się przez obronę Darke'a. Tym razem jednak siła bariery niemal ją odrzuciła.

- Niestety - oświadczyła Grace. - Nic nie odbieram.

- Cóż za rozczarowanie! - rzuciła Lola, dopijając swoje wino.

- Wręcz przeciwnie. - Obsydian oddał Loli nietknięty kieliszek. - Muszę już iść. - Zasalutował Sidoriowi. - Kapitanie!

Tamten skinął głową i porucznik opuścił kajutę.

Lady Lockwood spojrzała na męża. - On zaczyna mnie drażnić. Naprawdę musimy go dalej znosić? Johnny i Stukeley są przynajmniej ładni!

- To dobry pirat - rzekł Sidorio, uśmiechając się do żony. - Jeden z najlepszych, jakich mamy. Brak mu ogłady, ale nadrobi to z nawiązką podczas bitwy.

- Zobaczymy - odparła, przenosząc wzrok na pasierbicę. - No cóż, moja panno. Wygląda na to, że twój talent nie jest tak wielki, jak nam się wcześniej wydawało.

Ton Loli był żartobliwy, ale wampiratka trafiła w czuły punkt. Jeszcze nikt nigdy nie zablokował mocy Grace w ten sposób. Nie podobało jej się to. Ani trochę. Nie wytrzymała i warknęła:

- Więc może pora poszukać sobie nowej tresowanej małpki?

Po czym odwróciła się i wzorem porucznika Darke'a opuściła kajutę.

Lola uśmiechnęła się do Sidorio.

- Ktoś tu jest dzisiaj bardzo przewrażliwiony. I to po tym, jak podarowałeś jej taką ładną błyskotkę. - Pochyliła się i wyszeptwała do ucha męża: - Naprawdę uwierzyła, że to był jedyny skarb twojej biednej matuli?

Wampir skinął głową.

- Owszem.

Z gardła lady Lockwood dobył się złośliwy chichot.

- Jak wspaniale! Zofia będzie zachwycona. Zrobienie tego cacka zajęło jej wczoraj całe pół godziny. Wiedziała, że to będzie idealny sposób, by was do siebie zbliżyć.

Sidorio zmarszczył brwi.

- Nie powinienem był cię posłuchać. Grace jest moją córką. Nie czuję się w porządku, tak z nią pogrywając.

Co powiedziawszy, odsunął się i wyszedł, pozostawiając żonę samą;

Zirytowana Lola uniosła kieliszek pozostawiony przez Darke'a i opróżniła go jednym haustem. Smak krwi podgrzanej do temperatury pokojowej ukoił jej nerwy. Uśmiechnęła się, a kiedy mijał ją Johnny, zagroziła mu drogę.

- Poczekaj, kowboju! - zawołała.

Uklonił się jej niedbale.

- Czym mogę pani służyć, pani kapitan Lockwood?

Lola posłała mu sarkastyczny uśmiezek.

- Nie pytaj, co możesz zrobić dla pani kapitan, drogi Johnny, ale co możesz uczynić dla jej słodkiej pasierbicy.

- Dla Grace? Wampirzyca skinęła głową. - Jest w kiepskim nastroju. Potrzebuje rozrywki. Roz-ryw-ki. To twoje zadanie, chyba pamiętasz?

- Jak chole...

- Doskonale! - weszła mu w słowo. - Zatem idź. Nie pozwól, by trawa rosła ci pod ostrogami... czy jak tam to wy, kowboje, mówicie. Zaplanuj dla Grace coś wyjątkowego. Coś, co wywoła uśmiech na jej ślicznej twarzączce. Chcę, żeby była bardzo zajęta. Sporo się teraz wydarzy i nie potrzebuję tu smarkul płaczących mi się pod nogami.

Rozdział 25

Niespodzianka Johnny'ego

- Możesz otworzyć oczy - szepnął Johnny do ucha Grace. Rzęsy dziewczyny przesunęły się po jego dłoniach, którymi nadal zasłaniał jej oczy. Jedyne, co dostrzegła, to migoczące światła gwiazd widoczne pomiędzy jego palcami.

- To nie w porządku! - zawołała. - Pozwól mi zobaczyć!

Johnny zaczął się śmiać.

- Dobrze - oznajmił. - Wykazałaś się cierpliwością. Na „trzy” zabieram łapska. Raz...
Dwa...

Jeszcze przez chwilę trzymał ręce nieruchomo.

- Trzy!

Wreszcie odsłonił jej oczy i położył dłonie na ramionach Grace.

- Och, Johnny! - Dziewczyna była zachwycona. Na piasku, tuż przy wodzie, stał koń. W blasku księżycy jego sierść wyglądała na złotą, a grzywa i ogon były białe jak śnieg.

- To moja niespodzianka? - dopytywała się Grace.

- Jest piękny, jakby zrobiony ze złota.

- To nie on - zaśmiał się chłopak. - To ona! Nazywa się Nieve i jej ciało jest złote. Maści palomino.

- Nieve - powtórzyła dziewczyna. - To irlandzkie imię, prawda? - Od razu pomyślała o Lorcanie.

Johnny pokręcił głową.

- To po hiszpańsku znaczy „śnieg”.

- Ach, rozumiem. Nazwałeś ją tak, bo jej grzywa i ogon są białe niczym świeży śnieg. Spojrzała na Johnny'ego. Chłopak na chwilę pogrążył się w zadumie.

- Częściowo - przyznał wreszcie.

Grace przypomniała sobie swoją dawną wizję - Johnny'ego jadącego konno przez ośnieżone tereny. Jego historia zaczynała się i kończyła pośród bieli. Dziewczyna miała teraz przed oczami jego straszną śmierć - został powieszony na drzewie. Tamtego dnia też prószył śnieg. Grace była zła na siebie, że nie od razu dostrzegła związek między przeszłością Johnny'ego a imieniem konia, ale kiedy zerknęła na swego towarzysza, zobaczyła, że kowboj uśmiecha się od ucha do ucha.

- A teraz albo będziemy tu stać i podziwiać jej urodę z daleka, albo zabierzemy Nieve na przejażdżkę po plaży. Co wybierasz?

Grace czuła, że jej puls przyspiesza.

- Jeszcze nigdy nie jeździłam konno. - Już sama myśl o tym przyprawiała ją o dziwną mieszankę zdenerwowania i ekscytacji.

- To łatwe. - Johnny wziął ją za rękę. - Zdaj się na mnie. Poza tym Nieve nie będzie nam robiła problemów. Uwielbia przebieżki o północy. Chodź, przedstawię was sobie.

Poprowadził Grace w dół plaży. Kiedy znajdowali się już o kilka kroków od klaczy, przemówił do niej pieszczotliwym tonem. Nieve zareagowała od razu. Więzy między koniem a vaquero była dla Grace oczywista.

- Nieve - mówił Johnny po cichu. - Wiem, że lubisz galopować po piasku i chłodzić kopyta w morskiej wodzie. I wiem, że lubisz, kiedy jesteśmy sami, ty i ja, Nieve i Johnny. Ale dzisiaj przyprowadziłem moją wyjątkową przyjaciółkę.

Słyszając, jak chłopak rozmawia z klaczą, Grace po raz kolejny powróciła myślami do Sanktuarium - do dnia, kiedy odczytała jego wstążkę. Wówczas nie tylko widziała Johnny'ego jadącego na końskim grzbiecie, lecz także przez moment była nim. Wiedziała, że jego związek z tymi zwierzętami jest głęboki.

Przemawiając czule do klaczy, Johnny gładził jej pysk i chrapy. Potem sięgnął do kieszeni i wyjął kostkę cukru. Ułożył ją na otwartej dłoni, a Nieve delikatnie chwyciła przysmak.

- Twoja kolej - powiedział, zerkając na Grace. - Daj no łapkę.

Z lekkim niepokojem dziewczyna podała mu dłoń. Johnny położył na niej drugą kostkę cukru.

- Przedstaw się Nieve - odpowiedział szeptem.

Nabierając śmiałości, spojrzała w brązowe oczy konia.

- Cześć - powiedziała, podsuwając zwierzęciu cukier. - Nazywam się Grace i jestem trochę zdenerwowana, bo jeszcze nigdy nie jeździłam konno.

Nieve z nonszalancją skłoniła łeb i wzięła smakołyk.

- No dobrze - oświadczył Johnny. - Myślę, że jesteśmy gotowi, prawda, moje panie?

Grace, pomogę ci na nią wsiąść.

Dziewczyna była zdezorientowana.

- Ale... tu nie ma siodła.

- Tak jest bezpieczniej. Jeśli spadniesz, to przynajmniej o nic nie zahaczysz. Nogi nie zaplączą ci się w strzemiona i koń cię nie pociągnie. Rozbolą cię co najwyżej pupa i urażona duma. - Widząc napięcie na twarzy towarzyszk, uśmiechnął się krzepiąco.

- Spokojnie, Grace. Nie spadniesz.

Mimo jego zapewnień dziewczyna się wahała, jednak nim zdołała coś na ten temat powiedzieć, Johnny chwycił ją i podniósł. Sekundę później siedziała okrakiem na grzbiecie Nieve.

- No i proszę - powiedział. - Usiądź na środku. Łokcie blisko tułowia. Doskonale. Trzymaj się jej mocno nogami. To ci pomoże zachować równowagę.

Grace przycisnęła kolana do końskich boków. Poczwała, że klacz rusza. Na moment spanikowała, ale Johnny był już przy niej i tłumaczył Nieve, by wybiła sobie z głowy pomysł pojechania dokądkolwiek bez niego. Klacz zdawała się go rozumieć. Chłopak spojrzał na Grace.

- Wysyłasz jej sprzeczne sygnały - rzekł. - Za mocno ją ścisnęłaś nogami. To znak, by ruszyła przed siebie.

- Aha. Przepraszam.

Na twarzy Johnny'ego pojawił się szeroki uśmiech.

- No problema! Złap się grzywy. Mocno, nie bój się. Nieve nie będzie miała nic przeciwko temu.

Grace czuła się niepewnie. To była dla niej nowa sytuacja. Pomimo spokojnych poleceń Johnny'ego Nieve rwała się, by ruszyć z kopyta. Dziewczyna mocniej uchwyciła końską grzywę.

- Wsiadaj! - przynagliła towarzysza.

- Nie wyobrażam sobie lepszego miejsca - oznajmił i puścił do niej oko. Potem wdrapał się na grzbiet klaczy i usiadł za Grace. - Dobra dziewczynka, dobra Nieve.

Gdy mówił, jego ciepły oddech muskał ucho dziewczyny. Aż do tej pory Grace nie zdawała sobie sprawy, jak blisko siebie oboje się znajdują. W tej chwili Johnny otoczył ramionami jej talię i ujął wodze.

- Oprzyj się o mnie, słonko. Wtedy na pewno nie spadniesz - powiedział.

Wykonała polecenie. Gdy dotknęła plecami klatki piersiowej Johnny'ego, poczuła dreszcz. W tej samej chwili pomyślała o Lorcanie. Natychmiast się cofnęła.

- Co się stało? - spytał Johnny.

- Nic. - Grace uznała, że głupio postępuje. Przecież jemu chodzi tylko o zapewnienie jej bezpieczeństwa i wygody. O nic innego. I nie ma żadnego powodu, żeby czuła się winna. Kiedy następnym razem porozmawia z Lorcanem, o wszystkim mu opowie. Nie będzie miała przed nim tajemnic.

Uspokojona, wygodnie oparła się o Johnny'ego. Gdy chłopak ściągnął wodze, dostrzegła, jak wspaniale umięśnione są jego przedramiona.

Nieve zaczęła iść po piasku. Grace zaśmiała się z przyjemności i zaskoczenia.

- To łatwiejsze, niż podejrzewałam!

- Kaszka z mlekiem - potwierdził Johnny. Chociaż nie widziała jego twarzy, wiedziała, że się uśmiechał.

Odręzona, jeszcze mocniej przywarła do chłopaka. Nawet gdy Nieve lekko przyspieszyła, Grace nadal czuła się swobodnie. Jej początkowe zdenerwowanie zastąpiła beztroska.

- To kłus - wyjaśnił Johnny. - Z taką samą prędkością potrafi biec zdrowy człowiek. To około trzynastu kilometrów na godzinę. Jeśli się wsluchasz, przekonasz się, że kopyta Nieve uderzają w piach po dwa. Słyszysz?

- Tak! - zawołała. - Słyszę... I czuję. - Chociaż tego nie powiedziała, nie było to miłe wrażenie. Nie sądziła, że w takim tempie długo wytrzyma bez siodła.

Johnny był nieświadomy jej udręk.

- Teraz spróbujemy czegoś, co się nazywa galopem zebrany. To oznacza, że Nieve nadal jest nam podporządkowana. Usłyszysz trzy stąpięcia zamiast dwóch.

Grace poczuła, że klacz przyspiesza, i faktycznie usłyszała trzy uderzenia końskich kopyt o podłoże. Zerknęła na bok i ujrzała lśniąca w świetle gwiazd wody zatoki. Cudownie było je oglądać z tej nowej perspektywy. Widziała zgrabną sylwetkę Wagabundy i potężną bryłę

Krwawego Kapitana. Stały zacumowane jeden przy drugim. Oddalili się już spory kawałek od statków. Plaża w tym miejscu była zupełnie pusta. Jaki kojący widok - ocean niczym lustro odbijające rozgwieżdżone niebo. I znów Grace poczuła, że koń przyspiesza. Tym razem ją to ucieszyło.

- Teraz cwałujemy! - zawołał Johnny. - Właśnie tego chciała Nieve, prawda, maleńka? Grace ze zdumieniem stwierdziła, że jest jej raczej wygodnie. Przytulona plecami do Johnny'ego czuła się równie bezpiecznie, jak gdyby siedziała w fotelu.

Dziewczyna poddała się hipnotycznemu rytmowi przejażdżki. Wszystkie jej zmartwienia zniknęły, zostawały w tyle. Johnny milczał, podobnie jak ona. Odgłos końskich kopyt na piasku harmonijnie łączył się z delikatnym szumem wiatru i dźwiękiem rozbijających się o brzeg fal. Grace zwróciła głowę w stronę oceanu, by poczuć muśnięcia chłodnej bryzy na twarzy. Przy tym ruchu policzek dziewczyny otarł się o policzek Johnny'ego. Ze zdumieniem stwierdziła, że ta bliskość wcale jej nie peszy. Ponownie pomyślała o Lorcanie i poczuła się winna. Znów jednak powiedziała sobie w duchu, że nie robi niczego złego. Bawiła się, jak jeszcze nigdy w życiu, a ostatnio spotkało ją tak wiele zła... Zapomniała już, jak cudownie jest czuć nieskrępowaną radość. Otrzymała od Johnny'ego cenny dar. Dlaczego miałyby go odrzucić?

Długie kroki Nieve niosły Grace i Johnny'ego nad piaskiem w stronę oceanu. Gdy klacz biegła przez płyciznę, spod jej nóg tryskały w powietrze krople wody. Grace czuła na ustach ich słony smak. Jej serce biło teraz w rytmie końskich kopyt.

Kiedy kolejne krople spadły jeźdźcom na twarze, dziewczyna zaśmiała się wesoło. Obróciła się i zobaczyła, że jej towarzysz również się śmieje. Jego twarz była wilgotna od słonej wody. I nagle, zupełnie niespodziewanie, Grace zapragnęła go pocałować. Fizycznie byli tak blisko siebie, wystarczyło, by się nachyliła... Johnny uśmiechał się, jego oczy błyszczały, a usta wyglądały bardziej kusząco niż kiedykolwiek przedtem. Dziewczyna zmusiła się do odwrócenia wzroku. Poczowała, że się rumieni. Chciała tego pocałunku, ale wtedy posunęłyby się o krok za daleko. Jechali dalej w milczeniu.

Niedługo później Johnny kazał Nieve zwolnić. Przeszli do spokojnego stępa.

- Grzeczna dziewczynka - powiedział chłopak, delikatnie gładząc zad klaczy. - Pora trochę odpocząć.

Zatrzymali się. Johnny zeskoczył z końskiego grzbietu i pomógł zejść Grace.

Dziewczyna dopiero po chwili poczuła się pewnie na twardym podłożu. Johnny objął ją ramieniem.

- Drżysz - stwierdził.

- Naprawdę? - Rzeczywiście tak było, a jego dotyk wcale nie pomagał jej się uspokoić. - To pewnie przez adrenalinę.

Johnny zaśmiał się z zadowoleniem.

- Wiedziałem, że ci się spodoba! - zawołał. - Od naszego pierwszego spotkania chciałem cię zabrać na przejażdżkę. Nie można mnie dobrze poznać, dopóki choć raz nie pojedzie się ze mną konno. Taki właśnie jestem! - Nagle jakby się zawstydził własnych emocji. Mówił dalej, by ukryć zażenowanie. - Kiedy Nieve trochę odpocznie, wrócimy wzdłuż plaży.

Grace uśmiechnęła się na samą myśl o kolejnym rajdzie na końskim grzbiecie.

- No więc? - dopytywał się Johnny. - Dobra niespodzianka?

- Tak. - Spojrzała mu w oczy. - Tak, Johnny. To była urocza niespodzianka. Dziękuję! W przyływie emocji, nie mogąc nad sobą zapanować, nachyliła się i pocałowała go w mokry od słonej wody policzek.

Chłopak wyszczerzył zęby w uśmiechu. - No, no! - Przyłożył dłoń do policzka. - To też była urocza niespodzianka. Wręcz cudowna.

Kiedy Grace spoglądała teraz na Johnny'ego, wydawał jej się jeszcze przystojniejszy niż zwykle. Może to przez srebrne światło księżyca? A może przez oddalenie od Krwawego Kapitana? Może przez to, że widziała go takiego, jakim powinien być... Czują, jakby zacisnęło się wokół niej niewidzialne lasso i ciągnęło w kierunku chłopaka. A przecież Johnny tylko się uśmiechał.

Walka z taką pokusą nie była łatwa. Grace się odsunęła.

- O co chodzi? - spytał chłopak. Jego spojrzenie było spokojne, ale dziewczyna miała wrażenie, że przeszło ją na wylot.

- Trochę mnie poniosło - przyznała zażenowana.

- Bawię się tak dobrze, że niemal się zapomniałam.

- Przecież masz prawo do dobrej zabawy. - Wzruszył ramionami.

- Tak - odparła ostrożnie. - Ale chcę być wobec ciebie uczciwa...

Johnny się uśmiechnął.

- Słyszałaś, żebym narzekał?

- I wobec Lorcana - dodała Grace. Ponieważ Johnny nie zareagował, dorzuciła: - Mojego chłopaka.

Teraz były kowboj skinął głową.

- Rozumiem - powiedział. - Ale Lorcan jest daleko i chyba nie miałby ci za złe tego, że się trochę rozerwiesz, no nie?

Grace spojrzała mu w oczy i pokręciła głową. Najwyraźniej nie zamierzał jej niczego ułatwiać.

- Czy nie powinniśmy już wracać? - zmieniła temat.

Johnny patrzył na nią przez chwilę bez słowa. Potem skinął głową.

- W porządku. Jeśli jesteś gotowa. Zdaje się, że Nieve już porządnie odpoczęła. - Podszedł do klaczy i odwiódł ją od wody. - Wiem, że jesteś spragniona, ale nawet nie myśl o picciu tego tutaj - powiedział. - Po słonej wodzie mogłabyś się pochorować.

Obserwując, jak chłopak delikatnie obchodzi się z Nieve, Grace czuła się nieswojo. Pocałowała go. Nie on ją, lecz ona jego. Jeśli ktoś tu kogoś wykorzystał, to właśnie ona Johnny'ego. Chłopak zorganizował jej wspaniałą wycieczkę, a ona zachowuje się teraz ohydnie. Nie taki był jej zamiar. Postanowiła oczyścić atmosferę.

- Johnny! - zawołała, podchodząc do niego. - Wiesz, że cię lubię, prawda? Chłopak się uśmiechnął. - Miło mi to słyszeć, Grace. Sądziłem, że wydałaś już na mnie wyrok, od którego nie ma odwołania.

Przytaknęła.

- Owszem. Po tym, jak odszedłeś z Sanktuarium, miałam o tobie wyrobione zdanie. Ale od czasu naszego ponownego spotkania zrozumiałam, że osądziłam cię zbyt pochopnie. Masz wiele różnych twarzy, Johnny Desperado.

- Cóż, dziękuję - odparł. - Za ponowne przemyślenie sprawy. - Wyciągnął do niej rękę.

Dziewczyna się zawahała. Ponownie miała wrażenie, że wokół niej zaciska się łąasso.

Johnny uśmiechnął się lekko.

- Skarbie, chcę ci tylko pomóc wsiąść na Nieve.

No oczywiście! Grace była śmiertelnie zawstydzona. Spuściła głowę, podeszła bliżej i pozwoliła chłopakowi Usadzić się na grzbiecie klaczy.

Tym razem poczuła się jak doświadczony jeździec. W mgnieniu oka Johnny zajął miejsce za nią, otoczył jej talię rękoma i sięgnął po wodze. Dziewczyna oparła się o niego, tak jak za pierwszym razem.

Gdy Nieve zaczęła iść po piasku, Grace zamknęła oczy. Sprawy zaczynały się komplikować i była tego świadoma. Ale już od bardzo dawna nie czuła się tak dobrze i chciała chłonąć każdą sekundę.

Rozdział 26

Bez wyjścia

- Jaka według ciebie była dzisiaj Grace? - zapytał Lorcan, kiedy wychodzili z kajuty kapitana.

- Lepsza - odparła Darcy. - Znów jest sobą. Uspokoiła się, i to znacznie. - Widząc minę przyjaciela, dodała: - Nie zgadzasz się ze mną, prawda?

Wzruszył ramionami i pokręcił głową.

- Może sobie to wszystko wyobrażam - powiedział. - Po prostu mam wrażenie, że między nami rośnie dystans. Chciałbym, żeby mnie odwiedziła, żebyśmy byli sam na sam.

- Jestem pewna, że ona również tego pragnie - zapewniła go panna Flotsam. - Ale pamiętaj, że te astralne wizyty bardzo ją wyczerpują. Może jeszcze nie ma tyle energii?

Lorcan się zamyślił.

- W takim razie ja powinienem ją odwiedzić.

Darcy wzruszyła ramionami.

- Instynkt mi podpowiada, że lepiej pozwolić Grace o tym decydować. Na pokładzie tamtego statku jest w niebezpiecznej sytuacji. Gdybyś się pojawił w nieodpowiedniej chwili, mógłbyś zakłócić przebieg jej misji.

- Masz rację - powiedział porucznik. - Doszli już do kajuty Lorcana. Chłopak otworzył drzwi. - Wstąpisz na chwilę? Dobrze mi zrobi towarzystwo.

Panna Flotsam przytaknęła i weszła do środka.

- Z góry przepraszam za bałagan - uprzedził, zamykając drzwi. Ciasne pomieszczenie rzeczywiście wypełnione było bronią, sprzętem bojowym, stertami książek i setkami kartek zapelnionych gotyckim pismem Lorcana.

Darcy szeroko otworzyła oczy ze zdumienia.

- Wygląda na to, że twoja kajuta zmieniła się w zbrojownię - stwierdziła.

Chłopak pospiesznie zdjął z krzesła jakieś przedmioty, by zrobić gościowi miejsce. Kiedy panna Flotsam usiadła, obdarzyła porucznika ciepłym uśmiechem.

- Wiesz, to niesamowite, jak wspaniale podołałeś swojej misji. Jestem z ciebie bardzo dumna.

- Dzięki, Darcy - odparł Lorcan i odwzajemnił jej uśmiech. - Dobra z ciebie koleżanka.

- Z tego, co mówiłeś mistrzowi, wnioskuję, że szkolenia idą ci teraz lepiej. To prawda, czy po prostu chciałeś poprawić mu nastrój?

Chłopak przysiadł na skraju łóżka.

- Nie, naprawdę idzie trochę lepiej, również dzięki tobie. Nasza ostatnia rozmowa dodała mi sił. Zyskałem nowy zapał do pracy.

Panna Flotsam słuchała tego z przyjemnością.

- Cieszę się, że mogłam pomóc! - Pochyliła się i oparła brodę o splecione dłonie. - Zawsze możesz na mnie liczyć. Wiesz o tym, prawda?

Lorcan przytaknął.

- A ty na mnie. To działa w obie strony. - Spojrzał przyjaciółce w oczy. - Prawda jest taka, że idzie trochę lepiej, ale wiele jeszcze wody upłynie, zanim zamienię tę bandę mięczaków w jednostkę bojową. - Umilkł na moment. - Czuję się tak, jakbym walił głową w ścianę.

Wstał i pochwycił jeden z leżących na podłodze mieczy. Wyjął go z pochwy i zaprezentował Darcy kilka pchnięć.

- Imponujące! - Panna Flotsam zaklaskała z przejęciem.

Lorcan ponownie usiadł, nadal trzymając w ręku miecz.

- Jesteś bardzo miła, ale spójrzmy prawdzie w oczy. Jasne, wiem, jak używać miecza do obrony albo nawet przeprowadzić pojedynki. Ale nie mam umiejętności potrzebnych do dowodzenia oddziałem.

Darcy podniosła jedną z książek leżących w stertach u jej stóp. Zerknęła na tytuł: Strategie wojenne. Kartkując gruby tom, dostrzegła na marginesach liczne notatki Lorcana.

- Nikt nie może ci zarzucić, że nie odrobiłeś pracy domowej.

- Daję z siebie wszystko - mruknął. Jego wzrok, zapewne w wyniku wielogodzinnego ślęczenia nad lekturą i męczących treningów, był zgaszony.

- I nikt nie ma prawa wymagać więcej - odparła panna Flotsam.

Lorcan pokręcił głową.

- Mylisz się, Darcy. Kapitan powiedział, że po powrocie chce zastać załogę Nokturnu zwartą i gotową do walki oraz obrony przed piratami, wampirami i każdym innym wrogiem. Jestem odpowiedzialny za powodzenie tej misji. Muszę znaleźć sposób, by przełamać w załodze apatię. Lektury są pożyteczne, ale nam potrzeba cudu!

Panna Flotsam zastanowiła się nad jego słowami. Potem z głośnym hukiem zamknęła Strategie wojenne.

- Już wiem! - zawołała. - Nie potrzebujesz więcej książek. Powinieneś nabyć trochę doświadczenia.

- Darcy! - Lorcan popatrzył na nią z uznaniem. - Jesteś genialna! Ale jak mam go nabrać? Gdzie?

- Pomyślmy... - odparła skonsternowana. Stukając opuszkami palców w opasłe tomisko, leżące teraz na jej kolanach, pogрузzyła się w zadumie. Myślała intensywnie przez kilka minut. Potem palce dziewczyny znieruchomiały. - Może podchodzimy do tego problemu z nieodpowiedniej strony? - zaczęła.

- Co masz na myśli? - spytał Lorcan.

Pochyliła się ku niemu. Jej oczy błyszczały z przejęcia.

- Może powinniśmy się zastanowić, co w takiej sytuacji zrobiłby... Sidorio?

- Hmm... - Chłopak przez chwilę rozważał jej pytanie. - W rzeczy samej, co by zrobił Sidorio? - Skinął głową i zaczął się zastanawiać. Przez krótką chwilę w kajucie panowała niezmacona cisza. A potem porucznik uniósł miecz. - Już wiem.

- Tak? - Panna Flotsam nie kryła podekscytowania.

- Sidorio porwałby kapitana piratów - oświadczył Lorcan z mocą.

- Och... - Darcy starała się ukryć zawód. - Czyli właśnie to zamierzasz zrobić?

Lorcan pokręcił głową z rezygnacją.

- Nie. Porwania nie są w moim stylu.

Panna Flotsam ponownie otworzyła Strategie wojenne.

- Czyli zaczynamy od początku.

- Następnym atak zaplanowano na dzisiaj - powiedział Connor. On i Kally siedzieli na skalistej plaży w bezpiecznej odległości od Krwawego Kapitana i Wagabundy. - Celem jest Albatros.

- Albatros. Jasne - powtórzyła rybogonka.

Connor przeczesał palcami włosy. Chociaż przybył tu wplaw, zdążyły już niemal zupełnie wyschnąć w porannym słońcu.

- Stukeley poprowadzi atak. Ma niewyrównane rachunki z kapitanem tej jednostki, Narcisosem Drakoulisem. To paskudny typ.

Chwycił kamień i cisnął go w stronę oceanu.

Cierpliwość nie należała do cnót Kally.

- Mów, Connor! Co się wydarzyło między Drakoulisem a Stukeleyem?

- To właśnie na Albatrosie zginął Jez Stukeley.

Kally gwizdnęła przeciągle i pokręciła głową. - Porąbany zbieg okoliczności. Connor przytaknął, a na jego ustach pojawił się ponury uśmiech. - Masz rację. Na dodatek z tej sytuacji nie ma prostego wyjścia. - Spojrzał zrezygnowany na błękitną taflę rozciągającą się przed jego oczami i na unoszące się na niej dwa wampirackie statki, nieporuszone, kiedy na niebie świeciło słońce.

Kally szturchnęła chłopaka w bok.

- Nie bądź taki ponury, Tempest! Nawet jeśli atak został zaplanowany na dzisiaj, to mamy czas. Zaraz popłynę na spotkanie z Jacobym i Jasmine. Oni przekażą informacje Cheng Li, a ta wyśle ostrzeżenie bezpośrednio na Albatrosa. Kurczę, no! W razie potrzeby sama przekażę wieści Drakoulisowi. - Uśmiechnęła się. - Nie ma szybszego i bardziej niezawodnego środka komunikacji niż poczta morska.

Connor zignorował jej żart i smętnie pokręcił głową.

Tym razem Kally zmarszczyła brwi.

- Powiedziałeś, że ten kapitan to paskudny typ. Czyżbyś chciał, żeby doszło do tej napaści?

Connor przypomniał sobie, jak Drakoulis drażnił się z Molukkiem Wrathe'em, podczas gdy na pokładzie jego statku Jez Stukeley wykrwawiał się na śmierć. Bez wątplenia śmierć kapitana Albatrosa niespecjalnie by chłopaka zmartwiła, ale teraz zajmował go inny, ważniejszy aspekt tej sprawy.

- Nie chodzi o to, czego ja chcę, Kai. Jeśli Cheng Li uprzedzi Drakoulisa, a ten przygotowuje się na atak, Stukeley i Sidorio będą wiedzieli, że mają na pokładzie szpiega. W niecałe pięć sekund znajdą wtyczkę Federacji.

- Czyli ciebie! - pojęła Kally.

Connor przytaknął.

- Albo dopuścimy do tego ataku i nie zrobimy nic, by zapobiec śmierci lub przemianie całej załogi w wampiratów... - Umilkł na moment. - Albo uprzedzimy Drakoulisa i zostanę zdemaskowany jako szpieg.

- Zaczekajcie. Czy ja dobrze zrozumiałam? - Cheng Li z surową miną spoglądała na siedzących po drugiej stronie jej biurka Jacoby'ego i Jasmine. - Dziś w nocy dojdzie do następnego ataku wampiratów. Celem jest Albatros. A Connor rozpaczliwie, jak to ujeliście, prosi, byśmy nie próbowali temu zapobiec.

Jasmine skinęła głową.

- Nic dodać, nic ująć, pani kapitan.

- Connor ma rację - dodał Jacoby. - Jeśli zrobimy coś, żeby zapobiec atakowi, od razu zostanie zdemaskowany. Będziemy musieli wycofać go z terytorium wroga, i to żwawo.

- Oczywiście moglibyśmy to zrobić - mruknęła Cheng Li. - Gdybyśmy tego chcieli. Jasmine zaniepokoiły słowa zwierzchniczki. Dlaczego mieliby nie chcieć?

Cheng Li ułożyła dłonie w piramidkę i oparła o nie brodę, jak to zwykle czyniła, rozważając trudne kwestie.

- Gdyby doszło do zdemaskowania Connora, nie tylko musielibyśmy natychmiast go stamtąd wydostać, lecz także utracilibyśmy wszelkie dojścia, jakie udało nam się pozyskać dzięki jego obecności na wampirackich statkach. - Umilkła, a po chwili odsunęła krzesło i wstała. - Z raportu Kally wynika, że Connor zdobył zaufanie Sidorii oraz oficerów na pokładach Krwawego Kapitana i Wagabundy. - Spojrzała na Jacoby'ego. - Zgodzisz się ze mną? Zastępca przytaknął.

- Tak, pani kapitan. Z tego, co wiem, Connorowi udało się przekonać załogi obydwu statków, że jest synem tego typu i należy do rodziny.

Jasmine zastanawiała się, czy faktycznie było to dla Connora trudne zadanie. Odsuwała od siebie jednak te myśli, by przypadkiem nie zdradzić się przed innymi ze swoimi podejrzeniami.

- Zrobił tym wampiratom wodę z mózgu - ciągnął buńczucznie Jacoby - i ma teraz dostęp do poufnych informacji najwyższego stopnia.

Jasmine przytaknęła.

- Czego dowodem jest tak wczesne ostrzeżenie o tym ataku.

Oczy Cheng Li zabłysły.

- Innymi słowy - podsumowała - udało nam się z powodzeniem umieścić agenta Federacji w centrum dowodzenia wampiratów. Od tej pory nie wykonają żadnego ruchu, o którym byśmy wcześniej nie wiedzieli. - Z satysfakcją pstryknęła palcami.

Wzrok Jasmine utkwiony był w pani kapitan. Cheng Li wróciła za swoje biurko. Stała przed portretem ojca i przez chwilę się weń wpatrywała. Jasmine dostrzegła na namalowanej twarzy Changa Kuo Li tę samą determinację, która charakteryzowała jego córkę.

Cheng Li usiadła.

- Podjęłam decyzję - oświadczyła. - Słuchajcie uważnie. Oto, co zrobimy.

Rozdział 27

Bracia krwi

- Connor, otwórz! Wpuść mnie! Wyrwany ze snu chłopak mrugał zaczerwienionymi oczami, nie bardzo zdając sobie jeszcze sprawę, że obudził go odgłos walenia pięścią w metalowe drzwi.

- Otwieraj!

Connor rozpoznał wreszcie głos Stukeleya. Wstał więc i poczłapał do drzwi, które nadal stawiały dzielny opór pięściom porucznika.

- Już! - zawołał chłopak. - Chwila, już idę!

Gdy otworzył, Stukeley wparował do środka. Był niczym kula czystej energii, podekscytowany do granic możliwości. Oczy błyszczały mu z przejęcia.

- Wróciłem! - oznajmił.

Connor skinął głową.

- Widzę. Ale skąd?

- Z Albatrosa! - krzyknął wampir.

Senność Connora minęła jak ręką odjął. Nagle wszystko zaczęło do niego docierać. Stukeley powrócił z misji przejęcia statku. Wampiratom udało się zdobyć drugą piracką jednostkę.

- Powinieneś był go widzieć! - ciągnął Stukeley.

- Narcisos Drakoulis - nazwisko kapitana wysyczał z jawną odrazą - wił się u moich stóp, błagając o litość. - Na twarzy porucznika pojawił się złośliwy uśmiech. - Ja go wtedy o nic nie błagałem, prawda? Pamiętasz tamten dzień?

Connor przytaknął. Oczywiście, że go pamiętał. Jez Stukeley walczył i przegrał w pojedynku z najlepszym z ludzi Drakoulisa. Poraniony, wykrwawił się na śmierć na pokładzie Albatrosa. Był to jeden z najmroczniejszych dni w życiu Connora - dzień, który otworzył mu

oczy na brutalność piratów. Pojedynek pomiędzy Jezem a szermierzem Drakoulisa, Gidakim Sarakakinem, od początku był nierówny. Jez nie miał szans. Ale teraz role się odwróciły.

- Sarakakina także zabiłeś? - zapytał.

Stukeley spojrzał mu w oczy.

- Właściwie to nie. Pozwoliłem mu żyć. - Widząc zdumioną minę przyjaciela, wyjaśnił: - Wiesz dlaczego? Ponieważ on po prostu robił swoje. Robił, co kazał mu kapitan, tak jak ja walczyłem dla Wrathe'a.

Connor skinął głową.

- Jest coś, o czym nie wiesz - powiedział. - Po twojej śmierci Sarakakino podszedł do nas. Powiedział, że walczyłeś dzielnie i nie spadła na ciebie hańba.

Stukeley uśmiechnął się wesoło.

- Cieszę się, że go oszczędziłem. I tylko jego. - W jego oczach przelotnie pojawił się wyraz zadumy.

- Ale słuchaj, jestem w nastroju do świętowania, a kto lepiej dotrzymałby mi towarzystwa niż mój stary druh, Connor Tempest?

Chłopak się zawahał.

- A... co dokładnie masz na myśli?

- Ty i ja udamy się do Tawerny Krwi. Tej przy Zatoce Otchłani. Pamiętasz ją?

Jak Connor mógłby zapomnieć?

- Bardzo się cieszę z twojego zwycięstwa - powiedział wreszcie, zdając sobie jednak sprawę, że ton jego głosu świadczy o czymś przeciwnym. - Ale nie czuję się dobrze w tym lokalu.

Stukeley wyraźnie posmutniał.

- A może Johnny mógłby iść z tobą? - zasugerował Connor. - Albo Sidorio?

Porucznik pokręcił głową.

- Johnny wałęsa się gdzieś z twoją siostrą. A Sidorio... Cóż, zgaduj, komu dotrzymuje towarzystwa. Masz trzy próby.

- Lady Loli - odparł Connor bez namysłu.

- Bingo! - Stukeley udał, że strzela z pistoletu.

- Nieważne. To z tobą chcę świętować. Jesteś moim kumplem. - Podszedł do chłopaka i zamknął go w niedźwiedzim uścisku. A potem szepnął: - Jesteśmy braćmi krwi.

Connor zdrętwiał, jednak czy mu się to podobało, czy nie, w słowach Stukeleya kryła się prawda. Kiedyś byli sobie bliscy jak bracia. Teraz być może mają szansę to odzyskać. A co, jeśli właśnie nie krew, ich jednoczyło?

Porucznik wypuścił przyjaciela z objęć i spojrzał mu w oczy.

- Stary, co jest? - spytał.

Connor rozważał różne możliwości. Musiał z kimś porozmawiać, a nie znalazłby lepszego powiernika od Stukeleya, przynajmniej nie w tej kwestii.

- Mój głód krwi narasta. Wyznając wreszcie komuś tę prawdę, Connor poczuł się tak, jakby zdjęto mu wielki ciężar z ramion.

- To się zaczęło podczas pierwszego natarcia, na które zabrał mnie Sidorio. Między innymi dlatego trochę spanikowałem. Nie chodziło o rozlew krwi wokół mnie, ale... - Zawahał się. - Czułem, że jej pragnę. Czułem głód. - Opuścił wzrok.

- Connor. - Głos Stukeleya był teraz cichy i delikatny. - Nie powinieneś źle się z tym czuć. To powód do świętowania.

- Tak?

- To, mój przyjacielu, jest wyjątkowy dzień. - Wampirat objął Connora ramieniem. - No chodź! Twój stary kumpel Stuke zabierze cię do tawerny i postawi ci pierwszy kufelek krwi.

Chłopak pokręcił głową.

- Nie - odparł. - Nie jestem gotowy. Jeszcze nie.

- Zobaczmy - odparł porucznik. - Tak czy inaczej, idziesz ze mną. Nie przyjmuję odmowy. Już ci kiedyś wspominałem, że nikt lepiej ode mnie nie przeprowadzi cię przez te zmiany. A skoro o tym mowa, kolego: mógłbyś, proszę, zmienić koszulę? Ta, którą masz na sobie, śmierdzi gorzej od mojej, a przecież nawet nie brałeś udziału w bitwie!

Tawerna Krwi wydała się Connorowi mrocznym miejscem już za pierwszym razem, gdy przyprowadził tu Stukeleya, i nadal robiła złe wrażenie. W wizjerze w drzwiach ujrzeni te same mleczone oczy co wtedy. Kiedy weszli do westybulu - przypominającego przedsionek starego, zaniedbanego kina - Connor rozpoznał Lilith, kobietę, która rządziła tawerną ze swojej oszklonej budki stojącej pośrodku tego pomieszczenia. Od czasu ich ostatniej wizyty przefarbowała włosy na czerwono, ale nadal czesała je w kok w kształcie ula. Jej powieki były aż ciężkie od turkusowego brokatu.

Ostatnim razem Connor odbył z nią rozmowę od serca. Ale jeśli nawet kobieta go pamiętała, nie dała tego po sobie poznać. Skupiła się na liczeniu pieniędzy Stukeleya.

- Jesteś pewien, że nie wejdiesz? - Wampirat zapytał go o to znowu. - W moich kieszeniach jest więcej złota. Drakoulis był nadspodziewanie hojny w chwili swojej śmierci. Connor pokręcił głową.

- Dzięki, ale nie - powtórzył. - Poczekam tutaj, aż... skończysz.

Stukeley przez chwilę przyglądał się twarzy przyjaciela, być może zastanawiając się, jak mógłby go przekonać.

- Pokój numer siedem! - zawołała Lilith, wskazując ruchem głowy czerwoną aksamitną kotarę. - Tylko żwawo, skarbenku. Mam tu kolejkę chętnych, wiesz, jak jest.

Stukeley zsalutował przyjacielowi, zanim zniknął w mroku za kotarą. Connor usiadł na podniszczonej pluszowej sofie w poczekalni i obserwował paradę wampirów, którzy jeden po drugim przemykali do kryjących się za tajemniczą zasłoną pomieszczeń.

- Następny! - zawołała Lilith ze swojej klatki.

Connor nie potrafił oderwać wzroku od czerwonej kotary. Zrozumiał, że przeszedł ogromną przemianę. Kiedyś czuł przepaść między sobą a klientelą Lilith. Zakurzona zasłona pełniła funkcję bariery. Po tej stronie były normalność i dobro, po tamtej - świat, którego nawet nie potrafił sobie wyobrazić, chaos.

I choć teraz poprzestał na sofie, dobrze wiedział, że jego miejsce jest tam, za kotarą. Nadal nie uległ namowom Stukeleya, ale domyślał się, że to tylko kwestia czasu.

- Wciąż czujesz, że nie powinienes tu przebywać? - spytał Stukeley, kiedy znalazł Connora czekającego na niego w łodzi.

Chłopak pokręcił głową.

- Wręcz przeciwnie - odparł szczerze. - Czuję, że to moje miejsce. I to mnie przeraża. Porucznik przytaknął, manewrując łodzią tak, by oddalić się od skał. Wyglądał teraz na zdrowszego, jakby krew wróciła mu życie. Connor zadumał się na chwilę. Może i on powinien pogodzić się z tym, co nieuniknione? Jednak wraz z tą myślą pojawiła się Jasmine. Widział ją tak wyraźnie, jakby stała przed nim, obserwowała go ze skały. Jej ciemne oczy były pełne troski o niego.

Connor zastanowił się nad ich związkim. Teraz z pewnością się rozpadnie. Kiedyś Jasmine zapewniła go, że może jej powiedzieć wszystko, że nie jest sam.

I chociaż wiedział, że mówiła szczerze, był przekonany, że jeśli tylko prawda o nim wyjdzie na jaw, uczucia dziewczyny się zmienią.

- Hej. - Stukeley położył mu dłoń na ramieniu. - Co jest grane?

Connor westchnął.

- Jest pewna dziewczyna... - zaczął.

Wampir uśmiechnął się i przewrócił oczami.

- Jak zawsze.

- To bardzo skomplikowane, ale jest między nami wyjątkowa więź - ciągnął chłopak. - Przynajmniej tak mi się wydaje. Ale ona nie zna prawdy o mnie. Gdyby się dowiedziała, wiem, że to byłby koniec.

- Nie - zaprzeczył Stukeley. - Wcale tego nie wiesz. Po prostu się zadręczasz. Masz teraz wiele na głowie. Dopiero zaczynasz akceptować swoją tożsamość, poznajesz prawdziwego ojca, macochę. Stawiasz pierwsze kroki w nowym świecie. Daj sobie trochę czasu. I nie próbuj przewidywać, jak się ta dziewczyna zachowa. Jak jej na imię?

Connor zawahał się, ale odpowiedział, bezwiednie się uśmiechając:

- Jasmine. Jasmine Peacock. Jest wspaniała... - Znów się zasępił. - Ale znam ją i wiem, co sądzi o wampiratach.

- Przecież ty nie do końca jesteś wampirem, co nie, stary?

Connor wzruszył ramionami.

- Wampirat. Dampir. Co za różnica.

- Wiem, że mi nie uwierzysz - ciągnął Stukeley - ale zapewniam cię, że bycie wampirem nie pogorszyło moich notowań wśród pań. Wręcz przeciwnie, drogi przyjacielu. Muszę się od nich opędzać. - Wyprowadził w powietrze dwa ciosy, a potem stracił równowagę. Przez chwilę wyglądało na to, że zaraz wypadnie za burtę.

Connor roześmiał się w głos.

- Tak lepiej. Dobrze widzieć uśmiech na tej twojej paskudnej gębie, młody Tempeście.

- Jesteś wampirem. - Chłopak spowaźniał i wrócił do tematu. - Dziewczyny, które ci się podobają, również są wampiratami, więc to naturalne, że wam się układa. Ale ze mną i z Jasmine sytuacja wygląda zupełnie inaczej. Należymy do dwóch różnych światów.

- A, rozumiem. - Stukeley pokiwał głową. - No, jeśli mam być szczerzy, to nawet pomiędzy wampiratami ścieżka prawdziwej miłości bywa niekiedy bardzo wyboista.

Connor wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Zabrzmiało to tak, jakbyś miał mi historię do opowiedzenia! Dawaj szczegóły!

Stukeley wzruszył ramionami.

- Nie ma wiele do opowiadania. Nazywa się Darcy Flotsam i jest galionem na Nokturnie.

- Darcy? - zawołał Connor. - Przecież ja ją znam!

- Naprawdę? - Porucznikowi zabłyśły oczy. - Więc pewnie wiesz, że ją zawiodłem. I to poważnie. Ale mam nadzieję, że pewnego dnia zdołam ją przekonać, jak bardzo za nią szaleję. - Uśmiechnął się do przyjaciela. - Podejrzewam, że ta Jasmine to niesamowita dziewczyna, skoro ma na ciebie taki wpływ. Więcej optymizmu, stary. Musisz ufać, że jakoś to poukładacie, tak jak ja liczę na to, że uda mi się z Darcy. Dobry bukanier nie powinien być zdołowany!

Connor poczuł przyływ nadziei. Może Stukeley miał rację? Nawet jeśli był jedynie cień szansy, żeby jemu i Jasmine się powiodło, pochwyci go i będzie trzymał.

Na pokładzie Krwawego Kapitana Connor i Stukeley spotkali się z Johnnym.

- Stuke, mi amigo, rozumiem, że należą ci się gratulacje! - Porucznik pokręcił głową, jakby z niedowierzaniem. - Pojmałeś Albatrosa wraz z całą załogą. Kapitan jest szczęśliwy.

- Naprawdę? - W głosie Stukeleya dźwięczało zadowolenie.

- O, tak - potwierdził były kowboj. - Bo wysoko zawiesiłeś pozostałym poprzeczkę. Już się nie mogę doczekać, aż nadejdzie moja kolej!

- Twoja kolej? - Connor nadstawił uszu. Wszystko, o czym tego wieczoru tak gorączkowo rozmyślał, zeszło na dalszy plan. Teraz najważniejsza była nowa informacja. Wyglądało na to, że wampiraci planują już kolejny atak.

Johnny przytaknął.

- Tak, proszę pana. Będę dowodził kolejną misją przejęcia statku i porażka nie wchodzi w grę.

- Wiesz już, który okręt zaatakujesz? - spytał Stukeley.

W oczach Johnny'ego odbijał się blask księżyca.

- Kapitan i lady Lola jeszcze nie zdecydowali, ale zawężili wybór do dwóch jednostek. - Nerwy Connora były napięte jak postronki. Czekał na dalsze słowa porucznika. - Albo Tyfon, albo Diabło.

- Diabło? - zawołałi jednocześnie dwaj dawni podwładni Molucca Wrathe'a.

- Znacie go?

- Emm... Tak - przyznał Stukeley. - To był nasz statek. Jeszcze z pirackich czasów.

- Wasz statek? - Johnny aż zagwizdał. - Więc jeśli wybór padnie na niego, mam okazać kapitanowi łaskę?

- Moluccowi? - Stukeley spojrzał na Connora. - Okazać łaskę Moluccowi Wrathe'owi? Człowiekowi odpowiedzialnemu za moją śmierć? Jak sądzisz, Connor? Co ty byś zrobił na miejscu Johnny'ego?

Chłopak pomyślał o swoim byłym kapitanie. Z początku widział w nim dobrodusznego nicponia, kogoś, kto mógłby zastąpić mu ojca. Z czasem przekonał się jednak, że Molucco jest kimś innym. Osobą niebezpieczną i nieodpowiedzialną. Jeśli w ogóle ktoś ponosił winę za śmierć Jeza, to faktycznie kapitan Wrathe. A jednak myśl o tym, że miałby zostać zaszlachtowany przez Johnny'ego i innych wampiratów, przyprawiła Connora o mdłości.

- No dalej - ponaglił go Johnny. - Powiedz, co sądzisz!

Connor spojrzał na niebo.

- Sądzę, że powinniśmy wracać na dół. Zaczyna świtać. Noc się kończy.

- Jak zwykle młody Tempest ma słuszość - stwierdził Stukeley. - Chodźcie, moi bracia krwi. Lekko pchnął towarzyszy w kierunku drzwi prowadzących pod pokład.

Rozdział 28

Kod srebrny

Cheng Li energicznie otworzyła drzwi swojej kajuty. Do środka weszła Cate i ostrożnie je zamknęła.

- Usiądź. - Pani kapitan wskazała krzesło obok okrągłego stolika, przy którym lubiła omawiać strategię.

Cate usiadła.

- Wody? - Cheng Li uniosła karafkę. - A może mogłabym ci zaproponować coś mocniejszego z mojego barku?

Rudowłosa dziewczyna pokręciła głową.

- Nie, pani kapitan. Dziękuję, ale spaszuję - powiedziała. - Wystarczy mi woda.

- Zapewne masz rację - odparła Cheng Li, napełniając szklanek także dla siebie. - A więc... Miałś zdać mi raport z treningu.

Cate przytaknęła.

- Dobrze nam idzie. Jeśli zajdzie potrzeba, byśmy bronili się przed wampirami, myślę, że stoczymy wyrównaną walkę...

- Nie „jeśli”, Cate, lecz „kiedy”. I samo myślenie, że stoczymy wyrównaną walkę, to też za mało. Muszę być tego pewna, a to oznacza, że i ty musisz być całkowicie przekonana. Piratka skinęła głową.

- Rozumiem pani stanowisko, pani kapitan - rzekła. - Problem polega na tym, że jeszcze nie przetestowaliśmy mojej strategii w walce przeciwko wampiratom. Dopóki tego nie uczynimy, nie będę miała pojęcia, czy jestem na właściwej drodze, czy nie.

Cheng Li napiła się i sięgnęła po długopis, by coś zanotować w zeszycie. Cate wyciągnęła szyję, próbując odczytać napis do góry nogami. Wtedy rozległo się nagłe walenie do drzwi kajuty. Pani kapitan zmarszczyła brwi.

- Mówiłam, że nie chcę, by nam przeszkadzano - warknęła, wstając. - Kto tam? - zawołała.

W odpowiedzi drzwi się otworzyły, a do środka weszli Jasmine z Jacobym.

- Bardzo przepraszamy, że przeszkadzamy w naradzie... - zaczął niecierpliwie chłopak.

Jasmine mu przerwała. - Sytuacja kryzysowa, pani kapitan. Kod srebrny. Cheng Li skinęła głową. - Cate, będziemy musiały dokończyć tę rozmowę później. Jacoby, Jasmine, mówcie, co się dzieje.

Cheng Li kroczyła przez wielki hol Akademii Piractwa z dwójką swoich oficerów u boku.

- Pani kapitan - odezwała się Jasmine. - Czy zanim wejdziemy, mogłabym prosić panią o chwilę rozmowy w cztery oczy?

- Nie - warknęła zapytana. - Przy kodzie srebrnym każda sekunda się liczy. Jeżeli chciałaś mi o czymś powiedzieć, mogłaś to zrobić po drodze.

Twarz Jasmine oblała się rumieńcem.

- Miałam nadzieję na rozmowę na osobności - odparła. - Chodzi o Connora.

- Dlaczego chcesz rozmawiać z panią kapitan bez mnie? - zdziwił się Jacoby.

- To już nieistotne.

- Właśnie - rzuciła Cheng Li. - To nieistotne.

O cokolwiek chodzi, musisz poczekać.

Jasmine i Jacoby wymienili nerwowe spojrzenia. W ich kierunku zmierzała pośpiesznie panna Martingale. Jej obcasy głośno stukały na czarno-białych marmurowych płytkach podłogi.

- Kapitan Li - powiedziała. - Kapitan Grammont, komandor Black i pozostali czekają w skrytce. Zaprowadzę was. - Otworzyła drzwi dyrektorskiego gabinetu, podeszła do antycznego biurka, sięgnęła do dziurkacza i pięciokrotnie go nacisnęła. Jeden z obitych skórą paneli ściennych odsunął się, ukazując przejście.

- Chodźcie za mną! - zakomenderowała panna Martingale, obracając swoją broszkę, która nagle rozbłysła światłem. Krętymi schodami zeszli do podziemi.

- Dzisiaj są w pokoju numer dziewięć - oznajmiła asystentka dyrektora.

- Dziękujemy, Frances. - Cheng Li skinęła głową. - Dalej pójdziemy już sami.

Panna Martingale wyprężyła się i zsalutowała.

- Zawsze miło panią widzieć, pani kapitan - oznajmiła. - Niezależnie od okoliczności.

- I wzajemnie. - Cheng Li również zaszalutowała, a potem odwróciła się i zastukała do drzwi oznaczonych dziewiątką.

- Entrez! - usłyszeli głos Grammonta.

Wszyscy troje weszli do pokoju, w którym – jak w wielu pozostałych pomieszczeniach w skrytce - stał długi stół zbity z drewna pochodzącego ze starych jednostek pirackich. Zasiadali już za nim najważniejsi przedstawiciele Federacji oraz Akademii Piractwa.

- Bienvenue! Witajcie! - zawołał kapitan Grammont. - Biorąc pod uwagę okoliczności, nie przeciągajmy powitania.

- Oczywiście - odparła Cheng Li. - Zapewne wszyscy znacie mojego zastępcę, Jacoby'ego Blunta. Jasmine Peacock również.

- W rzeczy samej - potwierdziła Lisabeth Quivers. - Nigdy nie zapominamy naszych najlepszych uczniów. A jest ich teraz z nami aż troje.

Zebrani pokiwali głowami na znak aprobaty.

- Proszę - odezwał się kapitan Grammont. - Usiądźcie i opowiedzcie nam o rozwoju sytuacji.

Cheng Li i jej towarzysze zajęli miejsca.

- Jak napisałam w depeszy, mamy kod srebrny. Mogłam wysłać wiadomość przez Kally...

- To ta tajna agentka? Rybogonka, z której usług korzystasz, oui? - zaciekawiał się Grammont.

- Właśnie tak - odparła Cheng Li. - Mogłam przesłać wiadomość przez nią, ale uznałam, że najlepiej będzie pomówić z wami osobiście.

- Zamieniamy się w słuch - oznajmił szorstko komandor Black.

- Sprawa dotyczy całej Federacji - zaczęła Cheng Li. - Ale w szczególności trojga z nas. - Spojrzała na przeciwległy koniec stołu, gdzie wreszcie dostrzegła twarze osób, których szukała. - Trofie Wrathe, Barbarro Wrathe i Molucco Wrathe... - Umilkła na chwilę. - Nasz wywiad donosi, że jutrzejszej nocy jeden z waszych statków, a niewykluczone, że obydwa, zostanie zaatakowany przez wampiratów.

Niektórzy z obecnych gwałtownie zaczerpnęli tchu.

- Jesteście świadomi - podjęła Cheng Li - że nieprzyjaciół udało się przejąć dwie federacyjne jednostki: Wybawcę i Albatrosa. Z tego, co nam wiadomo, zarówno kapitanowie, jak

i załogi obu statków zostali zabici. Doszły nas jednak słuchy, że wampiraci zamierzają ożywić niektórych z nich i wcielić do swoich szeregów.

- Zakładam, że mówiąc „wywiad” - odezwał się Barbarro - masz na myśli swojego agenta, Connora Tempesta?

Cheng Li przytaknęła.

- Jak wiecie, przekonaliśmy Sidoria, samozwańczego króla wampiratów, że Tempest jest jego synem. Misja Connora idzie świetnie, a informacje, których nam dostarcza za pośrednictwem Kally, są coraz bardziej znaczące.

Molucco Wrathe zaśmiał się sztucznie.

Cheng Li spiorunowała go wzrokiem.

- Ma pan jakieś zastrzeżenia, kapitanie Wrathe?

- Zgadza się, kapitan Li. - Molucco świdrował spojrzeniem swoją odwieczną przeciwniczkę. – Skoro pan Tempest jest taki dobry, to jak wyjaśni mi pani fakt, że nie poinformował nas o dwóch wcześniejszych atakach na statki Federacji?

Cheng Li nie dała się zbić z tropu.

- Chciałabym, żebyście wszyscy wyobrazili sobie, w jak bardzo niebezpiecznej sytuacji znajduje się teraz Connor. Jeszcze nigdy, w całej historii Federacji, nie mieliśmy szpiega w obozie wroga. Connor ryzykuje dla nas życie, zdrowie i swoje naczynia krwionośne - dla każdej obecnej tu osoby.

- Zdajemy sobie z tego sprawę. - Głos Lisabeth Quivers jak zawsze podziałał na wszystkich kojąco.

- Doceniamy jego odwagę oraz to, w jak sprytny sposób udało ci się go tam umieścić. Jasmine zmarszczyła brwi. Cheng Li wcale nie znalazła sposobu na wprowadzenie Connora do jaskini lwa. Te drzwi były już otwarte, sama się o to zatroszczyła. Wysłała go do tego piekła, nie zastanawiając się ani sekundy nad jego bezpieczeństwem. Ona, Jasmine, powie pani kapitan, co o tym sądzi - gdy tylko nadarzy się ku temu okazja.

- Kapitan Quivers mówi w imieniu nas wszystkich - potwierdził Grammont. - Salutujemy ci, kapitan Li. Tobie i twojej młodej, bardzo utalentowanej załodze. - Uśmiechnął się do Jasmine i Jacoby'ego.

- Dziękuję - odparła Cheng Li. - Prawda jest taka, że Connor nic nie wiedział o planowanym ataku na Wybawcę. - Na chwilę się zawahała. - Co do Albatrosa... Cóż, w tym przypadku zostaliśmy ostrzeżeni.

Jacoby spojrział na nią z otwartymi ustami. Nie mógł uwierzyć, że tak łatwo wyjawiała tę informację.

Stwierdzenie, że przykuła uwagę słuchaczy, nie oddałoby powagi, jaka zapanowała teraz w pokoju numer dziewięć.

- Tak - powtórzyła Cheng Li. - Ostrzeżono nas o ataku na Albatrosa, ale sama podjęłam decyzję o zachowaniu tej informacji w tajemnicy.

Wokół stołu rozległy się okrzyki niedowierzania.

- Skazałaś kapitana Drakoulisa na śmierć! - zawołał Apostolos Solomos. Wsparcie dla Cheng Li nadeszło z niespodziewanej strony. Komandor Black odezwał się swoim chrapliwym głosem:

- Nie rozumiecie? Kapitan Li była między młotem a kowadłem. Gdyby uprzedziła Drakoulisa, - to może i ocalałaby jego statek, ale tym samym zdekonspirowałaby Tempesta. Jego misja, która, jak słusznie zauważyła pani kapitan, nie ma precedensu w dziejach Federacji, zakończyłaby się, jeszcze zanim się na dobre rozpoczęła.

- Mimo wszystko... - zaczął Francisco Moscardo.

- Kapitan Li - przerwał mu Black - podjęła decyzję, którą każdy dowódca wojskowy, wliczając w to mnie, musi wcześniej czy później podjąć. Postanowiła przegrać bitwę, aby wygrać wojnę.

Cheng Li po raz pierwszy poczuła wobec komandora coś na kształt wdzięczności.

- Właśnie tak - potwierdziła.

- A jednak - powiedziała Kirsten Larsen - dzisiaj uprzedziłaś nas, że wampiracy mają na celowniku Tyfona i Diabła.

- Wolałabyś, żeby milczała i pozwoliła nam zginąć? - syknęła Trofie Wrathe.

- Oczywiście, że nie. - Kapitan Larsen nie traciła opanowania. - Po prostu staram się zrozumieć postępowanie kapitan Li. Nie uprzedziła Federacji o ataku na Albatrosa, dlaczego więc ostrzega nas teraz?

- To uzasadnione pytanie - odparła Cheng Li, zerkając to na Trofie i jej męża, to na Molucca. - Przyznaję, że długo się wahałam, czy was ostrzec. Robiąc to, narażam na

niebezpieczeństwo Connora, a tę sprawę traktuję bardzo poważnie. Co więcej, ryzykuję powodzenie tej historycznej misji. - Westchnęła. - Jednak kiedy Jasmine i Jacoby przekazali mi nowiny, uznałam, że muszę się nimi z wami podzielić. Jutro jeden z waszych statków, o ile nie obydwaj, zostanie zaatakowany. Konflikt z wampirami się zaostrza.

Komandor Black skinął głową.

- Podjęła pani właściwą decyzję - stwierdził. Potem zwrócił się do wszystkich zebranych:
- Zaopatrzymy obydwie załogi w zestawy antywampirackie stworzone przez kapitan Li i jej zespół.

- Chętnie zostanę i opowiem wam o broni, którą opracowaliśmy na potrzeby tej wojny, oraz o nowych strategiach bitewnych - powiedziała Cheng Li. - Nie potrwa to długo, a z pewnością będzie lepsze od czytania instrukcji obsługi.

- Będziemy wdzięczni - odparli Barbarro i Trofie chórem. Wszystkie spojrzenia zwróciły się na Molucca.

- Dziękuję, ale nie skorzystam - warknął kapitan. - Mam pilniejsze sprawy na głowie. Barbarro z gniewem przemówił do brata: - Co, na trójząb Neptuna, mogłoby być pilniejsze od przygotowania statku i załogi na bliski atak tych demonów?

Molucco już stał. Położył dłoń na ramieniu Barbarra.

- A co jest zawsze najbardziej palącą kwestią dla kapitana piratów? Skarb! Mój nowy drugi oficer trafił na trop, który mam zamiar bezzwłocznie sprawdzić.

- Proszę, kapitanie, żebyś jeszcze rozważył swoją decyzję - powiedziała Cheng Li. - To zajmie tylko kilka minut, a może ocalić życie tobie i twojej załodze - moim dawnym towarzyszom.

Molucco spojrzał na nią i pokręcił głową.

- Poświęciłem ci więcej czasu, niżby wypadało - oświadczył. Potem, gestykulując, zwrócił się do pozostałych kapitanów: - Zapomnieliście już? Życie pirata zawsze było krótkie, ale wesołe. Nieraz patrzyliśmy w twarz niebezpieczeństwu, ale następnego dnia stawialiśmy żagle i płynęliśmy dalej.

- Bracie! - Barbarro gwałtownie podniósł się zza stołu. - To jest nowy rodzaj zagrożenia! Zapomniałeś o Porfiriu? Może ty jesteś gotów na utratę drugiego brata, ale ja nie! Przemyśl to jeszcze. A przynajmniej zabierz ze sobą zestaw antywampiracki.

- No dobrze. - Molucco niecierpliwie wzruszył ramionami. - Wezmę ten zestaw, skoro ma ci to poprawić nastrój. I jak już załatwię swoje sprawy, przeczytam instrukcje panny Li... Przepraszam, kapitan Li. Od deski do deski.

Z tymi słowami ruszył w kierunku drzwi. Kiedy mijał Cheng Li, spomiędzy jego dredów na chwilę wychylił się Scrimshaw. Jasmine mogłaby przysiąc, że widzi w oczkach węża błaganie. Potrząsnęła głową - wyobraźnia płatała jej figle.

Po wyjściu Molucca przemówił kapitan Grammont.

- Czy wolno mi zasugerować, abyśmy wszyscy zostali i wysłuchali kapitan Li? Jest dla mnie oczywiste, że stawka wzrosła i powinniśmy wiedzieć jak najwięcej o nowej broni i procedurach.

Wokół stołu dało się słyszeć pomruki aprobaty. Ktoś rzucił nawet:

- Dobrze mówi, poleć mu wina!

- Dwadzieścia minut przerwy - ogłosił komandor Black. - Potem wracamy do tematu. Jasmine nareszcie znalazła okazję, by porozmawiać z Cheng Li na osobności. Podczas przerwy obie wyszły na taras Akademii.

- Przepraszam za moje wcześniejsze zachowanie - powiedziała Jasmine. - Martwiłam się o Connora, ale teraz, kiedy już wiem, że go stamtąd zabieramy, wszystko jest w porządku. Cheng Li rzuciła jej zagadkowe spojrzenie znad filiżanki orzeźwiającej herbatki z wodorostów.

- Wydostaniemy go stamtąd - powtórzyła Jasmine.

- Prawda?

Jej zwierzchniczka zaprzeczyła ruchem głowy.

- Informacje, których dostarcza, są dla nas zbyt cenne, abyśmy mogli przerwać jego misję. Jasmine poczuła się tak, jakby uderzono ją czymś ciężkim w głowę. Nie mogła uwierzyć w to, co usłyszała.

- Ale powiedziała pani, że poważnie traktuje sprawę bezpieczeństwa Connora...

Cheng Li przytaknęła.

- Jestem w stu procentach oddana każdemu członkowi mojej załogi.

- Zatem musi go pani stamtąd wydostać! - zawołała Jasmine. - I to jeszcze dzisiaj!

- Nie - odparła krótko pani kapitan.

Jasmine była nieugięta.

- Jeśli będzie trzeba, złamię rozkaz i sama powiem o wszystkim Kally - oznajmiła.

Cheng Li uśmiechnęła się lekko i wypila kolejny łyk herbaty.

- Jacoby wyruszył już na spotkanie z rybogonką - powiedziała. - Odsunęłam cię od tego zadania. Od tej pory oficer Blunt sam będzie się z nią kontaktował.

Jasmine rozejrzała się po tarasie, wypatrując kolegi. Nigdzie go nie było, więc zapewne Cheng Li powiedziała prawdę. Jacoby udał się już na spotkanie z Kally.

Jasmine pokręciła głową.

- Wiedziałaś - mruknęła. - Jakimś cudem domyśliłaś się, że wszystko rozpracowałam, że wiem, kim naprawdę jest Connor. Nie wymyśliłaś wcale tej historii z synem Sidoria. Connor naprawdę jest dampirem, a ty zwyczajnie skorzystałaś z okazji.

Cheng Li uśmiechnęła się do Jasmine z uznaniem.

- Jeśli ktokolwiek miał szanse rozgryźć tę łamigłówkę, to właśnie ty. Wiem, jak blisko jesteś z Connorem, chociaż Jacoby jakimś cudem tego nie zauważył. Jesteś też najbystrzejszą osobą w mojej załodze i dlatego potrzebuję cię u mojego boku. I to od zaraz. Wrócisz ze mną do środka i pomożesz mi przedstawić kapitanom wszystkie wyniki naszych badań.

Jasmine przygryzła wargę.

- Podaj mi jeden dobry powód, dla którego nie miałabym cię teraz zostawić i pójść za Jacobym. Albo: dlaczego nie miałabym się udać prosto do Connora.

Cheng Li odstawiła filiżankę. - Jasmine Peacock, lojalność jest jedną z twoich najbardziej imponujących zalet - stwierdziła. - Ale pamiętaj, że po pierwsze: to ze mną podpisałaś kontrakt. Po drugie: całe życie przygotowywałaś się do tego, by przejść do historii piractwa. Czekalaś na ten moment, odkąd jako siedmioletnia dziewczynka po raz pierwszy przepląnęłaś pod łukiem Akademii.

I ten moment nadszedł. Chodzi tu o rzeczy większe i ważniejsze niż jeden młody pirat albo nawet jeden młody dampir.

Jasmine potrząsnęła głową. Po jej policzku spłynęła samotna łza. Cheng Li wiedziała, że jej słowa trafiły w czuły punkt. Jasmine Peacock była ulepiona z tej samej gliny co ona - aż do szpiku kości oddana pirackiej sprawie.

- Nie wątpię, że targają tobą skrajne emocje - mówiła dalej pani kapitan. - Uwierz mi, to wkrótce minie. Możesz być pewna, że nie mam zamiaru narażać Connora. Jeśli chcesz mu pomóc, zostań przy mnie i rób, co ci każę.

- A mam jakiś wybór? - spytała Jasmine, ocierając łzę.

- A czy ktokolwiek z nas go ma? - odparła Cheng Li i odwróciwszy się, ruszyła do podziemi.

- Cate! - Kilka godzin później Cheng Li ponownie otworzyła drzwi swojej kajuty. - To co, napijesz się teraz ze mną?

Rudowłosa piratka pokręciła głową.

- Znów odpowiem, że woda wystarczy. Po twoim spotkaniu z Federacją z pewnością czeka mnie pracowita noc. Chcę zachować trzeźwość umysłu. - Ponownie usiadła przy okrągłym stole i przyjrzała się zapisanym wcześniej przez Cheng Li słowom.

Kiedy pani kapitan usiadła naprzeciwko niej, Cate zaczęła się śmiać.

- Naprawdę napisałaś: „akcja, CL - porwanie wampiratów dla CM”?

Cheng Li spojrzała na nią zdumiona.

- Tak - odparła po chwili. - Masz coś przeciwko temu?

Obie dziewczyny spojrzały sobie w oczy. Cate pokręciła głową. Ilekroć sądziła, że zna już Cheng Li na wylot, pani kapitan robiła coś, co wyprowadzało ją z błędu.

- Ona może i nie ma nic przeciwko temu, ale ja z pewnością tak.

Głos dochodził z drugiego końca kajuty. Obie piratki poderwały się natychmiast, przybierając pozycje bojowe i omiatając wzrokiem pomieszczenie. Dopiero wówczas dostrzegły, że fotel za biurkiem Cheng Li stoi tyłem do nich. Siedząca w nim osoba powoli obróciła się i spojrzała na dziewczyny.

- To ty! - krzyknęła Cheng Li. Na jej twarzy pojawił się uśmiech. - Cóż. Jeśli miałabym komuś wybaczyć włamanie się do mojej kajuty, to właśnie tobie.

- Popatrz na gościa w oczy. - Ale naprawdę powinniśmy przestać się spotykać w ten sposób.

Intruz wstał i podszedł do piratek.

- Cate Morgan - zwróciła się Cheng Li do koleżanki - poznaj, proszę, Lorcan Fureya. Poruczniku Furey, to moja konsultantka do spraw taktyki, Cate.

Lorcan uściśnił dłoń dziewczyny.

- Panno Morgan, słyszałem o pani wiele dobrego - powiedział. - Jestem tu właśnie ze względu na panią. Potrzebuję pomocy.

Cate wyglądała tak, jakby za chwilę miała paść trupem ze zdziwienia.

- Ty jesteś Lorcan Furey? Ten wampirat? - wyjąkała. - I przyszedłeś do mnie?

Gość przytaknął, przesywając ją spojrzeniem błękitnych oczu.

- Ten sam - odparł. - Tyle że teraz nazywamy się nokturnami, aby odróżnić się i zdystansować od Sidorii i jego popleczników.

Cheng Li w odpowiedzi skinęła głową. Tak jak podczas ich pierwszego spotkania, nie potrafiła oderwać wzroku od młodego wampira. Zmienił się. Był jeszcze bardziej pociągający niż poprzednio.

- Proszę spocząć, poruczniku Furey. Co miał pan na myśli, mówiąc, że potrzebuje naszej pomocy?

- Powiniennem zacząć od tego, że przychodzę w imieniu nokturnów - pokojowo usposobionych wampiratów, jeśli wolicie - aby zaproponować wam przymierze. - Przymierze? - W umyśle Cheng Li mignęła bardzo przyjemna wizja sprzymierzania się z Lorcanem.

- Niech zgadnę - rzekła Cate. - Chcecie skopać Sidorii tyłek, ale sami nie dacie rady.

- Otóż to - odparł Lorcan z uśmiechem. - Liczyłem, że będą panie podzielały mój punkt widzenia.

Rozdział 29

Impreza piżamowa

O najciemniejszej godzinie nocy Grace Tempest ponownie jechała konno po plaży. Z każdą kolejną przejażdżką czuła się na końskim grzbiecie coraz pewniej. Dziś po raz pierwszy Johnny pozwolił Nieve przejść od galopu do cwału. Dziewczyna promieniała z dumy i podniecenia - wiedziała, że w ten sposób jej towarzysz okazał swoją wiarę w jej umiejętności jeździeckie. Takie naturalne było teraz dla niej zatapianie dłoni w śnieżnobiałej grzywie klaczy i opieranie się plecami o pierś Johnny'ego! Gdy Nieve puściła się pędem wzdłuż płynnej granicy między piaskiem a wodą, Grace z rosnącą ekscytacją zacieśniła chwyt. Czuła, że na twarzy osiadły jej krople słonej wody. Odwróciła się i ujrzała, że Johnny również jest mokry. Śmiał się, ukazując zęby tak białe jak grzywa Nieve. Te przejażdżki o północy stały się dla nich czymś wyjątkowym. Były ich wspólną tajemnicą, której nikt nie mógł poznać. Kiedy klacz znów przyspieszyła, Grace wpadła głębiej w objęcia Johnny'ego. Chwycił ją, potem pochylił głowę i pocałował dziewczynę w usta. Nie opierała się...

Grace obudziła się przestraszona, z walącym sercem, jakby naprawdę dopiero co powróciła z przejażdżki. Była zdumiona, kiedy zorientowała się, że jest sama w swojej kajucie na pokładzie Wagabundy. Przywykła już do małej sjesty po tiffinie. Krótka drzemka orzeźwiała ją i dawała energię na resztę nocy. Dziś jednak dziewczyna nie czuła się wypoczęta. Jej sen był taki realny. Czuła w powietrzu zapach morza, a na ustach smak warg Johnny'ego. Nie powinna była go całować, nawet we śnie.

Odetchnęła głęboko kilka razy, żeby uspokoić nerwy, i podjęła decyzję. Musi pomówić z Lorcanem. Nie pamiętała już, kiedy ostatnio rozmawiali tak naprawdę, od serca. Na pewno było to przed jej przybyciem na Wagabundę. Pozwoliła, żeby rozproszono jej uwagę - najpierw uczyniła to Lola, teraz Johnny. Grace zdała sobie sprawę, że zaabsorbowana tym, co się działo u wampiratów, zdołała przekonać samą siebie, iż kontakty z Lorcanem nie są aż tak ważne. Teraz,

stanąwszy twarzą w twarz z tą nieprzyjemną prawdą, poczuła wyrzuty sumienia. Niczego bardziej nie pragnęła, niż usłyszeć jego głos, ujrzeć jego twarz, znaleźć się w jego ramionach...

Zamknęła oczy i wyszeptała jego imię. Gdziekolwiek jest, usłyszysz jej wołanie. Tak jak ją nauczono, wyobraziła sobie drzwi kajuty Lorcana. Z każdą sekundą stawały się coraz bardziej wyraźne. Znów wypowiedziała jego imię. Brak odzewu. Spróbowała po raz trzeci. Cisza. Jeszcze bardziej skupiła się na wizji, aż wreszcie zobaczyła własną dłoń na klamce.

Otworzyła drzwi.

- Grace!

Głos nie należał do Lorcana, lecz do młodej kobiety. Dziewczyna zmarszczyła brwi.

- Grace! Pobudka!

Dopiero po chwili zrozumiała, że wołanie dobiega zza drzwi jej kajuty na Wagabundzie. Były uchylone, a do wnętrza zaglądała Mimma z rozbawioną miną.

- Wybacz, skarbie. Nie chciałam przerywać twojej drzemki.

- W porządku - odparła Grace. - Nie spałam.

- Nie? - Mimma bezceremonialnie weszła do środka. - Więc co robiłaś, siedząc na łóżku z zamkniętymi oczami? Medytowałaś?

Chociaż Grace lubiła tę wampiratkę i do pewnego stopnia nawet jej ufała, nie chciała zdradzać prawdy. Uniosła więc dłonie w geście rezygnacji.

- No dobra, przyłapałaś mnie - powiedziała. - Spałam.

Mimma zaśmiała się wesoło.

- Wiedziałam! - rzekła. - Nie masz szans przechytryć starej Mim. - Usiadła na łóżku i otworzyła torbę, z której zaczęła wyjmować różne rzeczy i układać je na kołdrze obok Grace. Dziewczyna patrzyła z zaciekawieniem na poczynania koleżanki. Tymczasem drzwi do kajuty znów się otworzyły i do środka weszły Jacqui i Nathalie. One również niosły torby. Ta, którą trzymała Jacqui, przypominała niewielką walizeczkę. Torba Nathalie była szersza i wykonana z wikliny.

- Cześć, Grace! - zaświergotały jednocześnie, zamykając za sobą drzwi.

- Cześć - rzuciła dziewczyna. - Wchodźcie! - dodała całkiem niepotrzebnie.

Wampiratki stanęły po obu stronach Mimmy i z aprobatą pokiwały głowami, obejrzawszy kosmetyki, które rozłożyła na kołdrze. Potem postawiły na łóżku własne torby i otworzyły je. Wewnątrz zalśniły jakieś ostre przedmioty. Grace nachyliła się, żeby zobaczyć, co to jest, ale nim

cokolwiek dostrzegła, Jacqueline przesłoniła jej widok. Co się dzieje? Z niepokojem poczuła, że Jacqui zatapia palce w jej włosach.

- Tak? - spytała wampiratka. - Czy tak?

- Tak! - odparła Nathalie.

- Zdecydowanie - poparła ją Mimma.

Grace zobaczyła, że Nathalie wyciąga ze swojej walizki jakąś skrzyneczkę i szklaną paterę. Puszczając do dziewczyny oko, wampiratka postawiła naczynia na stoliku obok krzesła.

- Uwielbiam imprezy piżamowe, a ty? – rzuciła i zaczęła układać na paterze małe ptysie z różowym lukrem.

- Impreza piżamowa? Chyba nigdy na czymś takim nie byłam.

- Żartujesz? - Jacqueline spojrzała na Grace zdziwiona. Dopiero wówczas dziewczyna dostrzegła w jej dłoni nożyczki.

- A to po co? - spytała, lekko zdenerwowana.

- Do ścięcia ci włosów - odparła wampiratka, trzymając nożyczki tak, jakby były śmiercionośną bronią. - Uznałyśmy, że nadeszła pora, by trochę zmienić twój wizerunek. Trzeba dodać mu wyrazistości.

Mimma przytaknęła.

- Jesteś piękna, Gracie, ale nawet naturalne piękno wymaga podkreślenia.

Nathalie z uśmiechem podała dziewczynie talerzyk i serwetkę.

- Zjedz ptysia. Są przepyszne. No i wiesz, co mówią - różowe kalorie się nie liczą!

Grace sięgnęła po smakołyk. Nawet nie położyła go na talerzyku, tylko od razu wrzuciła sobie do ust. Ciasteczko było pyszne i lekkie jak chmurka.

- Jeszcze jednego? - Nathalie podsunęła dziewczynie paterę. Na jej twarzy pojawił się uśmiech zadowolenia.

Kiedy Grace elegancko jadła drugiego ptysia, Jacqueline położyła jej na ramionach ręcznik, zwilżyła włosy i dokładnie je rozczesła.

- A teraz - oznajmiła Mimma, klękając u stóp Grace - pora podjąć bardzo ważną decyzję!

- Uniosła dwie buteleczki z lakierem do paznokci. - Który wolisz?

Grace była zaskoczona, że jej zdanie jest w ogóle brane pod uwagę. Wskazała buteleczkę w lewej dłoni Mimmy.

- Chyba ten ciemniejszy.

- Dobry wybór - odparła wampiratka, odrzucając drugą buteleczkę.

Grace poczęstowała się następnym ptysiem.

- A wy nie chcecie? - zapytała, kiedy zauważyła, że zjadła niemal połowę ciastek.

Widząc jej minę, Nathalie uśmiechnęła się uspokajająco.

- Nie martw się, Grace. Jest ich jeszcze mnóstwo. Nie krępuj się! Dziś cię rozpieszczamy.

- Właśnie - potwierdziła Mimma, przytrzymując stopę Grace nieruchomo i nakładając na paznokcie pierwszą warstwę lakieru. - A teraz opowiedz nam o sobie i Johnnym! - zażądała, puszczając do dziewczyny oko.

Grace w jednej chwili zrobiło się gorąco. Przed oczami stanęły jej obrazy z dzisiejszego snu.

- Rumienisz się! - zauważyła Nathalie z ekscytacją.

- Ależ oczywiście, że się rumieni - przytaknęła Jacqueline. - Lubi go. I któż mógłby ją za to winić. Johnny jest taki seksowny!

- Jesteśmy tylko przyjaciółmi - broniła się Grace.

Mimma skomentowała tę wypowiedź wymownym uniesieniem brwi.

- Lubi zabierać cię na przejażdżki - ciągnęła Jacqueline.

- Skąd o tym wiecie? - Grace poczuła zawód. - To miał być nasz sekret.

- Spokojnie - mruknęła Mimma. Czerwień lakieru na paznokciach Grace odbijała się w jej oczach. - On nam nic nie powiedział.

- Widziałyśmy was - wyjaśniła Nathalie. - Wyglądaliście, jakbyście się świetnie razem bawili. I z tego, co zauważyłam, niezła z ciebie amazonka.

Grace znów się zarumieniła, częściowo z powodu wspomnień, a częściowo pod wpływem komplementu.

- Nie powinnam rozmawiać z wami o Johnnym - powiedziała. - I nie powinnam odbywać z nim tych przejażdżek. Mam już chłopaka. Nazywa się...

- Grace, jesteśmy przyjaciółkami - przerwała jej Mimma. - Nikt nie będzie cię oceniał. Mam rację, dziewczęta?

Nathalie i Jacqueline przytaknęły.

- Trzeba przyznać, że z Johnnym jest niezłe ciacho - mówiła dalej Mimma. - Odkąd go poznałyśmy, wszystkie trzepoczemy przed nim rżęsami, ale wygląda na to, że on dostrzega tylko ciebie!

- Wiesz, że jeździł kiedyś na rodeo? - spytała Jacqueline. - Jest jak dziki ogier, Grace. Może tobie uda się go obłaskawić.

- To największy przystojniak w załodze Sidoria - dodała Nathalie. - Co do tego nie ma wątpliwości. Ma skórę jak karmel. I te oczy!

Podsunęła Grace kolejnego ptysia.

- No więc? - ponagliła ją.

Unosząc ciastko do ust, Grace zauważyła, że dziewczęta znieruchomiały: Mimma ze szczotką w dłoni, Nathalie z ręką na paterze. Nawet Jacqueline odłożyła nożyczki i usiadła obok koleżanek. Wszystkie trzy wpatrywały się w Grace oczami błyszczącymi z przejęcia. Oczekiwały odpowiedzi.

Grace przenosiła wzrok z jednego czarnego serca na drugie. - Skłamałabym, mówiąc, że nie jestem nim zainteresowana - przyznała wreszcie. - Ostatni akcent! - zawołała Mimma radośnie, sięgając do torby. - Perfumy! Zdjęła z flakonika szklany koreczek i musnęła nim Grace za uszami. Potem wylała jeszcze po kropli perfum na nadgarstki dziewczyny.

- Czyż nie są wspaniałe? Uważam, że pachną jak letnie popołudnie, chociaż dawno już go nie oglądałam!

Zapach rzeczywiście był przepiękny - stanowił delikatne połączenie aromatów pomarańczy i miodu.

Mimma zamknęła flakonik i robiąc krok w tył, oceniła ich wspólne dzieło.

- Śliczna jak z obrazka - zawyrokowała, podając Grace rękę. - Chodź i sama się przekonaj, panienko.

Grace tak długo siedziała w jednej pozycji, że kiedy prowadzono ją do lustra, stąpała niepewnie na zdętwiałych nogach.

Z początku była w szoku, jednak po chwili się uśmiechnęła. Dziewczęta świetnie się spisały. Jacqueline nie skróciła jej włosów za bardzo, ale wycieniowała, dzięki czemu fryzura nabrała elegancji. Teraz Grace wyglądała jak młoda kobieta - podobna do tych, które stały obok niej. Przesunęła palcami po włosach, podziwiając przy tym pomalowane paznokcie. A potem przyjrzała się swojej twarzy. Oczy wydawały się większe, a usta pełniejsze. Kości policzkowe były lepiej zaznaczone.

- Dziękuję - powiedziała drżącym z emocji głosem. - Dziękuję wam bardzo. Czuję się wspaniale.

- Poczekaj, aż Johnny cię zobaczy - powiedziała Jacqueline.

- Padnie trupem - przytaknęła Nathalie poważnym głosem.

Po chwili wszystkie się śmiały, nawet Grace, której na twarz buchnęły rumieńce.

- Mam pomysł - powiedziała nagle. Nachyliła się i szepnęła coś Mimmie do ucha.

- Hej, to nie w porządku! - zaprotestowała Jacqui.

- Żadnych sekretów!

Mimma zaśmiała się wesoło.

- Cicho, mała! Grace, to świetny pomysł. Jasne, że mogę to zrobić.

Sięgnęła po pędzle i wzięła się do pracy.

- O co cię poprosiła? - chciała wiedzieć Jacqueline.

Spełnienie prośby Grace nie zajęło Mimmie wiele czasu.

- Idealnie! - oświadczyła wreszcie.

Pozostałe wampiratki aż westchnęły. - Co się stało? - zaniepokoiła się dziewczyna. - Jesteś... Jesteś teraz jedną z nas! - wyjąkała Jacqui. - Pokażcie! - Grace była podekscytowana. Tak jak o to prosiła, wokół jej prawego oka widniał wizerunek czarnego serca. Oczywiście nie był to prawdziwy tatuaż - w każdym razie jeszcze nie. Ale znak wyglądał tak samo jak serca wampiratek. Nie było wątpliwości: pasował do Grace. Jej oko przypominało teraz jeszcze bardziej błyszczący szmaragd.

Dziewczyna westchnęła i z trudem oderwała wzrok od swojego odbicia.

- Dziękuję wam. Co teraz robimy? Zostało jeszcze trochę tych przepysznych ptysiów?

- Właściwie, skarbie, musimy już zniknąć - odparła Mima, ładując swoje rzeczy do torby i zamykając ją na suwak.

- Spójrzcie, jak późno! - powiedziała Jacqueline, zatraskując swoją walizeczkę. - Lola pewnie już na nas czeka.

- Oj, tak - przyświadczyła Nathalie, chowając pustą paterę. Ostatniego ptysia położyła na nocnym stoliku.

- Pójdę z wami - zaproponowała Grace.

- Och, nie - sprzeciwiła się Mimma. - Nie, skarbie. Możesz sobie mieć czarne serce, ale wątpię, czy jesteś gotowa z nami iść. - Ucałowała powietrze przy obu policzkach Grace i wymknęła się z kajuty równie bezgłośnie, jak się pojawiła.

Jacqueline pożegnała się z dziewczyną w taki sam sposób i po chwili już jej nie było.

Grace złapała Nathalie za nadgarstek.

- Powiedz mi, dokąd idziecie - zażądała.

Nathalie przez moment się zastanawiała, aż wreszcie odrzekła z lekkim uśmiechem:

- Na coś w rodzaju polowania. - Musnęła ustami policzek Grace na do widzenia i wyszła, zamykając za sobą drzwi.

Dziewczyna boleśnie odczuła ciszę, która zapadła w jej kajucie. Zaledwie przed chwilą rozbrzmiewały tu rozmowy i śmiechy... Jeszcze raz podeszła do lustra i spojrzała na swoje odbicie. Dlaczego ją tak zostawiły? Miała już czarne serce, była gotowa, by iść z nimi na polowanie - cokolwiek to oznaczało.

Założyła ręce na piersi i odwróciła się, rozważając całą sytuację. Spojrzawszy na szlafrok przerzucony przez oparcie krzesła, przypomniała sobie, że zamierzała skontaktować się z Lorcanem. Ale wtedy pojawiły się dziewczęta i urządziły tę spontaniczną pizamową imprezę... „Mogłabym spróbować jeszcze raz” - pomyślała. Siadając na krześle, zrozumiała jednak, że to nie z Lorcanem chce rozmawiać. Pomyślała o innym wampiracie i na jej ustach pojawił się pełen rozmarzenia uśmiech. Johnny.

Lola śmiała się z zachwytu, gdy Mimma zdawała jej raport z pizamowej imprezy.

- To łatwiejsze, niż przewidywałam - oznajmiła.

- Moje drogie, Grace chce być jedną z nas. Pragnie tego każdą komórką swego ciała. Mimma wzruszyła ramionami, ale z wdzięcznością przyjęła zaproponowany jej przez panią kapitan kieliszek krwi.

- Nie tylko tego pragnie. Pewien były gwiazdor rodeo całkiem zawrócił jej w główce. Lola promieniała z radości.

- Naprawdę? Cóż, wygląda na to, że nasz kowboj dotrzymał swojej części umowy. - Upiła łyk ze swojego kieliszka. - A powiedz mi, jak jej smakują specjały Nathalie?

Tym razem Mimma się uśmiechnęła.

- Grace nigdy nie ma ich dość. Apetyt jej dopisuje, nie powiem.

- Tak - oświadczyła pani kapitan zdecydowanym tonem. - Sądzę, że mamy Grace w garści. - Spojrzała na podwładną. - Od tej pory przez kilka następnych nocy nie podawajcie jej krwi. Zrozumiano?

- Tak jest, pani kapitan.

- Koniec z krwią - powtórzyła Lola z przebiegłym uśmiechem. - Mała Grace odczuje taki głód, że nie będzie wiedziała, co się dzieje.

Rozdział 30

Atak

- To mi się nie podoba - oświadczyła Trofie Wrathe, krążąc nerwowo po kapitańskiej kajucie w czymś, co wyglądało na srebrny kostium kota, a w rzeczywistości było lekką, wykonaną na zamówienie zbroją.

- Wiem, moja droga - odparł Barbarro. - Ale dostaliśmy wyraźne instrukcje i mamy być w pogotowiu. Jesteśmy w niebezpieczeństwie. Kolejnym celem wampiratów jest statek nasz lub mojego brata, ale nie dowiemy się który, dopóki nie zaatakują.

Trofie westchnęła.

- Mieliśmy już do czynienia z tą okropną Lockwood. Po co się chować? Jeśli ona lub jej popiecznicy będą mieli czelność znów wejść na pokład Tyfona, to chcę być pierwszą osobą, która ich dopadnie. - To mówiąc, przebiegła palcami złotej dłoni po swoim nowym srebrnym mieczu. Dostała go niedawno od Federacji.

- Kapitan Li jest autorytetem w kwestiach wampirackich - przypomniał małżonce Barbarro. - Ona i jej zespół opracowali sposoby walki z tymi kreaturami. Jeśli Li i jej załoga nie wiedzą czegoś o wampiratach, to znaczy, że zwyczajnie jest to niewarte zapamiętania. - Pokręcił głową. - Szczerze mówiąc, moja droga, czuję się z tym wszystkim równie nieswojo jak ty. Nie należę przecież do tych, którzy chowają się pod pokładem i czekają, aż ktoś ich zaatakuje. Ale to nowy rodzaj wroga i jestem gotów posłuchać ludzi, którzy mają więcej doświadczenia od nas.

Trofie wysunęła ku mężowi złotą dłoń. Rubinowe paznokcie zalśniły w delikatnym blasku świateł.

- Czy mam ci przypomnieć, mój drogi, że i ja mam osobiste doświadczenia z tymi ohydnyimi monstrami?

Barbarro pokręcił głową.

- Nie, min eskling, nie musisz mi o tym przypominać. Za każdym razem, gdy pomyślę, co ta harpia ci zrobiła, przechodzą mnie dreszcze. - Przyciągnął żonę do piersi, objął ją i pocałował w gładkie niczym porcelana czoło.

Srogą minę Trofie zastąpił uśmiech.

- Nigdy wcześniej nie nazywałeś mnie min eskling - powiedziała. - Podoba mi się to. W tej chwili usłyszeli nad sobą potężne uderzenie. Kapitan i jego pierwszy oficer zamarli. Chwilę później powietrze wypełniła kakofonia dźwięków: krzyki, łomotanie, a nawet wystrzały z armat.

Trofie uwolniła się z mężowskiego uścisku i ponownie sięgnęła po srebrny miecz. Jednym ruchem wysunęła go z pochwy.

- A więc - stwierdziła - wygląda na to, że wampiraci dokonali wyboru.

- Tak - odparł Barbarro głosem mocnym niczym dzwon. - Musimy więc bronić nie tylko naszego statku, lecz także naszego stylu życia. I pomścimy śmierć mojego brata.

- Zrobmy to - przytaknęła Trofie. - Zniszczmy morderców Porfiria, i to bez zwłoki!

Otworzyli drzwi kajuty i z prędkością, o którą nie podejrzewa się już osób w ich wieku, ramię w ramię ruszyli do walki.

Tej piątkowej nocy przez tawernę Mamy Kettle przewinęły się tłumy, uprzednio przeszukane przez stanowczego, ale nad wyraz ujmującego Gnata.

- Życzę udanego wieczoru! - wołał za nowo przybyłymi, wrzucając ich miecze do ponumerowanych skrzyń depozytowych.

Mama Kettle stała pośrodku głównej sali i przyglądała się zebranim. Czuła się jak wewnątrz karuzeli. Wszystko wokół niej było w ciągłym ruchu, głośnie i iskrzące się feerią barw. Pracujący w jej tawernie dziewczęta i chłopcy roznoszący napitki wiecznie spragnionym klientom poruszali się z gracją tancerzy. Mówiono, że świat piractwa się zmienia, ale ta kobieta wiedziała jedno: niezależnie od tego, jakie nowe zagrożenia będą czyhały na piratów, oni będą potrzebowali lokalu, w którym przyjmie się ich z otwartymi ramionami, a piwo pozostanie w rozsądnych cenach.

Przemyslenia Mamy przerwało nadejście jej zaufanej pracownicy, Ciasteczka. Dziewczyna trzymała oburącz nieprawdopodobną liczbę pustych kufli.

- Duży dziś ruch - zauważyła Mama. - Jak się miewa mój ulubiony personel?

- Trzymamy się dobrze - odparła Ciasteczko, która, podobnie jak jej szefowa, potrafiła zachować zimną krew niezależnie od okoliczności. - Po tych przykrych wydarzeniach wszyscy są pewnie zadowoleni, widząc tylu klientów.

Mama Kettle przytaknęła.

- Jak za dawnych dobrych czasów - oznajmiła z cieniem smutku w oczach.

Ciasteczko wychwyciła subtelną zmianę nastroju pracodawczyni.

- Wszystko w porządku, Mamo? - spytała.

- Tak, tak! - odparła Matylda Kettle charakterystycznym dla niej stanowczym tonem. - Tak, moja droga, wszystko w porządku. Po prostu w takie noce jak dzisiejsza chwytą mnie nostalgia. Stara już jestem. Poczekaj, aż będziesz w moim wieku...

- Nie jesteś stara! - oburzyła się Ciasteczko.

Mama zaczęła się śmiać.

- Skoro nie jestem stara, to jestem martwa. Kręcę się po tej przeklętej tawernie od ponad pół wieku!

- Uśmiechnęła się czule do swojej ulubionej kelnerki. - Kochanie, jesteś bardzo młoda. Patrzymy na życie z jego przeciwnych stron. Ty widzisz to, co masz jeszcze przed sobą, a przyszłość wydaje ci się ekscytująca. Mnie pozostało tylko spoglądanie wstecz.

- Umilkła na chwilę i ponownie rozejrzała się po tętniącym życiem lokalu. - W noce jak ta przyglądam się twarzom naszych gości. Wszyscy wydają się tacy młodzi. Wszyscy oprócz mnie. Może robię się na to za stara? Może nadeszła pora, żeby zebrać owoce swojej pracy i kupić domek w jakimś odległym, skąpanym w słońcu miejscu?

Ciasteczko pokręciła głową i odstawivszy puste kufle na kontuar, objęła Mamę Kettle.

- Potrzebujesz urlopu. Czy ty w ogóle pamiętasz, kiedy ostatnio leniuchowałeś, leżąc brzuchem do góry? Nie? Tak właśnie myślałam.

- Nic mi nie będzie - odparła Mama. - Spójrz. Czy to aby nie Diabło się zbliża? - Uśmiechnęła się. - Lucky zaraz tu będzie. On podniesie mnie na duchu.

- O, tak! - zawołała Ciasteczko. - Molucco zawsze poprawia ci humor. Biegnij poprawić makijaż, a ja wstawię butelkę jego ulubionego ostrygowego szampana do kubelka z lodem i zaniosę do pokoju dla VIP-ów. Co ty na to?

- Dobrze - odparła rozradowana Mama. Ciasteczko patrzyła, jak szefowa pospiesznie się oddala, by przypudrować nos przed spotkaniem z Molukkiem. Właścicielka tawerny

rzeczywiście nie była już młodką, ale gdy mówiła o kapitanie Diabla, jej pokryta zmarszczkami, mocno umalowana twarz promieniała. „Szkoda - pomyślała Ciasteczko - że Molucco nigdy nie uczynił z Mamy pani Wrathę”. Dziewczyna uśmiechnęła się pod nosem. Może jeszcze nie było na to za późno.

- Promyk! - zawołali Barbarro i Trofie jednocześnie.

Dotarli na główny pokład Tyfona, oczekując konfrontacji z pierwszą falą napastników. Zamiast tego dostrzegli własną załogę otaczającą ich nastoletniego syna, który był tą sytuacją wyraźnie zirytowany.

- Co się dzieje? - huknął na niego Barbarro. - Co tu robisz? Miałeś dziś w nocy pozostać w swojej kajucie! Czy do ciebie w ogóle dociera, w jak wielkim jesteśmy niebezpieczeństwie?!

Promyk z nonszalancką miną przeczesał włosy palcami. Ten gest nie wyszedł mu tak, jak zamierzał - czupryna chłopaka posklejana była różnymi środkami do układania fryzury.

- Właściwie to nie twoja sprawa, tatuśku, ale jak chcesz wiedzieć, to byłem na randce.

- Na randce? - Barbarro nie wierzył własnym uszom. Jego twarz nabrała koloru przejrzałej śliwki. - Jesteśmy w niebezpieczeństwie! Grozi nam atak wampiratów, a ty wymykasz się na randkę?!

Trofie nie potrafiła powstrzymać uśmiechu.

- Co to za szczęściara? Znamy ją?

- Obawiam się, mamo, że to tajna informacja. - Promyk złożył ramiona na piersi. - A to, że możemy, lub też nie, zostać zaatakowani przez jakies pozujące na gotów demony, nie oznacza, że mam sobie zrujnować życie towarzyskie. - Chłopak spojrzał na ojca. - Tatku, mógłbyś kazać tym bykom mnie zostawić?

- Ech... Tak. - Kapitan westchnął zrezygnowany. - Załoga, spocznij!

- Przepraszamy, kapitanie. - Dowódca wachty podszedł do Barbarra. - Ale mieliśmy wyraźne rozkazy, by strzelać z działa i rozpocząć akcje defensywne, gdy tylko ktoś wejdzie na pokład. - Pokręcił głową. - Proszę mi uwierzyć, nie mieliśmy pojęcia, że to młody panicz Promyk.

Barbarro skinął głową i ścisnął swego porucznika za ramię.

- Wierzę. Nie masz sobie nic do zarzucenia. Działałeś zgodnie z rozkazami. Wygląda na to, że po raz kolejny to ja muszę przeprosić za niezrozumiałe zachowanie mojego syna. - Popatrzył na Promyka z ledwo skrywaną furią. - Zapewniam, że zostanie za to surowo ukarany.

- Och, tatusiu, błagam, nie zabieraj mi kluczyków!

- Chłopak przewrócił oczami. - Jakby moje życie mogło być jeszcze gorsze!

- Marsz do swojej kajuty! - rzucił Barbarro z taką groźbą w głosie, że po raz pierwszy Promyk bez słowa wykonał polecenie ojca i posłusznie zniknął pod pokładem. Matka spojrzała za nim, a w jej myślach przewijał się katalog młodych pirackich córek, które byłyby godne jej jedyne go syna i dziedzica.

Barbarro, klaszcząc w dłonie, ściągnął na siebie uwagę załogi.

- Dobra robota! - zawołał. - Potraktujmy ten nieszczęsny incydent jako próbę generalną. Zrobiliście dokładnie to, co wam kazano. Niebezpieczeństwo jeszcze nie minęło, więc przeładujcie działa i zajmijcie pozycje. Noc jest jeszcze młoda.

- Aj, aj, kapitanie! Pirackie zawołanie poniosło się echem po pokładzie. Załoga Tyfona sprawnie powróciła na swoje miejsca.

- Chodź, Trofie - powiedział Barbarro. - Musimy wrócić pod pokład.

- Tak. - Pani Wrathe kroczyła żwawo u boku męża. Przez chwilę była rozkojarzona i myślała o sukni, którą włoży na pirackie wesele Promyka. Szybko jednak wzięła się w garść i skupiła na bieżących wydarzeniach. Jak zawsze, Trofie Wrathe pokaże, że potrafi ustalać priorytety. Najpierw zgładzi każdego krwio pijęcę, który odważy się stanąć jej na drodze. Dopiero potem skontaktuje się z osobistą stylistką.

Ciasteczko zauważyła, że VIP-owski pokój przyszykowany dla Molucca jest nadal pusty. Postanowiła dorzucić lodu do wiaderka - kiedy kapitan przybędzie spóźniony i na pewno spragniony, szampan powinien być odpowiednio schłodzony. Gdy prześlizgiwała się pod aksamitnym sznurem, usłyszała za sobą:

- Jeszcze go nie ma?

Ciasteczko ujrzała Mamę Kettle. Mocno umalowana twarz właścicielki tawerny wyrażała niepokój.

- Wkrótce się pojawi - pocieszyła ją dziewczyna, sięgając po wiaderko. - Jestem pewna. Idę właśnie po świeży lód.

Beztronski ton Ciasteczka nie uspokoił jednak Mamy Kettle.

- Zapewne uznasz mnie za głupią starą histeryczkę - powiedziała ponuro - ale mam przecucie, że coś jest nie w porządku. On mnie potrzebuje.

- Molucco? - Dziewczyna przyjrzała się szefowej.

- Czemu tak uważasz?

Mama wzruszyła ramionami.

- On zawsze był nieokiełznanym dzikusiem, moja droga. A takie osoby potrzebują w swoim otoczeniu spokojnych, statecznych ludzi, którzy będą ich bronić przed własnymi szalonymi instynktami. Molucco miał dawniej takich ludzi: Cate Morgan, Bartholomew Pearce'a, Jeza Stukeleya - niech spoczywa w pokoju - i młodego Connora Tempesta. Nawet Cheng Li miała na niego dobry wpływ, chociaż Lucky raczej by mi za te słowa nie podziękował. Ale teraz, w taki czy inny sposób, wszyscy oni znikli, a ja się obawiam, że Molucco utracił równowagę, której tak bardzo potrzebuje.

Gdy to mówiła, podszedł do nich młodzieńki pirat.

- Niechcący usłyszałem... - zaczął. - Mówicie o kapitanie?

- To prywatna rozmowa - rzuciła Mama, ale widząc, jak dzieciak się rumieni, spuściła z tonu. - Owszem. Tak się składa, że rozmawialiśmy o Moluccu. A co ci do tego?

- Jestem w jego załodze - odpowiedział chłopak, kłaniając się w pas. - Kane Eden Charles... Trzeci.

Mama pokręciła głową.

- Tak mi się wydawało, że wyglądasz znajomo. Pamiętam twoich ojca i dziadka. - Zamyśliła się na chwilę.

Ciasteczko skorzystała z okazji i zagadnęła chłopca:

- Zastanawialiśmy się właśnie, czy kapitan Wrath dołączy do nas dziś wieczorem.

Kane Eden Charles Trzeci skinął głową i uśmiechnął się.

- Z pewnością, ale nieprędko. Udało nam się dzisiaj pozyskać wspaniałe skarby i kapitan siedzi w swojej kajucie, licząc zyski.

- No i proszę! - Ciasteczko uniosła ramiona z wyraźną ulgą. - Słyszałaś, Mamo Kettle? Król piratów siedzi w komnacie i podziwia swoje łupy!

Chłopak palnął się nagle otwartą dłonią prosto w czoło.

- Pani jest Mama Kettle... Ta Mama Kettle! Tak wiele o pani słyszałem od ojca i od dziadka. I od innych. Jest pani piracką legendą!

- Dziękuję, skarbie - odparła kobieta. - Czułam się już wystarczająco staro, zanim otworzyłeś usta. Teraz czuję się jak chodząca mumia.

- Nie chciałem pani obrazić! - odparł młodzieńki pirat, ponownie się rumieniąc.

- Wcale nie obraziłeś - odparła Ciasteczko, odciągając szefową na bok. - Słuchaj, Mamo, Molucco spędzi w swojej kajucie trochę czasu, więc może weź butelkę czegoś z bąbelkami i dotrzyмай mu towarzystwa.

Mama rozważała przez chwilę tę propozycję, po czym pokręciła głową.

- Nie - odparła. - Nie chciałby, żeby mu przeszkadzano. Znam go, i to lepiej niż ktokolwiek inny. Poczekam na niego tutaj.

Ciasteczko spojrzała na nią.

- W takim razie idź odpocząć. Ja poradzę sobie z klientami. Gdy tylko kapitan się pojawi, natychmiast cię zawiadomię.

Mama Kettle miała ochotę zaprotestować, ale zamiast tego skinęła głową z wdzięcznością.

- Dobrze z ciebie dziecko - powiedziała, z czułością odgarniając pukiel lśniących blond włosów Ciasteczka i zakładając je dziewczynie za ucho. - Jesteś dla mnie jak córka, której nigdy nie miałam, a o której zawsze marzyłam. - W jej oczach pojawiły się łzy.

- O rany! Pobeczalam się! Co, na Neptuna, dzisiaj we mnie wstąpiło?

- Jesteś zmęczona i zdenerwowana - odparła Ciasteczko. - Idź odpocząć w swoim pokoju. Nawet jeśli poleżysz tylko dwadzieścia minut, od razu poczujesz się jak nowo narodzona. Zaparzę orzeźwiającej herbatki z wodorostów i zaraz ci ją przyniosę.

Mama uśmiechnęła się do swoich wspomnień.

- Krótka disco-drzemka. Tak to nazywaliśmy. Może faktycznie tylko tego mi trzeba. - Odwróciła się i spojrzała błagalnie na Ciasteczko. - Zawiadomisz mnie, gdy tylko pojawi się Lucky?

- W tej samej chwili, w której przekroczy próg tawerny - odparła dziewczyna. - Obiecuję.

W rzeczywistości Molucco wcale nie był sam w swojej kajucie na pokładzie Diabła. Naprzeciwko kapitana, na stercie jedwabnych poduszek ułożonych na krześle, leżał jego nieodstępny towarzysz, wąż Scrimshaw. Razem oglądali klejnoty złupione podczas wyprawy.

- Naciesz oczy, Scrimshaw - powiedział Molucco. - Czy kiedykolwiek widziałeś takie cacuszka?

- W jednym oku kapitana znajdowała się jubilerska lupa, przez którą oglądał kamienie. Podniósł kolejny z nich, szafir, i obejrzał dokładnie. Gwałtownie zaczerpnął tchu. - Po tylu latach! - zawołał. - Znalazłem go. Idealny szafir!

Tuląc kamień w dłoni, Molucco odłożył lupę. Po jego twarzy spłynęły łzy radości.

- Och, Scrimshaw! Doprawdy, jestem dziś szczęśliwy. Idealny szafir, bez żadnej skazy! Kto by w to uwierzył? Sam już zaczynałem wątpić w jego istnienie. - Wysunął rękę, by wąż mógł przyrzec się kamieniowi. Gad zsunął się z poduszek i wpełzł na stół, by lepiej widzieć.

- Dobry Scrim - rzekł kapitan, głaszcząc delikatnie ulubieńca. - Przez ostatnie lata byłeś moim najwierniejszym kompanem. Ile to już będzie? - Zadumał się przez moment. - Ależ to już blisko dwadzieścia lat mija, odkąd ja i Barbarro znaleźliśmy ciebie i Skirmisha! Dwadzieścia lat! To dłużej, niż żyje wielu piratów. Musimy to uczcić! - Molucco uśmiechnął się do węża, który skręcał się i owijał wokół zgromadzonych klejnotów.

- Miałem wielu kamratów - ciągnął kapitan. - Zbyt wielu pojawiało się i znikało, wykorzystywało mnie, a nawet zdradzało. - Upił łyk rumu. - Gdy przychodzi co do czego, mój drogi, są tylko dwie rzeczy, na które mogę liczyć... Moje szafiry i ty! - Wąż spojrział na Molucca, jakby zrozumiał jego słowa. - Za ciebie! - Kapitan po raz kolejny uniósł kielich.

- Och, cóż za rozczulająca scenka!

Molucco był zaskoczony, słysząc w kajucie obcy głos. Niespokojnie obserwował, jak trzy postacie wyłaniają się z mroku i okrążają stół - młody mężczyzna i dwie atrakcyjne dziewczyny. Chłopak wyglądał nedorzecznie w kowbojskim kapeluszu. Kobiety miały na sobie długie, spięte lśniącymi broszkami peleryny. Wzrok Molucca natychmiast padł na klejnoty. Potem pirat spojrział w górę i dostrzegł tatuaże w kształcie serca.

- A więc i do mnie wpadliście z wizytą - stwierdził kapitan. - Najpierw zabijacie mojego drogiego brata Porfiria, potem uciekacie z dłonią mojej szwagierki, a teraz, jak widzę, przyszedł czas na mnie.

- Znakomita ocena sytuacji - odparł mężczyzna w kapeluszu. Jego towarzyszki uśmiechnęły się złośliwie.

- Mówili mi, że mam się spodziewać waszej wizyty - oznajmił Molucco spokojnym tonem. - O, tak. Mieli wiele pomysłów, jak ja i moja załoga powinniśmy się bronić.

Kowboj znieruchomiał.

- Wiedziałaś, że przyjdziemy?

Kapitan uśmiechnął się i ponownie zwrócił do Scrimshawa:

- Widzisz, tego się nie spodziewali. Sądzą, że mają odpowiedzi na wszystkie pytania, ale są w błędzie.

Mężczyzna zdjął kapelusz.

- Proszę mi wybaczyć złe maniery. Nazywam się Johnny Desperado, a te damy to Nathalie i Jacqueline. Jesteśmy, jak to mówią, wampirami.

- Tak, tak. Wiem, czym jesteście. - Molucco spojrział na Johnny'ego i prychnął śmiechem.

- Wampiraci, co? Ty mi bardziej wyglądasz na kowboja.

Johnny wzruszył ramionami.

- Jestem wszechstronny.

Kobiety patrzyły na węża.

- Jest piękny - oznajmiła Jacqueline, wyciągając nagie ramię spod peleryny. - Chodź, mały, przywitaj się. - Scrimshaw owinął się wokół jej sztywno wyprostowanej ręki. - Zupełnie jak żywa biżuteria.

- Łapy precz od mojego węża, kobieto - burknął Wrathe z wyraźną irytacją.

Jacqueline uśmiechnęła się zalotnie.

- To on owinął mi się wokół ręki, sir. Nie odwrotnie. Wygląda na to, że mnie polubił. Molucco zmarszczył brwi.

- Cóż, wpadliście się przywitać, ale pora, byście już sobie poszli. Nie jestem w nastroju do zabawy.

- To żaden problem - odparł Johnny. - Nie zabierzemy ci wiele czasu. Prawda, drogie panie? - zwrócił się do towarzyszek. Obie uśmiechnęły się, ukazując długie kły.

Molucco spojrział na kowboja. - Co wy tu w ogóle robicie? Diabło to prywatny statek. Jak ominęliście strażę? Wampirat wzruszył ramionami. - Zabiliśmy twoich ludzi - rzucił nonszalancko. - Och, ale powinieneś wiedzieć, że dzielnie walczyli.

- Zabiliście ich? - Kapitan pokręcił głową. - Dlaczego? Nie rozumiem.

- To proste. Przyszliśmy po ten statek.

- Nie dostaniecie go! - krzyknął Molucco z oburzeniem. - Odejdźcie! To mój statek. Zawsze był mój i na zawsze nim pozostanie!

Johnny uśmiechnął się z pobłażaniem i pokręcił głową.

- Nie słyszałeś? Czasy się zmieniają, dziadku. Rozbudowujemy naszą flotę. - Stał w większym rozkroku. - Moim zadaniem jest przejąć dzisiaj kontrolę nad tym okrętem.

Rozzłoszczony Molucco wstał z takim impetem, że krzesło, na którym siedział, poleciało do tyłu. Stał teraz twarzą w twarz z Johnnym.

- Jeśli chcesz tego statku, będziesz musiał mnie najpierw zabić.

Przez chwilę mężczyźni spoglądali sobie w oczy. Wzrok kapitana był pełen furii, a w oczach Johnny'ego płonął ogień. Wampirat pokręcił głową.

- Z rozkoszą bym cię zabił - powiedział. - Ale jestem dżentelmenem, a obiecałem cię już tym dwóm uroczym damom. - Skinął na towarzyszek, które zbliżyły się do Molucca z obu stron.

- Mam się zaopiekować wężem? - zapytał Johnny Jacqueline.

- O, tak. Dobry pomysł. - Wampiratka podała mu Scrimshawa.

- Nie! - zaprotestował kapitan Wrathe. - Róbcie ze mną, co tylko chcecie, ale jemu nie może spaść z grzbietu ani jedna łuska!

Słowa Molucca nie miały już znaczenia. Stał zamknięty w żelaznym uścisku dwóch demonów.

Johnny tulił Scrimshawa w ramionach.

- Lepiej odwróć teraz wzrok, mały koleżko - powiedział.

Rozdział 31

Poranek po ataku

Mama Kettle otworzyła oczy i przez chwilę starała się zorientować, gdzie jest. Leżała na swoim łóżku, nadal odziana w najlepszą krynolinę. Przez szparę w starych zasłonach wpadało do pokoju szarawe światło budzącego się dnia. Czuła się otumaniona. Czy to już naprawdę poranek? Sięgnęła ku starej beczce po whisky, służącej jej za nocny stolik, i chwyciła okulary, które rzadko wkładała poza swoją sypialnią. Leżały przy imbryczku z zimną już herbatą. Jak przez mgłę Mama przypomniała sobie, że Ciasteczko obiecała zaparzyć jej orzeźwiającą herbatkę. Napój stał nietknięty od chwili, gdy go przyniesiono.

Spojrzała przez okulary na zawieszony na ścianie zegar z wahadłem w kształcie kotwicy. Już kwadrans po siódmej! No nie! Położyła się na krótką drzemkę, a przespała całą noc. Zmarszczyła brwi. To do niej niepodobne. Może coś jej dolegało? „A jakże - pomyślała ponuro Mama. - Wiek”.

Spuszczenie oplątanych licznymi warstwami tkaniny nóg na podłogę było nie lada wyzwaniem. Wreszcie Mama stanęła prosto i złapała oddech. Zaczęły do niej wracać wspomnienia poprzedniej nocy. Tawerna pełna klientów. Rozmowa z Ciasteczkiem i ten młody pirat - smarkacz, który pewnie dopiero co zaczął się golić. Jakże on się nazywał...? Ach, czy to ma jakieś znaczenie? Najważniejsze, co zapamiętała, to oczekiwanie na Molucca. Czekala i czekała.

„Nie przyszedł” - pomyślała teraz, kręcąc głową. A może jednak? Może, gdy ona spała, kapitan zjawił się w tawernie i poczęstował ją butelką ostrygowego szampana, którą dla niego zamroziły? Tak, zapewne tak właśnie było.

Mama odsunęła zasłony. Światło poranka było słabe, ale na tyle jaskrawe, by musiała zmrużyć oczy. Na zewnątrz mżyło. Kobieta lekko uchyliła okno, by przewietrzyć pokój. Gnębiło ją jakieś straszne przeczucie. Gdyby Lucky przyszedł do tawerny, to z pewnością by się z nią

przywitał. Bywał już w jej pokoju, a Ciasteczko przecież by go wpuściła. Matyldę Kettle zalała fala paniki.

Rzuciła okiem na swoje odbicie w starym zwierciadle i nie zwracając sobie głowy wkładaniem butów, wyszła z sypialni. Jak zawsze o tej porze, w lokalu było cicho jak na cmentarzu. Młodzi pracownicy Mamy nie tak dawno temu padli wycieńczeni na swoje materace, więc teraz z pewnością mocno już spali. Regenerowali siły przed kolejną nocą pełną zgiełku i chaosu.

Mama lubiła rankami przechadzać się samotnie po pustej tawernie. Przeciskała się pomiędzy krzesłami i stolikami, wokół których nadal dawało się wyczuć wesołą atmosferę tej i wielu poprzednich nocy. Radosne wspomnienia Matyldy Kettle sięgały wiele lat wstecz, do dnia, w którym zamontowała na klifach neon i po raz pierwszy powitała w swoich progach członków załóg pirackich z różnych części świata. Wydawało się, że było to tak niedawno, a przecież minęły już całe dekady.

Tego ranka, krocząc w samych pończochach po brudnej podłodze, patrząc na puste krzesła i niedopite piwo, nie była w dobrym nastroju. Poczucie pustki zawładnęła jej sercem. Myślała o tych wszystkich piratach, których znała, a których już nie było - pili, tańczyli, śmiali się, a potem szli na bitwę, walczyli, ginęli i trafiali do skrzyni Davy'ego Jonesa.

- Roztkliwiam się - zganiła samą siebie. - Muszę wziąć się w garść, zanim dzieciaki wstaną!

Uśmiechnęła się lekko, mijając dyskotekową kulę z czaszką i piszczelami, wiszącą nad parkietem. Podeszła do drzwi prowadzących na taras i otworzyła je. Drobne krople deszczu spadały na jej twarz i wsiąkały w pończochy, ale nie przejmowała się tym. W deszczu było coś ciepłego. Mama czuła, jak powoli wraca do życia.

Wyszła na deski tarasu, cicho zamykając za sobą drzwi. Na horyzoncie dostrzegła zbliżającą się piracką jednostkę i uśmiechnęła się do siebie. Zaczynał się nowy dzień. Koniec końców, to było wszystko, na co człowiek mógł mieć nadzieję i za co należało być wdzięcznym - kolejny dzień na tym zwariowanym świecie.

Dopiero teraz Mama Kettle spostrzegła, że nie jest sama. Ktoś siedział przy stoliku w odległym końcu tarasu i również spoglądał na ocean. Wszędzie rozpoznaby tę sylwetkę! Serce Mamy zabiło mocniej. Molucco Wrathe. Dostrzegłaby go z odległości dwóch kilometrów, i to bez okularów - istniała między nimi silna więź. Więc jednak pojawił się w tawernie! Ale czemu

siedział tutaj w deszczu? Czemu do niej nie przyszedł? Ruszyła energicznie do stolika, zdecydowana w razie potrzeby wycisnąć z niego odpowiedzi.

Szybko zrozumiała, że coś jest nie tak. Nie miała wątpliwości, że to Molucco - tych tęczywanych dredów nie sposób było pomylić z czymkolwiek innym, tak jak i błękitnego trójgraniastego kapelusza. Ale siedział całkiem nieruchomo, zbyt nieruchomo nawet jak na sen. Poza tym nikt nie śpi w pozycji siedzącej, na dodatek wyprostowany.

Serce podeszło Mamie do gardła, jednak przyspieszyła kroku. Pończocha zahaczyła o deskę i kobieta poczuła, jak drzazga wbija jej się w stopę. Mimo wszystko szła dalej w stronę Molucca.

Bała się spojrzeć, ale wiedziała, że musi. Stojąc przed stolikiem, chłonęła najbardziej przerażający widok w swoim życiu. Nieważne, jak długo żyła i jak długo jeszcze pożyje - już nic nigdy nie zrobi na niej tak wielkiego wrażenia. Przed nią siedział jej drogi Lucky - kapitan Molucco Wrathe - pozbawiony krwi aż do ostatniej kropli. Okrągłe niebieskie szkła jego okularów spoczywały na zmumifikowanym nosie.

- Och, Lucky! - krzyknęła Mama Kettle, w pełni świadoma, jak niestosownie brzmi teraz jego przydomek.

Stary Szczęściarz, legenda piractwa i miłość jej życia - odszedł. Zawsze miała nadzieję, że dożyją gdzieś razem późnej starości. Teraz rzeczywistość zmiażdżyła jej marzenia. Molucco nie będzie już starszy ani o jeden dzień. Ta świadomość była dla Mamy Kettle nie do zniesienia.

- Mój Lucky! - jęknęła. - Jak mogłeś odejść i zostawić mnie samą?! - Nigdy nie czuła się bardziej samotna.

W tym momencie dostrzegła na ramieniu kapitana jakiś ruch. Jego włosy zafalowały, jakby powiewając na wietrze. Ale nie poruszyła ich morską bryza, lecz ukochany wąż Molucca. Mama Kettle dostrzegła w ciemnych oczach gada taki sam ból, jaki przepelniał jej serce.

- Och, Scrimshaw! - zawołała. - Mój biedny, drogi Scrimshaw! Byłeś ze swoim panem do samego końca.

Wąż popatrzył smutno na Mamę Kettle, a potem odwrócił się i ponownie schował w gęstwinie kolorowych dredów Molucca Wrathe'a.

W kapitańskiej kajucie na pokładzie Krwawego Kapitana świętowano jeszcze długo po nastaniu dnia - oczywiście pod pokładem. Sidorio i jego dwaj porucznicy leżeli otoczeni licznymi pustymi butelkami, które opróżnili w trakcie zabawy.

- Wiecie, co mi wtedy powiedział? - bełkotał Johnny. - Powiem wam, co powiedział... Stukeley wpadł przyjacielowi w słowo.

- Nie, ja wam powiem. Oświadczył: „Jeśli chcesz tego statku, będziesz musiał mnie najpierw zabić”.

Johnny wycelował w niego palec.

- Taaak! - zawołał zaskoczony. - Dokładnie tak! Skąd wiedziałeś?

Stukeley pokręcił głową z uśmiechem.

- Stąd, że opowiadasz nam tę historię już dwudziesty szósty raz.

Johnny wzruszył ramionami, sięgnął po otwartą butelkę i wypił spory łyk. - Bo warto ją opowiadać! Sidorio uśmiechnął się do swoich zastępców. - Dobrze się dzisiaj spisałeś, Stetson - pochwalił go. - Tak jak i ty, Stukeley, podczas przejmowania Albatrosa. Obaj pokazaliście, że jesteście gotowi do objęcia dowództwa na własnych statkach.

- Wypiję za to! - zawołał Stukeley, sięgając po najbliższą butelkę i wyciągając ją w stronę towarzyszy. Szkło stuknęło o szkło. - Jeden za wszystkich... - zaczął Stukeley, patrząc na Sidorio i Johnny'ego z nadzieją. Towarzysze spojrzeli na niego zdziwieni.

- Wszyscy za jednego! - dokończył. - Ten jeden jedyny raz moglibyście pamiętać.

Ktoś zapukał do drzwi.

- Wejść! - zawołał Sidorio.

Do kajuty wkroczył Obsydian Darke. Można było odnieść wrażenie, że pomieszczenie wypełniła nagle burzowa chmura.

- Wzywał mnie pan, kapitanie - oznajmił. Jego zimne spojrzenie omiotło kajutę z nieskrywaną odrazą.

- Zgadza się, poruczniku - rzekł Sidorio, sięgając do skrzynki i podając przybyszowi pełną butelkę.

- Nie, dziękuję - odparł Obsydian. Gdy jego dowódca z niedowierzaniem uniósł brew, porucznik dodał: - Mam taką zasadę. Nie piję po wschodzie słońca.

- Jak sobie chcesz. - Sidorio wyjął korek i przechylił butelkę. - Wyborne! Wiesz co, Darke? Powinieneś się rozluźnić i trochę zabawić. Tylko praca i zero rozrywek czyni z ciebie bardzo nudnego wampirata.

Johnny zaśmiał się i zanucił:

- Nudny, bardzo, bardzo nudny.

Obsydian nie zareagował na zaczepkę. Zamiast tego ostrożnie odsunął puste butelki i usiadł.

- Kiedy powiedziano mi, że chce mnie pan zobaczyć o tej porze, kapitanie, sądziłem, że chodzi o jakąś niecierpiącą zwłoki sprawę.

Sidorio wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Chcesz powiedzieć, że niepotrzebnie przerwałem ci relaksującą drzemkę? - Szturchnął Johnny'ego, który natychmiast zaczął się śmiać. Stukeley zachichotał i pociągnął z butelki.

- Nie to miałem na myśli - odparł Darke.

Sidorio odstawił butelkę, uśmiech zniknął z jego twarzy. Nadeszła pora na załatwienie poważnych spraw.

- Muszę omówić z tobą kwestię najwyższej wagi. Dzisiejszej nocy Johnny przyprowadził nam Diabla. Mogłeś słyszeć o tym pirackim statku. To prawdziwa legenda. W poprzednim życiu Stukeley służył na jego pokładzie. Ja również kiedyś nim podróżowałem, niestety krótko. Teraz stanowi część naszej floty.

- Gratuluję, poruczniku Desperado. - Obsydian Darke bardzo oficjalnie skinął głową w stronę Johnny'ego.

- Od dzisiaj: kapitanie Desperado - poprawił go Johnny.

- Doprawdy? - Obsydian Darke zmrużył oczy. - Jeśli się nie mylę, Diabłem dowodził kapitan Molucco Wrathe. Co się z nim stało?

Johnny zachichotał.

- Pozwoliłem dziewczętom Loli się zabawić. Zostawiliśmy go w jego ulubionej tawernie. Nawet dostał stolik z widokiem na ocean!

Twarz Darke'a pozostawała nieprzenikniona.

- Trofeum - rzucił pogardliwie. - A co z jego załogą? Jak wielu przekształciliście podczas ataku?

Johnny wzruszył ramionami.

- Tylko kilku. Większość upija się w tawernie.

- Rozumiem - rzekł Obsydian z zimnym uśmiechem. - Innymi słowy, należą się panu gratulacje za przejście opustoszałego statku.

- Nie był opustoszały - wystąpił w obronie przyjaciela Stukeley.

- Nie ma powodu, byśmy spierali się o słowa - odparł Darke, nadal uśmiechając się lodowato.

- Nie ma powodu, abyśmy w ogóle się spierali! Świetnie się bawiliśmy przed twoim przyjściem.

- Nic nie ucieszyłoby mnie bardziej - odparł Obsydian - niż gdybyście mogli podjąć zabawę na nowo.

- Zwrócił się do Sidorio: - Kapitanie, czy możemy przejść do rzeczy?

Na ustach dowódcy pojawił się grymas rozbawienia.

- Ależ proszę, poruczniku. Widzisz, Darke, rozbudowując naszą flotę, ja i mój współdowodzący, czyli uroczą małżonka lady Lockwood, musimy się przekonać, kto z naszych oficerów będzie w stanie podołać obowiązkom kapitana.

Darke skinął głową.

- No i? - Dobre wieści! - oświadczył Sidorio. - Znalazłeś się na liście finalistów. Chcę teraz ujrzeć ogień w twoich oczach, bo powierzam ci misję. To ty poprowadzisz kolejny atak. Spodziewam się po tobie wspaniałych rzeczy, Darke.

Po raz kolejny Obsydian skinął głową.

Sidorio pchnął w jego kierunku podniszczony arkusz papieru. Darke chwycił go długimi białymi palcami i obejrzał.

- To lista statków pirackich, które przejmujemy, aby stworzyć naszą flotę - wyjaśnił kapitan. - Wykreśliłem już te załatwione przeze mnie, Stukeleya i Johnny'ego. Możesz wybrać któryś dla siebie. Masz czterdzieści osiem godzin na przygotowanie ataku. Dobierz sobie załogę. Kogo chcesz, z wyjątkiem mnie, oczywiście. Ja nigdy nie będę nikomu podlegał.

- W rzeczy samej - odparł Obsydian, oddając listę i wstając. - Czy to wszystko?

Sidorio przytaknął.

- Owszem.

- Który statek wybrałeś? - zapytał Stukeley.

Darke przesunął wzrokiem po ich twarzach.

- Tygrysa - powiedział wreszcie.

Johnny zaczął się śmiać.

Stukeley aż zagwizdał.

- Nie idziesz na łatwiznę, co, stary?

- Czy mój wybór was bawi?

- Nie, nie - odparł Stukeley, wymieniając z Johnnym znaczący uśmiech. - Tylko być może okaże się, że ci piraci są trochę lepiej przygotowani do walki.

Darke uniósł brew.

- To statek pogromców wampiratów - wyjaśnił Johnny.

Obsydian nie zareagował.

- Więc lepiej zacznę planować strategię - oznajmił. Skinąwszy Sidoriovi głową, odwrócił się i opuścił kajutę.

Gdy drzwi się za nim zamknęły, Johnny znów pociągnął z butelki.

- Nie lubię tego hombre - powiedział.

- Nikt go nie lubi - odparł Sidorio. - I właśnie to mi się w nim podoba! - Zrobił srogą minę. - W każdym razie wie, jak popsuć nastrój. Idę spać.

Stukeley przytaknął i wskazał Johnny'ego, którego oczy były już zamknięte.

- Wygląda na to, że nasz mały kowboj też jest gotów na wyprawę do krainy snów. - Nie w mojej kajucie! - zagrzmiął Sidorio i szturchnął nogą chłopaka. - Co to? Co jest? - spytał nieprzytomnie wyrwany z drzemki Johnny. - Gdzie ja jestem?

Ignorując pytania przyjaciela, Stukeley zwrócił się do dowódcy.

- Kapitanie, jest coś, o czym przez całą noc chciałem panu powiedzieć, ale jakoś się nie złożyło.

- Teraz jestem zmęczony - odparł Sidorio. - Straciłeś swoją szansę. Spróbuj później. Stukeley jednak nie poddał się tak łatwo.

- Chodzi o Connora.

Kapitan natychmiast się zainteresował.

- Co z nim?

- Mam dobre wieści. Wieści, na które pan czekał.

Sidorio nerwowo zatupał w podłogę.

- Mówże dalej.

Stukeley zrobił konspiracyjną minę.

- Obudził się w nim głód krwi - oznajmił. Sidorio szerzej otworzył oczy. Potem uśmiechnął się, pokazując złote kły, które zalśniły w blasku świec.

- Stukeley, stary druhu, ta nowina zasługuje na toast! Obudź tego śpiącego królewicza i otwórz kolejną butelkę!

Rozdział 32

Polowanie

Najdroższa Grace!

Budzę Cię w kolorze różowym! Mam nadzieję, że smacznie spałaś. Razem z dziewczętami wybieram się dzisiaj na małą wycieczkę i byłabym zachwycona, gdybyś zechciała do nas dołączyć. Nasze powozy ruszają równo o dziesiątej. Włóż coś ośniewającego i dołącz do nas na głównym pokładzie.

PS: Proszę, zabierz ze sobą dołączoną do tego listu kartę. Może Ci się później przydać!

Liścik od Loli wywołał na twarzy Grace uśmiech. Właśnie się obudziła, ale była dopiero ósma, więc miała mnóstwo czasu, żeby się przygotować. Czowała się pełna energii - w gruncie rzeczy to nawet niespokojna - i wycieczka z Lolą, Mimmą i pozostałymi dziewczętami wydawała się jej znakomitym pomysłem. Zastanawiała się, czy zabiorą ze sobą te pyszne ptysie z różowym lukrem. Brakowało jej ich przez ostatnich kilka nocy.

Grace dostrzegła na rogu listu spinacz. Odwróciła kartkę i zauważyła przypięty do niej niewielki kartonik. Obejrzała go zaintrygowana. Wyglądał na zwykłą kartę z talii - królową kier - tylko że wszystkie serca były czarne. Grace uśmiechnęła się, pomyślawszy, że karta zapewne posłuży do jakiejś gry. Odłożyła ją na stolik, po czym otworzyła szafę. Miała do podjęcia bardzo ważną decyzję: jaki strój powinna włożyć na wycieczkę?

Grace była gotowa do wyjścia już o dziewiątej trzydzieści. Miała motyle w brzuchu. Denerwowała się, ale nie wiedziała dlaczego. Czemu czas tak niemiłosiernie się włóki?

Ktoś zapukał do drzwi kajuty i dziewczyna prędko poszła otworzyć. „Może to Johnny?” - pomyślała.

Za drzwiami stała jednak Mimma, jak zwykle zabójczo elegancka.

- Wspaniały strój - powiedziała Grace, wpuszczając wampiratkę do środka.

- Twój także! - odparła Mimma. - Chyba jeszcze nie widziałam cię w tej sukience.

Wspaniale podkreśla kolor twoich oczu.

Grace zarumieniła się z dumy, niecierpliwie czekając na to, co przyniesie jej ta noc.

- Strasznie się cieszę na wycieczkę - powiedziała. - Powiedz mi, dokąd jedziemy? Co zaplanowała Lola?

Mimma uśmiechnęła się tajemniczo. - Wszystko w swoim czasie, moja droga. Gwarantuję ci, że to będzie niezapomniany wieczór. - Otworzyła torebkę. - Pomyślałam, że skoro wychodzisz z nami, to będziesz chciała, żebym namalowała ci wokół oka czarne serce. - Wyjęła swoje pędzle do makijażu.

- Och, tak! - zawołała Grace. - To cudowny pomysł.

Mimma wzięła się do pracy, równie fachowo jak za pierwszym razem. Wreszcie odłożyła pędzel i podprowadziła Grace do lustra, by dziewczyna mogła ocenić efekt.

- Wygląda doskonale! - rzekła panna Tempest.

- Och, ale namalowałaś je wokół lewego oka. Wy wszystkie macie serca wokół prawego oka, tylko Lola nosi swoje na lewym.

Mimma uśmiechnęła się i położyła dłoń na nagim ramieniu Grace. Dziewczyna zdała sobie sprawę, że z jakiegoś powodu drży. Dotyk Mimmy pomógł jej się uspokoić.

- Wszystko w porządku - powiedziała wampiratka. - Teraz jesteś córką Loli.

Pozostałe dziewczęta zebrały się już na głównym pokładzie. Kiedy Mimma z Grace, idąc pod rękę, zmierzały w ich stronę, Lola odłączyła się od grupy. Wyglądała zachwycająco w długim, obszytym futrem płaszczu oraz myśliwskim kapelusiku z przypiętymi do tasiemki piórami egzotycznych ptaków.

- Dobry wieczór, Mimmo. A kimże jest ta wyrafinowana dama? - Lola pokręciła głową bardzo powoli.

- Czy to...? Nie, chyba nie... Ależ tak! To Grace Tempest! Jakże ty dorosłaś, i to na naszych oczach!

Dziewczyna pokraśniała z dumy.

- Dziękuję - odparła trochę nerwowo. - Nie gniewasz się, że mam czarne serce na lewym oku?

Lady Lockwood uśmiechnęła się czule i ujęła dłonie Grace.

- Bardzo mi się to podoba! - zapewniła i spojrzała dziewczynie w oczy. - Moja droga, przecież ty drzysz! Lepiej zabierzmy cię gdzieś, gdzie jest ciepło.

- Odwróciła się i zawołała do pozostałych: - Ruszajmy, moje panie! Powozy czekają! Pięć powozów wjeżdżało na wzgórze. Każdy z nich ciągnięty był przez czarnego rumaka. Grace pomyślała o Nieve. Zastanawiała się, czy Johnny będzie jeździł bez niej. Woźnica ich powozu trochę go przypominał, nie dorównywał mu jednak urodą. Zarówno on, jak i reszta jego młodych kolegów ubrani byli bardzo elegancko, w czarne fraki i cylindry.

Grace jechała powozem Loli, razem z Mimma i Zofią. Wampiratki miały ze sobą coś, co wyglądało jak trzy wypchane nesesery. Leżały na podłodze i przesuwaly się to w jedną, to w drugą stronę. Koła toczyły się po nierównej nawierzchni.

- Czy to kosze piknikowe? - spytała Grace.

Wampiratki zaczęły się śmiać.

- Nie - odparła wreszcie Mimma.

- Właściwie to Grace niewiele się pomyliła - stwierdziła lady Lockwood, wyglądając przez okno powozu. - Już prawie jesteśmy na miejscu. Popatrz, kochanie. Czyż to nie wspaniały dom? Zupełnie inny od tego, w którym sama byłam wychowywana.

Lola zastukała dłonią okrytą rękawiczką w okno. Grace nachyliła się i wyjrzała. Droga wiodła na sam szczyt wzgórza, gdzie niczym piękne lukrowane ciastko jaśniała biała rezydencja z kolumnami.

- Przepiękny - przytaknęła dziewczyna. - Należy do twoich przyjaciół? Wydają przyjęcie?

Wampirzyca uśmiechnęła się promiennie.

- Tak, skarbie. Coś w tym rodzaju.

Pięć powozów minęło ozdobną fontannę stojącą na środku podjazdu. Gdy Grace wysiadła i lepiej jej się przyjrzała, uznała, że wygląda jak z bajki. Woda lśniła srebrzyście w świetle księżycy.

Lola podeszła do woźnicy.

- Dziękuję, Rodrigo - powiedziała. - Zaczekaj tu na nas. Znasz zasady.

- Tak, proszę pani - odparł mężczyzna, uchylając cylindra.

Grace spojrzała za siebie i zobaczyła grupkę znajomych wampiratek wysiadających z pozostałych powozów. Były wśród nich Jacqueline, Nathalie, Jessamy, Camille, Leonie i Holly. W sumie szesnaście dziewcząt, każda pięknie ubrana, każda z wypchaną czarną walizką w dłoni.

- Co to za walizeczki? - zapytała Grace. - Czemu ja takiej nie mam?

- Nie przejmuj się, moja droga. Jesteś tu głównie jako obserwatorka.

- Obserwatorka czego? - dopytywała się dziewczyna.

Lola nie odpowiedziała. Stała już przy drzwiach domu i głośno stuknęła mosiężną kołatką. Po dłuższej chwili otworzył jej wytorny lokaj. Lady Lockwood zamieniła z nim kilka słów. Następnie weszli do środka, znikając Grace z oczu. Zresztą uwagę dziewczyny i tak odwróciły Leonie i Holly, które podeszły, by pochwalić jej suknię i makijaż.

- Niedługo będziesz miała w tym miejscu prawdziwy tatuaż - zapewniła Leonie.

Wtem Lola pojawiła się znów przy wejściu i zaklaskała energicznie.

- Chodźcie, moje panie! Obawiam się, że musimy same znaleźć drogę do jadalni. Lokaj jest niedysponowany. Lady Lockwood ruszyła przed siebie, a za nią podążyła jej załoga. Wchodząc w korytarz, Grace zauważyła, że coś leży na podłodze. Nie, nie coś. Ktoś. Lokaj. Jego twarz była szara, a z dwóch ran na piersi sączyła się krew.

- Idź dalej, Grace - powiedziała Holly, pochwycając spojrzenie dziewczyny. - Ja się nim zajmę.

- To mówiąc, przykucnęła nad mężczyzną i otworzyła walizeczkę. Grace zobaczyła jeszcze, jak wampiratka wyciąga z wnętrza dziwny przyrząd. Czy był to jakiś zestaw medyczny?

- Chodź! - Mimma pociągnęła ją za sobą.

Korytarz był imponująco długi, ale wyglądało na to, że Lola doskonale wie, dokąd zmierza. Osiemnaście par butów na wysokich obcasach stuknęło o marmurowe płytki. Gdy skręciły i niczym chiński smok sunęły w kierunku znajdujących się na końcu zamkniętych podwójnych drzwi, Grace znowu poczuła mdłości. Lady Lockwood zatrzymała się, poprawiła kapelusik i płaszcz. Jessamy i Camille stanęły po jej obu stronach i na skinienie pani kapitan szybko otworzyły skrzydła drzwi. Lola wkroczyła do znajdującej się za nimi jadalni. Mimma wzięła Grace za rękę i pociągnęła w kierunku stojącego na środku pomieszczenia dużego stołu. Siedząca przy nim grupa bardzo elegancko ubranych osób właśnie kończyła wyrefinowany posiłek. Grace policzyła zebranych. Dwanaścioro. Rozejrzała się i dostrzegła, że wampiratki otoczyły już stół.

Siedzący u jego szczytu siwowłosa mężczyzna wstał.

- Co to ma znaczyć? Kim jesteście?

Lola wyjęła z kapelusika przytrzymującą go długą szpilkę.

- Pułkownikowi Marchmain - rzekła. - Czyżby pańska pamięć była aż tak zawodna? Jestem lady Lola Lockwood Sidorio, z winnicy Czarne Serce. Umówiłam się z panem w sprawie naszych trunków. Z pewnością pan pamięta.

Starsza, ale bardzo zadbana kobieta siedząca po przeciwnej stronie stołu spiorunowała pułkownika wzrokiem.

- Nie przypominam sobie żadnego spotkania. - Mężczyzna pokręcił głową.

Lola zrobiła srogą minę.

- Cóż, to dosyć niezręczna sytuacja. Jak pan widzi, nie chodzi tylko o moją niewygodę. Przybył tu ze mną cały personel. - Wskazała pozostałe wampiratki. Atmosfera w pokoju stała się tak gęsta, że można ją było kroić nożem.

- Geoffrey! - zawołała starsza dama. - Nie wiem, co tu się dzieje, ale proszę cię, powiedz tej okropnej kobiecie, żeby wyszła. Nie pozwolę, żeby popsuła przyjęcie zaręczynowe mojej córki! Wyrzuć ją!

- Uspokój się, Honorio - rzekł pułkownik szorstko.

- Mam wszystko pod kontrolą. - Podeszedł do Loli, która obserwowała go chłodnym wzrokiem z rękami opartymi na biodrach. - Proszę posłuchać - zaczął.

- Nie mam pojęcia, jak doszło do tego nieporozumienia, ale nie przypominam sobie, żebym umawiał się na spotkanie z winnicą Czarne Serce czy jakkolwiek inną. Wino zamawiamy u Clarke'a, zawsze tak było.

- Jego ton nieco złagodniał. - Przykro mi, że panie niepotrzebnie się fatygowały. Ale chętnie spotkam się z wami w innym terminie w celu złożenia niewielkiego zamówienia.

Lady Lockwood powoli zdejmowała swoje długie rękawiczki, jakby rozważała jego słowa. Potem energicznie pokręciła głową.

- Nie ma potrzeby umawiać się na kolejne spotkanie, pułkowniku. Nie przyszliśmy tutaj, żeby coś panu sprzedać. Przyszliśmy na winobranie.

Pułkownik przyglądał się Loli oszołomiony. Grace poczuła, jak jej serce przyspiesza. Nagle pojęła, o co w tym wszystkim chodzi. Jak mogła być tak głupia?

Lady Lockwood pstryknęła palcami.

- Do dzieła, moje panie!

Grace stała w korytarzu. Źle się czuła, obserwując w jadalni lady Lolę i jej załogę przy pracy. To było dziwne wrażenie i nie miała pewności, czy sprowadza się wyłącznie do obrzydzenia. Zaczynał doskwierać jej głód.

Kątem oka zauważyła Holly odłączającą sprzęt od żył lokaja. Wampiratka wytarła dyszę i wsunęła ją z powrotem do futerału, który nosiła na nadgarstku. Potem skupiła się na sześciu stojących obok butelkach. Zakorkowała każdą z nich, a następnie pieczołowicie umieściła je w walizeczce. Grace patrzyła na to z mieszaniną fascynacji i przerażenia. Przypomniała sobie, jak spytała, czy te neseserki to kosze piknikowe, oraz komentarz Loli: „Właściwie to Grace niewiele się pomyliła”.

Krzyki i odgłos szybkich kroków odwróciły uwagę dziewczyny od walizeczki. Obejrzała się i dostrzegła młodą kobietę biegnącą w jej kierunku. Nieznajoma miała rany na klatce piersiowej i lejąca się z nich krew plamiła piękną tiulową suknię.

- Proszę! - krzyczała do Grace. - Pomóż mi!

Dziewczyna skinęła głową.

- Chodź! - zawołała. - Ja... Ja ci pomogę.

Holly patrzyła zdumiona, jak Grace chwyta kobietę za rękę, zbiega z nią po schodach i znika w ciemności.

Przy fontannie na podjeździe nieznajoma zatrzymała się, by zaczerpnąć tchu. Łkała z przerażenia.

- Wszyscy zostali zabici!

- Już w porządku - powiedziała Grace, chwytając towarzyszkę za ramiona. Stały teraz twarzą w twarz. Kobieta w tiulowej sukni była śliczna i niewiele starsza od niej. Grace przypomniała sobie słowa siwej damy. Spojrzała na nieznajomą. - To było twoje przyjęcie zaręczynowe, prawda?

Córka pułkownika skinęła głową. Łzy ciekły jej po twarzy, opadając na pierś i mieszając się z krwią.

- To koniec! Wszystko się skończyło!

- Tak - przyznała Grace. Spoglądała na ciepłą krew spływającą w głębokie wycięcie dekoltu. I nagle wszystko inne przestało się dla niej liczyć. Głód przejął kontrolę nad każdym jej zmysłem, pchał ją ku nieuniknionemu.

Nim zorientowała się, co robi, Grace nachyliła się i zlizwała krew z dekoltu młodej kobiety. Ta chciała się cofnąć, ale dziewczyna instynktownie chwyciła ją mocniej i przycisnęła do fontanny. Mdłości zniknęły, podobnie jak dziwne uczucie ssania. Teraz wiedziała już dokładnie, czego jej potrzeba... Nachyliła się ponownie.

I wtedy poczuła ramiona chwytające ją w talii i odciągające od młodej kobiety.

- Grace! Puść ją! - usłyszała głos Loli.

Trzymała swoją ofiarę mocno, ale lady Lockwood była silniejsza. Gdy dziewczyna wreszcie niechętnie wypuściła z objęć córkę pułkownika, ta osunęła się na ziemię.

Lola spojrzała na pasierbicę i pokręciła głową.

- No proszę - rzekła. - Ależ jesteś zachłanna.

Sięgnęła do kieszeni i wyjęła chusteczkę, którą otarła ślady krwi z ust Grace.

- Od razu lepiej - powiedziała. - Skarbie, wiesz, że mamy ściśle określone sposoby działania. To nie był jeden z nich.

Załoga Loli zaczęła opuszczać dom i zmierzać w kierunku oczekujących powozów. Obcasy zgrzytały na żwirze, a czarne walizeczki, bardzo teraz ciężkie, kiwały się w rytm kroków.

Lady Lockwood znów pstryknęła palcami.

- Camille! Grace tutaj zaczęła. Czy mogłabyś dokończyć?

Wampiratka skinęła głową i otwierając walizeczkę, uklękła przy ciele córki pułkownika.

- Chodź, moja droga. - Lola zdecydowanym gestem ujęła ramię Grace. - Sądzę, że na tę noc wystarczy ci już wrażeń.

Dziewczyna była zbyt oszołomiona, by coś powiedzieć. Lady Lockwood się uśmiechnęła.

- Nie bądź taka zakłopotana, kochanie. To wspaniale, że twój głód się obudził. Naprawdę! Sid będzie zachwycony, gdy się o tym dowie. Ale przecież nie mogę pozwolić, by jakkolwiek członkini mojej załogi, a już na pewno nie moja własna pasierbica, zachowywała się tak gwałtownie. To by mi zniszczyło reputację.

Grace zwiesiła głowę, ale Lola ujęła ją pod brodę i spojrzała pasierbicy w oczy.

- Kopciuszku - zażartowała. - Wracajmy do naszej karety, nim zmieni się z powrotem w dynię!

Ruszyły powoli, idąc ramię w ramię. Nagle lady Lockwood przystanąła.

- Wzięłaś kartę? - spytała.

Grace przytaknęła, sięgając do kieszeni spódnicy i wyjmując z niej czarną królową kier, którą Lola dołączyła do zaproszenia.

- Doskonale! - rzekła lady Lola, biorąc od niej kartę. Odwróciła się i rzuciła ją na ciało córki pułkownika. Karta zatrzepotała na wietrze jak ćma, a potem opadła na otwarte usta martwej kobiety.

Lady Lockwood znacząco ścisnęła ramię pasierbicy.

- To moja wizytówka - wyjaśniła.

Potem zaprowadziła Grace do powozu. Mimma i Zofia czekały już w środku z trzema walizkami ustawionymi u stóp. Lola przynagliła dziewczynę, by wsiadła, a potem zwróciła się do młodego woźnicy:

- Co tchu, Rodrigo - powiedziała. - Nasza misja tutaj jest już zakończona.

Rozdział 33

Musimy pomówić o Grace

- Właśnie zaczęły używać pasów z akcesoriami i walizeczek - powiedziała Grace. - Wcześniej musiały sprowadzać ludzi na pokład Wagabundy, żeby upuszczać im krwi. Teraz mają przenośny sprzęt, co oznacza, że mogą pobierać i butelkować krew praktycznie wszędzie.

Panna Flotsam się wzdrygnęła.

- Och, Grace. I ty to wszystko widziałaś? Jakie to okropne!

- W porządku, Darcy. - Dziewczyna pokręciła głową. - Nie patrzyłam zbyt długo.

Darcy zmarszczyła brwi.

- Nie chodziło mi o to, że to było okropne dla ciebie. - Uznawszy jednak, że była odrobinę za ostra dla przyjaciółki, dodała: - Ale oczywiście ja również nie chciałabym oglądać takich rzeczy. To musiało być przerażające.

Mosh Zu w zamyśleniu pokiwał głową.

- Więc w ten sposób organizują tak zwane polowania na krew. To bardzo ważna informacja. - Potem odwrócił się do Grace. - Mówisz, że było dwanaście ofiar?

Grace przytaknęła. Jej oczy miały dziwny wyraz, którego Darcy nie potrafiła rozszyfrować. Pomiędzy nią a przyjaciółką pojawiła się przepaść i z każdą nocą stawała się głębsza.

- Jest coś jeszcze, co chciałabyś nam powiedzieć? - spytał mistrz.

Przez chwilę Grace wyglądała na poruszoną. Zaczerpnęła tchu i oznajmiła:

- Jedna z tych osób uciekła. Młoda kobieta. Kolację wydano, by uczyć jej zaręczyny...

Darcy z przerażenia zakryła usta dłonią.

- Stałam w korytarzu - kontynuowała Grace z szeroko otwartymi oczami. - Dziewczyna biegła w moim kierunku. Miała rozdartą suknię i rany na ciele. - Przerwała. Jej spojrzenie stało się odległe.

Darcy spojrzała na mistrza, mając nadzieję, że pochwyci jego wzrok, ale uwaga mężczyzny skupiona była na Grace. Czekał, aż podejmie opowieść.

- Poprosiła, żebym jej pomogła. Zgodziłam się oczywiście. Wybiegłyśmy z domu. Na podjeździe stała fontanna, najpiękniejsza, jaką w życiu widziałam. - Na twarzy dziewczyny malowała się błogość.

- A ta ranna kobieta? - spytał Mosh Zu. - Co z nią?

Grace przymknęła oczy, jakby próbowała się skupić.

- Była słaba, może z powodu upływu krwi...

„Albo dlatego, że w wieczór własnych zaręczyn zobaczyła masakrę wszystkich swoich bliskich” - pomyślała Darcy ze złością.

- Była słaba - ciągnęła Grace. - Oparła się o fontannę... żeby odpocząć.

Umilkła i zamknęła oczy, jakby myślami wracała w tamto miejsce i czas. Gdy ponownie podniosła powieki, panna Flotsam zamarła. Szmaragdowe spojrzenie Grace zniknęło, zastąpione przez otchłanie ognia. Darcy dobrze je znała - jej oczy przechodziły podobną przemianę, kiedy odczuwała głód krwi - ale nie była przygotowana na szok, jakiego doświadczyła, widząc przyjaciółkę w takim stanie.

- Co się stało przy fontannie? - naciskał Mosh Zu.

Twarz Grace wykrzywił grymas cierpienia.

- Dziewczyna krwawiła. Była słaba. Nie potrafiłam... - Umilkła. - Nie potrafiłam... - Westchnęła i ponownie zacisnęła powieki.

- Nie potrafiłaś czego? - drażył mistrz.

Otworzyła oczy. Znow były normalne – bardziej zielone i błyszczące niż kiedykolwiek wcześniej, jak kamyki opłukane w górskim strumieniu. Darcy niemal zapłakała z ulgi.

Grace wyglądała na zdezorientowaną, lecz po chwili przemówiła.

- Nie potrafiłam jej pomóc - powiedziała. - Nie mogłam nic dla niej zrobić. Lola i pozostałe dziewczęta wyszły z domu i prędko się nią zajęły.

- Biedaczka - westchnęła panna Flotsam.

Mosh Zu wstał i podszedł do Grace.

- Jak się czułaś po tym trudnym doświadczeniu?

Dziewczyna wzruszyła ramionami.

- Wycieńczona.

- Powinnaś odpocząć - powiedział mistrz. - Noc niedługo się skończy.
- A gdzie jest Lorcan? - spytała Grace. - Dlaczego nie przyszedł się ze mną zobaczyć?
- Mówiliśmy ci przecież - odparła Darcy. - Nie pamiętasz?

Dziewczyna pokręciła głową, nieznacznie marszcząc brwi.

- Trening sztuk walki zabiera mu wiele czasu - wyjaśnił Mosh Zu. - Nie był w stanie dziś do nas dołączyć.

Grace zrobiła zagniewaną minę. - Próbowałam go odwiedzić, ale nie potrafiłam do niego dotrzeć. Czy on mnie unika? Panna Flotsam nie potrafiła już ukryć irytacji.

- Skądże znowu! Lorcan cię nie unika! Wszyscy mamy do wypełnienia trudne zadania. Czasami nie jest to możliwe, byśmy zebrali się w jednym miejscu.

Na twarzy Grace pojawiło się zaskoczenie.

- W porządku, Darcy! Tylko spytałam!

- Właśnie - wtrącił Mosh Zu swoim łagodnym głosem. - Jak już wspomniałem, noc się kończy. Muszę odesłać Darcy na pozycję na dziobie statku.

Grace przytaknęła z uśmiechem.

- Galion za dnia... - zaczęła, ale kontury jej sylwetki zaczęły już się zacierać, a głos umilkł. Darcy przyglądała się, jak kawałek po kawałku postać przyjaciółki znika. Kajuta kapitana wibrowała ciszą i pustką.

Panna Flotsam zwróciła się do mistrza.

- Musimy pomówić o Grace - rzekła.

Mosh Zu przytaknął.

- Widziałeś jej oczy - ciągnęła Darcy - prawda? Kiedy opowiadała o tej dziewczynie przy fontannie.

Mosh Zu ponownie przytaknął.

- Tak. Widziałem głód.

- Musimy ją stamtąd wydostać - oświadczyła panna Flotsam. - Zanim mu ulegnie.

Mistrz nie odpowiedział.

- No więc? - Darcy nie dawała za wygraną. - Co o tym sądzisz?

- Och, Grace już zakosztowała krwi - rzekł Mosh Zu całkiem spokojnie.

- Nie! - Panna Flotsam zacisnęła pięści. - Nie! - W jej głosie słychać było bezbrzeżną rozpacz.

Mistrz powoli pokiwał głową.

- Oboje wiemy, że w przyjmowaniu krwi nie ma niczego złego. Wszystko zależy od tego, jak ją się pobiera. Grace wypila krew dziewczyny przy fontannie, ale jestem przekonany, że to nie był jej pierwszy raz. Sądzę, że ktoś postarał się rozbudzić jej apetyt.

Słowa mistrza wstrząsnęły panną Flotsam.

- Naprawdę sądzisz, że Grace piła krew tej biednej dziewczyny?

- Tylko trochę. Jej głód dopiero się budzi.

Darcy pokręciła głową. - Jak możesz przyjmować to tak... beznamiętnie? - Grace jestampirem - oświadczył mistrz. - Nie wiedziałas o tym, gdy ją poznałaś, dlatego wyrobiłaś sobie o niej zdanie według kryteriów odnoszących się do śmiertelników. Ale teraz musisz zmienić punkt widzenia, a to może kosztować cię trochę pracy.

Darcy zadumała się na chwilę.

- Potrafię przyjąć do wiadomości, że Grace jestampirem i że odczuwa głód krwi, ale zachodzą w niej inne zmiany, które są dla mnie trudne do zaakceptowania. Stała się chłodna i samolubna. Nigdy taka nie była. Zmienia się, bez wątplenia pod wpływem tej okropnej Loli Lockwood i Sidorii.

Mosh Zu wzruszył ramionami.

- Zmienia się niczym kameleon, na trochę, aby przystosować się do sytuacji.

- Bardzo zależy mi na Grace - oznajmiła twardo panna Flotsam. - Jest jedną z najbliższych mi osób. Doskonale się spisała na tamtym statku, jednak już pora sprowadzić ją do domu.

Mistrz uśmiechnął się łagodnie.

- Wkrótce, ale jeszcze nie teraz.

- Dlaczego? - Darcy nie potrafiła dłużej skrywać irytacji. Żałowała, że nie ma tu Lorcana, który by ją poparł, ale cóż... Tę walkę musiała stoczyć solo. - Misją Grace było rozpracowanie organizacji buntowników, przekazanie nam informacji. Opowiedziała nam o rzeczach, w porównaniu z którymi najgorszy koszmar to wesoła historyjka.

- Masz rację, informacje przekazywane przez Grace okazały się bezcenne.

- Dość już wiemy - nalegała panna Flotsam. - Nawet więcej niż dość. Jej misja jest skończona.

Mosh Zu pokręcił głową.

- Widzisz jedynie to, jaki wpływ inni mają na Grace. Powinnaś się jednak zastanowić, jaki ona ma wpływ na innych.

Darcy pokręciła głową z niedowierzaniem.

- Chyba nie sugerujesz, że Grace działa na nich jak balsam łagodzący i ich cywilizuje? Bo nie tak to wygląda, kiedy co noc urządzają sobie polowania, przechwytyują pirackie statki i z lubością mordują każdego, kto wejdzie im w drogę!

- Wrażenia potrafią być złudne - rzekł mistrz. - Grace toruje sobie drogę do samego serca imperium Sidorii, tak jak chciał tego kapitan.

Panna Flotsam znieruchomiała na wspomnienie kapitana.

- On tego chce czy ty? - spytała wprost, zdecydowanym tonem. - Przykro mi, ale nie jestem już pewna, który z was naprawdę dowodzi tym statkiem.

Mosh Zu nie tracił opanowania.

- Zapewniam cię, że nic się nie zmieniło. Ja trzymam ster jedynie do powrotu kapitana. Potem udam się do Sanktuarium, a kapitan zajmie należne mu miejsce w świecie nokturnów.

- Tak. - Darcy była rozzłoszczona. - Powtarzasz to każdej nocy. Ale mamy jedynie twoje słowo na to, że kapitan powróci. Z całym szacunkiem: nie jestem pewna, czy nadal ci ufam. - Pokręciła głową. - Kapitan nigdy nie postawiłby Grace w tak niebezpiecznej sytuacji. A nawet jeśli, to już dawno by ją uratował i stamtąd zabrał. Zanim zakosztowała krwi.

- Nie - zaprzeczył mistrz. - Mylisz się. Kapitan wie, gdzie przebywa Grace. Chce i potrzebuje jej obecności na statku wampiratów. Kapitan, którego znałaś - lub wydawało ci się, że znasz - już nie istnieje. Kiedy wróci, zrozumiesz, że się zmienił.

- Co masz na myśli?

- Dokładnie to, co powiedziałem. - Mosh Zu pozostawał niewzruszony.

- Przestań mówić zagadkami! - krzyknęła Darcy.

- Zawsze tak robisz! To denerwujące! - Czowała się bardziej sfrustrowana niż kiedykolwiek.

Mistrz się uśmiechnął.

- Wkrótce nastanie dzień - powiedział. - Musisz zająć swoje miejsce jako galion tego statku.

- Innymi słowy - rzuciła z wściekłością, kierując się do drzwi - mam już sobie pójść.

- Coś w tym stylu - odparł Mosh Zu.

Johnny szykował się do snu. Miał za sobą noc pełną zajęć i był gotów na porządny ośmiogodzinny wypoczynek. Zdjął koszulę i przeglądał szafę w poszukiwaniu czystego podkoszulka. Kiedy się odwrócił, ze zdumieniem odkrył, że pośrodku jego kajuty stoi Grace.

- Grace, co ty tu robisz?!

- Proszę, nie gniewaj się - rzekła.

Johnny uśmiechnął się ciepło.

- Nie jestem zły, carino. Po prostu mnie zaskoczyłaś. Nie słyszałem nawet, jak otwierałaś drzwi.

Dziewczyna wyglądała na pobudzoną.

- Nie weszłam przez drzwi. - W jej oczach było coś dziwnego.

- Hej. - Johnny podszedł bliżej i wyciągnął dłoń. - Co jest, Gracie? Co się dzieje? - Jego ramiona przeniknęły przez dziewczynę. - Ej, gdzie jesteś?

- Nadal tutaj - odparła, a on cofnął się o krok i spojrzał na nią zaintrygowany. - To znaczy nie dokładnie tutaj. To tylko moja projekcja astralna. Moje fizyczne ciało jest na Wagabundzie. Muszę z tobą porozmawiać. A tym się nie przejmuj, to taka moja mała sztuczka.

- Widzę, że twoim talentom nie ma końca - stwierdził chłopak, puszczając do niej oko. Założył podkoszulek, a potem znów wyciągnął ramię ku Grace.

- Kurczę! Moja ręka po prostu przez ciebie przechodzi. Grace, to dziwne... ale fajne. Nauczysz mnie tego?

- Nie wiem - odparła z bólem w oczach. - Johnny, naprawdę musiałam się z tobą zobaczyć. Potrzebuję twojej pomocy.

Chłopak w jednej chwili spowaźniał.

- Jasne - powiedział. - Dla ciebie wszystko, Grace. Co mam zrobić?

Spojrzała mu błagalnie w oczy.

- Potrzebuję krwi - powiedziała. - Głód mnie nie opuszcza. Pomyślałam, że pomożesz mi jej trochę zdobyć.

Johnny skinął głową.

- Jasne! Nie ma sprawy.

- Dziękuję - odparła z wyraźną ulgą.

Chłopak skrzyżował ramiona na piersi.

- Przyjdę na Wagabundę, jak tylko się ściemni.

Grace wyglądała na spanikowaną.

- A nie mógłbyś teraz?

Johnny spojrzał na zegar stojący na stoliku przy łóżku i pokręcił głową.

- Przykro mi, Grace. Za kilka minut wszędzie słońce. Światło słoneczne i wampirak to kiepskie połączenie... Wiesz przecież o tym bardzo dobrze. - Widząc jej zdenerwowanie, chwilę się zastanowił. - Słuchaj, jeśli naprawdę potrzebujesz krwi, to znajdujesz się w idealnym miejscu. Na Wagabundzie trzymana jest większość naszych zapasów. Po prostu zejdź do piwnic i weź sobie butelkę.

Twarz Grace wyrażała niepewność.

- Boję się. A jeśli wypiję zbyt wiele? Albo mój organizm źle zareaguje? Naprawdę chcę, żebyś przy mnie był.

- Wiem - odparł ściszym głosem. - Możesz poczekać jakieś dwanaście godzin? Przyjdę, jak tylko słońce zniknie za horyzontem.

- Dwanaście godzin? - Grace przygryzła wargę. - Nie wiem, czy tyle wytrzymam...

- Ale spróbujesz, carino? - spytał Johnny z uśmiechem, który miał jej dodać otuchy.

- Dobrze. Postaram się.

Rozdział 34

Decyzja Connora

Connor stał na plaży, czekając na Kally i słuchając odgłosów fal rozbijających się o brzeg. Nadal był otępiały po otrzymaniu wiadomości o śmierci Molucca. Stukeley powiedział mu, że krew ich dawnego dowódcy stoi teraz w sześciu butelkach w „piwniczce” Loli. Connora najbardziej przerażał fakt, że nie doznał w związku z tym wstrząsu. Jego świat uległ całkowitej przemianie. Był taki czas, że uważał, iż kapitan Wrath mógłby zastąpić mu ojca. „Cóż za ironia” - myślał, kiedy bryza zraszała mu twarz słoną wodą. Tak długo czekał i zastanawiał się, czy Molucco nadawałby się do tej roli, podczas gdy prawdziwy ojciec - Sidorio - stał tuż za rogiem.

W krótkim czasie Connor przeszedł wiele przemian - od syna latarnika, przez sierotę i genialnego młodocianego pirata. Obecnie zaś był Connorem Kwintusem Antoniuszem Sidoriem - dampirem. Wobec kogo ma być lojalny?

Stukeley opowiedział mu o kolejnym planowanym ataku i chociaż Connor powinien był zachować tę informację dla siebie, siedział teraz w umówionym miejscu i czekał na łącznika, który przekaże ją wrogowi jego ojca - Federacji Piratów. Ale chłopak postanowił, że to będzie już ostatni raz. Nie, żeby zmieniał front - to nie było takie proste. Wojna wymykała się spod kontroli, a on nie mógł zrobić nic, by jej zapobiec, tak jak nie mógłby powstrzymać fali przed rozbiciem się o brzeg. Czuł się zrezygnowany. Zrobił dla Cheng Li i Federacji wszystko, co było w jego mocy. Miał nadzieję, że dobrze wykorzystają zdobytą wiedzę. Może nawet jakimś cudem uda im się odeprzeć atak Obsydiana Darke'a i jego załogi. Ale Connor musiał być realistą. Równie prawdopodobne wydawało się to, że Cheng Li zostanie pokonana. To by ostatecznie zakończyło jego piracką karierę. Bo chociaż Molucco sobie przypisywał tę zasługę, to właśnie Cheng Li wyciągnęła Connora z oceanu i uczyniła z niego pirata. Los zdawał się mu sprzyjać, jednak teraz, gdy kości zostały rzucone, okazało się, że od początku był przeciwko niemu.

Widząc znajomą błękitną czuprynkę Kally wynurzającą się z wody, chłopak wstał i popłynął w jej kierunku. Rybogonka jak zawsze ucieszyła się na jego widok, ale dzisiaj Connor

nie miał ani czasu, ani ochoty na wymianę uprzejmości. Chciał – musiał - skończyć z tym jak najszybciej.

- Wybacz, że cię ponaglam - zaczął - ale przejdźmy do rzeczy. Kally skinęła głową i razem podpłynęli do najbliższej skały. Kiedy Connor wyszedł z wody i usiadł, rybogonka przeciągnęła dłońią po mokrych włosach, a następnie oparła się o skałę.

- Dobra, stary. Mów.

Chłopak przełknął nerwowo ślinę. Ciężyła mu waga wiadomości, które miał przekazać. Potem powróciło znajome otępienie.

- Atak nastąpi jutrzejszej nocy - zaczął. - To będzie wielka sprawa. Chcą zająć Tygrysa.

Kally szeroko otworzyła swoje tęczęzowe oczy.

- Atak poprowadzi Obsydian Darke. Mówiłem ci już o nim, pamiętasz?

- Zimny jak głaz i bezlitosny - przytaknęła Kally.

- To cały on - odparł Connor. - Dobierze sobie zespół spośród członków załogi.

- Kurczę, więc to naprawdę się stanie! Cheng Li będzie wściekła, ale z tego, co mi wiadomo, jest przygotowana na taką ewentualność. Jacoby mówił, że Cate ma nową tajną broń.

Chłopak był zaintrygowany.

- Nowa broń? Wiesz, co to takiego? Czyżby znowu zamówiła miecze u mistrza Yina?

Kally pokręciła głową.

- Mówią mi tylko to, co muszę wiedzieć. Nie jestem pewna, czy sam Jacoby został wtajemniczony.

Connor skinął głową.

- Cheng Li lubi trzymać asa w rękawie - powiedział. - Zawsze tak było i zawsze tak będzie.

- Cóż, lepiej już popłynę i przekażę im tę nowinę. I oczywiście opowiem o twoich planach. Płyniesz ze mną dzisiaj, czy mam wrócić po ciebie jutro?

Connor oczekiwał tego pytania, ale teraz, gdy wreszcie padło, nie potrafił odpowiedzieć. Wpatrywał się tylko w niesamowite oczy rybogonki.

Wreszcie pokręcił głową.

- Nie wracam z tobą - oznajmił.

- Dzisiaj nie, a więc jutro, tak? - Spoglądała na niego zatroskana.

- Nie, Kai. W ogóle nie wracam. Kropka.

- Co?!

- Kally, są rzeczy, których o mnie nie wiesz, i wolę, żeby tak zostało. Fakty są takie, że jestem teraz tu, gdzie moje miejsce. Sądzę, że z czasem to zrozumiesz.

Potrząsnęła głową, a do oczu napłynęły jej łzy.

- Nie. Jak możesz mówić, że tu jest twoje miejsce? Z tymi potworami? Po tym, co zrobili Moluccowi...

- To skomplikowane - uciął Connor. - I nie mamy czasu, żeby teraz się w to zagłębiać. Musisz dostarczyć Jacoby'emu moją wiadomość o ataku najszybciej, jak to możliwe. Z tajną bronią czy bez, Cheng Li i jej załoga będą mieli ręce pełne roboty.

Rybogonka przytaknęła.

- No to płynę - rzekła. - Ale jutro spotkamy się tutaj o tej samej porze. Może będziesz miał jakieś dodatkowe informacje.

- Powiedziałem ci już wszystko - odparł. - Nie mam nic więcej do dodania. Życz im powodzenia...

- Umilkł na chwilę. - I powiedz Jasmine, że bardzo mi przykro.

- Po prostu jeszcze raz się ze mną spotkaj - poprosiła Kally, opanowując emocje. - Potraktuj to jako przysługę dla starej przyjaciółki.

- Przemyślę sprawę - odpowiedział.

Siedzący w bocianim gnieździe Bart miał doskonały widok na pokład Tygrysa. Obserwował, jak Cate i Cheng Li męczą załogę podczas treningu. W ciągu ostatnich kilku dni „straszliwy duet”, jak je czule nazywał, zwiększył liczbę szkoleń do dwóch dziewięćdziesięciminutowych sesji dziennie. Ponadto do dotychczasowego zestawu ćwiczeń dziewczyny dorzuciły też kilka naprawdę trudnych szermierczych sztuczek. Patrząc teraz na wszystko z góry, Bart widział, że zarówno Jasmine, jak i Bo Yin opanowały je do perfekcji. Nie był zdziwiony. Niekiedy odnosił wrażenie, że mała Bo ma gumę zamiast kości. Reszta załogi potrzebowała więcej czasu na przyswojenie nowych technik.

Ale Cate i Cheng Li miały sekret, a Bart go znał. Te skomplikowane figury i strategie zostały obmyślane na podstawie informacji dostarczonych przez Lorcana Fureya podczas kilku jego niedawnych wizyt. Cate przysięgła, że osobiście rozszarpie Bartowi gardło, jeśli zdradzi się przed Cheng Li, że o tym wie - a on nie wątpił, że jego rudowłosa ukochana dotrzymałaby słowa. Nie miał zamiaru nic nikomu mówić. Zbyt wiele od tego zależało. Piraccy kapitanowie byli

zabijani na wszystkich oceanach: Bojan Petrović z Wybawcy, Narcisos Drakoulis z Albatrosa, a teraz Molucco Wrathe - dowódca Diabła. Bart pokręcił głową, zastanawiając się nad tym ostatnim, najbardziej dla niego szokującym morderstwem. Molucco często powtarzał, że życie pirata jest krótkie, ale wesołe, jednak kapitanowi nigdy nie przyszłoby do głowy, że zginie z rąk wampirów.

Bart przeniósł wzrok na ocean. Nadal nie mógł pogodzić się z faktem, że Molucco Wrathe nie wyda już rozkazu postawienia żagli. Było to równie niedorzeczne jak stwierdzenie, że od tej chwili słońce nigdy nie wzejdzie. Każdy miał o Moluccu wyrobione zdanie. Bart winił przez jakiś czas kapitana za śmierć Jeza Stukeleya, ale już dawno o tym zapomniał. Stary wilk morski nie zasłużył na taką śmierć. Nikt na nią nie zasługiwał.

Ponownie spojrzawszy z góry na pokład swojej obecnej jednostki, Bart poczuł dziwny spokój. Nie był pewien, skąd się wzięło to uczucie, bo czasy nie należały do spokojnych. Stwierdził nagle, że ruchy członków załogi są pełne gracji, jakby tańczyli w balecie - co nie znaczy, że Bart Pearce kiedykolwiek widział jakiś balet. W samym środku grupy znajdowała się Cate. Znał ją niemal od zawsze, a jednak nigdy nie przestały go zadziwiać jej talent, zaangażowanie i uroda. Nie każdy to dostrzegał, ale dla Barta rudowłosa Cate Morgan była wyjątkowa. Obserwując ją, młody pirat podjął decyzję. Spojrzał na zegarek - czternasta czterdzieści dziewięć. Chciał zapamiętać tę chwilę. Może potrzeba kryzysu, by zrozumieć, co naprawdę się w życiu liczy. Na jego ustach pojawił się nagle najszerszy uśmiech świata.

Bart obserwował, jak lekka łódka Jacoby'ego, prując fale, mknie w kierunku Tygrysa. Pierwszy oficer wracał właśnie z codziennego spotkania z rybogonką Kally. Twierdził, że Kally poznała kiedyś Barta, i przekazał mu pozdrowienia od niej. Pirat jednak za żadne skarby świata nie potrafił sobie przypomnieć spotkania z taką istotą. A był przekonany, że mimo różnych dziwnych rzeczy, jakich doświadczył w swoim dwudziestotrzyletnim życiu, rybogonkę by zapamiętał.

Kiedy Jacoby zacumował łódkę i wspinał się na pokład Tygrysa, Bart zszedł z bocianiego gniazda. Nadeszła pora na zmianę wachty. Obaj młodzi piraci stanęli na pokładzie mniej więcej w tym samym czasie. Ujrawszy swego zastępcę, Cheng Li zarządziła przerwę w treningu. Członkowie załogi skwapliwie odłożyli broń i skorzystali z okazji, by nieco odetchnąć.

Jacoby podszedł prędko do pani kapitan, która łączywie piła wodę z manierki. Miał ponurą minę. Bart podszedł bliżej, podobnie jak Jasmine, Cate i Bo Yin. Każde z nich spoglądało na oficera wyczekująco.

Cheng Li odstawiła manierkę.

- No więc? Jakie masz dzisiaj wieści? - spytała.

Jacoby był tak poruszony, że tym razem nie owijał w bawełnę.

- Jesteśmy następnym celem - oznajmił.

Na pokładzie zapadła cisza. Załoga zamarła, słysząc złowieszcze słowa.

Sama pani kapitan nie wahała się ani przez moment. - Wszyscy słyszeli? Doskonale! - Sięgnęła po swój miecz i uniosła go tak, by zaśnił w popołudniowym słońcu. - Wiedzieliśmy, że ta chwila nastąpi. Jesteśmy gotowi. Wampiraci popełnili swój pierwszy błąd. Niebawem wszystko się zmieni. Bądźcie gotowi na przejście do historii piractwa!

Bart odwrócił się, słysząc pukanie do drzwi swojej kajuty.

- Proszę! - zawołał i prędko nakrył jakąś koszulą starą skrzynię, którą właśnie przeszukiwał. - Otwarte.

W drzwiach pojawił się Jacoby. Jego twarz i cała postawa zdradzały napięcie. Prywatna wizyta zastępcy kapitana - to było coś nowego.

- Co jest, stary? - spytał Bart. - Wyglądasz, jakbyś miał zaraz pęknąć.

- Jakbyś zgadł - odparł Jacoby. - Przepraszam, że zawracam ci głowę, ale naprawdę nie wiem, do kogo mam się zwrócić. Chodzi o Connora.

Cate pokręciła głową z niedowierzaniem.

- Connor nie wraca?

Bart przytaknął.

- Tak powiedział tej rybogonce.

- Ale dlaczego?

- Nie wiem. - Bartowi też nie mieściło się to w głowie. - Cate, nikt z nas tego nie wie. Ale musi chodzić o coś poważnego, skoro Connor podjął taką decyzję.

Rudowłosa piratka zmarszczyła brwi i przeniosła wzrok na ledwo widoczny ponad horyzontem skrawek słonecznej tarczy. Conocny taniec światła i cieni, nieba i wody nigdy się jej nie nudził.

- Ja również podjąłem dzisiaj dwie ważne decyzje - oznajmił Bart. Stali obok siebie na pokładzie, oparci o nadburcie. Cate spojrzała na swojego wieloletniego towarzysza broni - teraz już chłopaka. Nadal czuła się nieswojo, nazywając go w ten sposób - tak jak zawsze, gdy zakładała sukienkę. Ale ani przez moment nie wątpiła w swoje uczucie do Barta Pearce'a. Był jedyną niezmienną rzeczą w wiecznie zmieniającym się świecie.

Stały niczym maszt i silny jak żagiel. Tak właśnie go postrzegała.

- Co to za decyzje? - zapytała.

- Jadę po Connora - zaczął. - I proszę, nie próbuj mnie od tego odwozić. Ustaliłem już wszystko z Jacobym. Zabierze mnie jutro rano na spotkanie z Kally. Przemówię naszemu przyjacielowi do rozumu.

Umilkł. Cate również się nie odezwała.

Bart spojrzał jej w oczy. - Byłem przekonany, iż powiesz mi, że to szaleństwo. Że Connor potrafi sam o siebie zadbać, że są ważniejsze sprawy...

Dziewczyna się uśmiechnęła.

- A co może być ważniejszego od bezpieczeństwa i szczęścia bliskiej osoby? - spytała. Potem spojrzała na niego przekornie. - Poza tym niezastąpione w walce są Jasmine i Bo Yin. Gdyby one mi powiedziały, że dają nogę, porządnie bym je obsztorcowała. Ale ty to zupełnie inna bajka, stary głupcze.

Bart pogłodził Cate po policzku.

- A ja się łudziłem, że jestem dla ciebie najważniejszy - powiedział. - Ale poważnie, Cate. Nie opuszczam cię w godzinie próby. Wrócę przed zapadnięciem nocy z Connorem u boku. Razem skopimy wampiratom tyłki.

- Brzmi świetnie - odparła. - Ale sprawy z Connorem mogą być bardziej skomplikowane, niż ci się wydaje. Jeśli będzie potrzebował czasu, to mu go daj. Tylko przyprowadź go bezpiecznie do domu. I siebie też, skoro już o tym mowa. To rozkaz!

Bart z uśmiechem wyprężył się na baczność i zasalutował.

Cate zarumieniła się, chociaż powtarzała sama sobie, że powinna przywyknąć do wygłupów Barta. Ale cóż, może dlatego tak dobrze się dogadywali. On był hałaśliwy, towarzyski i trochę bezczelny. Ona - małomówna i zrównowazona. On wydobył ją ze skorupy, a ona pomogła mu się wyciszyć. Uśmiechnęła się, obejmując go w pasie.

- Powiedziałeś, że podjąłeś dwie ważne decyzje. Pierwsza dotyczy Connora. A druga?

- Wiesz co - szepnął miękko, patrząc jej głęboko w oczy - powiem ci po powrocie.
Kiedy minie to całe szaleństwo.

Uśmiechnął się do niej jeszcze raz. W jego spojrzeniu Cate dostrzegła obietnicę
wieczności.

„Stały niczym maszt i silny jak żagiel”.

Rozdział 35

Zakazany owoc

- Przyszedłem najszybciej, jak tylko mogłem - powiedział Johnny, wślizgując się do kajuty Grace.

- Dobrze, że jesteś - odparła, zamykając za nim drzwi.

Obecność Johnny'ego w jej kajucie sprawiała, że dziewczyna dziwnie się czuła. Dziwnie, ale też wspaniale. Była przejęta - jakby chłopak stanowił zakazany owoc. Zauważyła, że postarał się wyglądać jak najlepiej. Dla niej. Jakby szli na randkę. Włożył czarną dopasowaną koszulę, dzinsy i kowbojskie buty. Gdy podszedł bliżej, poczuła zapach wody kolońskiej o nucie drzewa sandałowego. Znała go już z ich wspólnych konnych przejażdżek.

Grace zauważyła, że Johnny przypatruje się jej równie intensywnie jak ona jemu. Uśmiechał się, ukazując przy tym ostre kły. Teraz już jej nie przeszkadzały, nie uważała też, że z ich powodu chłopak jest mniej przystojny. Szczerze mówiąc, dzięki nim wydawał się jeszcze bardziej pociągający.

- Wytrzymałaś do mojego przyjścia? - spytał Johnny.

Grace przytaknęła z uśmiechem.

- Grzeczna dziewczynka!

Wzruszyła ramionami.

- Cóż, obiecałam ci, prawda?

Chłopak skinął głową.

- No dobra. Więc jaki jest plan? Jak zakradniemy się do piwniczki, żeby nikt nas nie zauważył?

- Lola i jej ekipa są dziś na polowaniu - wyjaśniła. - Tym razem zapuściły się w głąb lądu, więc mamy kilka godzin.

- Widziałem ich powozy jadące drogą wzdłuż wybrzeża. Dobrze, że nie musimy się nimi przejmować. A co z piwniczką? Pewnie jest zamknięta?

- Nie przewiduję kłopotów z dostaniem się do środka - oznajmiła dziewczyna, sięgając do kieszeni i wyciągając z niej pęk kluczy. - Wzięłam je sobie wcześniej z kajuty macochy.

Johnny pokręcił głową - był pod wrażeniem. - Zapuściłaś się tam jako ciało astralne czy też masz więcej asów w rękawie? Grace zachichotała. - Nie, to była zwyczajna staromodna kradzież. - Zrobiła niewinną minkę. - Czasami klasyka najlepiej się sprawdza.

Johnny zagwizdał.

- Wiesz, Grace Tempest, kiedy cię poznałem, nie miałem pojęcia, co z ciebie za ziółko. Prawdziwa buntowniczką!

Grace się zarumieniła, słysząc ten komplement.

- Chodź - powiedziała, podając chłopakowi latarnię i biorąc drugą dla siebie. - Jest tu pewna piwniczka, która wręcz błaga, by się do niej włamać.

Pod pokładem Wagabundy było cicho jak w grobowcu. Schodząc na najniższy poziom statku, Grace i Johnny nie natknęli się na nikogo.

- Udało nam się! - zawołała podekscytowana dziewczyna, podając towarzyszowi latarnię i sprawdzając jeden z kluczy. Nie spodziewała się, że za pierwszym razem wybierze właściwy, ale zaledwie po kilku nieudanych próbach drzwi stanęły otworem.

- Otwarte - szepnęła Grace, czując nowy przypływ emocji. Chwyliła Johnny'ego za rękę. Chłopak ścisnął lekko jej dłoń. Razem weszli do ciemnego pomieszczenia.

Było obszerne, mniej więcej tak, jak sala bankietowa na Nokturnie. Zgodnie z przewidywaniami Grace znajdowały się tu liczne rzędy półek zastawionych butelkami.

Johnny zagwizdał z podziwu, kiedy mijali kolejne regały.

- Nie miałem pojęcia, że lady Lola zgromadziła tyle zapasów. Wiedziałem, że zwiększą produkcję, ale tutaj jest dosyć krwi, by zaopatrzyć nas na całe lata!

Grace zatrzymała się, puściła rękę towarzysza i sięgnęła po jedną z butelek. Spojrzała na etykietkę Winnicy Czarne Serce, a potem przeczytała opis na odwrocie.

- Młode, owocowe, ze szczyptą przypraw... - Spojrzała na Johnny'ego. - Co o tym sądzisz?

- Może być - odparł, biorąc butelkę z jej rąk.

- Co teraz? - spytała Grace. Z podniecenia przeszły ją ciarki. - Ma nakrętkę. Otworzymy ją tutaj i po prostu wypijemy, czy pójdziemy z nią do mojej kajuty?

Johnny zachichotał.

- Tutaj mi się podoba - oznajmił. - Lubię łamać zasady!

Grace ze zdziwieniem odkryła, że również się uśmiecha.

- Sama mówiłaś, że lady Lola i jej koleżanki nie wrócą jeszcze przez parę godzin. To znaczy, że nie musimy się spieszyć. - Chłopak uniósł wyżej latarnię. - Tam stoją kieliszki, a tu jest jakiś stary koc. Urządzimy sobie piknik w piwniczce. No dalej, partnerze!

Ruszył w głąb kajuty z butelką wina w jednej i latarnią w drugiej ręce. Grace podążała za nim, przejęta, jak jeszcze nigdy w życiu.

- Muszę to zrobić - powiedziała Darcy.

- Nie jestem przekonany, czy to mądre posunięcie - odparł Lorcan. - Choć oczywiście dobrze cię rozumiem. Poszedłbym z tobą, ale sama widzisz, w jakim jestem stanie. Nie chciałbym, żeby Grace takim mnie zobaczyła. Poza tym nigdy dobrze nie opanowałem techniki podróży astralnych.

- W porządku - zapewniła panna Flotsam. - Zostań tu, umyj się i odpocznij, bo kto jak kto, ale ty na to zasłużyłeś. Jeszcze nigdy nie widziałam, by ktoś pracował równie ciężko. Nic dziwnego, że z nocy na noc twoja muskulatura staje się coraz bardziej imponująca! - Delikatnie uszczypnęła go w ramię. - Porozmawiam z Grace. Jestem przekonana, że to nas wszystkich uspokoi.

Lorcan skinął głową.

- Mam nadzieję - rzekł, obejmując przyjaciółkę. - Ale bądź ostrożna, słyszysz? I powiedz Grace, że bardzo za nią tęsknię i chciałbym, żeby już była w...

Darcy spojrzała chłopakowi w oczy.

- W twoich ramionach? - odgadła.

- Cóż... Tak - odpowiedział, lekko zawstydzony.

- Spokojnie. - Panna Flotsam uśmiechnęła się ciepło. - Przecież wiem, jak wygląda sytuacja.

- Jesteś dla mnie bardzo ważna - oznajmił Lorcan. - Wiesz o tym, prawda?

Darcy przytaknęła.

- My dwoje jesteśmy jak rodzeństwo. Nim się zorientujesz, będę mówiła z irlandzkim akcentem!

- Uściskała chłopaka i uwolniła się z jego ramion. - A teraz, jeśli nie masz nic przeciwko temu, pójdę do swojej kajuty i się stąd zabiorę.

Lorcan przytaknął.

- Przyjdź do mnie zaraz po powrocie, rozumiano?

Panna Flotsam szczyliła się tym, że jest jednym z najlepszych podróżników astralnych w załodze Nokturnu. Chociaż wielu jej towarzyszy, wliczając Lorcanę, miało trudności z opanowaniem podstaw tej techniki, Darcy osiągnęła w niej już taką wprawę, że mogła wybierać pomiędzy dwiema metodami przemieszczania się. Pierwsza polegała na przenoszeniu się do znanego miejsca. W ten właśnie sposób Grace stawiała się co noc na spotkanie w kajucie kapitana.

Druga metoda była subtelniejsza. Projekcję kierowało się nie do miejsca, lecz do osoby. W ten sposób Darcy odwiedziła kiedyś Grace na pokładzie Diabła i tak zamierzała odnaleźć przyjaciółkę na Wagabundzie.

Ale nawet utalentowany i doświadczony podróżnik czasami popełnia błędy. Kiedy Darcy znalazła się nagle w ciemnościach i poczuła zapach zbutwiałego drewna, była przekonana, że właśnie coś takiego się jej przydarzyło - przeniosła się w niewłaściwe miejsce. Minęła chwila, nim dojrzała pod stopami deski. Ruszyła przed siebie, przemykając jakimiś wąskimi korytarzami. Wówczas usłyszała cichą rozmowę i śmiech.

Panna Flotsam z ulgą stwierdziła, że jeden z głosów należy do Grace. Fakt, miejsce było dziwne, ale dobrze trafiła - jej umiejętności wcale nie zawiodły. Pochwaliła się za to w myślach i ruszyła w kierunku głosów. Zdawała sobie sprawę, że Grace nie jest sama, ale nie przejmowała się zbytnio. Jeśli zachowa ostrożność, będzie mogła obserwować przyjaciółkę, a przy najbliższej okazji dać jej znać o swojej obecności.

Kiedy jej oczy przywykły do mroku i wzrok się wyostrzył, Darcy dostrzegła regały zastawione butelkami i zastanowiło ją, cóż takiego mogą zawierać. Potem jednak rozpoznała charakterystyczny kształt butelek, skojarzyła fakty i aż ją zemdlilo. Przypomniała sobie ponure opowieści Grace o nocnych polowaniach lady Lockwood. „A więc to jest ich magazyn” - pomyślała. To miało sens: mroczna i posępna atmosfera tego pomieszczenia przesycona była bólem i lękiem tych wszystkich nieszczęśników, których krew tutaj zgromadzono. Panna Flotsam wzdrygnęła się, lecz opanowała chęć natychmiastowej ucieczki. Wiedziała, że jej wizyta nie będzie należała do łatwych, ale naprawdę musiała pomówić z Grace. Dostrzegłszy odbłask światła za jedną z półek, na moment przystanęła. Była już blisko Grace, a jednak śmiech i głosy umilkły. Zdezorientowana, zerknęła w oświetlony kąt kajuty. I od razu tego pożałowała.

Jej przyjaciółka leżała na kocu, obok stała otwarta butelka oraz dwa do połowy opróżnione kieliszki. I oczywiście Grace nie była sama - towarzyszył jej młody mężczyzna. Darcy nie mogła mu się dobrze przyjrzeć, bo był odwrócony tyłem. A potem się poruszył i panna Flotsam ujrzała coś, na co nie była przygotowana. Ten chłopak całował Grace.

Darcy zmarszczyła brwi. Natychmiast pomyślała o Lorcanie i odruchowo zasłoniła usta dłonią. W tej samej chwili para na kocu odsunęła się od siebie. Panna Flotsam wiedziała, że powinna się ukryć, ale nie zrobiła tego. Tymczasem mężczyzna sięgnął po butelkę.

- Gotowa na dolewkę? - spytał.

Grace przytaknęła. - Tak, poproszę! - Potem usiadła i dostrzegła Darcy. Ze zdziwienia aż się zachłysnęła powietrzem. Panna Flotsam szybko znikła za regałem.

- O co chodzi? - Johnny spojrzał na towarzyszkę.

- Musisz już iść - powiedziała.

- Dlaczego?

Grace gorączkowo starała się coś wymyślić.

- To chyba ktoś z załogi Loli - odparła. - Musiała wcześniej wrócić.

Johnny rozejrzał się wokół zdezorientowany.

- Nikogo nie widzę - stwierdził. - Jesteś pewna, że to nie zwykły refleks światła?

- Zaufaj mi - rzekła Grace. - Musisz opuścić statek. - Wstała i zaczęła go ciągnąć za ramię.

- A ty? - zapytał, sięgając po buty, które zdjął wcześniej, by było mu wygodniej.

- Ja się jakoś wyłgam - powiedziała Grace. - Ale ty już idź. Teraz!

- Dobrze! Tylko przyjdź do mnie później. Jako projekcja astralna lub normalnie, bez różnicy. Po prostu daj znać, że wszystko w porządku.

Skinęła głową.

- Dobrze.

Kiedy Johnny wreszcie zniknął w ciemnościach, Grace wstała.

- Darcy - powiedziała. - Wiem, że tu jesteś. Wyjdź i się pokaż.

- Proszę bardzo. - Głos panny Flotsam był poważny. Dziewczyna wysunęła się zza regału.

Grace wyciągnęła ramię i spróbowała dotknąć szyi przyjaciółki.

- Dobrze. Zatem to tylko wizyta astralna.

- Tak - potwierdziła Darcy. - Ale to nie zmienia faktu, że cię widziałam. - W jej głosie pobrzmiwała gorycz.

Grace zmarszczyła brwi.

- Wyglądasz na jeszcze bardziej mną rozczarowaną niż zazwyczaj - zaczęła. - Dobrze wiem, że od kilku nocy aż cię skręca, żeby mi nawtykać. Tu nie ma Lorcana ani mistrza, więc możesz sobie ulżyć.

- Przyszłam się z tobą zobaczyć, bo się o ciebie martwiłam! - zawołała panna Flotsam, zirytowana agresją w głosie przyjaciółki. - I po tym, co tu zobaczyłam, widzę, że miałam rację.

- Wręcz przeciwnie - odparła Grace. - Powiedziałabym nawet, że świetnie daję sobie radę. - Uśmiechnęła się. - Zdobywam nowych przyjaciół.

- Grace! - Darcy z niedowierzania aż szerzej otworzyła oczy. - Myślisz, że jak poczułby się Lorcan, gdyby usłyszał twoje słowa? Gdyby wiedział o tobie i tym chłopaku?

- Cóż... Niedługo się przekonamy. Z pewnością marzysz o tym, żeby wrócić na Nokturn i wszystko mu wypaplać.

Przez chwilę panna Flotsam nie wiedziała, co powiedzieć. Pokręciła głową.

- Lorcan naprawdę coś do ciebie czuje. Otworzył się przed tobą jak przed nikim innym. Jesteś pewna, że chcesz tak po prostu go odtrącić?

- Nikogo nie odtrącam - rzuciła Grace. - Ja tylko tu zesłam na małego drinka.

- Widziałam cię. To nie kieliszek miałas przy ustach.

Rozwścieczona Grace zamachnęła się, by spoliczkować przyjaciółkę. Jednak dłoń dziewczyny przeleciała przez bezcielesną postać Darcy i wylądowała na jej własnym policzku. Piekielnie ją to zabolalo.

- Dobrze ci tak - powiedziała panna Flotsam. - Gdybym mogła, też bym cię spoliczkowała.

- Bo dobrze się bawię z Johnnym?

- Aaa... - Darcy pokiwała głową. - Zatem to jest Johnny. Powinam była zgadnąć.

Grace aż się zagotowała.

- Jak śmiesz mnie osądzać?! - krzyknęła. - Masz jakiegokolwiek pojęcie o tym, przez co przeszłam w ciągu ostatnich kilku miesięcy, a szczególnie tygodni? Masz? Nie sądzę! Ani ty, ani Mosh Zu, ani Lorcan! Wszyscy jesteście tak zajęci tymi swoimi „ważnymi” misjami, że w ogóle

was nie widuję, jedynie podczas nocnych zebrań. A Lorcan przestał na nie przychodzić. Jeśli ktoś kogoś odtrąca, to właśnie on mnie!

Panna Flotsam westchnęła.

- Grace, dobrze wiesz, że to nieprawda.

Dziewczyna pokręciła głową.

- Przestań udawać, Darcy! Takie są fakty i z pewnością jesteś zadowolona. Przecież Lorcan zawsze ci się podobał, może nie? Nawet nie próbuj zaprzeczać! Musiałaś być wściekła, kiedy wybrał mnie, a nie ciebie. Cóż, droga wolna! Jestem teraz z Johnnym i jeśli chcesz wiedzieć, jest tysiąc razy zabawniejszy od Lorcana Fureya. Pędź więc na Nokturn i bierz się do dzieła. - Założyła ręce na piersi. - Mam tylko nadzieję, że skończy się to dla ciebie lepiej niż ten katastrofalny romans z Jezem Stukeleyem.

W oczach panny Flotsam natychmiast pojawiły się łzy.

- Co oni ci zrobili? - spytała. - Zanim Sidorio i Lola Lockwood zabrali się za ciebie, byłaś taką dobrą i miłą osobą.

- Och, osusz łzy - odparła Grace bez krztyny współczucia - bo jeszcze twarz ci zbutwieje! Nigdy nie byłam dobra ani miła. Jestem córką Sidorio, a wiesz, co mówią: niedaleko pada jabłko od jabłoni.

Darcy z trudem wypowiadała kolejne słowa.

- To nie ty, Grace. To nie możesz być ty.

Nagle zauważyła na ustach dziewczyny zaschniętą czerwoną smużkę. Oczywiście! Panna Flotsam była tak zaskoczona tym, co zobaczyła, że całkiem zapomniała. Grace piła krew. Nagle wszystko nabrało sensu. Uśmiechnęła się z ulgą.

- Z czego tak się cieszysz? - spytała Grace.

- To nie ty mówisz, tylko krew. Ta okropna krew!

Grace przewróciła oczami.

- Wierz sobie, w co chcesz, Darcy, ale zostaw mnie już samą. Pewnie i tak zaczyna brakować ci energii.

- O, tak. Już sobie idę. Ale wróć. Możesz być tego pewna. - To mówiąc, rozplynęła się w powietrzu.

Grace została w kajucie sama. Uniosła dłoń do policzka, który nadal piekł ją od uderzenia. Głupia! Wróciła na koc i usiadła, sięgając po kieliszek. Czowała, jak aksamitny płyn spływa jej do gardła, i ogarnął ją spokój.

- Chyba wystarczy ci na jeden wieczór?

Spojrzała w górę i na chwilę zamarła. Przed nią stał Johnny i wyglądał lepiej niż kiedykolwiek. Jej zakazany owoc.

- Mówiłam ci, żebyś poszedł - odparła z uśmiechem, który chłopak natychmiast odwzajemnił.

- Nie zawsze robię to, co mi się każe.

- Ja też nie - odparła, rozprostowując nogi i podając mu jego kieliszek.

Johnny zajął miejsce obok niej i upił łyk.

- Podśledzałem fragment waszej burzliwej wymiany zdań - oznajmił.

Grace zarumieniła się i ponownie potarła policzek.

- A widziałeś, jak się uderzyłam? To dopiero musiało być zabawne!

- Wiesz co? - odparł radośnie. - Było!

Grace zmarszczyła brwi.

- Ale to boli!

- Podobają mi się kobiety, które potrafią przyłożyć, nawet samym sobie. - Johnny odstawił kieliszek, nachylił się i delikatnie pocałował Grace w policzek.

- Czy to pomaga na ból? - Nie jestem pewna - odparła. - Chyba będziesz musiał powtórzyć terapię, i to kilka razy.

- Żaden problem. - Nagle chłopak jakby spoważniał. - Grace, nie musisz odpowiadać, ale i tak cię o to spytam. Kiedy powiedziałaś, że jestem tysiąc razy zabawniejszy od Lorcana, mówiłaś prawdę?

Grace spojrzała w jego czekoladowobrązowe oczy. Pokręciła głową bardzo powoli i chociaż Johnny starał się to ukryć, dostrzegła zawód w jego spojrzeniu.

- Nie, Johnny - rzekła wreszcie. - Nie tysiąc. Milion razy.

Rozdział 36

Syn Sidoria

Connor siedział na skale przy plaży, na której zdawał Kally codzienne raporty. Dzisiaj - nie miał co do tego wątpliwości - spotkają się ostatni raz. Ale gdzie ona się podziewała? Zwykle była bardzo punktualna, a dziś spóźniła się już pół godziny. Czy powinien się o nią martwić? Zmarszczył brwi. Jeśli Kally była w niebezpieczeństwie, to jak mógłby jej pomóc? Ocean jest ogromny. Jak miałby w nim znaleźć jedną rybogonkę?

Godzinę później Kally nadal nie było. Siedzącemu w słońcu Connorowi zrobiło się gorąco. Postanowił popływać, zdjął więc koszulę i zanurzył się w chłodnej wodzie. Przez chwilę unosił się pod powierzchnią, napawał panującymi tu ciszą i spokojem. Zazdrościł Kally - to był jej żywioł. Mogła w nim przebywać, ile chciała, i nie musiała się przejmować ograniczeniami ludzkich płuc. Connor mimowolnie się uśmiechnął. W ciągu kilku ostatnich tygodni jego ciało przeszło wiele zmian. Nie miał już lęku wysokości i z dnia na dzień stawał się silniejszy. Jego rany prędko się goiły. Może więc mógł teraz dłużej przebywać pod wodą? Postanowił spróbować. Rzucił okiem na zegarek i zaczął oddalać się od brzegu.

Dziesięć minut później wystawił głowę ponad powierzchnię. Wcale nie z braku powietrza - nie, nic z tych rzeczy. Po prostu zrobiło mu się zimno i chciał wrócić na słońce. Zachwycony kolejnym przejawem swoich niezwykłych umiejętności, położył się na wodzie. Rozłożył nogi i ramiona jak rozgwiezda, pozwalając, by fale go unosiły, a południowe słońce ogrzewało.

Po jakimś czasie znużył się beczynnością i popłynął z powrotem do skały. Usiadł na niej, by się wysuszyć, i w jednej chwili zmorzył go sen.

- Connor! - Obudził się i ujrzał przed sobą znajome tęczowe oczy spoglądające spod nastroszonej czupryny.

- Kally! - zawołał z ulgą. - Spóźniłaś się! Martwiłem się o ciebie.

- Naprawdę? - Rybogonka wydawała się zadowolona, słysząc to zapewnienie. - Cieszę się, że przyszedłeś, a jeszcze bardziej, że zaczekałeś. Mam dla ciebie niespodziankę.

- Niespodziankę? - Spokój, jaki chłopak odczuwał, zniknął w jednej chwili. Minęły już czasy, kiedy niespodzianki sprawiały mu radość.

Kally przyłożyła palce do ust i głośno zagwizdała. Connor obserwował ją z zaciekawioną miną, a potem wstał i spojrzał w tym samym co ona kierunku. Wkrótce dostrzegł znajomą łódź.

Chłopak zmarszczył brwi.

- Kally - powiedział. - Coś ty zrobiła?

Wzruszając ramionami, rybogonka znikła pod wodą. Łódź znajdowała się już wystarczająco blisko, by Connor mógł rozpoznać, kto w niej siedzi. To był Bart, dający mu znaki dłonią.

W innym miejscu i czasie Connor poczułby się uszczęśliwiony widokiem przyjaciela. Ale nie tutaj i nie teraz.

Mimo wszystko uniósł rękę i również pomachał. Potem wskoczył do wody i popłynął na plażę. Stał tam, kiedy Bart cumował łódkę i szedł do niego przez płyciznę.

Młody pirat uśmiechnął się i zdusił Connora w niedźwiedzim uścisku.

- Jak dobrze cię widzieć! - powiedział.

- Ciebie również, ale nie powinieneś być tu przyływać.

Bart zmarszczył brwi.

- A czego się spodziewałeś? Że wyślesz wiadomość, że zostajesz tutaj, a my to po prostu zaakceptujemy?

Connor zmrużył oczy - raziło go słońce. Nie wiedział, co powiedzieć. Zawsze mógł oczywiście wyznać prawdę, ale ta rozmowa nie byłaby prosta.

- Zbyt wiele dla nas znaczysz, stary druhu - ciągnął pirat. - I miałem nadzieję, że po tym wszystkim, przez co razem przeszliśmy, będziesz czuł tak samo.

- Słońce jest tu bardzo ostre - odparł chłopak. - Przejdźmy się.

Tamten skinął głową i ruszyli razem wzdłuż plaży.

- No więc? Powiesz mi, co cię gryzie? - spytał po chwili Bart.

- To skomplikowane - odparł Connor. - Nie wiedziałbym nawet, od czego zacząć.

- Po prostu pogadaj ze mną, tak jak zawsze to robiłeś.

Chłopak odetchnął głęboko.

- Po pierwsze, co musisz wiedzieć, że wcale was nie odtrącam. Wręcz przeciwnie. Chodzi tylko i wyłącznie o mnie i o to, przez co teraz przechodzę.

Bart się zaniepokoił.

- Od początku martwiła mnie ta misja. Wiedziałem, że Cheng Li popełnia szaleństwo, wysyłając cię tutaj samego.

Connor zdecydowanie pokręcił głową.

- Nie chodzi o misję - odparł. Pirat zatrzymał się i spojrzał na przyjaciela. - Nie rozumiem. Chłopak stanął naprzeciw niego. - Ostatnio bardzo się zmieniłem. Bart położył dłoń na ramieniu Connora. - Wiem, stary. Dorastałeś na moich oczach od pierwszej nocy na pokładzie Diabła. Pamiętasz?

Chłopak przytaknął. Przyjaciel objął go ramieniem i ruszyli dalej przed siebie.

- Byliśmy razem, kiedy umarł Jez, i pomogliśmy sobie nawzajem. No i chyba wiesz, jak bardzo się o ciebie martwiłem, kiedy po raz pierwszy zabiłeś człowieka.

Connor skinął głową.

- Wiem.

- Jesteś dla mnie jak brat, Connorze Tempeście - rzekł Bart. - Przybyłem tu po to, żeby ci pomóc, niezależnie od tego, przez co przechodzisz. Cate czuje podobnie. I Jacoby, i Cheng Li, i Bo Yin. Wszyscy chcą, żebyś wrócił do domu.

Chłopak odetchnął głęboko.

- A Jasmine? - spytał. - Mówiła ci coś o moim powrocie?

Bart pokręcił głową.

- Nie, ale wiem, że cię lubi. Czemu pytasz?

Connor postanowił odrzucić skrupuły.

- Kiedy popłynęliśmy na Lantao, coś się między nami wydarzyło.

- Rozumiem. - Pirat zmrużył oczy. - Cóż, Jasmine nic mi nie wyjawiała, a z tego, co wiem, ona i Jacoby nadal są parą. - Widząc, że przyjaciel aż się wzdrygnął, dodał: - Connor, rozumiem, że czujesz się rozdarty. Jesteś porządnym facetem, a Jacoby jest twoim kumplem. Jeśli ty i Jasmine coś do siebie czujecie, to w porządku. Wróć i rozwiąż ten problem. Z doświadczenia wiem, że takie sytuacje wydają się trudniejsze, niż są w rzeczywistości.

Chłopak uśmiechnął się smutno.

- Dzięki za radę. Ale to bardziej skomplikowane.

Bart wzruszył ramionami.

- Plaża jest długa, a mnie się donikąd nie spieszy.

Connor zatrzymał się nagle i powiódł spojrzeniem po wodzie.

- Gdzie jest Kally?

- Spokojnie - odparł pirat. - Gdzieś się pluska. Powiedziałem jej, że chcę zamienić z tobą kilka słów na osobności.

- Powinniśmy zawrócić - rzekł Connor. - Muszę wracać na Krwawego Kapitana. A ty powinienes wsiąść na łódkę i płynąć na Tygrysa.

Bart pokręcił głową.

- Ledwie zaczęliśmy rozmawiać - zaproponował. - Przypląnąłem tu dla ciebie. Daj nam więcej czasu.

- Nie mamy go. Wiesz o jutrzejszym ataku na Tygrysa. Powinienes tam być i walczyć.

- Zdążę wrócić - odparł pirat zdecydowanym tonem. - Razem z tobą.

- Ja nie wracam - powtórzył Connor. - Rozumiem, że trudno jest ci to pojąć, ale są pewne rzeczy, których o mnie nie wiesz.

- Więc mi powiedz. - W głosie Barta pobrzmiwała frustracja. - Bo jak dotąd sprzedajesz mi tylko jakieś nedorzeczne gadki o sobie i Jasmine Peacock. Nie wsiądę do tej łodzi, dopóki nie podasz mi lepszego powodu, dla którego chcesz zostać. - Spojrzał Connorowi głęboko w oczy i chłopak zrozumiał, że przyjaciel nie zmieni zdania.

- No dobrze - poddał się wreszcie. - Powiem ci wszystko. Ale potem odpłyniesz stąd beze mnie.

- Mów.

- Słyszałeś, jak Cheng Li przekonała Sidorina, że jestem jego synem.

Bart aż prychnął z uciechy.

- A on uwierzył. Jasne. Głupich nie sieją. Najwyraźniej dotyczy to też nieśmiertelnych.

Connor poczuł, że serce wali mu jak młotem. Następne słowa miały wszystko zmienić.

- Uwierzył, ponieważ to prawda. Jestem synem Sidorina.

Na chwilę piratowi odjęło mowę.

- To żart, prawda? Powiesz mi, kiedy będę mógł zacząć się śmiać?

Connor pokręcił głową.

- To nie żart. Nasza matka urodziła mu dwoje dzieci. Grace i ja jesteśmy dampirami - pół śmiertelnikami, pół wampirami. Historia jest o wiele dłuższa, ale tak wygląda w skrócie. Bart był w szoku.

- Od kiedy o tym wiesz? - spytał wreszcie.

- Od niedawna - odparł Connor. - Cheng Li dowiedziała się o wszystkim przede mną. Wyjawiała prawdę mnie i Sidorowi, kiedy wycofywaliśmy się po ataku na jego ślubie.

- Wiedziałaś przez cały ten czas i nic mi nie powiedziałaś?

- A co miałem powiedzieć? Czy mógłbyś to zrozumieć? - Jestem twoim kumplem.

Niezależnie od tego, co się dzieje, chcę być przy tobie. Dobra, przyznaję, że to, co powiedziałaś, mocno mną wstrząsnęło. Jesteś pół człowiekiem, pół wampirem. Ale to chyba lepsze niż bycie wampirem w stu procentach, no nie?

Connor wzruszył ramionami.

- Może. Nie wiem. Jak już mówiłem, sporo się zmieniło - powtórzył. - Mój lęk wysokości...

- Co z nim?

- Zniknął. Poza tym jeśli sądziłeś, że wcześniej byłem silny, to powinieneś zobaczyć, co teraz potrafię. Moje ciało jest też zdolne do odnowy.

Bart zagwizdał z podziwu.

- Masz moce superbohatera - stwierdził. - Connor, przecież to wspaniałe! Kiedy wrócisz na Tygrysa, będziesz nie do zatrzymania.

- Powtarzam ci przecież, że nie wrócę. - W głosie chłopaka pojawiła się nuta zniecierpliwienia.

Pirat spojrział na niego z żalem.

- Nadal nie rozumiem dlaczego. Jestem w stanie wyobrazić sobie, że to wszystko mogło zachwiać twoim postrzeganiem świata i wytrącić cię z równowagi. To logiczne. I jeszcze zmagasz się z tym sam...

- Nie jestem sam - przerwał Connor. - Jest tu Grace. I Stukeley.

- Jez? - Bart przez chwilę wydawał się zaskoczony. - No tak.

- Pomagał mi przez to przejść - dodał chłopak. - Jakkolwiek by patrzeć, niedawno sam przeszedł przemianę.

- Ale on jest zwykłym wampirem, prawda? - spytał pirat. - Nieampirem jak ty.

Chłopak przytaknął.

- Prawda, jednak coś nas łączy.

- Ze mną i pozostałymi piratami łączy cię bardzo wiele - oznajmił Bart z naciskiem.

Connor nie mógł dłużej owijać w bawełnę.

- Tak. Ale również wiele nas dzieli. Właśnie to, co nas dzieli, wiąże mnie na całą wieczność ze Stukeleyem, Sidoriem i resztą wampiratów.

- Nie musisz tego mówić. - Jego przyjaciel zamknął oczy.

- Muszę - odparł chłopak. - Bo jeśli to powiem, może w końcu zrozumiesz, że już nie nigdy nie będzie takie samo. Jeśli to powiem, może po prostu wskoczysz do swej łódki, odpłyniesz i zapomnisz, że kiedykolwiek znałeś kogoś, kto się nazywał Connor Tempest.

- Nie. - Bart zasłonił uszy dłońmi. - Nie chcę tego słuchać. - Czuję głód krwi! - krzyknął Connor. Chwycił pirata za nadgarstki, próbując zmusić go do słuchania. - Ja, Connor Tempest, potrzebuję i pragnę krwi!

Bart opuścił ramiona i pokręcił głową. Miał w oczach łzy.

- Nie ty - szeptał. - Nie ty.

Connor zrobił surową minę.

- Nie chciałem, żebyś przez to przechodził, i nie chcę, by inni stanęli przed taką koniecznością. Dlatego najlepiej będzie, jeśli tu pozostanę.

Pirat skinął głową. Na jego twarzy malowało się przygnębienie.

- Wracam na statek - oznajmił Connor. - Wkrótce się ściemni i będą się zastanawiać, gdzie się podziałem. - Jeszcze raz spojrzął na przyjaciela. - Jestem beznadziejny w pożegnaniach - powiedział. - Dlatego po prostu odwrócę się i pójdę wzdłuż plaży, a ty wsiądziesz do łodzi i odpłyniesz. Dobra?

- W porządku. - W tych dwóch słowach zawarł się cały smutek świata. Bart stał na plaży i bezradnie patrzył, jak Connor wyrusza w swą samotną podróż.

Rozdział 37

Nieproszony gość

Connor wyszedł na pokład Krwawego Kapitana. Odczuwał ogromny smutek po bolesnym rozstaniu z Bartem. Nie było łatwo powiedzieć staremu druhowi, żeby odszedł i o nim zapomniał. Chłopak nigdy nie czuł się bardziej samotny. Właśnie teraz, kiedy potrzebował przyjaciół, coś w jego wnętrzu krzychało, że dla ich własnego dobra powinien się odsunąć.

Pokład był jeszcze pusty i Connor się cieszył, że przyszedł tu jako pierwszy. Chłodna nocna bryza owiewała statek; chłopak odetchnął kilka razy głęboko, by uporządkować myśli. Ruszył wzdłuż nadburcia, patrząc na ocean. Niebo było już aksamitnie czarne i zlewało się z powierzchnią wód, które niczym nie przypominały spokojnej błękitnej tafli. Connor miał wrażenie, że spogląda w bezdenną otchłań. Zadrzał.

Nagle poczuł na ramieniu czyjąś dłoń. Natychmiast się odwrócił.

- Dobry wieczór, Connorze.

Chłopak napotkał zimne, obcesowe spojrzenie Obsydiana Darke'a.

- Dobry wieczór, poruczniku Darke.

- Wydajesz się zdenerwowany - stwierdził wampirat. - Czy coś cię trapi?

- Nie. - Connor pokręcił głową. - Po prostu czekam na pozostałych, żebyśmy razem poszli na tiffin.

- Tiffin - powtórzył Obsydian. - Moim zdaniem to bzdura. Banda wampirów zachowująca się jak na prozowanej herbatce. Kompletna strata czasu, nawet dla tych z nas, którzy mają do dyspozycji całą wieczność.

- Skoro tak - spytał chłopak - to czemu pan chodzi na przyjęcia Loli?

Darke na chwilę się zadumał. Potem wzruszył ramionami.

- Twój ojciec chce, żeby tam bywał, a wszyscy musimy tańczyć tak, jak on nam zagra.

Czyż nie mam racji? Jest przecież królem wampiratów. Przynajmniej na razie. .

Connor zmarszczył brwi.

- Wszyscy mamy wolną wolę - powiedział. - Jesteśmy panami samych siebie.

Obsydian nieznacznie uniósł kącki ust w uśmiechu.

- Jesteś jeszcze młody, Connorze Tempeście. Bardzo, bardzo młody. - Odsunął się. - Nie zaczekam z tobą na pozostałych. Im prędzej tam dotrę, tym prędzej będę mógł wyjść. - Odwrócił się i poszedł na przeciwną stronę pokładu, gdzie pomiędzy obydwojema statkami przerzucona była kładka.

Chłopak ponownie spojrzął na ocean, zadowolony, że uwolnił się od przytłaczającej obecności Darke'a. Niedługo jednak był sam. Słyszając kroki, odwrócił się, by sprawdzić, kto do niego dołączył.

I zamarł.

- Co ty wyrabiasz? Kazałem ci odejść!

- Wiem - przyznał Bart. - Ale nie mogłem tak po prostu cię zostawić. Jesteś dla mnie zbyt ważny. Dla nas wszystkich. Chcę z tobą porozmawiać.

Connor pokręcił głową.

- Rozmowa niczego nie rozwiąże - powiedział.

- Moglibyśmy dyskutować całymi dniami, a nie znajdziemy wyjścia z tej sytuacji.

- Stary, nie jestem gotów, żeby z ciebie zrezygnować - oznajmił pirat, obejmując przyjaciela ramieniem.

Chłopak uwolnił się z uścisku.

- Musisz się stąd natychmiast wynieść! - syknął.

- Z każdą chwilą narażasz nas obu na coraz większe niebezpieczeństwo.

Bart oparł się nonszalancko o nadburcie, wyraźnie pokazując, że nie zamierza nigdzie się ruszać. Connor zmarszczył brwi. Co mógł zrobić? Wiedział, że przyjaciel postępuje tak z dobroci serca, ale to, co robił, było czystym szaleństwem, w dodatku bardzo niebezpiecznym. Nagle za jego plecami otworzyły się drzwi. Chłopak spojrzął na wyłaniające się z mroku dwie postacie. Stukeley i Johnny dostrzegli go i pomachali mu na powitanie, a potem podeszli. Connora przeszył lodowaty dreszcz.

- Kto jest z tobą? - zapytał Stukeley.

Bart odwrócił się twarzą do Jeza. Johnny ani drgnął, ale twarz Stukeleya zbieleła jak prześcieradło.

- Co ty tu robisz? - spytał chłodno.

Pirat wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Tak się witasz ze starym kumplem? Ja na pokładzie Diabła powitałem cię znacznie serdeczniej.

Stukeley pozostał niewzruszony.

- Od tego czasu upłynęło wiele wody - powiedział. - Nie jesteś tu mile widziany.

Szczególnie obecnie, gdy stanowisz część oddziału pogromców wampirów z Tygrysa. - Zmierzył intruza nieprzyjaznym wzrokiem.

Connor spoglądał to na jednego przyjaciela, to na drugiego. Bart od niechcienia wzruszył ramionami i położył dłoń na ramieniu dawnego kompana.

- Twoja pamięć stała się bardzo wybiórcza, mój drogi - powiedział. - Czy to aby nie ty i twój przyjaciel kowboj dobiliście targu z moją kapitan, Cheng Li, dowódcą tego oddziału? Czy aby nie połączyliście sił, by wspólnie unicestwić lady Lolę Lockwood, żonę waszego ukochanego szefa?

Stukeley wymienił z Johnnym spojrzenie. Kiedy ponownie przeniósł wzrok na Barta, nie padły żadne słowa. Wyglądało na to, że doszło do swego rodzaju zawieszenia broni.

- Czy twój amigo dołączy do nas podczas tiffinu? - spytał Johnny wesoło.

- Nie - odparł Connor.

- Tak - oznajmił Bart.

- Nie! - powtórzył chłopak zdecydowanie.

Stukeley uśmiechnął się przebiegle.

- Właściwie uważam, że Bart powinien pójść z nami. Może być zabawnie.

Johnny uśmiechnął się szeroko.

- Zgoda, ale nie w tych ciuchach. Jego strój nie przeszedłby nawet jako „styl swobodny”.

Wiecie, że lady Lola bardzo zwraca uwagę na konwenanse.

- To może któryś z was pożyczy mi coś do ubrania? - spytał pirat.

Johnny ponownie się uśmiechnął.

- Jak widzisz, hombre, jesteś od nas trochę większy. Chętnie ci coś pożyczę, ale nie jestem pewien, czy się pozapinasz.

Stukeley potwierdził.

- Ma rację. Na statku jest tylko jedna osoba, która nosi twój rozmiar.

Jakby na zawołanie, drzwi na pokład ponownie się otworzyły i stanął w nich Sidorio. Ubrany był, jak zawsze, w efektowny strój uszyty na miarę przez ulubionego krawca Loli i pachniał na kilometr wodą po goleniu.

- Dobry wieczór wszystkim - przywitał się. Zauważywszy Barta, uniósł ze zdziwieniem brwi. - A ty coś za jeden?

Connor odpowiedział, zanim inni mieli szansę się odezwać:

- To mój przyjaciel Bart - oznajmił. - Przyjechał mnie odwiedzić. Zostanie tylko na jedną noc. Założyłem, że nie będziesz miał nic przeciwko temu.

Sidorio otaksował przybysza wzrokiem, a potem uśmiechnął się do Connora.

- Nie ma problemu. - Wyciągnął do gościa rękę. - Przyjaciele mojego syna są zawsze mile widziani.

Chłopak obserwował w napięciu, jak Bart i Sidorio ściskają sobie dłonie. To całe spotkanie wydawało się takie nierzeczywiste! Zastanawiał się, czy Stukeley powie dowódcy prawdę, ale porucznik milczał. To Johnny przerwał niezręczną ciszę.

- Kapitanie, właśnie mówiliśmy, że Bartowi przydałoby się coś bardziej eleganckiego na tiffin. Nie chcielibyśmy urazić lady Loli. Chłopak nie wiedział, że powinien był zapakować wyjściowy strój. Może mógłby pożyczyć od pana jakąś koszulę i gatki?

- Gatki? - zdziwił się Sidorio.

- Chodziło mu o spodnie - wyjaśnił Stukeley.

- Amerykanie mają przedziwny zwyczaj nazywania spodni gatkami.

- Aaa! - Kapitanowi wyraźnie ulżyło. - Connor, wiesz, gdzie jest moja kajuta. Zaprowadź tam przyjaciela i znajdź mu jakiś strój. My trzej pójdziemy już na Wagabundę. Jak wiesz, Lola nie znosi, kiedy każe jej się czekać.

- Tak, ojciec - odparł chłopak. Zrobiłby teraz wszystko, żeby zachować spokój i nie dopuścić do jakiegokolwiek sprzeczeki. Widział jednak, że na dźwięk tych słów Bart się wzdrygnął.

Zaprowadził go przez pokład do wnętrza statku.

Kiedy już byli bezpieczni poza zasięgiem wzroku i słuchu pozostałych, Connor ponownie odwrócił się do pirata.

- To czysty obłąd! - powiedział. - W tej chwili Stukeley i Johnny wyjawiają Sidoriovi twoją tożsamość.

Bart wzruszył ramionami.

- Możliwe - odparł. - Zakładam jednak, że kapitan nie ma pojęcia o ich tajnym pakcie z Cheng Li. Ta bomba powinna zapewnić mi przez kilka godzin bezpieczeństwo, nie uważasz? - Uśmiechnął się.

Connor pokręcił głową.

- Nie masz tu do czynienia ze śmiertelnymi umysłami - rzekł. - Musisz zrozumieć, że na Krwawym Kapitanie wszystko wygląda inaczej.

- Nie martw się o mnie. Umiem o sobie zadbać. Zmierzymy się z tą sytuacją krok po kroku. Nasze następne zadanie to znalezienie czegoś, co będzie na mnie pasowało, ale nie będzie uszyte ze skóry i łańcuchów. I żadnych piór!

Gdy do kajuty w towarzystwie Mimmy i Nathalie weszła Grace, Lola odkleiła się od Sidorii. Z uśmiechem zadowolenia dostrzegła, że wszystkie trzy młode damy wyglądają jak odlane z jednej formy - podobne w stylu i zachowaniu. Dziewczęta doskonale ukształtowały jej pasierbicę.

- Grace, moja droga, jak uroczo dziś wyglądasz! Twój ojciec jest zapewne wzruszony, że znów założyłaś broszkę jego matki. I widzę, że Mimma namalowała ci nasz tatuaż.

- Tak - odparła dziewczyna z roziskrzonym spojrzeniem. - Myślę, że powinnam zrobić sobie taki na stałe.

- Zapewne - odparła lady Lockwood, odciągając pasierbicę na stronę. - Skarbie, musimy porozmawiać.

Grace przewróciła oczami.

- Co zrobiłam tym razem? - spytała.

- Hmm... - Lola skrzyżowała ramiona na piersi.

- Pomyślmy. Dam ci wskazówkę. Sprawa dotyczy kluczy do mojej piwniczki na wino oraz pewnego smagłego vaquero.

Grace zrozumiała, że z tego nie uda jej się wykpić.

- Przepraszam. - Spuściła głowę.

Lady Lockwood zrobiła surową minę.

- Mówiłam ci już, Grace. Moją załogę obowiązują pewne zasady. Członków rodziny tym bardziej. - Jej twarz nagle złagodniała, a obleczona w jedwabną rękawiczkę dłoń spoczęła na ramieniu dziewczyny.

- Jeśli chciałaś krwi, wystarczyło poprosić. Przecież jestem największą znawczynią na świecie. Bieganie po piwnicach z Johnnym... Tacy jak my nie postępują w ten sposób!

W szeroko otwartych oczach dziewczyny znów pojawiły się oznaki głodu.

- Naprawdę... wystarczyło poprosić?

- Oczywiście! - Z radosnym uśmiechem pani kapitan przywołała Jacqueline, która przyniosła srebrną tacę z butelką i dwoma kieliszkami. Lola nalała niewielką ilość rubinowego płynu do każdego z wytwornych kryształowych naczyń, po czym podała jedno pasierbicy.

- Poczekaj! - powiedziała stanowczym tonem. - Najpierw przechyl kieliszek i rozkołysz płyn. Poczuj aromat. Dopiero potem możesz pić.

Lady Lockwood z wdziękiem upiła mały łyżeczek. Grace natomiast wychyliła zawartość kieliszka duszkiem. Lola wymieniła spojrzenie z Jacqueline.

- Jaki ojciec, taka córka - stwierdziła z irytacją. - Właśnie tego było mi trzeba! Kolejne wyzwanie.

Niespodziewanie podeszła do nich podekscytowana Mimma.

- Przepraszam, pani kapitan, ale mąż o panią pyta. Proszę sobie wyobrazić, że Connor pojawił się z przyjacielem.

- Naprawdę? - Ciekawość Loli została rozbudzona, więc wampirzyca zwróciła się szybko do Grace:

- Jacqueline będzie ci napełniać kieliszek podczas dzisiejszego tiffinu. Ale musisz nauczyć się pić, a nie pochłaniać. Nie zniosę kolejnego nieokrzesanego żarłoka w rodzinie. - Z tymi słowami odeszła i dołączyła do męża.

- Najdroższa. - Sidorio położył dłoń na plecach żony. - Chciałbym, żebyś poznała dobrego przyjaciela Connora. Oto Bart Pearce. Zostanie z nami tej nocy.

Lola z czarującym uśmiechem podała gościowi dłoń.

- Witaj na Wagabundzie, Bart. - Zaśmiała się zalotnie. - Słyszałam, że mistrz Escoffier poda dziś surowe mięso, ale nie podejrzewałam, że to właśnie miał na myśli.

Bart skłonił się i pocałował ją w rękę.

- Miło mi panią poznać, lady Lockwood. To znaczy, lady Sidorio. Connor wiele mi o pani mówił.

- Czyżby? - Pani kapitan uniosła zagadkowo brew.

- Proszę, mów mi Lola. - Ujęła go pod ramię. - Znajdźmy ci coś do picia - rzekła, prowadząc pirata w głąb kajuty. Connor i Sidorio szli o krok za nimi.

Bart spojrział przepaszająco na gospodynię.

- Nie chcę być niegrzeczny, ale nie pijam tego, co tutaj serwujecie.

Lola machnęła dłonią.

- Wiem, że to głupie, ale trzymam w mojej piwniczce także bardziej konwencjonalne trunki. Kiedy mąż uprzedził mnie, że się pojawisz, kazałam dziewczętom zejść na dół i przynieść butelkę irańskiego szirazu, rocznik dwa tysiące pięćset pięć. Zakładam, że to lepiej utrafi w twój gust.

- Ależ oczywiście! - zapewnił z ulgą uradowany Bart.

Lady Lockwood strzeliła palcami i w jednej chwili u jej boku pojawiła się Zofia z butelką i kieliszkiem.

- Bart, oto Zofia. Zofio, oto Bart. Dzisiejszego wieczoru to dziewczę zadba, by twój kielich nie był ani przez chwilę pusty.

Wampiratka przytaknęła, uśmiechając się słodko. Lola obróciła Barta i lekko pchnęła go w kierunku stołu.

- Gdybym tylko wcześniej wiedziała o twojej wizycie, kazałabym szefowi kuchni przygotować więcej jedzenia.

Wzrok pirata padł na uginający się pod ciężarem potraw stół. - Według mnie jest go mnóstwo - stwierdził Bart. Lady Lockwood położyła mu dłoń na przedramieniu. - Tak postawny mężczyzna powinien dobrze jeść - rzekła. - Ale nie martw się. Grace ostatnio nie dopisuje apetyt, więc z pewnością odstąpi ci swoją porcję!

Zobacz, tam stoi. Jest siostrą bliźniaczką Connora, chociaż trudno to zauważyć.

Pirat skinął głową.

- My się już znamy - powiedział.

- Naprawdę? Och, czyż życie nie jest zaskakujące? A mówią, że sześciu znajomych dzieli nas od każdej osoby na świecie. Phi! Co najwyżej dwóch! Grace! Grace, kochanie, podejdź do nas i przywitaj się z kolegą.

Dziewczyna podeszła do nich, ciągnąc za rękę Johnny'ego.

- Witaj, Grace! - rzekł Bart, otwierając ramiona.

Ona jednak spojrzała dziwnie i nie uściskała go.

- Bart, co za niespodzianka. Poznałeś już mojego przyjaciela, Johnny'ego Desperado?
Pirat przytaknął.

- Owszem - odparł i spojrzał na byłego kowboja. - Jak mija noc?

- Bardzo miło, dziękuję - odparł tamten, unosząc kurtuazyjnie stetsona. - A tobie?

- Jest bardzo... pouczająca - odparł Bart.

Lola wyciągnęła rękę i zdjęła Johnny'emu kapelusz z głowy. Nie patrząc, z gracją rzuciła go w kąt kajuty, gdzie wylądował na wieszaku.

- Johnny, skarbie. Znasz zasady. Żadnych kapeluszy w pomieszczeniach. Szczerze mówiąc, zagadką pozostaje dla mnie, czemu upierasz się przy zakrywaniu tak uroczej głowy. -
Przezesłała palcami jego gęste, ciemne loki.

Grace zmarszczyła brwi i mocniej ścisnęła rękę chłopaka.

- Nie miałaś czasem powiedzieć mi czegoś na osobności? - rzuciła ostro.

- Ja? Hmm... Tak, jasne. - Razem odeszli w kąt kajuty.

Lady Lockwood uśmiechnęła się szeroko do Barta.

- Prawda, że śliczna z nich para? - spytała czule. - Cóż, Bart. Usiądź, proszę. - Obejrzała się przez ramię. - Ty też, Connorze. Wiesz, jak wspaniałe są przysmaki naszego szefa kuchni.

- Wiem - przytaknął chłopak i usiadł obok przyjaciela.

- Utniemy sobie pogawędkę później - obiecała Lola, gładząc ramię pirata. Potem ujęła Sidoria pod rękę i oboje odeszli.

Bart szturchnął Connora. - Stary, nie jest wcale tak źle - powiedział. - Świetne żarło. Dobre wino. Piękne panie. A ta twoja macocha, lady Lola, to niezły numer. W zasadzie cieszę się, że na ślubie zawaliliśmy sprawę.

Chłopak zmarszczył brwi.

- Nie daj się zwieść pozorom - przestrzegł. - I nie trać czujności ani na chwilę, bo nim zdążysz przestać się śmiać, stracisz życie.

Bart wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Chłopie, już ci mówiłem. Potrafię o siebie zadbać. A teraz podaj mi krewetkę i wyluzuj.

Rozdział 38

Czwarty bukanier

Bart pochylił się do przyjaciela. - Grace bardzo się zmieniła, no nie? Connor wzruszył ramionami. - Tak? - Ciuchy, włosy, czarne serce na oku, chłopak wampirat... Tak, zmieniła się od naszego ostatniego spotkania.

Chłopiec spojrział na siostrę. Stała, trzymając Johnny'ego za rękę, otoczona wianuszkiem nieśmiertelnych przyjaciółek, i coś im opowiadała. One zdawały się chłonać każde jej słowo. Najwyraźniej w społeczności wampiratów Grace została miss popularności. Wyglądało na to, że dobrze się bawi. Connor nie miał wątpliwości, że przemiana w dampira była dla niej łatwiejsza niż dla niego.

- Stary, myślisz, że ona ma w kieliszku krew? - spytał Bart.

- Nie wiem - odparł chłopak ze znużeniem. - Co to za nowa obsesja na punkcie Grace? - Mimo woli ponownie spojrział na siostrę, akurat w chwili gdy piła. W jej oczach wyraźnie dostrzegł oznaki głodu. Czy Grace naprawdę piła krew niczym sok winogronowy? Jeśli tak, nie mógł jej za to potępić. Omiótł wzrokiem pomieszczenie i nagle zdał sobie sprawę z wszechobecności życiodajnej substancji. Była w kieliszkach i w butelkach. Czuł jej zapach, czuł w ustach jej smak. Pragnął jej. Natychmiast.

- Connor? - Poczul na ramieniu uścisk Barta. - Stary, słyszałeś, co powiedziałem?

Chłopak z trudem powrócił do rzeczywistości. Spojrział na przyjaciela i dostrzegł jego minę.

- Co jest? - spytał. - Wyglądasz, jakbyś zobaczył ducha.

- Jakiego tam ducha! Przez chwilę w twoich oczach płonął ogień.

Connor wzruszył ramionami.

- Tak bywa, kiedy odczuwam głód. Wszyscy to znamy.

Mina Barta zdradzała niepewność.

- Pamiętam, kiedy po raz pierwszy zobaczyłem Jeza... znaczy Stukeleya, z takimi oczami. Wyglądałeś teraz identycznie.

- Nie obawiaj się - burknął chłopak. - Nie nachylę się i nie wgrzyzę ci się w szyję, jeśli o to chodzi. Panuję nad tym.

Pirat zmarszczył brwi.

- Skąd ta pewność?

- Proszę, czy możemy porozmawiać o czymś innym niż krew? - Connor tracił cierpliwość.

Bart skinął głową, zadowolony, że oczy przyjaciela znów wyglądają normalnie.

- Opowiedz mi o znajomych - podsunął Connor.

- Co słyhać u Cate?

- Spoko! - Pirat się uśmiechnął. - Cały dzień chciałem ci się z czegoś zwierzyć. Wiesz, że Catie i ja bardzo się do siebie zbliżyliśmy...

Chłopak przytaknął.

- No więc podjąłem decyzję. Gdy wrócę na Tyg...

- Umilkł, świadom obecności zgromadzonych w kajucie wampiratów. - Gdy wrócę, poproszę ją, by za mnie wyszła.

- Naprawdę? - Connor szczerze się uradował. - To wspaniała wiadomość!

Bart skinął głową i poklepał się po kieszeni.

- Znalazłem obrączkę babki. Leżała w starej skrzyni, tej, którą cały czas ze sobą targam.

Dam ten pierścionek Catie.

- Cieszę się twoim szczęściem. - Connor uściskał przyjaciela.

- Mam nadzieję, że przyjedziesz na nasz ślub.

- Tak - odrzekł chłopak. - Postaram się. Obserwująca ich z oddali Lola szturchnęła męża w bok.

- Wizyta tego umięśnionego Australijczyka naprawdę poprawiła Connorowi humor. Po raz pierwszy od kilku nocy widzę jego uśmiech.

Sidorio przytaknął, ale jego mina pozostała nieprzyjazna.

- Wiesz, na którym statku służy ten Bart?

- Na Diabłu, czyż nie? - odparła lady Lockwood.

- Jest zapewne jednym z tych szczęśliwców, którzy umknęli do tawerny, kiedy Johnny i dziewczęta przejmowali statek.

Sidorio zaprzeczył ruchem głowy.

- Początkowo faktycznie służył na Diabłu, razem z Connorem i Stukeleyem, zanim mój porucznik przeszedł na stronę śmierci. Ale teraz Bart został przeniesiony na Tygrysa.

- Na Tygrysa? - Lola ze zdumienia szerzej otworzyła oczy. - Służy na statku tych niedorobionych pogromców wampirów? Tych, którzy próbowali mnie unicestwić podczas naszego wesela?

- Tak, najdroższa. - Sidorio spojrzał na żonę. - Nie uważasz, że to dziwny zbieg okoliczności?

- Podejrzewasz, że nasi kochani piraci coś zwęszyli?

Wampir wzruszył ramionami.

- Nie możemy tego wykluczyć - powiedział. - Chociaż nie wiem, jak mieliby się dowiedzieć. A ty?

- Nie. - Lady Lockwood pokręciła głową. - Może naprawdę jest tu tylko po to, żeby się spotkać ze starym przyjacielem. Widać, że łączy ich silna więź. - Jej wzrok skupił się teraz na Barcie. - Zastanawiam się... Sądzisz, że przybył, żeby przekazać Connorowi jakąś informację? Nie, nie przekazać, raczej o coś go prosić. Może chodzi o nas? Chce wybadać, jakie mamy zamiary?

Sidorio ponownie wzruszył ramionami.

- Kto wie? Ale nie chcę, żeby wracał na Tygrysa, zanim Obsydian Darke i jego zespół nie wyruszą jutro w nocy. W naszym interesie jest zatrzymanie go tutaj i pilnowanie przez następne dwadzieścia cztery godziny.

Lola przytaknęła. A potem jej brązowe oczy roziskrzyły się jak diamenty.

- Skarbie, mam jeszcze lepszy pomysł. Skoro jego obecność tak cieszy Connora, to czemu nie mielibyśmy zatrzymać go na zawsze?

- Co proponujesz? Wampirzyca nachyliła się i szepnęła coś mężowi na ucho.

- Ekhem! - Stukeley przerwał im rozmowę. Stał na krześle i dawał jakieś znaki zgromadzonemu. - Panie i panowie, proszę o uwagę.

- Jeśli popsujesz to krzesło, dostaniesz ode mnie znacznie więcej niż tylko uwagę! - ostrzegła go Lola.

Zebrani zaśmiali się głośno.

- Obiecuję, że będę ostrożny - zapewnił ją Stukeley, a potem ponownie zwrócił się do całej grupy:

- Jest z nami dzisiaj wyjątkowy gość! Napełnijcie, proszę, kieliszki i wznieście ze mną toast!

Connor i Bart spojrzeli na porucznika z wyraźnym niepokojem. Zebrani na tiffinie wampiraci także umilkli. Zofia podeszła i napełniła kieliszek Barta. Zaproponowała też wino Connorowi i chłopak niechętnie się zgodził. Członkinie załogi Loli żwawo uwijały się wśród gości, aż wreszcie nikomu nie brakowało trunku. Dopiero wówczas Stukeley ponownie się odezwał:

- Jak wielu z was wie, w starych, niezbyt dobrych czasach byłem piratem.

Dookoła rozległy się syki, kilka osób zahuczało z dezaprobatą. Connor i Bart próbowali zgadnąć, do czego zmierza Stukeley.

- Ależ z was wredne typy - powiedział porucznik, patrząc na słuchaczy. - Tak, byłem piratem i służyłem razem z młodym Connorem oraz jego kumplem, Bartholomew Pearce'em. Stanowiliśmy tak zgrany zespół, że dostaliśmy własny przydomek... Trzech Bukanierów! I mieliśmy własne zawołanie, prawda, chłopcy?

- Spojrzał na Connora i Barta. - Prawda, chłopcy?

Przytaknęli jednocześnie.

- Tak. - Stukeley mówił coraz głośniej. - A brzmiało ono... - Uniósł kieliszek. - Jeden za wszystkich... - Spojrzał na dawnych kolegów. - No dalej! Jeden za wszystkich...

Connor i Bart wstali z kieliszkami w dłoniach, jednak nim zdążyli odpowiedzieć, z przeciwnej strony kajuty rozległ się głos Johnny'ego:

- Wszyscy za jednego!

Tubalny śmiech Sidoria przetoczył się po kajucie.

- Zdaje się, że zamiast trzech bukanierów mamy teraz czterech! - powiedział.

- Wspaniale, najdroższy! - Lola uniosła kielich. - Przyjaciele, rodzinie i załogi! - Jej wzrok przemknął po zebranych i zatrzymał się na Barcie. - Nasi goście honorowi! Wznieśmy toast za Czterech Bukanierów.

- Za Czterech Bukanierów! - powtórzyli zebrani chórem.

Bart obserwował, jak wszyscy wokół niego piją krew. Jego wzrok wędrował od Loli przez Sidorio do Stukeleya, który zeskoczył z zabytkowego krzesła i podszedł do swego kapitana. Potem młody pirat spojrzał na piękne członkinie załogi Wagabundy - wydawało mu się, czy naprawdę go obserwowały? - a wreszcie na Grace z tym jej dziwnym malunkiem na twarzy i chłopakiem kowbojem u boku. Na koniec popatrzył na przyjaciela. Connor podniósł kieliszek do ust, a w jego oczach zamigotały płomienie głodu. Czy on też pił teraz krew? Bart już nie potrafił powiedzieć.

Trzęsącą się ręką odstawił na stół swój kieliszek tak niezręcznie, że rubinowy płyn zaplamił biały adamaszkowy obrus.

- Przepraszam - powiedział Bart do Connora. - Przepraszam, nie mogę... Potrzebuję świeżego powietrza... - Odsunął gwałtownie krzesło i zaczął przepychać się przez tłum w kierunku wyjścia.

Chłopak ruszył za przyjacielem. Lola podeszła do stołu, aby obejrzeć plamę, ale dziewczęta zajęły się już fachowym jej wywabianiem.

Korzystając z nieobecności lady Lockwood u boku męża, przed Sidorio wyrósł porucznik Darke.

- Kapitanie. - Obsydian sięgnął do wewnętrznej kieszeni surduta. - Chodzi o jutrzejszy atak. - Wyjął kartkę i rozłożył ją, nim podał dowódcy. - To lista członków załogi, których chciałbym ze sobą zabrać.

Sidorio rzucił okiem na staranne pismo Darke'a i się uśmiechnął.

- Dobrze wybrałeś - stwierdził. - Postawiłeś nie na ilość, ale na jakość. To moi najlepsi żołnierze, oczywiście z wyjątkiem obecnych osób.

Obsydian przytaknął.

- Czy to oznacza, że pan kapitan się zgadza?

Dowódca skinął głową, składając listę i podając ją Darke'owi.

- Znakomicie - rzekł porucznik i schował kartkę.

- Są jeszcze dwa imiona, które chciałbym dopisać, ale nie jestem pewien, co w tej sytuacji przewiduje protokół.

Sidorio uniósł brew, zaintrygowany.

- Jakie imiona?

Obsydian odchrząknął:

- Connora i Grace.

- Chcesz, żeby moje dzieci uczestniczyły w akcji? - zdumiał się kapitan.

Darke skinął głową.

- Słyszałem o szermierczych umiejętnościach pańskiego syna i sam ledwie kilka nocy temu widziałem, jak pana pokonał. Jeśli wierzyć plotkom, pańska córka jest równie utalentowana.

- Mają dobre geny - odparł Sidorio z dumą. - Możesz wziąć ze sobą Grace, ale nie Connora. Jutrzejszej nocy nastąpi inicjacja mojego syna - pierwsze świadome przyjęcie krwi.

- Rozumiem - odparł Obsydian. - To oczywiście przełomowa chwila w życiu każdego młodego wampira...

Dowódca pogroził mu palcem.

- Connor nie jest jakimś tam wampirem - sprostował. - Jest dampirem.

- W rzeczy samej. Cóż, wygląda na to, że muszę zadowolić się jednym z bliźniąt. - Porucznik złożył ukłon. - Kapitanie, dziękuję za wypożyczenie córki.

- Pamiętaj jednak, że nie może jej spaść nawet włos z głowy - ostrzegł Sidorio. - Albo wyciągnę konsekwencje.

- Tak jest. - Widząc, że lady Lockwood zmierza ku nim, Darke postanowił skrócić rozmowę. - Wróć teraz na Krwawego Kapitana i dopracuj szczegóły ataku.

- Mam nadzieję, że nie odchodzi pan z mojego powodu? - spytała Lola, stając u boku męża.

Obsydian pokręcił głową.

- Jak zwykle, obowiązki. Dziękuję za niezwykle miły tiffin. - Odwrócił się i pośpiesznie ruszył w kierunku wyjścia.

- Ten człowiek z nocy na noc robi się coraz bardziej antypatyczny - stwierdziła wampirzyca.

- Tak - zgodził się Sidorio. - Zaczynam mieć nadzieję, że któryś z pogromców wampiratów dobierze mu się do gardła.

Lola zachichotała i stuknęła kieliszkiem o kielich męża.

- Wypiję za to - rzekła.

Darke nie tracił czasu na spacer po pokładzie. Od razu skierował się na kładkę i wrócił na Krwawego Kapitana. Pogoda była wietrzna, więc narzucił kaptur. Kątem oka dostrzegł

Connora, który rozmawiał z przyjacielem. Chciał do nich podejść, ale noc była chłodna, a poza tym się spieszył. Spuścił więc głowę, jak to miał w zwyczaju, i ruszył do swoich zajęć.

Connor i Bart stali razem przy nadburciu Wagabundy.

- Muszę lecieć - stwierdził pirat.

- Tak.

Bart spojrzał w dół, na lekką łódź unoszącą się na powierzchni wody.

- Kazałbym ci zabierać się ze mną, ale teraz rozumiem, że nie miałyby to sensu.

Connor westchnął.

- Gdyby tylko sprawy były takie proste... Bardzo chciałbym wrócić z tobą do Cate, Jasmine i pozostałych. Daliście mi dom, kiedy zostałem sam, i zawsze będę wam za to wdzięczny.

- Teraz wszystko wygląda inaczej - mruknął pirat.

- Masz rację. Twoje miejsce jest tutaj, ze Stukeleyem i resztą. Wiem, że on potrafi być wspaniałym przyjacielem. Mam nadzieję, że nigdy cię nie zawiedzie, bo, stary, potrzebujesz teraz mieć kogoś po swojej stronie.

- Nie zagłębiajmy się w to - rzekł Connor, próbując opanować emocje. - Już ci mówiłem, że jeśli chodzi o pożegnania, to jestem do niczego.

Bart przytaknął. Jego oczy pełne były bólu, ale twarz pozostawała kamienna.

- Powiesz pozostałym prawdę o mnie? - spytał Connor.

Pirat wahał się przez chwilę.

- Nie. Nie muszą wiedzieć.

Chłopak uśmiechnął się z wdzięcznością.

- Mógłbyś powiedzieć Jasmine, że żałuję, że wszystko nie ułożyło się inaczej? - Po chwili potrząsnął głową. - Albo nie. Lepiej nic jej nie mów. Może na nowo odnajdzie szczęście u boku Jacoby'ego. - Łzy napłynęły chłopakowi do oczu. - Tak bardzo się cieszę z powodu ciebie i Cate - powiedział. - Jesteście dla siebie stworzeni, oboje tacy dobrzy i uczciwi... - Głos mu się załamał i nie był w stanie dokończyć.

Bart uściskał przyjaciela.

- Nie musisz mówić nic więcej, stary druhu. Ja też nie. Obaj wiemy, ile dla siebie znaczymy.

Chłopak przytaknął i odwzajemnił uścisk. Starał się odegnać myśl, że widzą się po raz ostatni. Gdy wreszcie się od siebie odsunęli, odezwał się cicho:

- Wracam do swojej kajuty na Krwawym Kapitanie. Muszę chwilę побыć sam.

Pirat skinął głową i gdy Connor ruszył wzdłuż pokładu, przeskoczył przez reling i zaczął schodzić do czekającej w dole łódki.

Bart nie marnował czasu. Musiał uciec z tego miejsca i powrócić do normalności. Nie mógł sobie pozwolić na rozmyślanie o Connorze czy Jezie, bo myśli te sprawiały mu zbyt wiele bólu, paraliżowały go.

Zapalił sztormówkę i powiesił ją na maszcie, a potem wciągnął kotwicę. Kiedy opadła z głośnym stukiem na dno łodzi, Bart zdał sobie sprawę, jak ciężko mu na sercu. Postanowił jednak na moment zapomnieć o przygnębieniu i rozważyć swoje położenie. Tym razem nie mógł liczyć na nawigacyjny geniusz rybogonki, więc w drodze powrotnej będzie musiał kierować się gwiazdami. I dobrze - przynajmniej zajmie czymś myśli.

Kiedy już odpłynął na niewielką odległość, pozwolił sobie na rzucenie ostatniego spojrzenia na statki wampiratów kołyszące się jeden przy drugim na spokojnych wodach zatoki. A potem, ku swemu przerażeniu, dostrzegł jeszcze trzy jednostki zakotwiczone całkiem niedaleko. Na końcu stał Diabło - najnowsza zdobycz Sidorii i Loli. Nie mogło być mowy o pomyłce - Bart wszędzie poznałby sylwetkę tego galeonu. Wiedział, że wampiraci go przejęli, ale nie do końca w to wierzył. Teraz dotarła do niego ponura rzeczywistość. „Koniec z tym - pomyślał.

- Tygrysa nie uda im się przejąć”. Odwrócił głowę, składając sobie samemu przysięgę, że już więcej się nie obejrzy.

I nagle dostrzegł na prawej burcie czyjeś dłonie.

- Kally? - spytał zaskoczony. Przecież rybogonka zapowiedziała, że przed zapadnięciem zmroku wróci na Tygrysa.

- Kim jest Kally? - rozległ się znajomy głos i zgrabna, odziana w szkarłatny kombinezon nurka postać wspięła się na łódź.

Pirat patrzył zdezorientowany, jak intruz zsuwa z głowy kaptur. Lola Lockwood potrząsnęła kruczoczarnymi lokami.

- Od razu lepiej - powiedziała.

- Co ty tutaj robisz? - spytał Bart półprzytomnie.

- Właśnie wracam do domu.

Wampirzyca wyglądała na urażoną.

- To bardzo niegrzeczne z twojej strony. Po powitaniu, jakie ci zgotowałam, powinieneś przynajmniej się ze mną pożegnać. I czyżbyś zapomniał, że nadal masz na sobie ubrania mojego męża?

Bart starał się trzeźwo ocenić sytuację, ale zmęczenie brało nad nim górę. Rozumiał jednak, że za wszelką cenę musi sprawić, by Lola nie przestawała mówić.

- O to chodzi? - spytał i nawet udało mu się uśmiechnąć. - Przyszłaś, żebym mógł się z tobą pożegnać? Żeby odzyskać ubrania? - Zaczął rozpinąć koszulę, ale lady Lockwood pokręciła głową.

- Pożegnanie to takie przykre, pełne dramatyzmu słowo - powiedziała. - A to jest jedynie au revoir.

Palce Barta nagle znieruchomiały. Chłopak zauważył w dłoni Loli sztylet z perłową rękojeścią. Skąd on się wziął? Jego miecz leżał poza zasięgiem ręki. „Bez nerwów” - uspokajał sam siebie. Był o wiele silniejszy od niej. Bez problemu ją obezwładni i wyrzuci za burtę. Przypomniał sobie ostatni trening Cate. Był gotów do walki.

Nim się jednak zorientował, wampirzyca już trzymała go w żelaznym uścisku. Czuł się bezsilny i bezwolny niczym kukielka. Zastygli razem w okropnej parodii uścisku. Usta Loli znalazły się blisko jego ucha. Wampiratka odezwała się miękko:

- Pomyślałam, że taki zachwycający młody pirat wołałby zginąć od ciosu sztyletem. O tak, kochany. Właśnie tak. Zabiję cię. Ale nie ma powodu do obaw.

- Jej oczy patrzyły na niego z dziwną czułością. - Wbiję ci ostrze prosto w serce. Cios będzie nagły i właściwie bezbolesny.

Była szalona, na pewno szalona, ale Bart nie mógł zrobić nic innego, jak tylko słuchać jej nedorzecznych słów.

- Zapadniesz w głęboki sen - mówiła. - Nazywamy go poczekalnią, bo to wcale nie koniec podróży.

- Jej ton był łagodny i kojący niczym głos matki śpiewającej dziecku kołysankę. - Będziesz spał, a w tym czasie my zabierzemy cię z powrotem na statek. Tam mój małżonek zakończy proces przemiany. Zostaniesz jednym z nas. Connor będzie taki szczęśliwy, chyba się ze mną zgodzisz? Widziałam, że nie chciał, byś odchodził, a teraz zostaniesz z nim już na

zawsze. Zatem zrozum, mój słodki mały piracie, to naprawdę nie jest pożegnanie, a jedynie krótka rozłąka.

To powiedziawszy, Lola uniosła swój perłowy sztylet i zgodnie z zapowiedzią ugodziła chłopaka w pierś. Nim ostrze przebiło ciało, Bart Pearce wiedział już, że jego serce zostało złamane. Myślał o Connorze, o Jezie i Moluccu. O Cate.

A potem nie było już nic.

Rozdział 39

Portret rodzinny

Connor otworzył drzwi do kajuty Loli i ze zdziwieniem stwierdził, że macochy nie ma. W kajucie jednak był ktoś inny. Grace. Dziewczyna stała za stołem przed zakrytą czerwonym aksamitem sztalugą. Gdy wyczuła jego obecność, odwróciła się i spojrzała bratu w oczy. Z początku chłopak był zszokowany, widząc wokół jej lewego oka wizerunek czarnego serca, ale po chwili zdał sobie sprawę, że przecież nosiła ten znak już od kilku nocy. Wyglądało na to, że nie poświęcał Grace zbyt dużo uwagi.

- Gdzie są wszyscy? - spytał, podchodząc do stołu. Zastawiono go już różnymi potrawami, chociaż biorąc pod uwagę wcześniejsze posiłki, porcje były dosyć skromne. Wyglądało to bardziej na piknik niż na ucztę.

- Przygotowują się do ataku - odparła Grace. - Lola zostawiła liścik. - Wskazała stół, ale Connor nie podniósł karteczki. - Napisała, że razem z Sidoriem dołączy do nas później, ale mamy się nie krępować i jeść.

Chłopak zawahał się. Coś powstrzymywało go przed zajęciem miejsca przy stole.

- Dzisiejszy atak... - mówiła dalej dziewczyna. - Celem jest twój statek, prawda? Tygrys?

Connor przytaknął.

- Tak, ale ściślej mówiąc, to nie mój statek. Tygrys należy do Cheng Li.

Grace spojrzała bratu w oczy.

- Nie martwisz się o nią i o swoich towarzyszy?

- Oczywiście, że się martwię - odparł. - Ale jeśli ktoś jest w stanie obronić się przed wampiratami, to właśnie załoga Tygrysa. W gruncie rzeczy martwić się powinien Obsydian Darke. On poprowadzi ten atak.

Grace przeszedł dreszcz na wspomnienie porucznika. Było w nim coś niepokojącego. Podeszła do stołu i nałożyła sobie porcję jedzenia. Jak zwykle wszystko wyglądało wspaniale, lecz odkąd zaczęła pić krew, jej apetyt na delikatesy mistrza Escoffiera znacznie zmalał.

Nagle dziewczyna odwróciła się do brata z błyszczącymi oczami.

- Ostrzegłeś Cheng Li o ataku, prawda?

Connor uśmiechnął się, lecz nie odpowiedział. Grace skinęła głową, składając w myślach fragmenty układanki. - Dlatego Bart tutaj był. Przesłałeś przez niego wiadomość. Chłopak pokręcił głową. - Tak naprawdę obecność Barta na pokładzie bardzo mnie zaskoczyła. Wiadomość została wysłana jeszcze przed jego wizytą.

Grace odsunęła krzesło i usiadła.

- Connor, zazdroszczę ci. Przez cały ten czas zawsze wiedziałeś, po której stoisz stronie. Jesteś piratem wypełniającym tajną misję. Niezależnie od tego, co się tutaj działo i jak bardzo Sidorio i Lola starali się do ciebie zbliżyć, nigdy nie straciłeś celu z oczu. Przybyłeś tu, aby szpiegować buntowników i przekazywać informacje, i właśnie to robiłeś. Podejrzewam, że teraz, kiedy twoja misja zakończyła się sukcesem, wrócisz na Tygrysa... zakładając, że statek przetrwa dzisiejszy atak.

Chłopak przysunął sobie krzesło.

- Przetrwa - powiedział, siadając obok siostry. - Cheng Li i Cate przygotowują się do tej bitwy od wielu miesięcy. - Umilkł, a gdy znów się odezwał, jego głos był cichy i miękki. - Ale ja nie wracam.

Spojrzała na niego z zaskoczeniem.

- Co masz na myśli?

Connor wytrzymał jej wzrok.

- Właśnie to, co powiedziałem. Jestemampirem. Zawsze nim byłem, ale wcześniej o tym nie wiedziałem. W każdym razie teraz odczuwam ciągły głód krwi. Jak mógłbym wrócić i żyć pomiędzy normalnymi ludźmi?

- Śmiertelnikami - poprawiła go siostra.

- Normalnymi ludźmi. Nie jestem już jednym z nich. Jestemampirem, synem Sidorio. Nienawidzę tego. Nienawidzę głodu, który odczuwam, i tej całej przemocy. Szczerze mówiąc, nienawidzę wszystkich aspektów mojego życia na Krwawym Kapitanie. A najbardziej nienawidzę tego, czym się stałem. Dałbym wszystko, by móc wrócić do dawnego życia, ale to nie wchodzi w grę. Nie mogę walczyć ze swoją prawdziwą naturą. Mogę natomiast chronić ludzi, na których mi zależy. A to oznacza trzymanie się od nich najdalej, jak to tylko możliwe.

- Och, braciszku - szepnęła Grace, wyciągając ku niemu dłoń. - Tak mi przykro. Żałuję, że nie porozmawialiśmy wcześniej.

Chłopak wzruszył ramionami.

- Jaki sens ma rozmowa? Pewnie jakoś to przeżyjemy. Zwykle dajemy sobie radę. Dziewczyna zmarszczyła brwi. - Connor, nie podoba mi się to, co mówisz. Jesteś teraz nieśmiertelny. Obojgu nam ofiarowano wspaniały dar. Nie możesz zakładać, że „jakoś przeżyjemy” wieczność. Życie to przecież coś więcej. Musimy nadać mu znaczenie!

Connor zaśmiał się gorzko.

- Bart i Molucco zwykli mawiać, że życie pirata powinno być krótkie, ale wesołe. Nigdy wcześniej nie widziałem w tym sensu, ale teraz, kiedy poznałem alternatywę, całkowicie podzielał ich pogląd.

Grace się wzdrygnęła.

- Mówisz poważnie? Zamieniłbyś się miejscami z Molukkiem? Przecież on nie żyje, prawda?

Chłopak przytaknął.

- Zamieniłbym się.

- Och, Connor... - Dziewczyna pokręciła głową.

- Porozmawiajmy o tobie - zmienił temat. - Wygląda na to, że, w przeciwieństwie do mnie, dość łatwo się tu odnalazłaś.

- Zbyt łatwo - odparła Grace. - Nie zapominaj, że ja także przybyłam do Sidorii z misją. W zasadzie była ona podobna do twojej: szpiegować rebeliantów i zdawać raporty nokturnom. - Widząc niepewne spojrzenie brata, wyjaśniła: - Tak Mosh Zu i Lorcan nazwali załogę swojego statku.

- Pamiętam - przytaknął. - I jak ci poszło?

Dziewczyna skinęła głową.

- Zrobiłam swoje. Co noc odbywałam podróż astralną... - Nagle zamilkła i baczniej przyjrzała się bratu. - Hej, a ty? Jak przesyłałeś wiadomości do Cheng Li?

Connor się uśmiechnął.

- Przez rybogonkę. To taki rodzaj syreny. Bo niby jak inaczej?

Grace była pod wrażeniem.

- Cóż, jak już mówiłam, zrobiłam swoje. Powiedziałam nokturnom o krwawych winobraniach Loli i innych tego typu rzeczach. Wydaje mi się, że uznali te wiadomości za przydatne.

- W takim razie w czym problem? Bo z tonu twojego głosu wnioskuję, że coś jest nie tak.

Wzruszyła ramionami.

- Zrealizowałam ich cele, ale nie zrealizowałam własnych. Myślałam, że zdołam wykorzystać pozycję córki Sidorii, by zmienić niektóre z tutejszych zwyczajów. Teraz widzę, jaka byłam naiwna, sądząc, że mogę mieć na wampiratów dobry wpływ.

- A co sprawiło, że zmieniłaś zdanie? - spytał Connor.

- To. - Grace wskazała ręką zastawiony stół. Wzięła do ręki różowego ptysia i położyła go sobie na dłoni. - Te śliczne małe ciasteczka, podobnie jak wszystko inne, czym nas faszzerowali od pierwszej nocy, są doprawione krwią. Wykorzystywali je, żeby pobudzić mój głód. Twój, oczywiście, również.

Chłopak skinął głową. To miało sens.

- Wygląda na to, że lepiej panujesz nad głodem niż ja - stwierdziła. - Wstyd mi to przyznać, ale kilka nocy temu, podczas jednego z polowań Loli, niemal zabiłam dziewczynę. Czy to nie okropne?

Connor posępnie wzruszył ramionami.

- Przy tym stole siedzi już jeden morderca, więc i dla drugiego znajdzie się miejsce. Grace zrobiła srogą minę. Nie znosiła, kiedy brat wpadał w wisielczy nastrój.

- Miałaś powód, żeby zabić tamtego strażnika. Ratowałeś życie kolegi. Ale wyprawy Loli to zwykły sport. Ona organizuje je dla rozrywki. Ta cała zabutelkowana krew w jej piwniczce jest niepotrzebna.

Chłopak pokręcił głową.

- Wręcz przeciwnie. Wszyscy na tych dwóch, a właściwie już na pięciu statkach potrzebują krwi. Łącznie z nami.

- Tak - przyznała. - Ale jest inny sposób: nokturnów. Głód przesłonił mi świat i na moment straciłam z oczu to, co naprawdę ważne. Ale ten koszmar już mija. - Spojrzała na brata. - Myśl o picciu krwi nigdy mnie nie przerażała, bo widziałam, że można robić to w zdyscyplinowany, odpowiedzialny sposób przez system donorów. - Zmiażdżyła ptysia w dłoni, a

okruszki strąciła na podłogę. - Ludzie nie muszą ginąć, abyśmy my mogli przetrwać. Connor przyglądał się jej z podziwem.

- Powiedziałaś, że zazdrościsz mi jasności umysłu, ale okazuje się, że z nas dwojga to ty lepiej wszystko rozumiesz. Skoro potrafisz zaakceptować swój głód krwi, to wiesz, na którym statku powinnaś pływać i jakimi osobami się otaczać. Z tego, co widzę, przemyślałaś już sobie wszystko.

Potrząsnęła głową.

- Sprawa nie jest taka prosta. Podoba mi się tutaj. Wampiraci zawsze mnie fascynowali. Uwielbiam ich kulturę, ich historie przejścia. Odkrycie, że należę do tego świata, nie było dla mnie tragedią. Sądziłam, że wejście na pokład Wągabundy będzie straszne, ale pod wieloma względami jest tu fajniej niż na Nokturnie. Zaprzyjaźniłam się z kilkoma osobami - z Mimma, Jacaui, Nat...

- I z Johnnym - dodał Connor.

Grace się zarumieniła.

- Tak. I z Johnnym. To miły chłopak. Znałam go już wcześniej. No wiesz, w Sanktuarium. Ma się za rozrabiakę, ale w głębi serca to uroczy kociak.

Chłopak uniósł brwi.

- Z tego, co mi wiadomo, to właśnie on poprowadził atak na Molucca. Twój uroczy kociak może być dla kogoś innego krwiożerczym tygrysem.

Słowa brata były dziewczynie wyraźnie nie w smak.

- Johnny jest bardzo podatny na wpływy innych - powiedziała. - Był taki za śmiertelnego życia i pozostał taki po przejściu. Pozwala Sidoriowi i Stukeleyowi sobą manipulować, ale jest też otwarty na dobre wpływy...

- Twoje - odgadł Connor.

- Cóż, tak.

- Sądziłem, że masz już chłopaka.

Grace zmarszczyła brwi.

- Bo mam - odparła. - I bardzo zależy mi na Lorcanie. Od samego początku był dla mnie cudowny. Ostatnie, czego chcę, to go zranić, chociaż obawiam się, że już za późno na dobre postanowienia.

Brat ponownie ścisnął ją za rękę.

- Jesteś młoda - powiedział. - Oboje jesteście. Zawsze wiedzieliśmy, że mamy przed sobą całe życie; po prostu nie zdawaliśmy sobie sprawy, że w bonusie dostaniemy całą wieczność. Grace, po tym wszystkim, przez co przeszliśmy, uważam, że mamy prawo do popełnienia kilku błędów. Choćby po to, żebyśmy mogli się przekonać, w co wierzymy i kim jesteśmy.

Na twarzy dziewczyny pojawił się uśmiech.

- Tak - rzekła. - Masz rację.

- Cieszę się, że mogliśmy porozmawiać tylko we dwoje - powiedział Connor. - To wszystko jest czystym szaleństwem - po raz pierwszy od wieków byliśmy praktycznie na wyciągnięcie ręki od siebie, a jednak co noc zamienialiśmy ledwie dwa słowa.

- Tak - przyznała. - Oboje byliśmy zajęci. Jednak świadomość, że jesteś w pobliżu, bardzo mi pomagała.

- Dzięki. Te słowa wiele dla mnie znaczą. Tym razem to ona uściśniła jego dłoń. - Zawsze będę przy tobie - oznajmiła. - Możesz odpychać innych i wykluczać ich ze swojego życia, ale proszę, nie rób tego ze mną. - Uśmiechnęła się znowu. - Zaczynam wierzyć, że mamy dużo większą kontrolę nad naszym przeznaczeniem, niż sądziliśmy.

W tym momencie otworzyły się drzwi i do kajuty weszła Lola z Sidoriem.

- Witajcie, moi mili - rzekła lady Lockwood, kierując się do stołu. Na jej twarzy odmalowało się niezadowolenie. - A cóż to? Co z wami, dzieciaki? Prawie nic nie zjedliście.

- Nie jestem głodny - odparł Connor bez cienia skruchy w głosie.

- Zagadaliśmy się - dodała Grace. - Dobrze jest czasem pobyc w rodzinnym gronie.

- A skoro o rodzinie mowa... - Lola odwróciła się do Sidorii. - Mam dla ciebie niespodziankę, najdroższy.

Trzy pary oczu zwróciły się ku niej wyczekująco. Pani kapitan z uśmiechem przeszła na koniec stołu i stanęła obok przykrytej czerwonym aksamitem sztalugi.

- Signor Caravaggio dostarczył dziś nasz portret. Podejdźcie bliżej, to go odsłonię!

Rodzeństwo wstało od stołu i dołączyło do macochy. Ojciec podążył za nimi.

Lady Lockwood chwyciła zasłonę za jeden z rogów.

- Raz... dwa... trzy!

Grace wstrzymała oddech.

Connor zmarszczył brwi.

Sidorio się uśmiechnął.

Lola odrzuciła tkaninę i zaklaskała z uciechy.

- Och! Czyż nie jest zachwycający? Czyż nasz mistrz nie spisał się wspaniale?

- Tak. - Sidorio przyciągnął żonę do siebie. - Moja rodzina.

- Nasza rodzina - poprawiła go i gestem przywołała bliźnięta.

Connor przyglądał się portretowi. Obraz był groteskowy. Wszystkich czworo ukazano z ogniem głodu w oczach, a on i Sidorio mieli w kącikach ust krople krwi. Chociaż malarz dobrze oddał ich rysy, pozwolił sobie na sporą dozę artystycznej improwizacji. Z pewnością do czegoś takiego nie musieli pozować przez długie godziny.

- Jest bardzo dobry - stwierdziła Grace zdecydowanym tonem. - Gdzie go powiesicie? Sidorio jak zwykle wzruszył ramionami, ale Lola miała już gotową odpowiedź.

- Skarbie, sądzę, że powinieneś umieścić go na Krwawym Kapitanie. Bądź co bądź, to flagowy okręt naszej floty. No i w ten sposób nawet pod nieobecność moją i Grace będziesz miał zawsze przy sobie wizerunek dwóch najważniejszych kobiet w twoim życiu.

Wampir przytaknął i nachylił się, by ucałować żonę. - Idealnie - rzekł. Lady Lockwood uniosła portret i podała mężowi. - Może zabierzesz go od razu? - zasugerowała, a potem spojrzała na pasierbów. - Cóż, skoro żadne z was nie tknęło jedzenia, uważam tiffin za zakończony. Poza tym dzisiejsza noc przyniesie wam jeszcze wiele emocji. - Uśmiechnęła się zagadkowo.

- Jakich emocji? - spytała Grace.

Pani kapitan spojrzała na małżonka.

- Ojciec wszystko wam wyjaśni.

Sidorio się uśmiechnął. Jego złote kły zalśniły w blasku świateł.

- Lola ma rację. Dzisiejsza noc będzie wyjątkowa dla was obojga - zaczął. - Grace, ty masz się zameldować na Diabłu. Obsydian Darke poprosił, byś dołączyła dzisiaj do jego oddziału.

Dziewczyna momentalnie zbladła.

- Chce, żebym wzięła udział w ataku na Tygrysa?

- Czyż to nie ekscytujące? - zaszczebotała Lola. - Biegnij, kochanie! Wkrótce postawią żagle. Aha... I może jednak pomyśl nad zmianą obuwia.

Nim Grace zdążyła wyrazić sprzeciw, Sidorio podszedł do Connora.

- Synu, dziś noc twojej inicjacji. Staniesz się prawdziwym dampirem, kiedy ty i ja razem napijemy się krwi. - Sidorio z dumą spojrzał na syna. - Idź teraz do swojej kajuty na Krwawym

Kapitanie. Znajdziesz tam list ode mnie wraz z pierwszym z trzech upamiętniających tę noc prezentów.

Rozdział 40

Szybcy i nie martwi

Grace czuła, jak adrenalina krąży jej w żyłach. Diabło mknął po falach, nieuchronnie zbliżając się do Tygrysa. Jeszcze nigdy nie brała udziału w bitwie i nie miała pojęcia, czego się spodziewać. Nie wiedziała też, dlaczego Obsydian Darke chciał mieć ją w swoim oddziale ani dlaczego Sidorio i Lola przystali na jego prośbę. Płynęła tam, by się sprawdzić, czy żeby zginąć? Niecałą godzinę wcześniej rozmawiała z Connorem o ich nieśmiertelności i nawet przez myśl jej nie przeszło, że jeszcze tej samej nocy zostanie wysłana na wojnę! Owszem, podczas ostatnich trzech ataków nie było ofiar po stronie wampirów - w każdym razie oficjalnie - ale dzisiejsza noc była całkiem inna. Mieli zaatakować statek pogromców wampirów. Zimny dreszcz przeszedł Grace po kręgosłupie. Nie była szkolona do walki - nie licząc kilku lekcji, w których uczestniczyła, gdy płynęła kiedyś na Tygrysie.

Po wyjściu z kajuty Loli Grace pobiegła do siebie. Na łóżku znalazła parę nowych butów i stary miecz oraz jeden z liścików lady Lockwood:

Sądzę, że zarówno buty, jak i broń okażą się bardzo przydatne. Miecz należał niegdyś do innej Grace - irlandzkiej piratki nazwiskiem O'Malley. „Pożyczyłam” go z Akademii Piractwa. Tylko nie wydaj swojej niegodziwej macochy!

Teraz dziewczyna ścisnęła rękojeść starej broni i mocno trzymała dłoń Johnny'ego. Chłopak był zaskoczony, widząc ją na pokładzie, i zapewnił, że podczas walki zatroszczy się o nią. Była mu wdzięczna za te słowa. To miłe, że Lola dała jej miecz legendarnej piratki, lecz Grace i tak nie miała pojęcia, jak go użyć. Na jej miejscu powinien znajdować się Connor, wyglądało jednak na to, że Sidorio miał wobec syna inne plany.

Dziewczyna rzuciła okiem w stronę dziobu, gdzie tyłem do załogi stał samotnie Obsydian Darke. Oświetlał go jedynie błydy księżyc, Diabło płynął bowiem z wygaszonymi latarniami, żeby doścignąć Tygrysa niepostrzeżenie. Grace przypomniała sobie jednak, że Connor ostrzegł przyjaciół. A zatem, jeśli nawet sam moment ataku będzie dla nich niespodzianką, to cała reszta

już nie. Dziwnie było tak płynąć w całkowitej ciemności. Słuch Grace się wyostrzył, słyszała skrzypienie masztu, jednak kiedy spojrzała w górę, nie widziała nawet jego szczytu.

Ponownie przeniosła wzrok na Darke'a. Porucznik był równie nieprzenikniony jak otaczający ją mrok. Pod wieloma względami przerażał Grace bardziej niż Sidorio - który ostatnimi czasy pokazał swoją bardziej ludzką naturę. Nie potrafiła przebić się przez blokadę Obsydiana podczas próby odczytania go - może dobrze? Dziewczyna mogła jedynie zgadywać, co czai się we wnętrzu tego wampira.

Galeon przechylał się to na jedną, to na drugą stronę, jednak dowódca misji stał niewzruszony ze skrzyżowanymi na piersiach ramionami, ani na chwilę nie tracąc równowagi. Opromieniony srebrną poświatą księżycy, przypominał statwę. Nie jedną z tych pełnych gracji rzeźb, jakie widuje się w muzeach, lecz pomnik okrutnego dyktatora, mający za zadanie przypominać poddanym, kto nimi rządzi.

Johnny szturchnął towarzyszkę i wskazał jej coś palcem. Pośród ciemnych wód oceanu pojawił się jasno oświetlony statek. Tygrys. Główny żagiel był złożony, wszystkie lampy na pokładzie zapalone. Grace poczuła mdłości. Statek wyglądał tak krucho, tak bezbronne. Czy to możliwe, że wiadomość Connora nie dotarła do Cheng Li?

Obsydian odwrócił się, by przemówić do załogi.

- Jesteśmy prawie na miejscu! - krzyknął, a jego silny głos przetoczył się nie tylko po pokładzie, lecz także po wodzie. - Wszyscy dostaliście instrukcje. Mam tylko jedno do dodania. - W tym momencie zasłaniająca księżyc chmura przesunęła się i na posępną twarz porucznika padł promień światła. - Zabijcie lub okaleczcie każdego pirata, który stanie wam na drodze, ale panią kapitan zostawcie mnie.

Diabło podpłynął do Tygrysa z boku i dwa kadłuby zderzyły się z hukiem. Wampiraci przeskakiwali z jednego statku na drugi, jeszcze zanim przerzucone zostały kładki.

- Trzymaj się blisko mnie! - krzyknął Johnny, chwytając Grace za rękę i prowadząc po środkowej kładce. - Uważaj, gdzie stawiasz nogi! Te dechy szybko robią się śliskie. Lepiej nie zwlekać i przechodzić jak najszybciej.

Dziewczyna ruszyła w ślad za towarzyszem, robiąc dokładnie to, co jej kazał. Kiedy zeskoczyła na pokład Tygrysa, poczuła kolejny przyływ adrenaliny. Nic dziwnego, że Connor uzależnił się od takich chwil. Grace przepelniał strach, ale w pewnym sensie nigdy równie mocno nie czuła, że żyje.

Choć z początku statek wydawał się nieprzygotowany na atak, okazało się, że to tylko podstęp. Nagle z każdego kąta wyroili się piraci z okrzykami bojowymi na ustach. Bitwa się rozpoczęła.

Grace trzymała się blisko Johnny'ego. Podjęła już decyzję. Użyje miecza wyłącznie do obrony. Miała tylko nadzieję, że będzie do tego zdolna. Widząc, jak prędko i z jaką zaciętością rozszalała się walka na pokładzie, dziewczyna cofnęła się w kierunku nadburcia.

Tym, co najbardziej rzucało jej się w oczy, były właśnie szybkość i zamieszanie - oraz krew, całe mnóstwo krwi. Wyobrażała sobie pirackie potyczki jak coś w rodzaju meczu piłki nożnej, ale rzeczywistość okazała się zupełnie inna. W walce nie było żadnego porządku.

Trudno było się połapać, kto jest po której stronie. Piraci i wampiraci byli ubrani podobnie i mieli taką samą broń. Kilka ciał leżało już na pokładzie, walczący potykali się o nie.

Nagle Grace dostrzegła znajomą osobę. Rudowłosą dziewczynę, która właśnie mijała ją w pędzie.

- Cate! - zawołała nauczycielkę Connora i swoją dawną towarzyszkę. Piratka albo nie widziała Grace, albo postanowiła ją zignorować. Jedna z najlepszych wojowniczek na Tygrysie wpadła w sam środek bitwy i - ledwie kilka sekund później - na oczach panny Tempest przebiła ostrzem jednego z wampiratów.

- Do boju! - Cate uśmiechnęła się z satysfakcją i podbiegła do kolejnej grupy walczących.

Grace nigdy jej takiej nie widziała. Cate była piratką, a nie wampiratką, ale w tym momencie również miała w oczach ogień.

Skupiony na walce Obsydian Darke kroczył przez pokład. Było zbyt wcześnie, aby stwierdzić, na którą stronę przechylała się szala zwycięstwa. Jego ciemne oczy odnalazły Stukeleya, bez większego trudu pokonującego kolejnych przeciwników. Darke zrozumiał, że nie doceniał tego chłopaka. Stukeley tak często zgrywał klauna podczas tiffinów, że ujrzenie go w roli zręcznego szermierza było swego rodzaju zaskoczeniem. Obsydian poszukał następnie wzrokiem Johnny'ego i Grace, ale nie udało mu się ich wypatrzeć wśród tłumu.

Gdy dwóch piratów ruszyło na niego równocześnie, ciemnooki wampir umiejętnie, jednym ciosem, powalił obu na pokład. Nie postrzegali ich jako równych sobie przeciwników - byli jedynie przeszkodą mającą go spowolnić. Wreszcie dostrzegł kobiecą sylwetkę na dziobie statku. Cheng Li - kapitan Tygrysa, przywódczyni samozwańczych pogromców wampiratów. W końcu ją odnalazł. Obsydian skinął głową i przyspieszył kroku.

Cheng Li obserwowała postępy walki i liczbę zabitych oraz rannych. Z początku wydawało się, że strategia Cate, opracowana z uwzględnieniem informacji dostarczonych przez uroczego Lorcana Fureya, przynosi skutki. Widok młodej załogi Tygrysa pokonującej wampiratów napęłniał panią kapitan dumą. Ale potem kilku „zabitych” wstało, pomimo rozlicznych ran, i walczyło teraz ze zdwojoną determinacją.

- Cate! - krzyknęła Cheng Li. - Przekaż rozkazy! Trzeba ich szybciej unicestwić!

Nie tracąc ani sekundy, rudowłosa piratka pobiegła na środek statku i zaczęła wykrzykiwać polecenia zwierzchniczki.

- Kończcie z nimi, ludzie!

Usłyszawszy to, Jacoby podchwycił rozkaz.

- W razie wątpliwości odcinajcie głowy!

Pani kapitan uśmiechnęła się z zadowoleniem. Ta potyczka jeszcze się nie skończyła, ale ona nie miała wątpliwości, że ją wygrają. Inna możliwość nie wchodziła w rachubę. Córka legendarnego Changa Ko przez całe życie czekała na tę chwilę. To najważniejsza bitwa w historii Federacji. Od dzisiejszej nocy, kiedy piraci będą z nabożną czcią wymawiać nazwisko Li, będzie chodziło o nią, Cheng, a nie o jej ojca.

Niedaleko niej wampiraci zyskali niewielką przewagę, pozbawiając życia dwóch spośród jej najlepszych żołnierzy. Nie spojrzawszy nawet na swoje ofiary, zabójcy jednocześnie ruszyli na nią. Pani kapitan nie marnowała czasu. Wykonała manewr opracowany wspólnie przez Cate i Lorcana. Wskoczyła w górę, wyprowadzając kopnięcie, którym odrzuciła jednego z napastników na nadburcie. Zaskoczony wampirat osunął się na pokład, dając Cheng Li czas i miejsce na rozprawienie się z jego towarzyszem.

Drugi przeciwnik najwyraźniej pożywił się jedną z wcześniejszych ofiar. Krew spływała mu z ust i skapywała z brody. Piratka zacisnęła zęby. Nawet tak odrażający widok nie wzbudzi w niej lęku. Wykonała kolejny wyćwiczony manewr, przeskakując ponad głową wampira, obracając się w powietrzu i atakując srebrnym mieczem od tyłu.

Niestety, jej uderzenie nie było wystarczająco mocne i chociaż ostrze przebiło brzuch wroga, nie weszło na tyle głęboko, by na dobre wyeliminować go z walki. Cheng Li zamierzała cofnąć ostrze i spróbować ponownie, ale tamten był szybszy. Wyrwał miecz z jej dłoni i zaatakował. Cheng Li była bardziej oburzona niż przestraszona tym, co się stało. Jakim cudem pojedynek tak prędko przybrał niewłaściwy obrót?

Wampirat uniósł miecz i przygotował się do zadania ciosu. Pani kapitan spokojnie sięgnęła za plecy, by wyjąć katany. Kiedy jednak jej dłonie nie napotkały rękojeści, zorientowała się, że coś jest nie w porządku.

- Szukasz czegoś? - spytał wampir, wyraźnie rozbawiony. Cheng Li podążyła za jego wzrokiem na skraj pokładu, gdzie leżały jej katany, zupełnie bezużyteczne. Przeciwnik musiał przeciąć rzemienie, kiedy nad nim przeskakiwała. Wściekła na samą siebie, że tego nie zauważyła, przygotowała się na atak wampirata, podczas gdy - o, nie! - drugi zaszedł ją od tyłu.

Cheng Li przeklęła wrogów. Przeklęła samą siebie. Po dzisiejszej nocy jej nazwisko miało na zawsze trafić do podręczników historii piractwa. Teraz okazuje się, że będzie miała szczęście, jeśli zostanie choćby wspomniana w przypisie w rozdziale o Moluccu. To się nie mogło tak skończyć. Nie mogło... Jednak kiedy uśmiechnięty od ucha do ucha wampirat - z krwią wciąż ściekającą po brodzie i plamiącą jej piękny pokład - uniósł miecz, by zadać ostateczny cios, pani kapitan przygotowała się na niezbyt przyjemne spotkanie w zaświatach z ojcem. Już widziała pełną dezaprobaty minę Changa Ko Li.

Drugi przeciwnik - ten czający się za jej plecami - również zamierzył się do ciosu. Cheng Li znieruchomiała. Czy to znaczy, że jej przeznaczeniem jest zginąć z ręki nie jednego, a dwóch wampirów?

Zabiwszy kolejnego wampirata, Jacoby odetchnął i rozejrzał się po pokładzie. Był pełen euforii i dumy, widząc, jak członkowie załogi dwoją się i troją. Patrzył, jak Cate walczy jednocześnie z dwoma przeciwnikami. Była zarumieniona, ale wyraźnie nie odczuwała jeszcze zmęczenia. Tuż obok niej Jasmine również zdobywała przewagę. Opanowała do perfekcji nowe techniki i wyglądała tak, jakby walka nie wymagała od niej najmniejszego wysiłku. Widząc, jak nadzieja wampira na ostrze i robi z niego szaszłyk, Jacoby poczuł przypływ podziwu dla swojej dziewczyny. Przesunął wzrok nieco dalej i zobaczył niezmordowaną Bo Yin, koszącą wrogów niczym maszyną. W ich załodze nie było nikogo bardziej wysportowanego. Błyskawiczne ruchy małej Bo dezorientowały przeciwników.

Jacoby odwrócił głowę, gotów ponownie rzucić się w wir walki. I wówczas dostrzegł na dziobie Cheng Li, osaczoną przez dwóch wampiratów. Młodego porucznika przeszył zimny dreszcz. Nigdy nie zdoła do niej dobiec na czas! Pani kapitan była sama i wyglądało na to, że Jacoby otrzyma wkrótce przedwczesny, zupełnie niechciany awans...

Cheng Li przebiegła spojrzeniem od jednego przeciwnika do drugiego. Jakkolwiek spróbuje to rozegrać, sytuacja nie ułoży się dla niej korzystnie.

Drugi wampirat krzyknął do pierwszego:

- Zostaw ją!

- Nic z tego! - wrzasnął tamten wściekle. - Byłem pierwszy!

Uniósł broń i Cheng Li była pewna, że to już koniec. Ale wtedy, ku jej bezbrzeżnemu zdumieniu, drugi wampirat zamachnął się mieczem, gładko i bez odrobiny emocji odcinając głowę swemu kompanowi. Na twarzy pierwszego napastnika zdążyło się jeszcze odmalować zdziwienie, a potem głowa spadła i potoczyła się do oceanu.

Tymczasem porzucone ciało kiwało się, jakby nie wiedziało, co ma zrobić, dopóki silna ręka nie wypchnęła go za burtę.

- Jak już wcześniej mówiłem - zagrzmiął Obsydian Darke - pani kapitan jest moja.

Rozdział 41

Sojusznicy

Cheng Li wpatrywała się w twarz zabójcy. Teraz byli tylko we dwoje, odcięci od walczącego tłumu, stojący samotnie na dziobie Tygrysa. Ciemne oczy Obsydiana obserwowały ją ze skupieniem. Potem porucznik Darke pochylił się i podniósł srebrny miecz, ten, który odebrał jej pierwszy napastnik. I wówczas stało się coś niezwykłego. Wampirat oddał dziewczynie broń.

- Będziesz go potrzebowała - powiedział. - Katan, jak sądzę, także.

Cheng Li ze zdumieniem ujrzała, jak dziwny osobnik wysuwa ręce, a dwie bliźniacze katany dosłownie wpadają mu w dłonie, jakby przyciągnął je jakiś magnetyczny impuls. Tę broń również jej podał.

- Chcesz się pojedynkować? - spytała pani kapitan.

Wampirat patrzył na nią przez chwilę. Potem pokręcił głową.

- Nie z tobą, kapitan Li. Jest jeszcze wiele do zrobienia, więc nie powinniśmy marnować czasu na głupstwa.

Cheng Li zmarszczyła brwi.

- Nie rozumiem - powiedziała. - Mówisz, że nie zamierzasz mnie zabić?

- Właśnie tak - odparł, a jego głos brzmiał teraz bardziej ludzko. - Odwróć się, to naprawię twoje pasy, żebyś mogła znów nosić katany.

Pani kapitan podejrzewała podstęp. Odwróciła się jednak, uznając, że gdyby chciał ją zabić, już by to zrobił. Poczula, jak wampirat zaciska ramię i wsuwa ostrza z powrotem do pochew. Potem Obsydian Darke położył ręce na ramionach dziewczyny i obrócił ją twarzą do siebie.

- Nic nie rozumiem - przyznała. - Co tu się dzieje? Kim jesteś?

Kąciki ust wampirata uniosły się w ledwo dostrzegalnym uśmiechu.

- Nazywam się Obsydian Darke i jestem kapitanem wampiratów.

- No właśnie - odparła Cheng Li. - Prowadzisz ten atak, zakładam więc, że zależy ci na mojej śmierci.

Obsydian pokręcił głową.

- Nie jestem twoim wrogiem, kapitan Li, lecz twoim sojusznikiem. Moje nazwisko nic ci nie mówi, więc pozwól, że wyjaśnię. Jestem kapitanem Nokturnu i jego załogi. Przez jakiś czas się ukrywałem, zostawiwszy wskazówki moim towarzyszom, aby przygotowali się na nadchodzącą wojnę. Później zaś przeniknąłem do rebelianckiego imperium Sidorii i obserwowałem każdy jego ruch. W tym czasie mój porucznik, Lorcan Furey, zawarł z tobą pakt. Działał w moim imieniu.

Cheng Li kręciła głową z niedowierzaniem.

- Więc nie jesteś jakimś tam wampirackim kapitanem - rzekła wreszcie. - Jesteś tym kapitanem.

- Tak, kapitan Li - przytaknął z uśmiechem. - I dobrze jest wrócić do własnej skóry.

Dowodzącą Tygrysem ucieszyła nie tylko ta niespodziewana pomoc, lecz także cały nieprzewidziany rozwój wypadków. Wiedziała już, że nie zginie. Spojrzała na pokład.

- Bitwa czeka - oznajmiła.

Obsydian Darke skinął głową i ponownie wyciągnął przed siebie ramiona. Tym razem przywołał mgłę. Pojawiła się tak nagle, że walka w jednej chwili zamarła. Obie strony znieruchomiały ze zdumienia, czekając, aż wróci widoczność. Na pokładzie zaległa przerażająca cisza. Wtem na sterburcie rozległ się huk, a Tygrys się zakołysał. Można było odnieść wrażenie, że obok pojawił się kolejny statek.

Mgła znikła równie nagle, jak wcześniej się pojawiła. Serce Cheng Li łomotało. Obok jej statku faktycznie pojawiła się jeszcze jedna jednostka. Był to Nokturn. Prowadzony przez Lorcana Fureya oddział wchodził właśnie na pokład Tygrysa.

Obsydian Darke spojrzał na sojuszniczkę.

- Wierzę, że fala nam sprzyja - powiedział.

Oczy Cheng Li rozbliły.

- Zakończmy to - odparła. - Razem.

Widząc Lorcana, Cate zrozumiała, że przybyła odsiecz, i poczuła nową falę energii. Rozejrzała się po pokładzie i dostrzegła kolejną wampiratkę z tatuażem w kształcie czarnego serca. Może to była jedna z tych przeklętych kobiet, które odebrały życie Moluccowi

Wrathe'owi? Cate rozprawiła się już z dwiema podobnymi przeciwniczkami, zatem może policzyć się i z nią. Do trzech razy sztuka. Ta wampiratka zresztą nie będzie trudna do pokonania, bo stoi przy samym nadburciu. Rudowłosa wydała okrzyk wojenny i ruszyła przed siebie ze srebrnym mieczem w górze.

Grace była zaskoczona nagłym pojawieniem się mgły i widokiem Lorcana wbiegającego na pokład Tygrysa. Ale nie tylko jego przybycie ją zdumiało. Chłopak wyglądał inaczej, niż go zapamiętała. Podczas kilku ostatnich astralnych wizyt zauważyła wprawdzie, że wskutek treningów bardzo zmęźniał, ale dopiero teraz dotarło do niej, że jego przemiana w wojownika już się dopełniła. Pomachała mu, oceniając, czy trudno będzie jej do niego dotrzeć.

Jednak nim zdołała coś przedsięwziąć, stanęła twarzą w twarz z bardziej palącym problemem. Cate pędziła wprost na nią z furią w oczach i klingą w dłoni. Grace chciała krzyknąć do piratki, by ta się zatrzymała, ale zrozumiała, że nie zdąży. Tym razem będą musiały przemówić miecze. Spięta i przerażona, uniosła broń i już po chwili srebro starło się ze stalą.

Ku własnemu zdumieniu Grace udało się odparować pierwszy cios, ale nie było czasu, by mogła sobie tego pogratulować. Rudowłosa piratka już szykowała się do kolejnego uderzenia. Grace poczuła nagle, że jej lęk gdzieś zniknął. Zastąpiły go spokój i skupienie.

Cate zamachnęła się po raz drugi, ale bezskutecznie. Nie tracąc animuszu, piratka wyprowadziła kolejny atak. I znów, bez chwili namysłu, Grace ustawiła ostrze w odpowiedniej pozycji. Cate wykonała pchnięcie do przodu. Grace odpowiedziała na jej cios szybciej, tym razem omal nie wytrącając przeciwnicze broni z ręki. Czuła krążącą w żyłach adrenalinę. Wydawało się, że potrafi przewidzieć każdy kolejny ruch Cate. Poczowała się niezwyciężona.

Cate zaskoczyły umiejętności wampiratki. Dziewczyna była urodzonym szermierzem. Przyjemnie walczyło się z kimś, kto potrafił używać miecza. Większość wampiratów umiejętności miała mizerne, nadrabiała za to agresją. O tak, tej im nie brakowało.

Przygotowując się do zadania kolejnego ciosu, Cate spojrzała wampiratce w twarz. I nie uwierzyła własnym oczom.

- Grace! - zawołała. - Grace Tempest!

- To ja! - krzyknęła dziewczyna. - Chciałam ci wcześniej powiedzieć, ale zamierzałam przeciąć mnie na pół!

- Co ty tutaj robisz? - spytała rudowłosa, nadal nie mogąc ochłonąć.

- To skomplikowane - odparła Grace. - Nie czas teraz na wyjaśnienia. Ale nie jestem tutaj, żeby z tobą walczyć. Ani z tobą, ani z żadnym innym piratem. Wysłano mnie na Tygrysa wbrew mojej woli!

Piratka zmarszczyła brwi, przypominając sobie Molucca i szacując ryzyko.

- Grace, nie należysz do mojej załogi. A skoro nie jesteś w mojej załodze, to znaczy, że jesteś wrogiem.

Grace wzruszyła ramionami, a w jej oczach zapłonął ogień.

- Skoro tak to widzisz... Walczmy! - Czują, że miecz w jej dłoni pulsuje energią. Była gotowa.

Jasmine po licznych pojedynkach zaczynała odczuwać zmęczenie. Miała ranę na lewej łopacie, ale na szczęście chyba niegroźną. Ból dawało się znieść, a krew przestała już lecieć. Pomimo tych niedogodności dziewczyna była zadowolona. Teraz, kiedy przybyli sojusznicy z Nokturnu, wampiraci padali jak muchy.

Problem całkowitej eliminacji wrogów pozostawał jednak nierozwiązany i niedługo potem Jasmine zaatakował „stary znajomy”.

- Zabiłam cię pięć minut temu! - zawołała oburzona.

- Spróbuj znowu! - odparł wampir z szerokim uśmiechem.

Kiedy na nią natarł, dziewczyna instynktownie uskokczyła w tył, żeby mieć więcej miejsca na zamach mieczem. Jednak lądując, nie natrafiła stopami na deski. Potknąwszy się o ciało zabitego wampirata, straciła równowagę i upadła. Jej przeciwnik nie tracił czasu. Nachylił się nad Jasmine z wykrzywioną złośliwie twarzą i uniósł broń. Mając pod sobą martwego wampirata, a nad sobą - zdecydowanie niemartwego, piratka zrozumiała, że jedyne, co jej pozostało, to modlitwa.

Nagle twarz napastnika stężała i Jasmine zobaczyła ostrze przebijające mu pierś.

- Jasmine, unik! - zawołał znajomy głos. Dziewczyna posłusznie przeturlała się na bok, a wampirat upadł, dołączając do poległego kompana. Spojrzawszy w górę, Jasmine dostrzegła Bo Yin wydobywającą ze zwłok swój miecz.

Córka płatnerza z uśmiechem wyciągnęła dłoń do towarzyszki.

- Jasmine Peacock, jesteś moją dłużniczką!

Jacoby uśmiechnął się z zachwytem, widząc, jak oddział Lorcana włącza się do walki. Szczęście zdecydowanie było po ich stronie. Nadeszła pora, by podnieść poprzeczkę. Pokład

Tygrysa był już zasłany ciałami. W powietrzu unosił się zapach śmierci. Stopy ślizgały się na mokrych od krwi deskach. Jacoby spojrział na pusty pokład Diabła i ocenił odległość. Unosząc miecz, przepchnął się przez tłum walczących i przeskoczył na statek, którym przyплыnęli napastnicy. W ten sposób stary galeon ponownie znalazł się we władaniu piratów.

Jacoby stanął na jego pokładzie z rękami opartymi na biodrach i chłodno obserwował miotających się po Tygrysie wampiratów. Jeden z nich odwrócił głowę i popatrzył zastępcy Cheng Li prosto w oczy. Jego spojrzenie było mroczne i pełne okrucieństwa. Jacoby wiedział, kto to jest. Legendarny Jez Stukeley, dawniej sławny pirat. Najwyraźniej nie wyszedł z formy. Będzie godnym przeciwnikiem.

Jacoby przywołał wampirata gestem.

- No chodź - powiedział, dobywając miecza. - Chodź, jeśli sądzisz, że jesteś dość twardy! Z płonącymi oczami Stukeley ruszył w jego stronę.

Ostrze Grace ponownie starło się z bronią Cate. Chociaż dziewczyna przysięgała sobie, że użyje miecza Grace O'Malley jedynie do samoobrony, zorientowała się, że wyprowadzanie ataków przychodzi jej równie łatwo. Zastanawiała się przez chwilę nad swoją nową umiejętnością. Czy zawdzięczała ją broni - duchowi wielkiej piratki, który w jakiś sposób kierował jej ręką - czy była to kolejna z mocy daimona? Niezależnie od przyczyny, Grace odczuła głęboką satysfakcję, gdy zdołała wytrącić przeciwnicze broń z ręki. Instynktownie przysunęła się, by uniemożliwić Cate podniesienie miecza.

- Czekaj! - Rudowłosa uniosła dłoń. - Poddaj się! - Jej twarz była blada. - Zanim mnie zabijesz, powiedz mi jedno. - Umilkła, by zaczerpnąć tchu.

- Co zrobiliście z Bartem?

Grace osłupiała.

- Nie zabiję cię - powiedziała. - Nigdy nie miałam takiego zamiaru.

- Powiedz mi, gdzie jest Bart - nalegała Cate. - Dwa dni temu popłynął odwiedzić Connora i od tamtego czasu go nie widzieliśmy.

- Rzeczywiście spotkał się z Connorem. Wczoraj w nocy był na naszym statku, ale zdenerwował się i opuścił Wagabundę. Miał płynąć prosto tutaj.

- Rozejrzyj się, Grace. Widzisz go gdzieś? - Twarz piratki poszarzała. - Nie wrócił. Grace opuściła miecz.

- Nie rozumiem. To gdzie się podział?

Rozdział 42

Trzeci dar

- Proszę - powiedział Sidorio. - Mój trzeci dar. Jak mówiłem, jeszcze nie całkiem gotowy.

Chłopiec nie mógł wydobyć z siebie słowa. To, co zobaczył, wprawiło go w osłupienie. Czy to jakaś sztuczka? Halucynacja wywołana pierwszym pićm krwi? Nie. To była prawda. Widział ją i czuł. Trzeci dar Sidorio. I ten... ten koszmar miał być najlepszym z jego prezentów dla syna.

- Coś ty zrobił? - wykrztusił Connor. - D1 a c z e -go to zrobiłeś? - Pokręcił głową, a potem otworzył usta i wydał głośny, przesywający jęk.

Sidorio objął chłopaka ramieniem.

- No już, cicho - powiedział. - Uspokój się i pozwól, że ci wszystko wytłumaczę.

- Niby jak chcesz mi to wytłumaczyć?! - Łzy spływały Connorowi po twarzy. - Zabiłeś mojego najlepszego przyjaciela! A teraz dajesz mi jego zwłoki w prezencie i oczekujesz, że ci podziękuję?!

Widząc udrękę syna, wampir zmarszczył brwi.

- Właściwie zabiła go Lola. To coś, co oboje chcieliśmy dla ciebie zrobić. Ale umyka ci sedno, synu. Ciało nie jest prezentem. Już ci powiedziałem: nie jest jeszcze gotowy. Przemienień go. Tchnę w Barta wieczne życie. Oto mój dar dla ciebie.

Connor pokręcił głową.

- Jesteś obłąkany - powiedział. - Ty i Lola... Oboje jesteście szaleni.

Wymieniając kolejne ciosy z Jacobym na opuszczonym pokładzie Diabła, Stukeley był pod wrażeniem umiejętności młodego pirata.

- Dobry jesteś - powiedział, gdy ich ostrza ponownie się zwały.

- Wiem! - Jacoby odepchnął wampirata.

Stukeley zachichotał i otrzepał koszulę z kurzu, szykując się na kolejną rundę.

- I arogancki. Kiedyś byłem taki jak ty.

- Żywy, jak mniemam?

Stukeley znowu się zaśmiał, unosząc miecz, by jeszcze raz odeprzeć atak Jacoby'ego.

- Żywy czy nieumarły, bez różnicy - powiedział, wykonując paradę. - Liczy się tylko to, jak umiejętnie posługujesz się bronią. - Ostrza ponownie zderzyły się ze szczękiem. - A ty... - Nabrał powietrza. - Ty dobrze radzisz sobie ze stałą, mój przyjacielu.

Jacoby uśmiechnął się sztucznie.

- Mój miecz jest ze srebra. Wy, wampiraci, bardzo go nie lubicie! - Spojrzał przeciwnikowi w oczy.

- I po co te komplementy? Czyżbyś zamierzał przeciągnąć mnie na ciemną stronę?

- To wcale niegłupi pomysł - odparł Stukeley.

- Przydałby nam się w załodze taki uzdolniony szermierz. Zastanów się nad tym, piracie.

- Po moim trupie! - krzyknął Jacoby, unosząc klingę.

Stukeley roześmiał się głośno. Zyskał przewagę w pojedynku. Po serii parad ostrze jego rapiera trafiło wreszcie w przedramię Jacoby'ego. Z rany popłynęła krew.

- Śmierć jest zazwyczaj częścią procesu rekrutacji - oznajmił wampirat ze złośliwym uśmiechem.

W przeciwieństwie do opustoszałego Diabła, pokład Tygrysa pełen był walczących. Johnny nie miał dużego pola manewru, ale nie przeszkodziło mu to w utoczeniu krwi kilku piratom. Świetnie się bawił - tak świetnie, że chwilowo stracił z oczu Grace. Obiecał, że będzie miał na nią baczenie, i początkowo faktycznie robił, co mógł. Jednak to ostatnie starcie wypchnęło go na sam środek statku, w pobliże masztu. Teraz próbował się przebić przez ścisk i odnaleźć dziewczynę. Nagle poczuł, że czyjaś ręka chwyta go z tyłu za kołnierz.

Johnny odwrócił się, żeby stanąć z przeciwnikiem twarzą w twarz, i spojrzał w dobrze sobie znane błękitne oczy.

- No proszę - powiedział. - Lorcan Furey. Jak się miewasz, stary druhu? Dawno się nie widzieliśmy.

- Nie jestem twoim druhem - odparł ostro Lorcan.

- A kiedy ostatnio widziałem cię w Sanktuarium, zachowywałeś się jak oszalały jeździec rodeo. Musiałem ratować przed tobą Grace.

- No, cóż - odparł Johnny. - Ty zapewne właśnie tak to postrzegałeś. Jestem pewien, że codziennie przed zaśnięciem roisz o ratowaniu dam z opresji. Cieszę się, że mogłem ci pomóc w spełnieniu tego marzenia.

Nagle tłum popchnął ich bliżej siebie. Lorcan wyciągnął ramiona, żeby odsunąć Johnny'ego. Ten uśmiechnął się nieszczercze.

- No, no, no - powiedział z udawanym podziwem.

- Ktoś tu ćwiczył. - Czy ty kiedykolwiek przestajesz mleć ozorem? - warknął Lorcan. - Czasami - odparł wampir z przebiegłym uśmiechem. - Na przykład wtedy, kiedy całuję pewną piękną dampirkę.

W oczach Lorcana zapłonęła furia.

- Jeśli ośmieliłeś się tknąć Grace - oznajmił z mocą - zapłacisz mi za to.

Ponownie odepchnął Johnny'ego, ale nie starło to uśmiešku z twarzy byłego kowboja.

- Wydaje mi się, że Grace dorosła od czasu, gdy ją ostatnio widziałeś - stwierdził złośliwie Johnny.

- Może już podejmować własne decyzje i jakoś nie narzekała, kiedy przez całe noce jeździliśmy konno, przytuleni go siebie niczym dwa gołąbki.

- Trzymaj się od niej z daleka, słyszysz? - powiedział Lorcan. - Ona nie jest dla ciebie. Johnny zmarszczył brwi.

- Ciebie wcale nie interesuje, co jest dobre dla Grace. Po prostu chcesz ją dla siebie. Może i byłeś pierwszym wampirem, jakiego poznała, ale teraz ma porównanie i może dokonać... bardziej świadomego wyboru.

Lorcan pokręcił głową.

- Może i trochę ją zauroczyłeś - przyznał. - Ale nic, co zrobisz, nie zerwie więzi, jaka łączy mnie z Grace.

- Tak, wiem, wiem... To ty wyciągnąłeś ją z wody. Bla, bla, bla. Stare dzieje, amigo.

- O, nie. Nasza historia rozpoczęła się dużo wcześniej. Trzymałem ją w ramionach, kiedy była niemowlęciem.

Johnny przewrócił oczami.

- I nie sądzisz, że to chore, że chcesz być jej chłopakiem?

- Żadne „chcę” - powiedział Lorcan ponuro. - Ja jestem jej chłopakiem.

Johnny pokręcił głową.

- Nie bądź tego taki pewien, amigo. Ostatnio zachowanie Grace wskazywało raczej na to, że wypadłeś z jej łask. Decyzja jeszcze nie zapadła. Ale nie musimy rozstrzygać tego między sobą. Grace jest na pokładzie. Znajdźmy ją i niech nam sama powie, na czym stoimy. Lorcan zaniepokoił się na wieść, że Grace bierze udział w bitwie. Pokład Tygrysa był ostatnim miejscem, w którym powinna się znaleźć. Chłopak nie spuszczał wzroku z przeciwnika.

- Z Grace porozmawiamy za chwilę - oznajmił. - Najpierw spuszczę ci łomot.

- Doprawdy? - Johnny uśmiechnął się z politowaniem. Lorcan skinął głową, znajdując wreszcie dość miejsca, by dobyć miecza. - Zwykle nie odczuwam radości, zadając komuś ból, ale w twoim przypadku, Desperado, będzie to dla mnie prawdziwa przyjemność.

Sidorio był skołowany.

- Connor, nie rozumiem cię. Wysiłam się, staram, żebyś był szczęśliwy, a ty w ogóle nie jesteś wdzięczny!

- Szczęśliwy? - Chłopak na chwilę zaniemówił. - Wdzięczny?

Wampir przytaknął.

- Wiem, jak wielka przyjaźń łączy cię z Bartem. Widziałem, jak bardzo uszczęśliwiła cię jego wizyta. Ale to nie miało przyszłości. On był śmiertelny, ty jesteś dampirem. - Uśmiechnął się i wskazał ręką zwłoki. - To było oczywiste rozwiązanie. Kiedy tchnę w Barta nieśmiertelne życie, tak jak kiedyś uczyniłem to ze Stukeleyem, Trzej Bukanierzy zostaną połączeni na wieczność! Żaden ojciec nie mógłby dać synowi wspanialszego daru.

Connor odwrócił wzrok od ciała przyjaciela i spojrzał w rozpromienioną twarz Sidorio. Potrząsnął głową.

- Nie prosiłem o to wszystko. O bycie twoim synem. O bycie łakącym krwi dziwolągiem. Mówisz, że chcesz, bym był szczęśliwy. Nie rozumiesz? Byłem szczęśliwy. Kiedyś, kiedy byłem piratem i miałem dobrych przyjaciół. - W oczach chłopaka zapłonęła furia. - A teraz już nigdy nie będę szczęśliwy, dzięki tobie i twojej obłąkanej żonie! Żałuję tylko jednego: że nie udało mi się jej unicestwić, kiedy miałem szansę. Gdyby mi się wtedy udało, Bart nadal by żył!

- Connor, rozumiem, że czujesz się zraniony, ale proszę, nie mów takich rzeczy. Twoja macocha chce jedynie tego, co dla ciebie najlepsze. Tak samo jak ja. A Bart będzie znowu żył. - Wampir podszedł do ciała pirata.

- Nie! - krzyknął chłopak. - Trzymaj się od niego z daleka!

Sidorio, wyraźnie zdezorientowany, rozłożył ramiona w ojcowskim geście, ale Connor go odepchnął. Kiedy plecy chłopca dotknęły ściany, osunął się na podłogę, objął nogi ramionami i gorzko zapłakał.

Sidorio nachylił się nad synem.

- Wiem, co oznacza samotność. Nie zapominaj, że ja również przebyłem tę drogę, więc rozumiem dokładnie, przez co przechodzisz. Zostałem zabity - przez Cezara, oczywiście - a potem dano mi nieśmiertelność. To najwspanialszy dar, jaki może otrzymać człowiek. - Głos wampira złagodniał. - Ale na początku jest się samotnym. W jednej chwili zostajesz odcięty od przyjaciół i rodziny. Wiesz, że już na zawsze pozostaniesz taki sam, a oni zestarzeją się i umrą. Masz wybór: możesz przy nich zostać i znosić tę nieustanną torturę albo się od nich odciąć. Ja podjąłem decyzję. Wymazałem przeszłość i ruszyłem w świat. Przeżyłem niesamowite przygody, ale wyznam szczerze, że często czułem się parszywie. Przez długi czas trzymałem na dystans wszystkich i nie pozwalałem nikomu się do siebie zbliżyć.

Connor poczuł, że łzy na jego policzkach obeschły. Słuchał, wbrew własnej woli zaintrygowany zwierzeniami wampira.

- Najgorsze jest pierwszych sto lat. Nie chcę, żebyś przez to przechodził. Zresztą w twoim przypadku od początku było lepiej. Ty nigdy nie będziesz sam. Masz siostrę. Masz mnie, Lolę i Stukeleya. Jesteś otoczony osobami, które cię kochają i rozumieją. Zdajesz sobie sprawę z tego, jak wielkie masz szczęście?

Chłopak zaśmiał się głucho.

- Naprawdę uważasz, że mnie rozumiesz? - powiedział, kręcąc głową. - Ty nic nie rozumiesz.

Sidorio wyglądał na zasmuconego. Connor odwrócił wzrok i wstał. Podeszedł do przyjaciela i wziął go za rękę. Dłoń pirata była zimna i bezwładna, pozbawiona życia. Po policzkach chłopaka znów popłynęły łzy.

- Przykro mi, Bart - powiedział. - Zawsze byłeś dobrym kumplem. Nie zasłużyłeś na to. To wszystko moja wina. Tak bardzo cię przepraszam.

- Connor. - Sidorio wstał i ponownie stanął u boku syna. - Nie masz Barta za co przepraszać. - Jego złote kły były teraz wyraźnie widoczne. - Chcesz tu zostać i zobaczyć, jak przeprowadzam go na naszą stronę?

Chłopak patrzył na wampira z niedowierzaniem. Czy ten szaleniec, ten potwór, nie zrozumiał ani słowa z tego, co Connor mu powiedział? Był głupi czy obłąkany? Odpowiedź na oba pytania brzmiała najwyraźniej: „Tak”. Do Sidorii przemawiały tylko czyny, szczególnie te brutalne.

Connor zrobił jedyną rzecz, jaką mógł zrobić. Dobył miecza. Czubek ostrza przeciął szyją na zamówienie koszulę kapitana i oparł się na skórze.

- A teraz posłuchaj mnie uważnie - powiedział chłopak. - Jeśli choćby tkniesz palcem mojego przyjaciela, przebiję cię tym mieczem. Może i jesteś nieśmiertelny, ale znajdę sposób, by cię zniszczyć. Przysięgam, że tak właśnie zrobię.

Rozdział 43

Prawda i konsekwencje

Ostrze miecza Connora naciskało na pierś Sidorio. Ojciec i syn zmierzyli się wzrokiem - w oczach chłopaka płonęła furia, spojrzenie wampira wyrażało bezbrzeżne zdumienie. Miecz kapitana pozostawał u pasa - Sidorio nawet po niego nie sięgnął.

W korytarzu rozległ się odgłos zbliżających się kroków. Lekko uchylone drzwi kajuty otworzyły się szeroko. .

Do środka weszła Lola. Rzuciwszy okiem na męża i pasierba, szybko zamknęła za sobą drzwi.

- Co się tu dzieje? - zażądała wyjaśnień.

Sidorio spojrzał na żonę.

- Connorowi nie spodobał się trzeci dar - powiedział.

Lady Lockwood spojrzała na chłopaka.

- Odłóż miecz - nakazała uprzejmym, ale stanowczym tonem.

Connor nie odrywał wzroku od Sidorio, ale opuścił broń.

- Tak lepiej - rzekła Lola. - A teraz omówmy całą sprawę jak ludzie cywilizowani.

Chłopak zaśmiał się głucho. Nic nie powiedział.

- W czym dokładnie tkwi problem, Connorze?

Zapytany popatrzył na nią z mieszaniną obrzydzenia i zdumienia.

- A jak sądzisz, ukochana macochko? Zabiłaś mojego najlepszego przyjaciela.

Wampirzyca wydawała się zdziwiona i lekko zniecierpliwiona.

- Cóż, owszem - odparła. - A teraz ojciec przemieni go dla ciebie, żeby żył wiecznie.

Kiedy Connor znowu się odezwał, w jego głosie słychać było determinację.

- Nikt nie przemieni Barta. Ani dzisiaj, ani nigdy.

Lola uniosła brwi i spojrzała na męża. Ten wpatrywał się w chłopaka z osłupieniem.

- Bez wątplenia to był twój pomysł - syknął Connor. - Zemsta za to, że próbowałem cię zabić.

Lady Lockwood uśmiechnęła się pobłażliwie.

- Zemsta? Nie, chłopcze. Nie pamiętasz, co powiedziałam, kiedy powitałam cię na pokładzie Wagabundy? Powiedziałam, że przeszłość została zapomniana, że wszystko zaczyna się od nowa. Mówiłam serio. Kiedy dowiedziałam się, że jesteś synem mojego małżonka, przyjąłem cię z otwartymi ramionami. Zawsze miałam na względzie jedynie twoje dobro. Poważnie traktuję obowiązki macochy. A ty odpłacasz mi w ten sposób? Grożąc mieczem własnemu ojcu? Bardzo mnie rozczarowałeś!

Chłopak pokręcił głową.

- Nadal tego nie pojmujesz, prawda? Żadne z was nie rozumie. Zabiliście Barta! Nie wybaczę wam tego do końca życia.

- Chyba zapominasz, że wszyscy jesteśmy nieśmiertelni - powiedziała Lola. - To długi czas na chowanie urazy, skarbie. Poza tym powinniśmy nam podziękować. Niewielu rodziców może dać dzieciom taki dar.

- Nie interesują mnie wasze dary - burknął Connor.

- Przestań się dąsać - odparła lady Lockwood.

- Twój ojciec i ja budujemy imperium, jakiego świat jeszcze nie widział. Chcemy, abyście - ty i Grace - byli u naszego boku. - Westchnęła ciężko. - Gdybyś tylko umiał okiełznać te wszystkie lęki okresu dojrzewania i dostrzec niezwykle możliwości, jakie się przed tobą otwierają!

Popatrzyła na Sidorę. Kapitan poparł żonę skinieniem głowy.

Connor jednak pozostał nieczuły.

- Niczego od was nie chcę.

Lola zmarszczyła brwi.

- Ta sytuacja robi się nieznośna - stwierdziła. - Przykro mi, jeśli przekroczyliśmy jakieś granice, ale naprawdę myśleliśmy, że tchnięcie wieczności w imponujące, choć śmiertelne ciało Barta bardzo cię ucieszy.

- Źle myśleliście - odparł chłopak, nadal wściekły.

- Mam propozycję - rzekła Lola pojednawczo. - Odpocznij chwilę i ochłoń. Obawiam się, że członkowie klanu Sidoriów zbyt łatwo wpadają w gniew. Przecież nie można walczyć z

własną krwią! Przemyśl to sobie na spokojnie. Jestem przekonana, że dostrzeżesz wreszcie swój błąd. Potem ojciec przemieni Barta i będziemy mogli żyć dalej. Jak jedna wielka, szczęśliwa rodzina.

Connor przez chwilę milczał. Lady Lockwood posłała mężowi triumfujący uśmiech, zadowolona, że odzyskała kontrolę nad sytuacją.

A potem chłopak otworzył usta i krzyknął najgłośniejszym głosem, jak potrafił:

- Nie! Nie uspokoję się ani niczego nie przemyślę! Raz na zawsze wbijcie sobie do głów, że nikt nie przemieni Barta! A co do bycia częścią waszej rodziny... Zapomnijcie o tym! Jeszcze dzisiaj stąd odchodzę i zabieram Barta. Urządzą mu porządną pogrzeb. Przynajmniej tyle mu się ode mnie należy.

Rozedrgany Connor minął Sidorio i podniósł ciało Barta. Zwłoki były ciężkie, ale musiał zabrać przyjaciela z tego koszmarne statku. Przerzuciwszy sobie ciało przez ramię, wyszedł z kajuty. W rękę trzymał obnażony miecz, na wypadek gdyby któreś z wampirów próbowało jakichś sztuczek.

Sidorio wyszedł za chłopakiem na korytarz.

- Connor - powiedział. - Proszę, nie zostawiaj nas! Nie kończ tego w ten sposób.

Młody dampir odwrócił się i spojrzał na ojca pałającymi oczami.

- Nie ja to skończyłem, lecz ty. Ty i ta twoja żonka z piekła rodem.

Odwrócił się na pięcie i ruszył korytarzem. Nagle zobaczył przed sobą rodzinny portret. Sidorio musiał go tu powiesić.

Choć słyszał za sobą kroki, podszedł do obrazu. A potem energicznym ruchem uniósł miecz i ugodził malowidło. Przecięcie twarzy Loli na dwoje sprawiło chłopcu niezmierną satysfakcję. Z mściwą radością pociął portret na paski, opuścił miecz i ruszył po schodach na pokład.

Zobaczywszy zniszczony obraz, Lola chwyciła męża za ramię.

- Och, nie! - zawołała z oburzeniem. - Mistrz Caravaggio tak się nad nim napracował!

- Myślisz, że mógłby namalować jeszcze jeden? - spytał Sidorio.

Lady Lockwood pokręciła głową.

- Wstydziłabym się zapytać. - Przeszył ją dreszcz.

- „O ile dotkliwiej niż ukąszenie zjadliwego gada boli niewdzięczność dziecka”!

Sidorio spojrzał na nią z wyraźnym brakiem zrozumienia.

- Cytowałam Szekspira - wyjaśniła niecierpliwie, ale złagodniała, widząc ból w oczach męża. - Pan William Szekspir pisał dramaty, mój drogi. Jest wśród nich jeden, który z pewnością przypadnie ci do gustu. Mam go w swojej bibliotece. Potem ci poczytam. Może to ukoi twoje nerwy.

Tymczasem na pokładzie Diabła Johnny i Lorcan ponownie skrzyżowali miecze.

- Czy wiesz - mówił były kowboj z nonszalancją, szarżując na przeciwnika - że od waszego ostatniego spotkania Grace rozsmakowała się we krwi?

Lorcan odparował cios.

- Nie marnuj energii na puste kłamstwa - poradził. - Będziesz jej potrzebował.

Oczy Johnny'ego lśniły z uciechy.

- To żadne kłamstwo, amigo. Grace uwielbia nasz szkarłatny trunek. - Zakręcił ostrzem i odbił uderzenie przeciwnika. - I w sumie nic w tym dziwnego. Przecież jestampirem.

- Dampir nie potrzebuje krwi, by przetrwać - odparł Lorcan.

- To prawda - przytaknął Johnny pomiędzy kolejnymi ciosami. - W przeciwieństwie do nas dampirey mają wybór. Ale Grace otworzyła się na krew. I dobrze. To jeden z powodów, dla których tak świetnie zaaklimatyzowała się na naszych statkach. Bo widzisz, my nie robimy sobie wyrzutów z powodu naszego apetytu. W przeciwieństwie do was. Wy nienawidzicie samych siebie.

Ich miecze znowu się starły. Lorcan odepchnął Johnny'ego z taką siłą, że ten przeleciał kilka metrów wzdłuż pokładu.

- Nokturni nienawidzą jedynie takich wampiratów jak wy. Psujecie nam reputację!

Johnny wzruszył ramionami.

- Nic dziwnego, że Grace się wami znudziła i postanowiła przejść na tę fajną stronę. - Zaparł się w miejscu i przeciwstawił swoją siłę sile Lorcana. Byli w impasie.

Lorcan uśmiechnął się ponuro.

- Grace przybyła na wasz statek jako tajny agent - oznajmił. - Wszystko, co zrobiła, stanowiło część jej misji. Pogrywaliśmy z wami, ale ty byłeś zbyt dumny, żeby to dostrzec.

Wyraz twarzy Johnny'ego natychmiast się zmienił. Tupet kowboja przepadł bez śladu.

- Nie wierzę ci! - zawołał. - Wiem, co zaszło między mną a Grace!

Lorcan nie miał litości.

- Oczywiście, że wierzysz. Zakochałeś się w niej. Chciałeś ją zdobyć już w Sanktuarium. Próbowaleś mi ją ukraść, kiedy byłem ślepy i chory. Właśnie taką gnidą jesteś, Desperado. Nie dostałeś jej wtedy i nie dostaniesz teraz. Byłeś dla niej jedynie środkiem do osiągnięcia celu.

Lorcan pchnął Johnny'ego do tyłu. Ich miecze nareszcie się rozdzieliły.

Mina byłego kowboja wyrażała absolutną nienawiść.

- Zabiję cię, Furey! - syknął. Natarł na Lorcana, który tym razem nie znalazł dobrego oparcia dla stóp. W jego obronie pojawiła się luka i miecz Johnny'ego pozbawił przeciwnika pukla ciemnych włosów. Po chwili ostrze zatrzymało się na szyi nokturna.

W oczach wampirata płonął ogień.

- Może i nie będę miał Grace. Ale teraz, amigo, ty też jej nie dostaniesz.

Cheng Li i Obsydian Darke walczyli ramię przy ramieniu. Razem byli nie do powstrzymania. Kończąc kolejną z serii wielu potyczek, dziewczyna zwróciła się do sojusznika:

- Zawsze uważałam pana za pacyfistę, a nie za człowieka czynu. - Kiedyś byłem pacyfistą - odparł cicho. - Ale czasy się zmieniły, a ja musiałem się do nich dostosować. Nie była to łatwa przemiana, lecz, niestety, konieczna.

Pani kapitan omiotła wzrokiem pokład.

- Chyba wygrywamy - stwierdziła.

- Musimy - odparł Obsydian. Oczy miał równie ciemne jak kamienie, od których wzięło się jego imię. Uniósł broń i natarł na kolejnego wroga.

Lorcan czuł na szyi zimną stal miecza Johnny'ego, a w jego brązowych oczach widział kpinę. Wampirat czerpał z tego zwycięstwa ogromną satysfakcję i zamierzał się nim jeszcze po rozkoszować.

- Dość!

Johnny i Lorcan zamarli, słysząc głos dobrze im znanej osoby - osoby, która miała władzę nad nimi obydwojma.

Grace stała tuż obok z mieczem w dłoni. Spoglądała szmaragdowymi oczami to na jednego chłopaka, to na drugiego.

- Opuść broń, Johnny - powiedziała.

Kowboj powoli wypuścił powietrze z płuc.

- Nie mogę tego zrobić. Przykro mi. - Przycisnął ostrze mocniej do szyi Lorcana.

- Czekaj! - rzekła Grace. - Słyszałam, co Lorcan ci powiedział. Rozumiem, że jesteś rozgniewany.

- Czy to prawda? - spytał Johnny. Unikając spojrzeń tamtych dwojga, wpatrywał się w czubek swego miecza.

Grace się zawahała.

- Czy to prawda? - powtórzył wampirat. - Grace, jeśli nie chcesz, żebym zrobił coś bardzo złego, zacznij mówić!

- Część jest prawdą - przyznała.

- Która część?

- Przestań ją gnębić - wtrącił Lorcan zachrypniętym głosem. - Zrób, co masz do zrobienia. Czy nie tak mówią kowboje?

- Zamknij się! - Johnny tracił panowanie nad sobą. - Grace, spytałem, która część jest prawdą.

- Naprawdę przybyłam do was jako szpieg i z początku ci nie ufałam. Ale zawsze bardzo cię lubiłam, Johnny. Wiem, że Lorcan nie będzie zadowolony, słysząc moje słowa, jednak wszyscy wiemy, że to prawda. Mogę lubić was obu. Po tym, co się stało w Sanktuarium, niełatwo było ponownie ci zaufać, ale podczas naszych konnych przejażdżek pokazałaś inną stronę swojej osobowości. Spodobało mi się poznanie ciebie... tego prawdziwego ciebie. - Umilkła na chwilę. - I ten prawdziwy Johnny wiedziałby, że skrzywdzenie Lorcana jest najgorszą rzeczą, jaką mógłby uczynić.

Wampirat patrzył to na nią, to na przeciwnika.

- Nie wiem już, w co wierzyć - stwierdził.

- Uwierz w moje słowa - powiedziała twardo dziewczyna.

- Ona mówi to tylko po to, żeby mnie ratować - rzucił Lorcan.

- O rany. Ty naprawdę chcesz zginąć, co, stary? - rzekł Johnny z iskrą w oku. - Dobra. Minał czas na rozmowy. Spełnię twoje życzenie. - Odsunął miecz, szykując się do zadania ostatecznego ciosu.

Gdy jego ostrze ruszyło naprzód, natrafiło na niespodziewany opór innej broni. Ale to nie Lorcan ją trzymał. Johnny stał twarzą w twarz z Grace.

Rozdział 44

Wybory

Dziewczyna patrzyła na Johnny'ego ponad ostrzem. - W razie konieczności nie zawaham się go użyć - oznajmiła. Wiedziała już, że potrafi posługiwać się mieczem Grace O'Malley z niebywałą zręcznością.

Johnny patrzył na nią z zadumą.

- Nie chcę z tobą walczyć - powiedział.

Spojrzała mu w oczy. Pomyślała o wszystkich zwrotach w ich relacjach: przypomniała sobie Johnny'ego żartownisia, który podczas trudnych nocy w Sanktuarium pomagał jej zachować pogodę ducha; Johnny'ego samotnika, który zwierzył jej się ze złych wyborów, jakich dokonał za życia i po przejściu; Johnny'ego, który ją zaatakował, a kiedy odchodził, żeby przyłączyć się do załogi Sidoria, oznajmił: „Nie chodzi o to, że nie potrafię być dobry. Tylko że o wiele lepiej wychodzi mi bycie złym”. Wówczas straciła w niego wiarę, ale od chwili przybycia na Wagabundę dostrzegła w nim nową osobę. Myślała o ich nocnych przejażdżkach i szalonej eskapadzie do piwniczki Loli, o pełnym przerażenia spojrzeniu kowboja, kiedy ujrzał ją na pokładzie Diabła. Grace podejrzewała, że lady Lockwood kazała Johnny'emu ją oczarować, ale nie miała wątpliwości, że jego uczucia są prawdziwe. W pamięci utkwiała jej pewna rozmowa:

- Kiedy powiedziałaś, że jestem tysiąc razy zabawniejszy od Lorcana, mówiłaś prawdę?

- Nie, Johnny. Nie tysiąc. Milion razy.

Pamiętała bezbronność w jego oczach - teraz znów ją widziała. Ujrzenie Johnny'ego i Lorcana razem, w jednym miejscu, obudziło w Grace wyrzuty sumienia. Czuła coś do nich obu - niezupełnie to samo, choć emocje wydawały się bardzo silne. Jednak to, co wtedy odpowiedziała Johnny'emu, było efektem ekscytacji, wrażeń tamtej niezwyklej nocy i smaku krwi. Jej relacja z kowbojem była pod wieloma względami łatwiejsza, ale złożoność związku z Lorcanem czyniła tę więź głębszą i trwalszą.

- Wiem, że nie chcesz ze mną walczyć - oznajmiła. - Musisz wypuścić Lorcanę. - Zerknęła za siebie.

- Przegrywacie bitwę. Twoja załoga cię potrzebuje. Johnny spojrzął ponad ramieniem Grace. Miała rację. Zostali rozbici w pył. Nigdzie nie widział Stukeleya, ale wśród tłumu dostrzegł Obsydiana Darke'a - walczył po stronie piratów. Co on wyprawiał?

- Słusznie. Muszę iść. Poczekaj na mnie, dobrze? Trzymaj się z dala od walczących. Razem wrócimy na Diabła.

Grace pokręciła głową.

- Nie wracam z tobą - oznajmiła z nutą smutku w głosie.

Spodziewała się, że Johnny odwróci się na pięcie, ale on stał jak wmurowany, patrząc na nią z bólem.

- Więc naprawdę byłem tylko środkiem do osiągnięcia celu.

- Nie, Johnny - zapewniła. - Już ci mówiłam, jak bardzo cię lubię. Nie kłamałam. Nie mogę wrócić z tobą na Wagabundę i Krwawego Kapitana. Miałaś rację, odczuwam głód krwi, ale nie mogę znieść myśli, że ktoś umrze, bym mogła go zaspokoić. Sposób, w jaki Sidorio i Lola dowodzą swoimi statkami, przeraża mnie. Doprowadzili do tego, że sama niemal pozbawiłam kogoś życia. Dlatego muszę wrócić na Nokturn. Mówisz, że to statek nienawidzących samych siebie wampiratów, ale się mylisz. To statek wampiratów, którzy akceptują swój głód krwi i znaleźli odpowiedzialny sposób, by go uśmierzyć.

Johnny skinął głową. Nie wydawał się już tak bardzo przygnębiony.

- Rozumiem, co masz na myśli. Chciałbym, żeby sprawy potoczyły się inaczej, ale wiem, że na razie to niemożliwe. - Wsunął ramię i wskazał swój tatuaż. - Jak tu jest napisane, Grace, jazda jeszcze się nie skończyła. Dla nikogo z nas.

Mrugnął do niej, zasalutował i pobiegł wzdłuż pokładu. Dziewczyna patrzyła, jak przyłącza się do boju. Miała gorącą nadzieję, że nic mu się nie stanie.

Wokół nadal trwały potyczki, ale wielu zbuntowanych wampiratów zostało już zepchniętych w stronę kładek i wracało właśnie na pokład Diabła. Grace dostrzegła, że na statku, który do niedawna dowodzony był przez Molucca Wrathe'a, toczy się zażarty pojedynek między Stukeleyem a Jacobym Bluntem. Zaintrygowana, obserwowała przez chwilę wyrównaną walkę, jednak gdy kolejni rebelianci powrócili na pokład, straciła tamtych dwóch z oczu. Spojrzała na załogę Tygrysa: Jasmine Peacock zajmowała się ranną towarzyszką - dziewczyną będącą jej

nico młodszą wersją. Grace poszukała wzrokiem Johnny'ego. Wreszcie wypatrzyła go stojącego na relingu, sygnalizującego odwrót. Odetchnęła z ulgą. Bitwa była skończona.

Poczuła na ramieniu czyjąś dłoń. Odwróciwszy się, zobaczyła Lorcana. Chłopak wziął ją w ramiona i mocno przytulił. Po tak długim rozstaniu znalezienie się w jego objęciach było dla Grace jak powrót do domu.

- Dziękuję za uratowanie mi życia - powiedział. - Zawsze do usług - odparła głosem ochryłym z emocji. Kiedy ostatni z wycofujących się buntowników przeskoczyli na swój statek, Johnny podszedł do Obsydiana Darke'a i Cheng Li. Był jedynym pozostałym na Tygrysie rebeliantem. Odległość pomiędzy dwoma statkami powiększała się z minuty na minutę i nie miał wiele czasu. Ale teraz, kiedy Darke zmienił front, a Stukeley był już gdzieś na Diabłu, Johnny przejął obowiązki dowódcy i nie miał najmniejszego zamiaru uciekać z podkulonym ogonem.

Stanął w rozkroku przed swoimi przeciwnikami.

- A zatem, poruczniku Darke, przez cały ten czas z nami pogrywałeś?

Obsydian spojrzał na Johnny'ego posepnym wzrokiem.

- To nigdy nie była gra - powiedział. - Wielu żołnierzy dzisiaj poległo, po obu stronach. Takie sprawy należy traktować bardzo poważnie.

Johnny wskazał czerwoną pręgę na koszuli Darke'a.

- Jaka szkoda, że twój przeciwnik nie celował trochę wyżej. Wtedy może wszystko potoczyłoby się inaczej...

Przerwała mu Cheng Li:

- Dzisiejsza noc jest początkiem przymierza pomiędzy Federacją a nokturnami - powiedziała. - Mamy również wiadomość dla waszych kapitanów. - Wymieniła spojrzenie z Obsydianem, a potem ponownie zwróciła się do Johnny'ego. - Powiedz Sidoriovi i Loli Lockwood, że wojna, której tak bardzo pragnęli, właśnie się rozpoczęła.

Darke przytaknął.

- Żałuję jedynie tego, że nie było ich tu dzisiaj, bo wtedy może od razu by się zakończyła. - Powiódł wzrokiem po pokładzie. - Widziałeś, jak gładko pokonaliśmy tej nocy wasze siły. Zдай raport swoim dowódcom. Powiedz im, że wampiraci nigdy nie zwyciężą.

Skinąwszy ponuro głową, Johnny odwrócił się i szybko przebiegł po kładce. Nie cieszyła go wizja zdania kapitanom raportu. Cóż, przynajmniej nie musiał robić tego sam. Jak zawsze u jego boku będzie Stukeley.

- Niech no jeszcze raz na ciebie spojrzę - powiedział Lorcan, kładąc dłonie na ramionach Grace.

Uśmiechnął się i pokręcił głową. - Jesteś coraz piękniejsza. A będziesz jeszcze bardziej, kiedy zmyjesz z twarzy to okropne serce.

Dziewczyna zmarszczyła brwi, ale on tego nie zauważył.

- Wydawałaś się taka silna, kiedy stawiałaś Johnny'emu czoło - mówił dalej. - Twoje słowa były bardzo przekonujące. Sam niemal ci uwierzyłem.

Grace zagryzła wargę i spojrzała w jego błękitne oczy.

- Lorcan, ja nie kłamałam. Wszystko, co mu powiedziałam, było prawdą. - Czują, że się wzdrygnął, ale musiała być szczerą. - Lubię Johnny'ego - powtórzyła. - I lubię krew. Wiem, że wolałbyś, aby to nie było prawdą, ale nie mogę kłamać tylko dlatego, żeby nie sprawić ci przykrości. Ostatnio wydarzyło się bardzo wiele. Zmieniłam się. Jeśli ma nam się udać, musimy być ze sobą absolutnie szczerzy.

Na twarzy Lorcana odmalowała się ulga.

- A więc jednak chcesz, by nam się ułożyło. Przez chwilę myślałem - bałem się - że z nami koniec.

Grace pokręciła głową.

- Lorcan, powiedziałam, że lubię Johnny'ego, a nie, że jestem w nim zakochana.

Jego oczy zabłysły.

- Czy to znaczy, że jesteś zakochana we mnie?

Uwagę dziewczyny przyciągnęło jakieś poruszenie na środku pokładu. Zwycięzcy w milczeniu obserwowali, jak Diabło znika w ciemności.

- To nie czas ani miejsce na rozmowę o uczuciach - odparła. - Chodź, powinniśmy przyłączyć się do pozostałych.

Ruszyła przed siebie, pełna energii i świadoma swego celu. Lorcan patrzył za nią. Czuł się odepchnięty. Powiedziała, że nie czas na rozmowę, ale on chciał usłyszeć tylko jedno krótkie słowo - „tak”.

Nareszcie sprzymierzeńcy mogli odetchnąć. Piraci i Nokturni razem patrzyli, jak Diabło powoli się oddala. Odprowadzali spojrzeniem wrogów z mieszanymi uczuciami. Wiedzieli, że nie w każdej bitwie zwycięstwo będzie należało do nich. Już dzisiaj wielu ich towarzyszy zapłaciło najwyższą cenę za wygraną. Obsydian Darke stał obok Cheng Li. Pani kapitan czuła

uzasadnioną dumę. A jednak toasty na jej cześć w siedzibie Federacji znaczyły dla niej mniej niż fakt, że wraz ze swą załogą i nokturnami dokonała czegoś ważnego. Tu nie chodziło już o zapisanie się w historii, lecz o postawienie pierwszego kroku na drodze do zapewnienia trwałego pokoju na oceanach.

Po prawej stronie Cheng Li stała Cate Morgan, mistrzyni sztuki walki i znakomity strateg. Zakończona bitwa umocniła jej pozycję w świecie piratów. Umiejętności Cate - dzięki współpracy z Lorcanem Fureyem - osiągnęły całkiem nowy poziom, pozwalający na zaplanowanie taktyki i odparcie ataku wroga o nadludzkich zdolnościach. Mimo to dziewczyna czuła w sercu pustkę. Ona również spoglądała na ocean, ale myślała jedynie o Barcie. Powinien teraz stać u jej boku. Próbowwała wskrzesić w sobie nadzieję, że ukochany jest już w drodze do domu, ale w głębi duszy wiedziała, że on nigdy nie wróci.

Obok Cate stały Jasmine Peacock i Bo Yin. Obie dziewczyny odniosły rany. Będą z dumą nosiły blizny jako znak bitewnego doświadczenia. Jasmine i Bo dopiero rozpoczynały swoje pirackie kariery. Kto wie, co jeszcze osiągną?

Reszta pirackiej załogi stanęła na prawo od Bo Yin, podczas gdy nokturni ustawili się obok Obsydiana. Stojący tuż przy swoim dowódcy porucznik Lorcan Furey wpatrywał się w niknącą w dali postać Johnny'ego. Zbuntowany wampirat stanowił nadal zagrożenie, ale on nie pozwoli mu zwyciężyć.

Lorcan pomyślał o mistrzu. Mosh Zu nie brał udziału w bitwie, jednak odegrał kluczową rolę w przygotowaniu nokturnów. Niekiedy jego postawa frustrowała Irlandczyka do tego stopnia, że wątpił w zapewnienia, iż kapitan powróci. Dziś porucznik z pokorą pochylił głowę i przyznał, że nie miał pełnego obrazu sytuacji. Pomyślał też o innej osobie, której nie było z nimi na pokładzie. Darcy Flotsam wykazała się ogromną odwagą w walce przeciwko rebeliantom.

Grace Tempest przeszła za linię sprzymierzonych oddziałów i zajęła miejsce między Obsydianem a Lorcanem. Stojąc przy nadburciu z włosami rozwiewanymi morską bryzą, czuła silną więź z przyjaciółmi. Każdy z nich odegrał ważną rolę w misji przekraczającej - jak się z początku wydawało - ich możliwości. Grace spojrzała na twarze zebranych, zdumiona i zachwycona tym nowym, potężnym przymierzem pomiędzy piratami a światem nocy. Teraz nie było już takiego zagrożenia, któremu zjednoczeni nie daliby rady.

Patrząc na oddalający się statek, myślała o tym, jak ulotne bywają sojusze. Prawda jest taka, że równie dobrze mogłaby teraz stać na pokładzie Diabla.

Z Johnnym i pozostałymi wampirami również wiele ją łączyło. Sidorio nie przestał być jej ojcem, a co ważniejsze, Connor nadal znajdował się na Krwawym Kapitanie. Grace zastanawiała się, jak przebiegła jego inicjacja. Przypomniała sobie ich niedawną rozmowę. Przykro było słyszeć, że brat gardzi swoją nową naturą. Musiała zrobić wszystko, żeby pomóc mu zaakceptować przemianę.

Lecz Connor potrafił sam się o siebie zatroszczyć, a jej miejsce było wśród nokturnów. Z trudem oderwała wzrok od malejącej sylwetki Johnny'ego i spojrzała na Obsydiana Darke'a.

Czy naprawdę był kapitanem Nokturnu? Niełatwo będzie jej do tego przywyknąć. Gdy skrywał się za maską i pod peleryną, wzbudzał strach we wszystkich poza Grace. Teraz, gdy miał ludzką twarz, niepokoił ją dużo bardziej.

Usłyszawszy za sobą kroki, dziewczyna zerknęła przez ramię i ujrzała Darcy oraz mistrza, idących szybko przez pokład. Musieli przyjść z Nokturnu. Ucieszyła się, że ich widzi, ale jednocześnie była zdenerwowana. Kiedy ostatnio widziała się z Darcy, rozstały się w gniewie, i to właśnie z winy Grace. Czy przyjaciółka jej wybaczy? Gdy mistrz i jego towarzyszką podeszli do pozostałych, Mosh Zu skierował się na koniec formacji. Nim jednak panna Flotsam ruszyła za nim, Grace chwyciła ją za rękę. Darcy wyglądała na zaskoczoną, ale uśmiechnęła się z zadowoleniem. Grace wiedziała już, że przyjaciółka pragnie jak najszybciej zapomnieć o nieporozumieniach. Sojusznicy wreszcie byli w komplecie.

Nagle czyjś krzyk zmącił ciszę.

- Jacoby! - wołała Jasmine. - Jacoby!

Spojrzenia wszystkich zwróciły się na dziewczynę, a potem pobiegły ku miejscu, które wskazywała palcem. Na pokład Diabła. Statek niemal w całości spowijały cienie, ale można było dostrzec, że do grupy pokonanych dołączyły dwie osoby. Obok Johnny'ego stał drugi zastępca Sidorio - Stukeley. A porucznikom towarzyszył Jacoby Blunt.

- Jacoby! - Jasmine raz po raz wykrzykiwała jego imię.

Chłopak patrzył na nią, ale zdawał się jej nie dostrzegać. Jego spojrzenie było puste. Czyżby wampiraci wzięli go do niewoli? Koszulę miał przesiąkniętą krwią. Jasmine przeszły zimne dreszcze. Czy stało się najgorsze?

Jej pytanie pozostało bez odpowiedzi. Odległość między Tygrysem a Diabłem rosła i rosła, aż wreszcie jednostka wampirów znikła w ciemności.

Rozdział 45

Bicie serc

- Connor... - zaczęła Kally niepewnie. - Jesteś przekonany, że właśnie tego chcesz? Jeszcze nie jest za późno, żeby Sidorio go przemienił. Możesz uratować Barta.

Chłopak przypomniał sobie tamtą noc, sześć tygodni wcześniej, kiedy załoga Cheng Li świętowała w barze Pod Pełnią Księżycy. Connor miał tę scenę przed oczami. Bart uderza pięścią w otwartą dłoń i mówi: „Krótkie życie, ale wesołe. Na to się pisałem. Kiedy umrę, wrzucicie mnie w największą głębię, tak żeby wampiry nie mogły mnie wyłowić i dołączyć do swojej załogi”.

Wspomniawszy towarzyszące tym słowom rozognione spojrzenie przyjaciela, Connor pokręcił głową.

- Nie - oznajmił stanowczo. - To kuszące, ale tylko dla mnie. Nie mógłbym mu tego zrobić. Zasłużył na spokój po śmierci. To jedyne, co mogę mu teraz dać.

- Jesteś pewien? - nie ustępowała Kally.

Connor przytaknął. Już miał popłynąć po leżące na plaży ciało, lecz się zawahał. Spojrzał na rybogonkę.

- Nim zaczniemy - rzekł - muszę ci coś powiedzieć.

Spojrzała na niego zdziwiona.

- Śniłaś mi się wczoraj - wyznał. - Nasze spotkanie, Calle del Marinero, Lorelei.

W tęczy oczach Kally pojawiło się wzruszenie.

- Connor, przypomniałeś sobie! Nareszcie!

Chłopak skinął głową.

- Śniło mi się, że poszliśmy popływać. Była noc. Ty i inni rybogoni znajdowaliście się już pod wodą. Bart, Jez i ja wskoczyliśmy za wami. Woda była z początku bardzo ciemna, ale potem wypełniły ją kolorowe światła. Wyglądały jak lasery. - Uśmiechnął się. - To wy jaśnieliście. Byłaś taka piękna... Jak podwodny anioł.

Kiedy skończył opowiadać, zobaczył, że Kally płacze.

- Naprawdę pamiętasz - szepnęła po dłuższej chwili.

- Tak - potwierdził, podpływając bliżej. - I przypomniałem sobie coś jeszcze. - Zamilkł na chwilę. - Że zakochałaś się w Barcie.

Rybogonka nie odpowiedziała. Zamknęła oczy, ale to nie powstrzymało łez. Connor przyciągnął Kally do siebie i mocno objął. Płakała rzewnie, nie kryjąc dłużej swego żalu, a chłopak pomyślał o Cate. Ona również kochała Barta - i to od bardzo dawna. Będzie zrozpaczona, gdy dowie się o jego śmierci. Jak zareaguje, kiedy usłyszy, że pirat zamierzał się jej oświadczyć? W pierwszej chwili Connor chciał oddać Cate pierścionek, ale teraz nie był już pewien, czy to dobry pomysł. Może przysporzyłoby jej to zbyt wiele cierpienia?

Wreszcie Kally uspokoiła się i otworzyła oczy.

- A ty, co teraz zrobisz? - spytała. - Wrócisz do Sidorii czy do Cheng Li? A może planujesz jakąś nową podróż?

Connor nie potrafił odpowiedzieć na to pytanie.

- Nie mam pojęcia - wyznał. - Wiem jedynie, że już nic nigdy nie będzie takie samo.

Nie chcę myśleć o przyszłości, dopóki nie pożegnam się z Bartem.

Rybogonka przytaknęła.

- Ruszajmy więc - powiedziała cicho. - Zabierzmy go w ostatnią drogę.

Connor ujął ciało Barta pod ramię z jednej, a Kally z drugiej strony. Holując je wspólnie, skierowali się na głęboką wodę.

- Jest taka modlitwa - powiedział chłopak, kiedy oddalali się od plaży. - Bart recytował ją na pogrzebie Jeza. Chciałbym ją teraz odmówić.

- Dobry pomysł - stwierdziła rybogonka.

- Wiem, jak się rozpoczyna, ale nie jestem pewien, czy pamiętam całość.

- Nie przejmuj się. Wszystko, co powiesz, będzie odpowiednie.

Płynąc, Connor zaczął mówić:

*Ojcze Niebo i matko Oceanie,
przyjmijcie duszę dzielnego pirata,
która jak mewa nad wodami wzlata,
nas tu skazując na wieczne rozstanie.
Słońce, nasz bracie, i siostrze Księżycu,
w swoich promieniach skąpcie jego ciało,*

*co się nie będzie już do walki rwało,
kiedy cień śmierci pokrył jego lico.
Sztormie, wichuro, która wznosisz fale,
Niech rdzą pokryje się rapier stępiony...*

Chłopakowi zadrżał głos, a po twarzy popłynęły łzy.

- Już dobrze - pocieszała go Kally. - Nieważne, że nie pamiętasz więcej. Bart zrozumie.

Connor pokręcił głową.

- Pamiętam. Nie wiem jak, ale pamiętam. I to jest właśnie najgorsze. Słyszę w myślach głos Barta przemawiającego na pogrzebie Jeza, a teraz... - Nie był w stanie dokończyć. - A teraz...

Kally uśmiechnęła się blado, by dodać przyjacielowi otuchy. Byli daleko od brzegu i zarówno woda, jak i powietrze stały się chłodniejsze. Connor czuł na sobie wzrok dziewczyny, ale nie odwracał się - nie chciał usłyszeć tego, co miała mu do powiedzenia. Wreszcie rybogonka przerwała ciszę.

- Connor, uważam, że wystarczy.

Westchnął i zatrzymał się.

- Jesteś gotów? - spytała.

- Nigdy nie mógłbym być gotów na tę chwilę. - Po raz ostatni spojrzał na twarz Barta i znów łzy pocięły mu po policzkach. - No dobrze - powiedział w końcu. - Zróbmy to. Tylko pozwól mi się z nim pożegnać.

Kally skinęła głową. Connor chwycił dłoń zmarłego pirata, próbując powstrzymać łkanie.

- Bart, chcę ci powiedzieć, że jesteś najlepszym przyjacielem, jakiego kiedykolwiek miałem. Od pierwszej nocy, gdy się spotkaliśmy - kiedy odstałeś mi swoją prycę, pamiętasz? - aż do samego końca. - Zaczerpnął tchu. - Będzie mi cię bardzo brakowało, stary druhu. - Potrząsnął głową. Chciał powiedzieć Bartowi tak wiele, ale był zbyt zrozpaczony, by ubrać myśli w słowa.

- To było wspaniałe - szepnęła Kally. - Myślisz, że mogę pocałować go na pożegnanie?

Connor przytaknął. Patrzył, jak rybogonka odgarnia włosy z czoła Barta i łagodnie gładzi go po policzku. Wreszcie delikatnie ucałowała zmarłego w usta.

- Śpij spokojnie, piękny Barcie - powiedziała cicho.

Rozluźniła chwyt i czekała, aż Connor uczyni to samo. Chłopak poczuł ciężar powoli zsuwającego się pod wodę ciała przyjaciela i gwałtowny łomot własnego serca.. Nie był jeszcze gotów rozstawać się z Bartem. To nie mogło tak się skończyć. Mocniej zacisnął dłoń na ramieniu pirata i razem z nim zaczął opadać w głębinę. Zanurzali się w mroczne odmęty oceanu, a Kally płynęła za nimi. Gdy zrobiło się już zbyt ciemno, by można było cokolwiek dostrzec, jej ogon rozblęsnął światłem, od którego woda zabarwiła się wszystkimi kolorami tęczy - dokładnie tak, jak Connor widział to we śnie.

Dno oceanu było coraz bliżej. I chociaż Connor nienawidził swojej natury dampira, teraz był wdzięczni za zdolność oddychania pod wodą. Dzięki niej mógł towarzyszyć Bartowi w jego ostatniej podróży.

- Pięknie tu, nie uważasz? - spytała rybogonka, która w podwodnym świecie potrafiła również mówić.

Chłopak się rozejrzył. Dostrzegł przepiękne koralowce i bujność życia na dnie oceanu. Miejsce to przypominało ogród. Kiedy układali Barta w wygodnej pozycji, wielobarwna ławica ryb zakłębiła się w pobliżu, jakby chcąc powitać nowego znajomego.

Connor poczuł, że dłoń Kally dotyka jego ramienia.

- Tutaj nigdy nie będzie samotny - powiedziała dziewczyna. - Obiecuję ci to.

Chłopak przytaknął. Bart wyglądał tak spokojnie. Przyszedł czas, by się z nim pożegnać. Connor po raz ostatni spojrział w twarz przyjaciela.

Po chwili Kally ujęła go za rękę.

- Gotów wypłynąć na powierzchnię? - spytała.

Chłopak skinął głową. Tak, teraz był gotów.

Gdy lady Lola Lockwood weszła do swojej kajuty na Wagabundzie, zastała tam czekającego na nią męża. Sidorio był zasępio.

- Rozumiem, że ponieśliśmy pierwszą porażkę - powiedziała wampirzyca. - Ale, mój najdroższy, to tylko drobne niepowodzenie. Kiedy opadnie bitewny kurz, przegrupujemy załogę i uderzymy na wroga, silniejsi niż kiedykolwiek wcześniej. Obiecuję ci to.

Ujęła karafkę i nalala krwi do dwóch kieliszków. Jeden z nich podała Sidoriovi. Kapitan przyjął go, lecz - co było do niego niepodobne - nie opróżnił od razu. Marszcząc brwi, lady Lockwood upiła łyk ze swojego kieliszka. Była bardzo spragniona. Mina Sidoria wyrażała przygnębienie.

- Jaki to wszystko ma sens? - powiedział nagle.

- Co takiego? - spytała Lola swobodnym tonem, pod którym krył się jednak niepokój.

- Ta cała walka - odparł jej mąż. - Ekspansja naszego imperium. Przypomnij mi, Lolu, po co to robimy?

Lady Lockwood nie potrafiła dłużej ukrywać emocji.

- Nie mogę uwierzyć, że o to pytasz! - zawołała.

- Przerażasz mnie, gdy tak mówisz!

Sidorio podniósł na nią oczy pełne smutku.

- Connor odszedł, i to oczywiste, że nie wróci. Nie chce być częścią naszego świata. A teraz jeszcze okazało się, że Obsydian Darke był oszustem - kapitanem Nokturnu w przebraniu. Poprowadził moich ludzi do walki, a połowę z nich ku zagładzie. Wystrychnął nas na dudka.

Lola nasrożyła się, słysząc z jego ust potwierdzenie swoich najgorszych obaw. - A co z Grace? - spytała. - Zawsze sądziłam, że ma większy potencjał niż jej brat. - Ona także nas porzuciła - oznajmił Sidorio, spuszczać głowę. - Postanowiła trwać przy dawnych sojusznikach. Wróciła na pokład Nokturnu. - Ponownie spojrzął na żonę. - Moje dzieci odeszły na zawsze. Czy już rozumiesz, dlaczego wszystko wydaje mi się pozbawione znaczenia?

Lola wypięła kolejny kojący nerwy łyk krwi i podeszła do męża. Zaczęła gładzić jego ogoloną głowę.

- Sid, rozumiem, czemu jesteś przybity, ale obiecuję ci, że już wkrótce twój nastrój się poprawi. - Jej głos nabrał mocy. - Zaczęliśmy budować imperium, zanim odkryliśmy, że Connor i Grace są twoimi dziećmi, więc teraz, kiedy oboje odeszli, musimy kontynuować nasze dzieło!

Wyraz jego twarzy się nie zmienił.

- Przepraszam. Po prostu nie wiem, czy znajdę w sobie tyle siły.

- Musisz! - rzuciła z pasją. - Od początku mogliśmy przewidzieć, że Connor i Grace okażą się problematycznymi dziedzicami. Ludzka strona ich natury zawsze by ich jakoś hamowała, a tym samym i nas.

- Znowu podniosła do ust kieliszek. To była wyborna krew, po prostu płynny aksamit. - Wiem, że to trudne, ale musisz wymazać ich z pamięci.

- Nie mogę... tak po prostu o nich zapomnieć - odparł z bólem. - Niezależnie od tego, czy są czystej krwi, czy też mieszańcami, Connor i Grace to moje dzieci. Jedyne, jakie kiedykolwiek będę miał.

Lola odstawiła kieliszek.

- I tu się mylisz - oznajmiła. Sięgnęła po dłoń Sidorii i położyła na swoim brzuchu.

Kapitan obserwował żonę oczami szeroko otwartymi ze zdumienia. Jej brzuch rzeczywiście wydał mu się nieco bardziej zaokrąglony niż kiedyś. Jak mógł tego nie zauważyć? Zajrzał jej w oczy i dostrzegł w nich wesołe ogniki.

- Czujesz bicie serc? - spytała.

- Bicie serc? - Skierował całą swą uwagę na brzuch Loli. Przez chwilę trwali w niezmałconej ciszy. A potem, wniebowzięty, naprawdę je poczuł. Dwa bijące serca. Pokręcił głową i uśmiechnął się do swojej pięknej, niezwykłej żony.